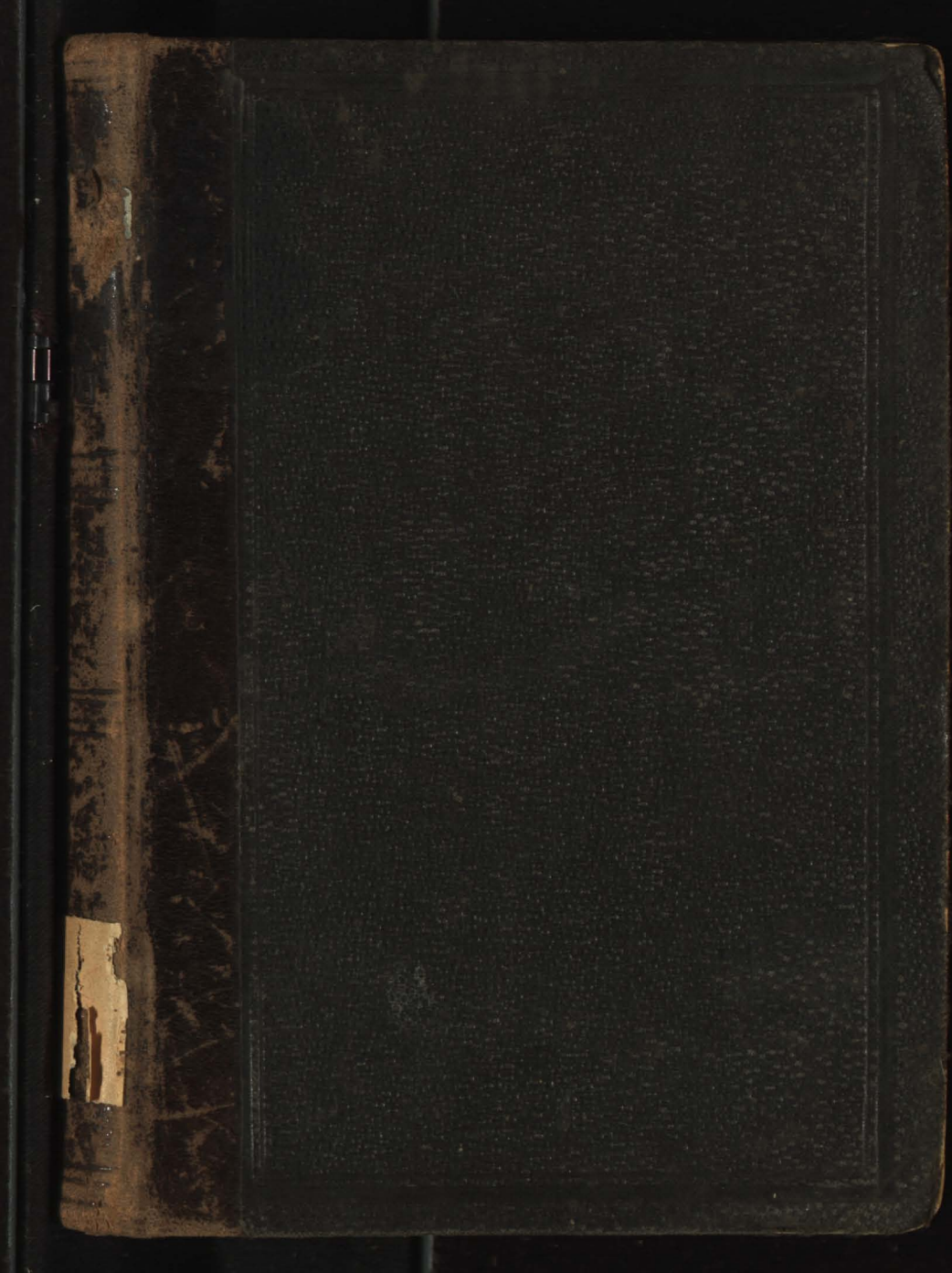




Nr. 166.
Nv 3763



Dział A
Znak 206
№ inw. 2594



LISTY Z PODRÓŻY.



Dział A
Znak 206
№ inw. 2594

Pr. inw. 1116.

LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z WARSZAWY DO RZYMU).



TOM II.



WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1875.

Дозволено Цензурою
Варшавы 18 Сентября 1874.

DRUK J. BERGERA,
Warszawa, ul. Daniłowiczowska Nr 619.

Subatyńskich
Księgozbiór: U.
1921
LISTY Z PODRÓŻY.

XXIX.

Do Ignacego Chodźki.

Strasburg, 15 Września 1829 r.

Obiecałem ci pisać z każdego kraju gdzie będę. Owoż od wczoraj wieczorem jestem we Francyi, zkad jutro raniuteńko wyjeżdżamy znowu *retro* za Ren, do Szwajcaryi. Lubo więc takiego *transito* za bytność nawet możnaby nie liczyć; lubo dzień jeden czasu w nowém mieście nie upoważnia wcale do pisania o niém; że jednak *verbum nobile* przedewszystkiém: postanawiam ten półarkusz zabazgrać, choćby tylko dla tego, ażebyś mógł w niedzielę u xędza Proboszcza w Wojstomiu ¹⁾ pokazać swoim sąsiadom list odebrany z Francyi, z pocztową pieczętką francuzką.

¹⁾ Osada i kościół parafialny w gubernii Wileńskiej, w powiecie Święciańskim.

Strasburg dwiema rzeczami sławi się u świata—katedrą i pasztetem. A że łatwiej *entamer le pâté que la cathédrale*, więc cię naprzód tym przysmakiem częstuję. Nie wiem, czy jadłeś go kiedy; bo ja w Wilnie słyszałem tylko o nim; w Warszawie już go widziałem przez okno u Chovota; ale dzisiaj dopiero skosztowałem raz pierwszy, przy śniadaniu, którym nas towarzysz podróży nasz, David, jako robiący nam honory ziemi Francuzkiej, w pierwszej tu-tejszej restauracyi uraczył. A więc spytasz pewnie czy smaczny? Już cię sława nikomu i niczemu nie może przyjść bez zasługi; ale nie idzie za tćm, aby każdy zasługę tę jednakowo ocenić umiał. Ja i w gastronomii, widać, jak we wszystkićm, niestety, nie mogę wznieść się wyżej nad poziom prostego profana. I powiedz proszę odemnie dobrej twojej żonie, że owe ciastko w mleku i naleśniki z sokiem, które uprzejmość Jćj, jako najulubieńsze moje specyjały, na ostatnićm u was śniadaniu zastawić dla mnie raczyła, zajmują zawsze zenit mego podniebienia; że o nich dzisiaj właśnie przy pasztecie myślałem, i że je sobie z góry u Jćj dobroci, na pierwszą da Bóg ucztę po powrocie zamawiam. Wracając zaś do pasztetu—grunt jego jest masa z wątróbek gęsich, a główną ingrediencyą, trufle. Ale wiesz jak się ten grunt przysposabia? Oto sadzą gęś naprzód do tak ciasnego kojca czy klatki, że się w nićj ani ruszyć nie może, i zaczynają karmić jakiemiś smaczniemi gałkami. Z początku pewnie cieszy się nieboga, jak młoda żona starego bogacza, kiedy ją ten w dzień

ślubu prezentami i klejnotami obsypuje. Ale pociecha prćdko przemienia się w mćczarnię. Biedne ptaszę, bez ruchu, zaczyna tęsknić i traci apetyt. Wtedy gwałtem jćj gałki wpychają do gardła, a im tęsknota bardziejćj ściska serce, tćm więcćj pćcznieje wątroba. Dopiero gdy już ma ją udusić, nóż uprzedza nożyce Parki. Wejdz więc tylko w poło-żenie tćj bićdnćj gęsi, a przyznasz, że jest to istny *pendant* losu Prometeusza. Tam ptak bogów pastwi się nad człowiekiem, szarpiąc jego wątrobę, że śmiał sięgnąć w sfery nadziemskie i wykradł im ogień niebieski. Tu ludzie, potomkowie Gallów, mszczą się zda się nad ptakiem, rozdymając jego wątrobę, że kiedyś jego przodkowie ich przodkom z rąk już prawie Rómę wydarli. W obu zaś razach, i Prometeusz i gęś, mogliby ujęć za symbol uczonego mćdrca, który myśla, jak Prometeusz, z nieba światło wykrada; a ciałem musi siedzieć, jak gęś, przy stoliku albo w bibliotece, i połykać xiażki jak gałki. Cierpi zatćm nieborak i często kończy na wątrobę, a dzieła jego potćm, jak pasztet Strasburski, świat cały pożywa i chwali.

Piszę umyślnie tak dłu-go o pasztecie, aby dla za-pćpełnienia listu mieć jak najmniej pisać o katedrze. Przedmiot to nad moje siły. I dla tego wołałem kupić ci za 20 *susów* wizerunek jćj, który tu załączam, niż się silić na opisanie, czy to wspaniałego ogromu całości, czy zadziwiającego wykończenia szczegółów. A cóż dopiero mówić o tćj *dziwo-wieży*, tćj królowej i dziewicy wieć wszystkich, (jak *Jungfrau* między Alpejskiemi górami); bo i najwyższćj ze wszy-

stkich na świecie, i najpiękniejszej, jak mówią, gracyą wzrostu i kształtu. Patrząc na nią zda się nie czujesz, iżby stała i ciężyla na ziemi: ale że owszem, własną siłą i życiem, rośnie z ziemi w niebo jak palma, i za okiem myśl widza, a za myślą i duszę, gwałtem z sobą na wysokość porywa. Wątpię czy na rysunku sprawi ci ten efekt; jak z sylwetki ołówkiem trudno poczuć piękność. Ale gdy się weń będziesz wpatrywał, pomiędzy figurkami na placu, postaw myślą jeszcze cztery w pośrodku, z których jedna, jak dyrektor w orkiestrze, macha ręką podniesioną do góry, wskazując drugim punkta do patrzenia; a zaś druga z trzech drugich, nieruchoma jak posąg, stoi z okiem wlepionem w szczyt wieży, jakby z nią kto ztamtąd rozmawiał. Pierwsza będzie to David d'Angers, który, jako mistrz dłota a mowarz kamieni i gliny, uczy w nich czytać myśli architekta; druga, to wieszcz nasz Adam, sięga zda się myślą do źródła, zkad mu przyszło takie natchnienie, z którego taka wieża wyrosła. (Nie widziałem dotąd albowiem, aby go co tak zachwyciło). Dwie ostatnie figurki, co tylko słuchają i patrzą—a patrzą jak kozły na wodę:—to znajomy ci już zapewne z listów moich do Juliana z Wejmaru, przyjaciel mój pan Wiktor Pavie, *et ego servus tuus humillimus*. A teraz porusz myślą wszystkie te figurki, i naprzód wyobraź sobie, że nikną jak w otchłani w drzwiach i w głębi mrocznej katedry, a wnet potem, że się czernią jak kawki na samym wierzchołku wieży—gdzie jedna z nich przynajmniej, „*nie mając u rąk*

pierza,” a nie ufając swęj głowie, tuli się do ściany ze strachu i nie śmie okiem w dół rzucić, aby jęj się mózg nie zakręcił. A i wchodząc i schodząc historia ta sama. Wschody kręte, a ściany ażurowe; stąpasz jakby po gzymsie, a możesz spać jak przez okno. Widok z wieży nie wart fatygi; wynagradza ją chyba samo bliższe przypatrzenie się budowie, tęg olbrzymce filogranu z kamienia. Wysokość jęj jest 490 stóp; a ze wszystkich budowli ludzkich, jedna tylko z piramid egipskich przewyższa ją podobno, i to o niewiele. Planodawca jęj i pierwszy architekt nazywał się *Erwin von Steinbach*. Kończył ją po nim syn jego i drudzy; gdyż budowa trwała lat 163 (od 1276 do 1439), samęj zaś katedry lat 260, od roku 1015. Wyczytałem to wszystko w opisie, który razem z wizerunkiem kupiłem. Ma 355 stóp długości, a 132 szerokości. Zmierz krokami obie twoje stodoły, czy postawione obok, i jedna za drugą, jeszczeby tyle wyniosły; bo co do wysokości, choćbyś jedną postawił na drugiej, pewnoby obie do środka, jak wóz siana do nich samych wjechały; to jest, gdyby zamiast podwojów, całą ścianę frontową otwarto. Co tam we środku, nie mam czasu pisać; jak go nie było nawet do zwiedzenia innych kościołów, chociaż ich z wieży naliczyłem 15, katolickich i protestanckich. Największy z pomiędzy ostatnich jest pod nazwą Ś-go Tomasza. Miasto samo stare i ścięsnione, otoczone fortyfikacyami, które od strony Niemiec rozciągają się aż do Renu ($\frac{1}{4}$ mili). Leży u spływu rzek: *Ill*i i *Breusch*; liczy około 80,000 mieszkańców.

Z wielu gmachów publicznych najpiękniejszym zdaje się teatr; aleśmy w nim we środku nie byli. Wczoraj po całodziennym deszczu, który nam towarzyszył z Karlsruhe (przez Rastadt), tak byliśmy znużeni i skrzepli, że gdy nam rozłożono ogień na kominku i podano herbatę w hotelu, takeśmy się tém rozkoszowali, jak po burzy foki na słońcu; a jak jeszcze przyszli i towarzysze podróży, którzy mieszkają tuż obok: cały wieczór tak mile upłynął, iżby go żaden spektakl zastąpić nam nie mógł. Dzisiaj zaś po katedrze, wieży i pasztecie, resztę dnia i znowu cały wieczór zajął prawie wyłącznie *Kierstein*, do którego zaprowadził nas David.

A któż to jest ten Kierstein? zapytasz. Ja też do dziś dnia nie wiedziałem o nim; ale może za sto lat jakie tak będą wiedzieli wszyscy, jak dziś wiedzą o Benvenuto-Cellinim; bo, jak powiada David, jest to najgenialniejszy po nim artysta-złotnik, mieszczanin Strasburski. Przyjął też nas jak prosty rzemieślnik lub kupiec; ale zaledwo David wymówił swoje nazwisko i powiedział, że go poznać przychodzi: skromny człowieczek w mgnieniu oka przeobraził się w natchnionego artystę. Oczy zabłyszczały mu ogniem, choć zarazem napełniły się łzami. Zaszczyt odwiedzin sławnego rzeźbiarza, obudził w nim wyraźnie poczucie własnej godności. A jakże to wielki przywilej, jak piękne użycie sławy, talent w drugich i siłę obudzać, a uznaniem ich serca zjednywać! Warszawscy sławni ludzie, zgoda o tém, jak się zdaje, nie wiedzą; a jakbym chciał, żeby w tej

chwili patrzali na Paryżanina Davida, jak z zupełnym zapomnieniem o sobie, a z braterskiem współczuciem dla współbrata w sztuce, mówił z nim o dziełach jego, które widział w Paryżu, i przypatrywał się nowym, które ten drżącymi rękami po kolei przed nim rozstawiał. Waza zwłaszcza srebrną, na której dookoła, *en relief*, wyobrażony jest tryumf Alexandra W. podług płaskorzeźby Thorwaldsena, obudzała podziw Davida, który on też wyrażał z zapałem, unosząc się nad wyrazem każdej twarzy i nad doskonałością wykończenia każdej figury. W końcu sam, w prędkich rysach, zrobił ołówkiem sylwetkę artysty, i podług niej obiecał zrobić medalion w Paryżu. Kierstein był w uniesieniu, i przy rozstaniu prosił jako o łaskę, abyśmy wszyscy razem raczyli być jego gośćmi wieczorem, w tak zwaném *Kassyno Literackiém*, gdzie się codzień światlejsza publiczność zgromadza. Byliśmy więc, i piszę to właśnie wróciwszy zamtąd o godzinie dziesiątej. Z wielu osób: urzędników, adwokatów, doktorów, których Kierstein przedstawiał Davidowi, a ten z kolei zapoznawał z nami, a którzy wszyscy byli dla nas niezmiernie uprzejmi i grzeczni; wspomnę tylko mianowicie o jednej, najoryginalniejszej figurze, jakiej drugiej nie ma pewno na świecie. Prawda, że już ma lat przeszło osiemdziesiąt; ależ widziałem ludzi w tym wieku, po których znać przecież było, że żyją. A tu istna chodząca mumia czy automat, co machinalnie tylko porusza się i gada. Jest to znakomity niegdyś w swoim czasie rzeźbiarz, *Ohmacht*, (a powinienby się właści-

wieć nazywać *Ohnmacht*, co znaczy po niemiecku: omdlenie, bezwładność). Pigmalion ożywił Galatę, a ten sam zda się na starość skamieniał. Oczy, twarz i cała postawa nieruchoma, jakby z marmuru; a twarz raczej jakby z papki papierowej, taka pomarszczona i zwiedła. A i umysł w nim także podobny widać do ciała. David znał go z nazwiska i niektóre jego roboty; choć najwięcej z nich i najpiękniejsze mają być w protestanckich kościołach Strasburskich, których widzieć czasu nie było. Czy go Kierstein zaprosił umyślnie, czy przypadkiem znalazł w *Kassy*, nie wiem; dość że był współbiednikiem naszym przy wieczerzy, którą Kierstein Davida fetował. David przedstawił mu się pierwszy i obsypywał go grzecznościami, które on przyjmował i odpowiadał na nie jak przez sen. Prawda, że wprost ich nawet nie rozumiał; bo czy to z oryginalności, czy z głupoty, od pół wieku mieszkając w Strasburgu, po francuzku zgoła nie umie. Kierstein więc, a gdy się ten oddalił, to Adam, służyli mu za tłumaczów w rozmowie z Davidem. Jadł wszakże i pił więcej od nas wszystkich, tak, że gdy przyszło wychodzić, pocciwy David, bojąc się o niego, zaproponował, aby go odprowadzić do domu. Wzięliśmy go więc pod ręce, David i ja, i szliśmy tak przez kilka ulic. Nie podziękował nawet, i pożegnał tak obojętnie, jakby swoich codziennych znajomych. Oddaliśmy go zaś w domu w ręce jego wnuczki, która na odgłos dzwonka, wyszła ze świecą na jego spotkanie, i dziękowała nam bardzo uprzejmie za tę naszą opiekę nad dziadkiem.

Ale mam jeszcze mówić o jednem spotkaniu, które umyślnie zostawiłem na wety, a opowiedzieć chcę zwłaszcza dla surowej panny Anieli, która mnie zwykle prześladuje tak srogo za uprzejmą zarówno grzeczność dla wszystkich dam w ogólności, i jej samej szyderczą nazwę *szarmanteryi* nadaje.

Przed wieczorem musiałem iść do bióra policyi dla odebrania paszportów, a że słońce właśnie świeciło, wziąłem kijek a nie parasol. Tymczasem gdy już wracałem, na środku jakiegoś placu napadł mnie deszcz rzęsy. Żał mi najbardziej było kapelusza. A więc, jak ptak głowę pod skrzydło, schowałem go pod połę płaszcza, sam woląc głowę raczej wystawić na słotę. Wtém jakaś dama, porządnie ubrana, niezbyt już młoda, ale wcale przystojna, drobnym kroczkiem przebiega tuż—z parasolem. Nie wiem czy moja ekonomia z kapeluszem, czy moja zafrasowana mina, czy wreszcie własna dobroć tak ją poruszyła, dość, że spójrzała na mnie z uśmiechem i mówi: „*Voulez-vous que je vous couvre jusqu' à la première porte?*”— „*Ah! Madame!*“ wykrzyknąłem z całym zapałem wdzięczności, i podawszy jej rękę a ujawszy parasol, dziękowałem najpiękniej jak mogłem, nie tylko za łaskawą opiekę, ale i za utwierdzenie mnie w wyobrazeniu, jakie miałem zawsze o uprzejmiej grzeczności i wdzięku dam francuzkich. A że przytém powiedziałem także żem Polak, orędowniczka moja oświadczyła nawzajem, że jest wielką przyjaciółką Polaków, i gdyśmy dochodzili już do pierwszej bramy, zapytała gdzie mieszkam? Wy-

mieniłem nazwisko hotelu; a że droga jęj była właśnie tamtędy, odprowadziła mię aż do progu. W drodze dowiedziałem się, że jest żoną urzędnika z merowstwa, i że się zowie *Marie Everard*.

I cóż na to panna Aniela? Ja wierzę jak w *Nemesis*, tak i w nagrodę każdego dobrego uczynku; i doznana dzisiaj uczynność przypisuję nie czemu innemu, jak że sam nieraz, mieszkając w Warszawie, umyślnie w drobny deszczyk schodziłem do Saskiego ogrodu, aby komuś podobną przysługę wyświadczyć—kapelusik ochronić od deszczu; i parę razy nawet nieznanym oddałem parasol, który mi wszakże zawsze akuratnie wnet odesłano. Odtąd zatem, przez pamięć pani Maryi Everard, czuję się w obowiązku do tém większej grzeczności ogólnej, i proszę powiedzieć pannie Anieli, że uważam to właśnie za główny pożytek moralny, który z jednodniowego we Francyi pobytu odniosłem.

Jutro o szóstęj rano, odprowadziwszy Davida na dyliżans, ruszamy sami przez Freiburg do Szaffuzy, dokąd już konie prosto ztąd najałem, z warunkiem, że przyjmie trzeciego, który się już zgłosił, a może i czwartego, jeśli się zdarzy, towarzysza podróży. Ze Szwajcaryi zatem będę znowu pisał do ciebie, a ty tymczasem list ten przepisz i przeslij Julianowi dla ciągu, abym się nie miał potrzeby powtarzać. Sam zaś przyjmij serdeczne *Adieu! et que Dieu te garde!*

XXX.

Do tegoż.

Szaffuza, 18 Września 1829 r., w nocy.

Ziemio Helwetów,
Maro poetów,
Kraju gór, jezior i serów!
Gdzie mgłą po górach,
Jak duchy w chmurach,
Mkną wspomnienia bohaterów.

Gdzie przez wąwozy,
Gemzy, *vel* kozy,
W powietrzu skaczą nad niemi;
A po dąbrowach,
Dzwonki na krowach
Karillonują na ziemi.

Gdzie *Gidy* gwałtem,
Tym lub tym kształtem,
Frymarczą wdzięki natury;
A zaś w oberży,
Wirth, co ją dzierży,
Gości obdziera ze skóry!

Temi słowy witałem Szwajcaryą, wjeżdżając, jakby w jęj bramę, pomiędzy dwie olbrzymie, a najpiękniejsze jakie dotąd widziałem, skały, tworzące pyszne wejście do malowniczej doliny *Höhlenthal*, gdzie rzeka *Dreysam*, w ciągłych kaskadach, szumiąc, iskrząc, pieniać się i skacząc jak bachantka, taktem szumu

swojego rytm tego mi dytyrambu natchnęła. A masz w nim mniej więcej i sumę dotychczasowych moich wrażeń Szwajcarskich; dodawszy zaś deszcz i Anglika, będzie w treści i cała summa wspomnień całej podróży od Strasburga aż do Szaffuzy, gdzieśmy dzisiaj wieczorem stanęli.

W Strasburgu, według programu, odprowadziwszy i wsadziwszy w dyliżans naszych towarzyszy francuzkich, gdyśmy wrócili sami siadać do powozu, ujrzelśmy stojącą już przy nim następującego kształtu figurę. Wysoka, chuda, niezgrabna; włos długi, czarny, z kapeluszem składanym na wierzchu; twarz długa, biała, papierowa; oczy duże, błękitne, szklanne; surducik opięty i krótki; reszta ubrania nankinowo-żółta (w jesieni!), a na tém wszystkiém płaszcz z błyszczącej ceraty i takiż tornister pod pachą; jedném słowem, straszidło Weneckie. A był to nasz przyszły towarzysz, *Sir John Scott*, jak już wiem teraz, i jeżeli nie dokładny exemplarz *John Bulla*, to przynajmniej najdoskonalszy *Jaś Bullek*. Tłumiąc śmiech, kłaniam się pierwszy i zaczepiam go po francuzku.—*„No French,”* była sucha odpowiedź z potrząśnięciem głowy. Probuje po niemiecku.—*„No German!”* Uciekam się do mojej *quasi*-angielszczyzny. *„Do't understand,”*—co wszystko znaczy jedno: *nie rozumiem*. Złość mię wzięła, choć nie wiem za co. A więc dalej na migi, bo interes nie cierpiał zwłoki. Pokazuję mu naprzód na palcach, że miejsca w tyle powozu są tylko dwa, a nas trzech; że Adam, jako starszy, powinien ciągle siedzieć na swoim, a my

z nim, jako młodszy, (bo jest w moim wieku), będziemy się zmieniali kolejną na przedzie. Zrozumiał i odpowiada: *„Yes, yes!”* kiwając głową. Zawiazuje więc węzełek na chustce i przyłożywszy drugi rózek, daje mu do zrozumienia, że kto wyciągnie węzełek, ten pierwszy będzie siedział na przedzie. *„Yes, yes!”* odbąknął znowu—i ujął mię tą zgodnością na wszystko. Odwracam się więc, i przełożywszy różki, podaję mu do wyciągnięcia. Chwała Bogu, wyciągnął węzełek, (bo mi się bardzo spać chciało), i nie czekając na nas, zasiadł zaraz na swoim miejscu. Nie przeszkadzało to jednak, że jak ja w kącie powozu, on też drzemał kiwając się na przedzie i nacisnąwszy kapelusz na oczy. Cisza grobowa, panująca w powozie, kontrastowała strasznie z poprzednią naszą podróżą z Francuzami, gdy w nim ciągle wrzało jak w garnku, a cicho ani sekundy nie było. Adam palił fajkę dumając. Gęsta jęj druciana nakrywka zabezpiecza sąsiadów od iskier; ale zdjął ją był właśnie, aby czubek popiołu przycisnąć. Nagle Angielczyk, jak żądem ukłóty, pacnął co siły ręką po kolanie, i w téjże chwili kolaniem prawie wyżej głowy wyrzucił. Nie umiem ci opisać komiczności tego ruchu i gestu. Patrzym, co mu się stało? A on wskazując palcem Adamowi czarną dziurę w swoim nankinie, najspokojniej i najobojętniej mruknął tylko: *„your tobacco!”* i nie czekając ekuz ni przeprosin, nasunął znów kapelusz na oczy i zaczął wozic żydów jak przedtém. Rozumiałem, że pękne ze śmiechu; a to tém bardziej, że się próżno chciałem hamować, a straszny wzrok

i miny Adama, które na mnie wyrabiał, aby mię powściągnąć, jeszcze go więcej tylko pobudzały. Gdy więc i udawanie kaszlu nie pomogło, musiałem wysiąść z powozu, ażeby nerwy jakoś uspokoić. Ale dla Sir John Scotta od téj chwili powziąłem szczerzy i serdeczny affekt. On to widać poczuł instynktem, bo jest jakby moim pupillem, tak się zdał całkiem na moję opiekę. Trzyma się mnie, jak ślepy płotu; mnie powierza pieniądze dla rozpłaty za niego, i przeziemnie się tylko komunikuje z ludźmi. A i być zresztą inaczej nie może, bo sam ani po francuzku, ani po niemiecku nie umie; ze mną zaś porozumiał się już przecież do tyła, że się możemy domyślać nawzajem, co który chce po angielsku powiedzieć. Ale bierz ztąd wyobrażenie o oryginalności Anglików. Taki człowiek, w téj porze roku, bez języka, bez ciepłego ubrania, puszcza się sam jeden, (i to chce jeszcze piechotą), na zwiedzenie takiego kraju jak Szwajcarya; powierzając się całkiem, *corps et biens*, łasce pierwszego lepszego *gida*; bo już ciż nie zawsze i nie wszędzie znajdzie takiego jak ja opiekuna. Próżne wszakże są wszelkie perswazyje moje. Z Szafuzy ma iść piechotą do Konstancyi, i póki śnieg padać nie zacznie, zamierza włożyć się krok w krok za swoim „*Guide of traveller*,” który ma z sobą w kieszeni. Mówi, że mu nie idzie o ludzi, ale tylko chce widzieć naturę. Cud Boży będzie, jeśli go ta natura nie zmrozi lub nie zasypie gdzie śniegiem, nim się dostanie do Genewy, gdzie zimę postanowił przepędzić.

Kresem pierwszego dnia naszej podróży miało być miasto *Freyburg*, czy *Fryburg*; (nie stolica kantonu tegoż nazwiska, ale niegdyś stolica Bryzgowii, a dziś już tylko cyrkułu w W. Xięstwie Badeńskim). Ale deszcz, który groził od rana, o południu puścił się jak z cewki, i zakrywając nam wszystko po drodze jak płótnem, zmusił pozostać na noc w małym miasteczku *Emmendingen*, w bardzo porządnój i wygodnój oberży. Ja zwłaszcza rad byłem z tego, bo od popasu siedząc z kolei na przedzie, najwięcej miałem do czynienia z deszczem. Adam wypawszy się przez drogę, był w najdoskonalszym humorze, który się zwłaszcza objawiał ożywioną chęcią do rysunku. Z podziwieniem postrzegłem, że w Strasburgu kupił znowu sam sobie papieru i aż trzy różne ołówki, które mu widać kupiec na żądanie jego, z obu końców potemperował. Mówi, że to jest zapas na zdejmowanie widoków Szwajcarskich; a z powodu, że miałem pisać do ciebie, tak się uparł koniecznie, aby zdjąć mój portret, dla posłania go twoim damom, że musiałem uleść nakoniec, wymówiwszy tylko z góry, że będzie rysował po mistrzowsku, jak David Kiersteina, to jest w śmiałych rysach i krótko. Zawsze przecież musiałem dobre półgodziny siedzieć jak małpa przed lustrem, śmiejąc się i dziwując na przemian, że go takie głupstwo tak bawi. Nie posyłam ci wszakże tego arcydzieła, aby nie płacić podwójnego *porto*, bo i twoja trzyletnia Stasia, jeśli zechce, może z pamięci wykonać podobne. Ale za to powiem ci co mówił o tobie, tak z powodu twojego „*Poddanego*”

w Meliteli, jak i kilku artykułów z *Wiadomości Brukowych*, o których wiedział że są twoje, jak np. „*Rozmowa z damą żołędną*” i „*Podróż asesora*,” w szuhalei ze dzwonkiem. Wszędzie widzi obrazowość w opisach, żywość i naturalność w dyalogu, a nade wszystko dowcip i humor prawdziwie polski. Ztąd wnosi, że najwłaściwszym dla ciebie byłby rodzaj powieściowy, i zgadza się w zupełności na moje zdanie, które ci po tylekroć powtarzałem napróżno, abyś dał pokój tym twoim konceptowo-filozoficznym rozprawom, na wzór Weissa, w których, w najlepszym razie, zostaniesz tylko naśladowcą, a malował, a choćby tylko szkicował, własne raczej obrazki z natury. Kiedy mu zaś powiedziałem o Kaczanowskim, że z jego to opowiadań wzięłeś pierwszą myśl i parę scen *Podanego*, i jak słuchając kiedyś tych opowiadań, oba albo kładliśmy się od śmiechu, albo płakaliśmy jak bobry; on radzi ci bardzo exploatować i nadal toż źródło, a nade wszystko *wsluchiwać się* pilnie w sam sposób i ton opowiadania. Bo w ustach to jedynie narratorów naszych utrzymują się dotąd u nas tradycyjnie te rodzime, odrębne cechy naszego humoru i naszej fantazyi, które tak wybitnie od razu zajaśniały były w Reju z Nagłowic, nim je wnet potem uczony klassycyzm, a później wpływ francuzczyzny, całkiem prawie w piśmiennictwie naszym zatarły. To też opowiadacze u nas byli tém, czém gdzieindziej Minstrele; a nawet mieli może tę wyższość nad nimi, że nie myśląc ani o kompozycyi, ani o sztuce, tém wierniej odbijali historyczną prawdę wypadków,

a wpływ swój winni byli jedynie instynktowemu trafianiu do serc i umysłów słuchaczy—na czém właściwie i istotnie cały talent powieściopisarza zależy. Pieśni ludowe nie dla czego innego uważane są powszechnie za najprawdziwsze źródło poezyi narodowej, jak dla tego, że z nich te tylko pozostały w pamięci ludu, które rzeczywiście do serca i umysłu jego trafiły. Gdybyśmy mieli spisane gdziekolwiek opowiadania sławniejszych narratorów naszych, na których niegdyś w żadnej okolicy nie brakło, bo bez nich żadna większa szlachecka biesiada, jak bez wina obejść się nie mogła: byłby to skarb nieoceniony dla przyszłych kiedyś powieściopisarzy, a nawet i dramaturgów naszych. Sam tok i formę tych opowiadań mogłyby im nieraz posłużyć za pewniejszą skazówkę do odgadnienia i odwzorowania ducha przeszłości, niż własne zaciekania się nad nim; tak, jak z listu niekiedy, łatwiej niż z portretu, można zgadnąć charakter osoby. Przedtém brak podobnych notat piśmiennych zastępowały, przynajmniej choć w części, powtarzania ustne, z okolicy do okolicy i z pokolenia do pokolenia przechodzące; ale od czasu jak francuzczyzna stała się modą w towarzystwach wyższych, echa te w nich powoli zamilkły; późniejsi zaś narratorowie, odepchnięci na szary koniec, i zmuszeni stosować się tam do niższego gatunku słuchaczy, sami stopniowo na wartości stracili. A jest to także jedna z tych wielkich krzywd, które przeważający wpływ obcej mowy przyniósł, jak społeczeństwu, tak i literaturze naszej. Ale człowiek

z talentem, mający sposobność a umiejący korzystać choć z tych dogasających szczątków starych gawędziarzy, położyłby niewątpliwą zasługę, a może i dał początek nowemu rodzajowi czy to poezji, czy powieści. Adam spodziewał się tego zwłaszcza po Henryku Rzewuskim, z którym razem, jak wiiesz zapewne, podróżował po Krymie, a który, zdaniem jego, jest właśnie, choć już może ostatnim potomkiem, ale zawsze najdoskonalszym reprezentantem tych świetnych narratorów naszych, których protoplastą był Rej z Nagłowic, a których talent Rzewuski tradycyjnie odziedziczył po przodkach. Ale cóż, kiedy Rzewuski, skoro weźmie pióro do ręki, wpada zaraz w styl literacki, xiażkowy. Jak więc Adam radzi ci dzisiaj *wsluchiwać się* w Kaczanowskiego, tak kiedyś radził jemu, aby się starał *podsluchiwać* sam siebie i chwycić siebie *na gorącym słowie*, iżby je tak napisał jak mówi. Rzewuski obiecał próbować, ale skutku prób dotąd nie widać ¹⁾. Ja zaś w tej chwili doświadczam zgryzoty, że kiedyś, przez proste lenistwo, nie

¹⁾ Dla lubowników późniejszych dzieł ś. p. Ignacego Chodźki, których jest pewno tylu, co ich czytelników, nie obojętną może będzie wiadomość, że właśnie list niniejszy, to jest zawarta w nim rada Mickiewicza, którą mu sam potem własnoręcznie w jednym z listów moich z Rzymu powtórzył, stała się dlań istotnie punktem zwrotnym, od którego pisarski jegotalent przybrał całkiem nowy kierunek, i postępując w nim coraz dalej, wysnuł nakoniec z siebie cały szereg „*Obrazów i Podróż Litewskich*.”—Z drugiej zaś strony, owocem również rad Mickiewicza, udzielonych przezeń Rzewuskiemu, były na-

uczyniłem czegoś podobnego, jak chciałem, i co mi się nawijało samo.

Za pierwszą moją bytnością w Warszawie, w końcu 1825 i na początku 1826 roku, kiedy, jak może pamiętasz, mieszkalem jako gość u p. Maurycego Mochnackiego, wraz z przyjacielem jego, Michałem Podczaszyńskim, którego przed dwoma wprzód laty miałem sposobność poznać i ugaszczać w Wilnie; na świetnym weselu siostry naszego gospodarza, w domu jego rodziców, poznałem niejakiego p. Sagatyńskiego, który odtąd stał się też dla mnie ideałem perfekcji narratorskiej. Przez cały ciąg długiej wieczery, u której z nim, przy osobnym stoliku, ja też w gromadzie młodszych literatów siedziałem: on jeden mówił bez przerwy od początku do końca, i on tylko, można powiedzieć, jak Rej w „*Janie Tęczyńskim*” Ursyna, jadł i pił wszystko za wszystkich; bo wszyscy inni, zajęci jego słuchaniem, albo zapominali o jedzeniu, albo jeść dla śmiechu nie mogli; i to nie tylko my młodszy, ale sam nawet cichy, spokojny Brodziński,

przód „*Pamiętki Soplicy*,” a kto wie, czy i nie dalsze po nich dzieła ich autora.

— Kaczanowski, mąż rodzonej ciotki po matce Ignacego Chodźki, był za młodu konfederatem Barskim; następnie zaś adwokatem i plenipotentem wielu możnych panów, w interesach których dużo podróżował po kraju. Ostatnie lata życia spędził w majątku dziedzicznym żony, *Zabłoczyźnie*, gdzie właśnie jest ów *Domek Dziadka*, od którego opisu autor *Obrazów Litewskich* szereg ich rozpoczął. Kaczanowski umarł tamże w r. 1831, licząc około 90 lat wieku. (P. A.)

który właśnie był moim sąsiadem. A cały przedmiot opowiadania składały dwie proste historye, z którychby zwyczajny narrator nie mógł wątku wysnuć na kwadrans. Pierwsza była o xiędzu Plebanie, który dowiedziawszy się o przybyciu na wieś możnego kollatora z Warszawy, wybiera się doń po mszy rannej, dla powitania go i przełożenia mu różnych prośb i interesów. Ale że magnat nie wstaje tak rano; xiądz Pleban więc tymczasem wstępuje naprzód do ekonomy, potem do prowentowego pisarza, i nakoniec do plenipotenty, aby powziąć języka o panu; a wszędzie tak go przyjmują i ugaszczą uprzejmie, że gdy się pan nakoniec obudził, xiądz Pleban sam już potrzebuje spoczynku, i odwożą go z niczém do plebanii; gdzie scena ze starą siostrą, zarządzającą jego domem, i która mu przed wyjazdem spisała sama długi rejestr poleceń do kollatora, stanowiła niemniej komiczny epilog, jak nim był cały ten opowiadany dramat. Bohaterką drugiej powieści, była niejaka pani hrabina Dulska we Lwowie, osiemdziesięcioletnia staruszka, która straciwszy wzrok skutkiem wieku, a mając pod swoją opieką trzy młode i piękne wnuczki, wstydzi się i boi się wydać ze swoim kalectwem, aby w oczach swoich pupilat Argusowskiej powagi nie stracić. Gdy zaś liczni ich wielbiciele napełniają codziennie salon babuni; ona chcąc dowieść czujności, a wzrok domysłami zastąpić, przestrzega i upomina wszystkich na prawo i lewo, ale to zawsze tak wspak i w taki sposób, że wszyscy, ulegając słabości staruszki, dziwią się niby nad jej przezornością, a każdy robi co mu się

podoba. Sama błahość tych treści jest już najlepszym dowodem, jaki musiał być talent opowiadania, kiedy ono taki efekt sprawiało. To też chciałem je spisać za świeżej pamięci, tém bardziej, że sam narrator każdemu na to pozwalał, wymawiając się od nalegań, ażeby sam to uczynił. Ale dobra ta intencja, jak tysiące innych, niestety, poszła tylko na bruk piekielny, gwoili zbijania Warszawskiego bruku; a ja zamiast dobrego może artykułu, jaki miałbym do *Meliteli*, mam dziś tylko, jak powiadam, zgryzotę.

Bierz więc przestrożę ze mnie; nie leń się, a słuchaj rady Adama. Jeśli zaś list ten cię nudzi, (bo widzę że strasznie już długi), to także weź za правило w pisaniu, nigdy tak nie odbiegać od głównego przedmiotu, jak ja w nim od podróży Szwajcarskiej.

Wprawdzie o tej podróży nie ma co wiele do mówienia. Deszcz i mgła zasłaniały płaszczyzny. O podrostkach-górach niemieckich, mówić się nawet nie chce, mając w perspektywie olbrzymów. Z miast, jeden Fryburg był tylko na drodze. Tu wprawdzie, gdybym wprzód nie był w Kolonii i w Strasburgu, mógłbym kolana zginać z uwielbienia, a ręce wznosić z podziwu, przed katedrą, która właśnie z dwiema tamtemi stanowi sławną *trylogię* arcydzieł architektury gocko-niemieckiej, a sama ze swoją wieżą, są jak młodsze rodzone siostry katedry i wieży Strasburskiej. Mówią nawet, że plan jednych i drugich wyszedł z pod ręki tegoż architekta, choć tu daleko później wykonany został.

Księgarnia: U.

M

Dla kompanii przyjaciela mego Angielczyka, dra-
pałem się i tu na wieżę (356 stóp). Adam miał
rozum i nie poszedł; bo za mgłą nic widać nie było.
Przed wyjazdem zaś ztamtąd z popasu, spotkała mię
dość przykra katastrofa. Jużeśmy mieli siadać do po-
wozu, kiedy postrzegłem, że nie mam nic drobnój
monety. Pobiegłem więc do pierwszego sklepiu,
żeby luidora rozmiąć; a że miałem wrócić natych-
miast, nie powiedziałem nikomu gdzie idę. Tym-
czasem wexlowanie trwało minut kilka, a towarzysze
i furman byli pewni, że poszedłem *incognito* naprzód,
tém bardziej, że deszcz właśnie był ustał. Wracam,
patrzę, powozu nie ma przed oberżą! Domyśliłem się
co się święci, a więc nogi za pas i w pogoń! Ale nie
próżne przysłowie: „gdzie krótko, tam się rwie;” choć
znowu z drugiej strony, ulubiona twoja dewiza: *via
recta brevissima* (prosta droga najkrótsza), okazała
się tu najzupełniej fałszywą. Biegnać wprost jak
baran przed siebie, nie pytałem nikogo o drogę do
Szaffuzy, która się zakrzywiła na prawo, i dobiegłem
tak aż do rogatki, gdzie mi nakoniec błąd mój wy-
jaśniono. Dziwnie niemila palpacya serca towarzy-
szyła przyspieszonym wstecz krokom, przez co chcia-
łem czas stracony nagrodzić. Jużciż wiedziałem, że
mnie nie zostawia; ale przewidziałem dobrze co bę-
dzie. Na pół drogi spotkałem Adama, który już
wracał szukać mię w oberży; ale był rychtyk w hu-
morze pedagoga, kiedy łapie malca urwisa, który mu od
lekcyi uciekł. Zniósłem zatém cierpliwie Mentorowską
burę, i dopiero gdy pocziwy mój *Skotek* witał mię z nie-

udaną radością, (z czego wniosłem, że musiał być nie-
spokojny o mnie), zrobiłem uwagę Adamowi: że nowi
przyjaciele kochają widać jak matka, a starzy już tylko
jak żona; bo gdy syn nie wraca na porę, matka
myśli, że kark gdzie skrzył, a żona, że mąż hula
lub się bałamuci. Zaczął śmiać się, a gładząc mię
i całując dodał: „No, widzisz, że i ja jestem jak
matka: co choć połaje, to i pożałuje.” I zgoda.

Z dalszego ciągu podróży masz tu jeszcze nastę-
pujące osobliwości. Widziałem pierwszy raz w życiu
cztery dzikie sarny, pasące się spokojnie nieopodal
drogi i spoglądające na nas ciekawie i lękliwie, jak
młode dziewczątka we wsi na przejeżdżających pani-
czów.—Spotkaliśmy dziewięć bab z ogromnemi drewnianemi koszami na głowach, idących jedna za drugą
brzegiem błotnistej drogi i odmawiających głośno róż-
żaniec. I gdybyż nie to, pozór ich, szereg, i nawet
sama mistyczna liczba *trzy razy trzy*, mogłyby nam
łatwo przypomnieć spotkanie się Makbeta z czarowni-
cami, tak jak żebraczy majestat króla Leara przypomi-
nał się nam w każdej prawie wsi, przez tłum bosych, ob-
dartych i murzanych dzieci, wybiegających z chat i go-
niących za powozem z wrzaskiem o jałmużnę. Boć to
przecie cząstki i szczepy panującego tu *króla ludu*; to
obywatele demokratycznej Rzeczypospolitej, owego
ideałui Edenu przyszłości, w oczach pana *Wiktora Pawie*
i podobnych do niego filantropów dzisiejszych. W naj-
uboższej u nas wioszczynie, nigdzie tego, Bogu dzięki,
nie widać. Nie mówię tu o bosych nóżkach i murza-
nych twarzyczkach, ale tylko o żebraniu dzieci na-

szych kmiotków.—A jak to we wszystkiem „głośny bęben za górą!” Nie dziw, że jak tu ludzie dorosną, umieją tak obdzierać cudzoziemców. W *Unterderhollensteig*, na pópasie, za nędzny obiad, z kwaśnem winem i przezroczystą kawą (*Blum-Caffè*), musieliśmy zapłacić po pięć franków od osoby, a za nocleg w *Lenzkerche*, po siedem. A i jeszcze jedna przyjemność. W kilku miejscach, gdzie trzeba było windować się pod górę, doprzęgano nam po parze wołów, za co także my musieliśmy płacić osobno, i prócz tego iść jeszcze po błocie piechotą. Za toż widzieliśmy dowcipny sposób spuszczenia szczapów drzewa z wierzchu gór wysokich, który się nazywa *Holzriesen*. Od wierzchołka aż do stóp góry urządzona jest jakby szeroka rynna, wyłożona deskami, z zakrzywieniem w górę u spodu, naksztalt nosa chińskiego trzewika. Za pomocą tego zakrzywienia, szczapy puszczane z góry, odbijając się o nie, wysokim łukiem przeskakują przez drogę, którądyśmy właśnie jechali, i padają w stos po drugiej stronie, zkad już je furmankami rozwożą. Że jednak takie *salto*, mogłoby być bardzo *mortale* dla przejeżdżających, jeśliby która szczapa niedość zgrabnie skoczyła przez drogę; furman nasz, przez ostrożność, zatrzymał naprzód konie przez chwilę, a potem zaciął je nagle, aby wskok po pod tym łukiem Damoklesa przebiegły.

Widzieliśmy także jeszcze mnóstwo jezior, to przełyskujących przeze mgłę, jak oczy przez woale; to kryjących się śród lasu, jak oczy pod kapeluszem. Ale już ten element z nieba tak nam zalał za kołnierz

i za skórę, że wstąpiło było patrzeć nań na ziemi, i sam szum nawet sławnej katarakty, który dziś nas dolaatywał o zmroku, gdyśmy już do Szaffuzy wjeżdżali, obudzał tylko tęsknotę do trzasku kominkowego ognia; tak jak znów blask jego w tej chwili przenosi mię do twojego kominka w Dziewiętni, przy którym tyle razy, jak *Dafniskowie* baranków na paszy, piekliśmy sami sobie kartofle, marząc i gwarząc o niebieskich migdałach.

A może i w tej godzinie,
Przy tymże samym kominie,
Siedzicie sobie zebrani:
Ty, jak Sultan; twoja pani,
W papilotach, jak Dyanna
W srebrnych promieniach miesiąca;
Stasia, jak gwiazdka zaranna,
Z kąta w kąt miga bez końca.
Panna Aniela, wpół śpiąca,
Jak Sybilla zadumana,
Ciagnie kabałę—snać pannie
Zofii—co tak starannie
Śledzi sama, co wypadnie.

Lecz będzie mądry, kto zgodnie,
Co zamyśliła *in petto*?..
I mniejsza—czy to, czy nie to!
Dość, że jak skoro wypada,
Że o niej ktoś zapomina—
To fałsz! potwarz!—biesz to gada—
Więc go w ogień do komina!

Bądź zdrow!

XXXI.

Do Juliana Korsaka.

Szafluza, 19 Września 1829 r., rano.

List z Szafluzy! A więc jak ta
Sławna Reńska katarakta?
Jak wre, szumi, grzmi i błyska?
Jak się w chmury mgły rozpryska?
Jakie tęcze, jak obłęcze?...
O tém wszystkiém myślisz, ręczę,
Obaczywszy listu datę.
A tymczasem, ja ci na te
Zapytania czy odpowiem?
Nie wiem.—Jak to?—Tak! albowiem,
Zgadnąć chyba mógłby wieszcz,
Czy nam da ją widzieć deszcz?

który sam jak katarakta leje od wczoraj z upustów niebieskich, nosa nam wytknąć z oberży nie dając. I nie miałbym czém nawet rozerwać się w nudzie, to jest pisać o czém w téj chwili, gdyby nie przezorny mój rozum, który mi wczoraj doradził, zostawić na początek listu do ciebie, co mi się zdało być profanacją umieszczać gdzieś przy końcu w liście do Ignacego, jakby tego chronologiczny porządek jego wymagał. Wczoraj bowiem około południa, wyjechawszy z przystanku w *Bonndorf*, i wgramoliwszy się na jakąś górę, (podczas czego wszyscyśmy drzemali), budzi mnie nagle pukanie tuż nad uchem do okienka

na przodzie powozu. Złakłem się, i wychylając się za *fordekel*, pytam z niespokojnością i z gniewem: „*Was denn?*“—„*Die Berge!*“—odpowiada tryumfującym tonem nasz furman, i biczowisko, którem pukał do okna, jak wskazówkę wyciąga przed siebie. Zrozumiałem—i ogień mię przebiegł. Wsiadamy zatem co prędzej — ja z zamrużonemi oczyma; i dopiero skupiwszy się w duchu jak mogłem, i przeżegnawszy się naprzód, otwieram je, i widzę—ALPY!!!

Lecz że je nawet ze mną widząc osobiście,
„*Co czulem, inni uczuć chciałoby daremnie!*“
Więc choćby ci to może było i przyjemnie,
Nie mam wcale ochoty pisać o tém w liście.

Ale co to jest jednak za różnica między sławą a sławą!... Wszak i góry *Taunus*, i *Odenwald*, i *Schwarzwald*; wszak i *Odra*, *Elba*, i *Sala*, mają też swoje sławę, nie tylko w geografii, ale nawet i w poezyi, i w historii; a jak to przecież czuje się inaczej, kiedy ci zabrzmi w uszach: *Ren! Alpy! Rzym!*—Ztąd możnaby wyprowadzić synonim. *Sława*, to tylko jeszcze rozgłos, który chwilowo i intryga dać może, ale który każdy sam podług siebie przesądza i sprawdza. *Chwała*, to już cześć, którą sam przedmiot zawse i w każdym obudza.

Ale cóż ci mam powiedzieć o Alpach? Za pierwszym rzutem oka, wyglądają zdaleka jak massy białych obłoków, oświecone słońcem—choć słońca właśnie nie było.—Jest to jakby blask własnej wielkości, choć jój chwała jeszcze nie wieńczy. W tém

było, widać, źródło uroku Adama, który już wywierał na ludzi, nim się stał sławnym, drukowanym poetą.—Wpatrując się dłużej — nie w niego, ale w Alpy—zdaje ci się, że ich wierchołki są na równym poziomie z tobą;—rychtyk jak głupim ludziom wydają się wielcy. Pasma gór przepasuje cały prawie horyzont; ma kształt jakby jakiegoś nadziemskiego miasta, za którym znowu niebo wydaje się jak morze. Nie wiem, czy to złudzenie oka, czy wyobraźni, ale i blask tego nieba i błękit zdał mi się być daleko piękniejszym; bo i nad nami wtedy jeszcze był błękit, nim go chmury po południu zaćmiły. Nie darmo wyraz „za górami,” gra taką rolę w przysłowkach. Bęben i sława głośniejsze za niemi; nadzieja, jak to niebo, piękniejsza; i chociaż „*qui scit, co za górą?*” jak zwykł mawiać Chodźko:

„Myśl za szczęściem, jak sokół, goni za górami,
Choć śmierć z kosą, jak hajduk, stoi za plecami.“

I my też nie myśleliśmy o niej w tej chwili, marząc owszem o nowym życiu, jakim się do nas za temi górami piękna Italia uśmiechnie. I wśród to słodkich tych marzeń nadszedł właśnie ów deszcz obrzydliwy, który nam i ten rąbek Italskiego nieba, i te śnieżne szczyty Alpejskie, i nas samych nakoniec w powozie, jak w grobie, frankami z obu stron zasłonił.

Nie dziw się więc, że tuż po Alpach, chcę ci mówić o bańkach mydlanych; i to nie w dalszym ciągu symbolizowania ludzkich nadziei, ale wprost jako o fackie,

który nam dzisiaj tu z biedy cały pierwszy ranek zapełnił. Adam golił się, a ja się nudziłem. A że mydło zanadto rozrzedził, a tuż na stole było skrzydło gęsie, mające służyć do zmiatania kurzu; przyszła mi myśl szczęśliwa wyrwać z niego pióreczko, i rozczepiwszy jak słomkę, przypomnieć artyzm studencki. Próba udała się prześlicznie; aż wreszcie jedna z promienistych baniek usiadła na włosach Adama, a ja, nim pękła, zawołałem z tryumfem: „Adal w aureoli sławy!” Widział to, i zaśmiał się w lusterku; a wkrótce skończywszy golenie, odebrał mi moje piórko, i sam zaczął globy wydymać. Zrobiłem więc sobie drugie, rozprowadziłem jeszcze lepiej mydło, i tak godzinę przeszło ubawiliśmy się na szczerze; ja przytém parafrazując różnie i stosując do baniek, co Alf jego mówi o kwiatach:

„Upojony ich wonią, zdało się że dziecińiałem,
„Że w ogrodzie rodziców, z braćmi igrałem małymi.“

Adam mówił zkąd mu przyszły te wiersze. Raz będąc w Wędziagole ¹⁾, niedaleko Kowna, poczuł w ogrodzie jakiś zapach, którego sam rozeznac nie mógł, (a był to zapach krokosu), ale który tak mu przypomniął rodzicielski ogródek w Nowogródku, że wrażenie, którego doznał, dotąd jeszcze żywo pamięta. A jak Halban „pomagając pamięci” swojego pupila

¹⁾ Mała miejscina między rzekami Wilią i Niewiażą, na południe od Kiejdan, pamiętna bitwą Litwinów z vice-komturem krzyżackim Sulzbachem.

„piękniejszymi słowami, niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:” —tak on sam, w skutek tych moich cytata, przeszedł w opowiadanie różnych dawnych wspomnień; i ta dziecinna pustota z bańkami, skończyła się bardzo poważnie i rzewnie gawędką o miłych szkolnych czasach i wspólnych przyjaciółkach-kolegach.

Teraz on poszedł do sali jadalnej pić kawę i czytać gazety; a ja rad, że już list ten zacząłem, kontynuować myślę go dalej, jak gdzie i kiedy zarwę kawał czasu. „*Dimidium habet facti, qui coepit.*” — Na *hodie, vale!*

Zurich, 20 Września, rano.

Kataraktę widzieliśmy nareście; a choć jej widok bez słońca, jest to coś naksztalt tego jak bal bez żyrandola, zawsze jednak co prawdziwie piękne, to piękne, choć mu uroków przydanych ubędzie. Nasamprzód tedy masz wiedzieć, że tu Ren tak jest zielony, jakby minę szmaragdów roztopił, a płynąc dotąd gładko jak zwierciadło, tu nagle całą szerokością swoją, (300 stóp), uderza się, łamie, druzgoce, o dwie jakby skruszone piramidy skał, wpoprzek łoża jego sterzące; a rozdzielony przez nie na trzy części, pieniąc się, szumiąc i rycząc koło nich, z łoskotem i traskiem piorunów, leci w otchłań—zda się bezdenną; bo wznoszące się nad nią chmury mgły i pary, z rozprysniętych kropel powstałe, głąb jej zakrywają przed okiem, a kłębiąc się same ku niebu, tworzą nad

nią jakby tajemniczą kotarę, która ten ziemski chaos zniszczenia i zgrozy przed obliczem jego zasłania, ale którą słońce, gdy świeci, dzierzga, jak mówią, w pasma tęcz nieustannych, różnobarwnych i powiewnych jak wstęgi.

Ufl wezbrałem jak Ren na ten opis; a jeśli „przed oczyma twój duszy” widzisz tylko mgłę, chmury i zamęt, a w uszach słyszysz tylko *vox, vox, practerea-que nihil*—to masz tylko dowód, niestety, że mi tak brakuje talentu, ażeby to lepiej opisać, jak wczoraj brakowało nam słońca, aby ten cudny widok natury w całej jego wspaniałości podziwiać.

Za toż obejrzelismy go zewsząd, z kąd można; naprzód z dołu—przepływając łódką wszecz rzeki poniżej, a potem stojąc na drewnianej galeryi, urządzonej tuż pod samą kataraktą, tak, że spojrzawszy do góry, cały zda się ten potop leci i wali się na ciebie; następnie zaś z góry—z zamku *Laufen*, tuż nad samą kataraktą, na skale, która drży zda się od ciągłego huku, i może w rzeczy samej runie kiedyś w przepaść. Nakoniec całe to żywe cudo oglądaliśmy też jeszcze jak gdyby w żywym konterfekcie, to jest w *kamera-obskurze*, urządzonej na brzegu, tak, że w niej wszystkie najdrobniejsze szczegóły, i każdy ruch mgły i wody, najdoskonalej zblizka widzieć można. W całym zaś ciągu tych obserwacyi, byliśmy, rzeczby można, wzięci *we dwie wody*: to jest, deszcz moczył nas z góry, a bryzgi wodospadu od dołu; tak, że wróciwszy do hotelu, trzeba się było całkiem przed kominkiem przesuszać.

O Szafluzie nie ma co mówić. Stare i małe miasteczko, 7,000 tylko ma mieszkańców. Katedra w stylu Bizantyńskim i kościół Ś-go Jana ogromny. Dzwon, któryśmy po razy kilka słyszeli; jest ten sam, którego odlew Szyller celebrował w „*Die Glocke*.” — Czy będzie co więcej do powiedzenia o Zurichu, nie wiem; bo przyjechaliśmy tu wczoraj w deszcz i w nocy, a dziś jeszcze nie ruszyłem się za próg, choć już Adam poszedł na kawę. Podróż też przez *Eglisau* i *Winterthur* (Ob. mapkę), nie odznaczała się niczem; prócz chyba że ją odbyliśmy w nowym towarzystwie dwóch ziomków, bardzo dorzecznym i gładkim młodzieńców, których spotkaliśmy w Szafluzie i razem oglądaliśmy wodospad. Są to dwaj bracia: Stanisław i Roman Radolińscy. Sir John Scott, (którego wierny obraz „*w całej postaci wedle przyrodzenia*,” znajdziesz w liście do Ignacego), niezłomny w przedsięwzięciu, wziął przewodnika z Szafluzy, i poszedł do Konstancyi piechotą. Pierwszy to Anglik, którego polubiłem. A i on widać przywykł jakoś do mnie. Kiedy się żegnał i ścisnął mi rękę, czułem zda się wyraźnie że chce mię pocałować; ale to widać u nich nie obyczaj. Obaczmy, czy się we Włoszech tak istotnie i od razu całują, jak Romeo z Juliettą w Szekspirze. *A propos*. Od Tespisa i Eschyleśa nie było pewno i nie ma ponętniejszej dla aktora roli nad Romea, tak jak znów dla aktorki nie ma roli nad *Dziwicię Orleańską* Szyllera. Czy przypominasz w niej Izabellę Górską w Wilnie, albo pannę Żuczkowską w Warszawie? Pamięć to o nich podnosi tak w oczach mo-

ich rolę Romea: przypuszczając, ma się rozumieć, że Julietta byłaby do nich podobną. W Medyolanie teatr ma być doskonały; ale jak my i kiedy dostaniemy się za Alpy? z pewnością przewidzieć nie mogę. Dyliżans ztąd do *Chur* i ztamtąd dalej przez *Splugen*, odszedł wczoraj, godziną przed naszym przyjazdem, a następny wychodzi dopiero we Środę. Że zaś dziś jest właśnie Niedziela, ubieram się wnet i idę szukać choćby jakiej kapliczki, gdzieby się przecież w tej stolicy Zwingla można było po naszymu pomodlić, i nie tylko niemieckiego kazania i psalmów, ale i mszy ś. wysłuchać. A więc do kontynuacji wieczorem!

Adam wraca w tej chwili z wieścią, że się dowiedział o okazji do *Chur*, która jutro rano odchodzi. A chociaż ja to właśnie mam iść znaleźć tego furmana i zrobić z nim umowę, on tak się tém przechwala i pyszni, jakby Bóg wie jakiej rzeczy dokazał.

Zurich, 20 Września, wieczorem.

Cóż ci powiem o Zurichu,
Który tu załączam w sztychu?
Dachy spiczaste u strychu,
Sterczą jak kaptur na mnichu.
Stolica fabryk drelichu,
Bławatów, haftów i szychu.
Mimo to, zbytku, przepychu,
Karet tu nawet ni słyhu.
Cisza jak w bramach Jerychu,
Nim je dźwięk trąb, bez witychu,
Otwarł zbudzonemu lichu.
Jezioro tylko pocichu

Szumi, jak szampan w kielichu.—

No! czyż *ja* nie wart uśmiechu?

A będziesz mądry, kiedy w całym Lindem czy Trotzu znajdziesz choć jeden rym więcej na *ichu*. A i ja też po za jego obrębem mało mam co już dodać do rejestru specyalności Zurichu;—prócz chyba że ma aż dwie katedry: *Gros-Münster* i *Frau-Münster*, i dwa też inne duże i piękne kościoły; wszystkie ex-katolickie. Obok nich katolicki dzisiejszy, coś jakby na katakumbę wygląda. Al bo też Zurich, to jeden z głównych kraterów protestantyzmu, zkaąd on potopem lawy rozpiął się po świecie, i dotąd tu w nim, jak mówią, tleje żywiej, niżli gdzie indziej. Jakiś młokos, zapewne student tutejszego uniwersytetu, którego na ulicy spotkałem, na grzeczne zapytanie moje: „Gdzie tu jest kościół katolicki?” spójrzył na mnie z takim uśmiechem, i odpowiedział tak pogardliwie: „*Ich weiss nicht*,“ iż pewny jestem, że mię wziął za głupca, tak jak i ja jego nawzajem. I do- brze mi tak! że odstąpiłem od zasadniczego mego prawidła: aby, o ile można, zawsze i we wszystkiem adresować się naprzód do płci pięknej. Jakoż idąca tuż za nim jakaś pani z córką, poinformowała mię najuprzejmiej, a jój młodziutka i świeżutka córeczka, uosobiła mi w oczach typ sielankowych bohaterów Gessnera, który tu żył i umarł, a którego prześliczny pomnik jest ozdobą głównego tu placu.

Żałuję bardzo, że nie miałem dość czasu pójść choć na chwilę na grób Lavatera, dla którego oddawna mam wielką cześć i uwielbienie: nie tylko jako dla

twórcy nowój teorii, uczącej z twarzy poznawać duszę ludzką; ale jako dla prawdziwie chrześcijańskiego człowieka i pisarza, całém swém życiem i wszystkimi pismami swojemi uczącego właśnie tę duszę, służyć Bogu *w Duchu i w Prawdzie*. Nie mówię tu o dogmatach, ale o żywej wierze i o czynnej miłości Boga i bliźniego, których on był mistrzem i wzorem, a nawet, rzeczy można, męczennikiem. Bo nie dość że w owych czasach, kiedy niewiara tylko dawała tytuł filozofa, a demagogia popularność: on stojąc jawnie i śmiało przy Krzyżu, był całe życie przedmiotem obojętności albo lekceważenia mędrków, a potwarzy i nienawiści demagogów i burszów; ale nadto jest rzeczą pewną, że żołnierz, republikanin francuzki, który go zastrzelił, był to młody ochotnik z Alzacyi, i dopuścił się tego morderstwa jedynie przez nienawiść religijnych jego idei, które albo znał sam z dzieł jego, albo o nich wiedział ze słychu. Lavater nawet (jak twierdzi przyjaciel jego Jung-Stilling), wiedział, kto był jego zabójcą; ale w ciągu całorocznego powolnego konania, w skutek zadanej sobie przezeń rany, nie chciał wydać jego imienia. Jung-Stilling powiada dalej: że w kilkanaście lat potem, ujrano dnia jednego na grobie Lavatera jakiegoś nieznanego człowieka, modlącego się i płaczącego rozpacznie, w którego rysach twarzy, zgrzybiałej przedwcześnie cierpieniem, świadkowie niegdyś morderstwa dopatrzyli podobieństwa z zabójcą. Grób ten jest na cmentarzu tutejszym, ale ja dla braku czasu

w myśli tylko nad nim zdaleka *wieczne odpocznienie* zmówiłem.

Po nabożeństwie, obejrzeniu miasta, obiedzie i zawartej umowie z furmanem, który jutro o szóstej ma zajechać po nas—nająłem osobną łódkę, i puściliśmy się na jezioro.

Tu, choćbym wszystkie rymy na *aty* i *ości*
Wyczerpał na cześć jego chwały i piękności,
Jeszczebym w nich nie zmieścił, co bym mógł powiedzieć.
A więc staraj się o tём zkądinąd dowiedzieć.
Bo ja mam czas zaledwo napomknąć pokrótce,
Cośmy widzieli, i co robili w tój łódce.

Naprzód tedy płynęliśmy całą godzinę tam i całą godzinę nazad, i doczekaliśmy szczęśliwie chwili, że zachodzące już słońce rozdarło wreszcie całodzienną zasłonę chmur, i zaświeciwszy samo pełnym blaskiem — oblało jakby ogniem śnieżyste wierzchołki Alp, zamykających od południa horyzont, a otaczającą nas zewsząd zieloność pocieniowało w tęczowe od-cienia. Z tego to bowiem jeziora Ren bierze ów swój kolor zielony, którym się pod Szaffuzą odznacza, a bierze za pośrednictwem rzeki *Limath*, która wypłynąwszy z jeziora, miasto Zurich dzieli na dwoje, i nakoniec wpada do Renu. Zkąd ta zieleń wody w jeziorze—nie wiem; ale tak się być zdaje zaprawna tą farbą, że się dziwisz, zaczerpnąwszy do szklanki, że jest czystą jak kryształ. Czyżby więc z tego względu, to republikańskie jezioro, nie mogło ująć za symbol, a przynajmniej za poetyckie przyrównanie do publicznych zgromadzeń ludowych, gdzie pojedyncze

zdania są często, jak ta woda w szklance, bezbarwne, a przecież zdanie zbiorowe, jak ta woda w jeziorze, przybiera jakąś barwę ogólną, której przyczyny nawet odgadnąć nie można.

Samo jezioro jest tu dosyć wąskie i podobniejsze raczej do szerokiej rzeki. Na zachód, góry stoją tuż po nad wodą; na wschód, widać je tylko w oddale-niu, a brzeg cały zaścięła równina. Ale i równiny i wzgórza okryte są zarówno zielonością winnic i sadów, wśród których mnóstwo wiosek i domków bieleje. Owoż te winnice i sady, przy owym zabłyску słońca, odbiły nagle razem obok siebie jakby barwę wiosny i lata; a w obec Alp, choć dalekich, przypomniaty mi ów precudny obraz Libanu z Moora:

Co z wierzchu śnieżną obleczony szatą,
Sędziwém czołem między gwiazdy świeci,
A u stóp Wiosna i zielone Lato
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

Cytacya ta wywołała inne. Bo poezya w xiążce, jest to jak perfuma we flaszeczce; w pamięci, jak perfuma nalana na chustkę, którą masz sam dla siebie w kieszeni; ale w deklamacyi dopiero, rozplywa się w powietrzu jak woń z kadzielnicy, i sympatycznie oddziaływa na drugich. Prawda, że i wonność zbyt-czna, jak mówią, może czasem odurzyć albo dział-łać jak ciemierzycza; ale że tu zbytku nie było, poło-wę czasu żeglugi zajęła nam deklamacya rozmaitych wierszy. Nie wiedziałem, że Adam umie ich tyle na pamięć, i to Bóg wie nie czyich; a zwłaszcza tak zwa-

nych *textów*, które już dziś chyba tylko gdzie na wsi po zaściankach i garderobach śpiewają. Prawda, że tego rodzaju popularność nie ubliża bynajmniej godności poezyi. Adam owszem uważa ją za największy zaszczyt, jakiego u nas niektóre tylko psalmy Kochanowskiego i niektóre pieśni Karpińskiego dostąpiły. Podług niego, poezya dająca *słowo* duszom do rozmowy z Bogiem, a sercom do rozmowy z myślami, osiąga dopiero rzeczywiście ów cel, dla którego warto jedynie nizać w sznurki sylaby i rymy. Brodziński mówił mi kiedyś, że gdyby nie panienki, dawnoby już pisać wiersze zaprzestał. Wpływ literackiej atmosfery warszawskiej, wywołał w nim był to postanowienie. Ale raz na jednym wieczorze spotkał jakąś panienczkę z za Buga, która, znając poprzednie jego poezye, tak naprzód patrzyła na niego, a potem tak z nim rozmawiała o nich, że zapomniał o Osińskim *et Comp.*, i znowu do czci Muzy powrócił. Ach! bo jeżeli gdzie, to na stepach piaszczystych potrzebne są koniecznie oazy i kwiaty, aby się nie zadusić skwarem i posuchą. Oaz tych i kwiatów, Bogu dzięki, nie brakuje w Warszawie. Witwicki w nich tylko żyje. Ukraiński słowiczek, Bohdan, śpiewa przedewszystkiem dla *Róży*. Malczewski zaś, który czy nie chciał, czy nie mógł szukać tego rodzaju ochłody, zwiądl jak kwiat na stepie, i nawet w dzień swego pogrzebu nie doczekał współczucia braci literatów. Mnie z Adamem na jeziorze Zurichskim łatwo o tém było rozmawiać, jak we dnie o prześnionym koszmarze nocnym; ale jak tam kiedy powrócę, samo nawet dzisiejsze spotkanie się

z burszem posłuży mi za *memento*, ażeby naśladować przykład Witwickiego; to jest zejść całkiem na bok z literackiej areny i zdaleka się tylko kłaniać literatom. Bo co do nie-literackiego świata, a zwłaszcza pięknej jego połowy, *Stary Budrys* Adama orzekł ją jak nie można prawdziwiej i trafniej. I nie darmo Syrena jest herbem Warszawy, bo mogłaby wybornie ująć i za jej symbol; to jest, ma się rozumieć, o tyle, o ile nie ciągnie w przepaść, a tylko wabi wdzięcznie, a usypia słodko.

Zabazgrałem tak cały papier, że już nie ma gdzie nawet wysiąść na brzeg z jeziora. Bądź więc zdrow! Ciąg dalszy na potem.

XXXII.

Do tegoż.

Chur nad Plessurą, 22 Września 1829 r. w nocy.

„O! blasku dzienny, jasności słoneczna!
Ileż pociechy, szczęścia w twym promieniu!
Oglądać codzien i czuć je we tchnieniu,
Jest rozkosz życia tak miła, stateczna:
Że choćby wszystkie nadzieje zmyliły,
Siedzieć na słońcu, i patrzeć po niebie—
Człowieku! dość już byłoby dla ciebie,
Abyś się ciemnej obawiał mogiły.“

Są to wiersze z *Lalla-Rookh* Moora, a wytłómaczyłem je dzisiaj z pamięci, na uczczenie jasnej, cichej i ciepłej pogody, która nam przecież po tylu dniach słotnych lub pochmurnych zabłysła. Umieliśmy zaś cenić ją tym wdzięczniej, że przypadła właśnie na najpiękniejszą może część drogi, jakąśmy dotąd w Szwajcaryi przebyli. Prawda, że gdybym był pisał wczoraj, mógłbym, a nawet pewnobył toż samo o wczorajszej drodze powiedzieć. Bo jak „im głębiej w las, tym więcej drew”, tak tu, im głębiej w góry, tym więcej piękności i dziwów. A przecież, gdybym ci je chciał opisywać po szczególe i po kolei, mógłbyś pojąć takie wyobrażenie o Szwajcaryi, jak jakiś filo-

log Niemiec o języku polskim, sądząc o nim czy z wymawiania swoich współrodaków, czy tylko z przysłyszenia niemieckiego ucha. Dysputując bowiem z Brodzińskim o bogactwie języków, dziwił się nad ubóstwem polskiego, w którym, jak mniemał, na tak różnorodne przedmioty, jak np. człowiek, słowik, słoik i słownik, (które on, ma się rozumieć, po niemiecku wymieniał), jest tylko jedno i to samo brzmienie: *szloik, szloik, szloik, szloik!* — Otoż i ty, czytając w liście ciągle tylko: *skały, skały i skały*, mógłbyś na koniec rozumieć, że tu jest jakaś dzika i martwa pustynia, jakaś nużąca i nudna jednostajność. A tymczasem skały szwajcarskie, to jakby skamieniała ludność olbrzymów. Każda z nich ma nie tylko odrębny swój kształt i postać, ale nawet, można powiedzieć, indywidualną fizygnomię i charakter.

Są starce i matrony; są dziady i baby;
Poważne majestaty i niezgrabne draby.
Są jak rycerze w hełmach, z śnieżnemi wierchołki;
Są jak w pasmo szeregu wyciągnięte półki;
Są jak Ondyny jezior, lub jak Nimfy dolin;
Są barczyste jak Herkul, smukłe jak Apollin;
A wszystkie razem wzięte, tworzą świat odmienny:
Żywy, choć martwy; napowietrzny, choć kamienny.
A w nim ci, co nań patrzeć i marzyć umieją,
Co krok spotkać się mogą z nową Galateją,
I wyjść tak rozkochani w skał i gór tych wdziękach,
Jak wychodzący z balu w stu razem panienkach.
Bo dziw, jak dla wszelkiego rodzaju piękności
Serce się wnet rozszerza—jak nasz dom dla gości.

A pamiętaj, że się tu jeszcze mówi nie o *Monarchach-Patryarchach* Alpach; lecz tylko o ich dzieciach, sługach czy poddanych, co u stóp ich rozsypane po kraju, pielgrzymia, który do nich wędruje, spotykają, witają, i ku nim prowadzą.

Droga z Zurich do Rapperschwyl, pierwszego naszego popasu, idzie ciągle po górach, tuż po nad samym jeziorem; a Babilońskie wiszące ogrody nie mogły być bardziej kwitnące niż te góry, skaliste wewnątrz, ale z wierzchu, od stóp do szczytu, całkiem zielenią winnic i drzew owocowych pokryte. A jak o twojej rodzinie mówi przysłowie Dziśnieńskiego powiatu, że „*eo krzaczek, to Korsaczek*”, tak tu, *co załomek, to domek*. Domki te wprawdzie niewielkie, ale każdy taki czystutki i bielutki, że nad każdym, (mówiąc konceptem nianiek), jak nad świeżo umytym dzieckiem, sroka mogłaby skrzeczeć: *sér! sér!* Sérki te niemniej gęsto błyszczą i na brzegu przeciwnym, który jest całkiem płaski, a także zielony jak trawnik — *notabene*, nie w naszym, ale np. w niemieckim, to jest zawsze porządnie i czysto utrzymanym ogrodzie.

Rapperschwyl małe, stare, fabryczne miasteczko, ze starymi kościołami i *burgiem*, leży na cyplu zachodzącym w jezioro, z kądem widok śliczny, prześliczny. Adam rysował go siedząc na ziemi, a chwając się, że to będzie *chef-d'oeuvre* jego ołówka, nie uważał, że jakiś staruszek ciekawie spoglądał nań z boku. Jakóż, gdy skończył swoje i wstał, aby wracać na obiad, staruszek ten zbliżył się ku nam, i uchyliwszy czapki,

zapytał grzecznie Adama: „*Nicht wahr? Sie sind ein Mahler?*” (Nie prawdaż, pan jest malarzem?) Przygryzłem usta, żeby się nie rozśmiać, i z wielką ciekawością nastawiłem ucha, co też na to *dictum* odpowie. Zmieszał się i zarumienił troszeczkę, ale z wielką jednak zręcznością wywinął się między kłamstwem a prawdą, mówiąc: „*O! nein; es ist bloss zum Vergnügen*” (O! nie, to tylko dla zabawy).— Staruszek nie pytał dalej, ale sam owszem bardzo skromnie oświadczył, że się *także* zajmuje malarstwem, i że się nazywa *Dyogg*. Nazwisko to nie było obce Adamowi, gdyż go zapytał natychmiast, czy nie jego to pędzla portrety miał sposobność widywać w Petersburgu? Ucieszyło to wyraźnie staruszka, i gdyśmy się lepiej poznali, (bo przeprowadził nas aż do oberży w domu pocztowym, i razem z nami kazał sobie dać obiad); opowiedział: że w istocie przed kilkunastu laty bawił lat parę w Petersburgu i robił tam wiele portretów, między innymi portret Cesarzowej Elżbiety, żony Cesarza Alexandra; ale pomimo powodzenia, którego tam doznawał, i świetnej perspektywy na przyszłość, wolał powrócić do kraju; gdyż, jak powiadał: „raz tylko się żyje na świecie; a po cóż miałem tęsknić daleko od swoich, kiedy i między nimi chleba mi nie brakło”.—Uszanowaliśmy szczerze staruszka i to jego szlachetne, poetyckie *Heimweh*; w gościnnej zaś sali na poczcie, widzieliśmy dwa portrety mężkie jego roboty, bardzo piękne i wyraziste, wywieszone, nie wiem, na sprzedaż, czy tylko na okaz publiczności. Cała ta sala, zamiast obicia, oklejona bardzo pięknie-

A pamiętaj, że się tu jeszcze mówi nie o *Monarchach-Patryarchach* Alpach; lecz tylko o ich dzieciach, sługach czy poddanych, co u stóp ich rozsypane po kraju, pielgrzymia, który do nich wędruje, spotykają, witają, i ku nim prowadzą.

Droga z Zurich do Rapperschwyl, pierwszego naszego popasu, idzie ciągle po górach, tuż po nad samym jeziorem; a Babilońskie wiszące ogrody nie mogły być bardziej kwitnące niż te góry, skaliste wewnątrz, ale z wierzchu, od stóp do szczytu, całkiem zielenią winnic i drzew owocowych pokryte. A jak o twojej rodzinie mówi przysłowie Dziśnieńskiego powiatu, że „*co krzaczek, to Korsaczek*”, tak tu, *co załomek, to domek*. Domki te wprawdzie niewielkie, ale każdy taki czyściutki i bielutki, że nad każdym, (mówiąc konceptem nianiek), jak nad świeżo umytym dzieckiem, sroka mogłaby skrzeczeć: *sér! sér!* Sérki te niemniej gęsto błyszczą i na brzegu przeciwnym, który jest całkiem płaski, a także zielony jak trawnik — *notabene*, nie w naszym, ale np. w niemieckim, to jest zawsze porządnie i czysto utrzymanym ogrodzie.

Rapperschwyl małe, stare, fabryczne miasteczko, ze starymi kościołami i *burgiem*, leży na cyplu zachodzącym w jezioro, z kądem widok śliczny, prześliczny. Adam rysował go siedząc na ziemi, a chwając się, że to będzie *chef-d'oeuvre* jego ołówka, nie uważał, że jakiś staruszek ciekawie spoglądał nań z boku. Jakóż, gdy skończył swoje i wstał, aby wracać na obiad, staruszek ten zbliżył się ku nam, i uchyliwszy czapki,

zapytał grzecznie Adama: „*Nicht wahr? Sie sind ein Mahler?*” (Nie prawdaż, pan jest malarzem?) Przygryzłem usta, żeby się nie rozśmiać, i z wielką ciekawością nastawiłem ucha, co też na to *dictum* odpowie. Zmieszał się i zarumienił troszeczkę, ale z wielką jednak zręcznością wywinał się między kłamstwem a prawdą, mówiąc: „*Oh nein; es ist bloss zum Vergnügen*” (O! nie, to tylko dla zabawy).— Staruszek nie pytał dalej, ale sam owszem bardzo skromnie oświadczył, że się *także* zajmuje malarstwem, i że się nazywa *Dyogg*. Nazwisko to nie było obce Adamowi, gdyż go zapytał natychmiast, czy nie jego to pędzla portrety miał sposobność widywać w Petersburgu? Ucieszyło to wyraźnie staruszka, i gdyśmy się lepiej poznali, (bo przeprowadził nas aż do oberży w domu pocztowym, i razem z nami kazał sobie dać obiad); opowiedział: że w istocie przed kilkunastu laty bawił lat parę w Petersburgu i robił tam wiele portretów, między innemi portret Cesarzowej Elżbiety, żony Cesarza Alexandra; ale pomimo powodzenia, którego tam doznawał, i świetnej perspektywy na przyszłość, wolał powrócić do kraju; gdyż, jak powiadał: „raz tylko się żyje na świecie; a po cóż miałem tęsknić daleko od swoich, kiedy i między nimi chleba mi nie brakło”.—Uszanowaliśmy szczerze staruszka i to jego szlachetne, poetyckie *Heimweh*; w gościnnej zaś sali na poczcie, widzieliśmy dwa portrety mężkie jego roboty, bardzo piękne i wyraziste, wywieszone, nie wiem, na sprzedaż, czy tylko na okaz publiczności. Cała ta sala, zamiast obicia, oklejona bardzo piękne-

mi *pejzażami* różnych okolic szwajcarskich, roboty niejakiego *Schmidta*, wodnemi farbami na papierze, za które artysta, jak nam powiadał gospodarz, wziął nie więcej jak 20 dukatów. Nie dla korzyści więc widać ze swego talentu poczciwy Dyogg śpieszył tak do ojczyzny; ale czuł tylko pewnie, jak ów stary bard Szkocki w Walter Skocie, kiedy po raz ostatni „kraj swój żegnał dumaniem”, patrząc nań ze szczytu Benwenu, że:

Gdzież on znajdzie w cudzej stronie,
Takich jezior, takie tonie!
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!

Choć co do wczorajszego nieba, prawdę mówiąc, znalazłby je i u nas nawet w Listopadzie: tak było całe szare i nawisłe chmurami. Deszcz jednakże przecież nie padał, i dojechaliśmy sucho na nocleg do *Wesen*, co nam się już dawno nie zdarzyło. Na pół drogi, za wsią *Usenach*, skończyło się jezioro Zurich. Z gór zjeżdżamy na równinę, jak okiem zajrzeć długą i szeroką, na której, jak konstellacye na niebie, rozsiane stada pstrokatego bydła, z miedzianemi dzwoniakami na szyjach, które nam i po drodze ciągle w uszach brzęczały. Z równiny téj wjechaliśmy w wąwóz, między ogromnemi skałami, i już dobrze za ciemną stanęliśmy w *Wesen*.

Wesen, (nie wiem nawet z pewnością czy wieś, czy miasteczko), leży nad samém *Wallensztadzkiem* jeziorem (*Wallenstädter-See*), które się rzeką *Linth* z Zurichskiém łączy. Furman zapowiedział już

nam z wieczora, że musimy wstać bardzo rano, jeśli chcemy dojechać do Chur, przed odejściem dylizansu do Medyolanu. *Do Medyolanu!!!* Nie umiem ci wypowiedzieć, jak to tak naturalne i proste powiedzenie dziwny na mnie sprawiło efekt. Jużciż wiedziałem że tam jadę; ale jakbym poczuł raz pierwszy, że tam być mogę i będę. Ja w Medyolanie!!! Bo Medyolan, to Włochy; bo Włochy, to zaklęty kraj moich marzeń; bo ztamtąd wsiąść już można na dylizans — do Rzymu! Cały wieczór z Adamem przegadaliśmy o tém, przypominając siebie samych, on z Nowogródka, ja z Borun. I czyż nie mamy za co Panu Bogu dziękować? Adam mówi: że głupi tylko człowiek rozumie, że wszystko jest winien sam sobie; a głupszy jeszcze, kto tak myśląc, każdy dar Opatrzności bierze za swoją zasługę, i cokolwiek, co szczebel wyżej, to nie nowe swe obowiązki, ale tylko nowe swoje prawa oblicza. W tém to jest właśnie śmieszność i głupota wszelkiej próżności z powodzenia; śmieszność przez to, że wykazuje głupotę; a głupota przez to, że niszczy sama rękojmnię jego trwałości. Wszyscy kominiarczyacy pokręciliby karki, gdyby lézając po drabinie na komin, pod siebie tylko zawsze a nie nad siebie patrzali. Prędzej czy później, zawrót głowy niechybny. A i kto wlaż już na komin i nic nad sobą nie widzi: musi przecież ciągle patrzeć na niebo, aby nie zleciał na ziemię, albo w otchłań i w ogień komina. Napoleon na tronie zapominał był o tém, i sam to poczuł dopiero na wyspie Ś-tój Heleny. Pamiętaj więc, jak już zasiądziesz krzesło prezydenta sądów granicznych, na które cię

Listy Odyńca. T. II.

Słonimianie prowadzą; pamiętaj „*aequam servare mentem*”; a najlepiej wytlómacz zaraz sam dla siebie tę odę Horacyusza, której ja parafrazę moję do Stanisława Golickiego ¹⁾, właśnie *à propos* tej rozmowy, przed chwilą Adamowi wydeklowałem, a on tak się nad nią unosił, że ci ją tu muszę przepisać, aby nie zaginęła w nurtach niepamięci; bo nawet nie przypominam sobie, abym ją dla solenizanta przepisał, mając ją za fraszkę i za nic.

Nie bądź k..., Stachu! nie nadymaj pyska,
Gdy ci Fortuna złotym wozem błyska,
Lub gdy ję furman, Los, biczem cię chłóśnie,
Nie becż żałośnie!

Wszystko na świecie *tfu* przeciw wieczności!
A więc na djabła trud, zabiegi, przymus!
Jedno, czyś jasny blaskiem wielmożności,
Czyś *humillimus*.

(*Notabene*, musisz pamiętać, że to jest zwykłe *Salve* Golickiego).

Bo śmierć brat za brat z pachółkiem i panem,
Łap za kark ręką, i abszyt kolanem —
Człowiek fajt w górę..., potem nakształt piłki,
Pęc na mogiłki.

Co ci po pełnych ankarach lub skrzyni?
Gdy cię wielebni chwyć Bernardyni,
Wnet je, twój niby żałujący śmierci,
Dziedzic przewierci.

¹⁾ Stanisław Golicki, uczeń uniwersytetu Wileńskiego, później jeden z najzdolniejszych adwokatów w Wilnie. Umarł tamże w r. 1835.

„Dziś mnie, a jutro“... Lecz dziś jeszcze nasze,
A dzisiaj właśnie dzień twojego święta.
Więc, przyjaciele! brzęk czasza o czaszę!
Zdrowie Rejenta!

A nie uwierzysz, mój drogi, jak przy deklamowaniu tych wierszy stanął mi żywo w pamięci i w oczach ów nasz wspólny salon z Golickim, punkt środkowy koleżeńskich wieczorków, pierwszy teatr improwizacyi Adama! Przypomniatem mu zwłaszcza ów wieczór, gdy po wesołych żarcikach z nas wszystkich, przeobraził się nagle jak w proroka, i z przerażającym natchnieniem w twarzy i w głosie, przepowiadał nam wszystkim i każdemu z osobna, co z kim, lub z kogo co będzie. Słowa te jego, wyznaje, są dla mnie jakby jakiś uroczy talizman, jakby jakieś *palladium* w pamięci, które mię w każdym zwątpieniu pokrzepia. A ileż to już z tego, co wróżył, sprawdziło się, lub sprawdzać zaczęło! Gdzie to już dziś po świecie nie ma naszych kolegów, co kiedyś jak piskłęta w jednym gniazdku siedzieli! Józio (Kowalewski) paradytuje gdzieś może w palankinie na słońcu po Chinach, albo naucznych *Buddystów* mądrością swoją *buduje*, Józik (Chodźko), rozmierza szczyty Araratu, gdzie od Noego nikt pono nie postął. Oleś w drodze do Teheranu; i choćby tam został Satrapą, nie drzemałby pewno, jak ów Basza w balladzie, gdyby przed nim Iranki i Czerkieski tańczyły. Pan Tomasz, jako geolog, wskazuje przedsiębiorcom i kupcom, gdzie i jak szukać złota w Uralu, a płci pięknej, jako psycholog, teorię *promionków* wyklada. Janek harcunje z Kir-

Księgozbiór: 114*

gizami pó stepie, albo przy kumysie w aulach, uczą czarnookie Rusalki śpiewać nótę *Filona*. Suzin kocha się tylko we Florze stepowej i pamiątki jej suszy w zielnikach; a i kumysu nawet podobno, jako *pijanego napaju*, nie pija, a tylko go chemicznie rozbiera. Inni gdzieindziej, jak rozwiane mrówki, pracują każdy jak może, a zawsze na pożytek i na chwałę wspólną. Ty tylko i kochany Żegota siedzicie jak świerszcze za piecem; a my tu sobie, jak przelotne kaczki, pływamy po jeziorach szwajcarskich, i w ślad bocianów i gęsi wędrujem na *wyraj* do Rzymu. Bóg daj, by tylko nie powracać ztamtąd jak ów bohater bajki Trembeckiego, co nakupiwszy tam tylko, jak mówi autor, *materklasów*, i *wiatru*, i *dymu*, powracał na *osiółku*, sam w opinii autora większy jeszcze osiół od niego. Życzenie to, ma się rozumieć, stosuje się wyłącznie do mnie. I dla tego pytałem Adama, czy widząc mnie po latach kilku, zawsze jeszcze trzyma tak o mnie, jak wróżył owego wieczora?—„No, nie wiem, obaczę jeszcze” — odpowiedział naprzód z uśmiechem; ale wnet potem, rozgarniając mi po swoim włosy, dodał: „Pamiętaj tylko, chłopcze, żebym nie był fałszywym prorokiem!” — *Utinam!* Ale kiedy to jeszcze ma zależeć odemnie, od mojej dajmy pracy czy nauki: — oj! to jeszcze gruszki na wierzbie, i Bóg daj, by nie w końcu *dudek na kościele!*—Adam pociesza mnie nadzieją, że Rzym jestto miasto cudowne, gdzie jak się oczy otworzyć, tak i uszy pokrócić mogą—które on też ze swojej strony *podkrecać* mi łaskawie przyrzeka.

Wszystko to, co tu streszczam w skróceniu, mówiło się szeroko na noclegu w *Wesen*; — jeśli warto nazywać noclegiem parę godzin zaledwo przedrzemanych w ubraniu; — bo już było po pierwszej, kiedy Adam ostatnie iskry z fajki swojej wydmuchnął, a ja blaszany kapturek na świecę, jak czepek na skroń panny młodej włożyłem....

„Bo skoro na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją żywcem pogrzebiono.”
A skoro ten kapturek na świecę włożono,
Już ją zgaszono.

Ale ledwo zacząłem usypiać na dobre, tubalny głos furmana: „*Meine Herrn, est ist schon Zeit!*” zerwał nas z łózek, jak trąba alarmu, (a z łózek płaskich i szerokich jak tratwy), i przy świetle ogromnej latarni, z którą przyszedł nas budzić, (furman, nie głos, ma się rozumieć), przeprowadził nas nad brzeg jeziora, którem mieliśmy część drogi przepłynąć. Ale pożał się Boże daremnego niewczasu i pośpiechu! bośmy się jednak o kwadrans do Chur na dyliżans spóźnili, i musimy tu bawić przez jutro, aby już inny sposób dalszego transportu obmyślić.

A że już Noc i dzisiaj, jak widzę, bez mała Połowę swę gwiazdzistęj drogi ujechała,
I snem sprawiedliwego dawno śpi już Adam;
Więc i ja koniec listu na jutro odkładam.
A nim i mnie Morfeusz w objęciach utuli,
Ja cię w moich tymczasem ściskam jak najczuliej,
Tobie i sobie w myśli przyspiewując—*luli!*

Jeszcze Chur, 23 Września, w wieczór.

Rozumne to przysłowie: „co masz zjeść dzisiaj, to schowaj na jutro, a co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj”. Gdybym o nim pamiętał wczoraj, miałbym dzisiaj głowę swobodną, i możebym nie miał migreny, która bodaj że przyszła mi z tego, że skupione już w myśli a niewypisane frazesy, całą noc mi po mózgu jak robaki pełzały. Cały dzień przeto dzisiaj musiałem się leczyć, to świeżą aurą Alp śnieżystych, to wrzątkiem z liścia gór Chińskich, który przecież na koniec *wyparował* ból z głowy i palcom wrócił apetyt do pióra.

A więc na czym stanąłem? jak mówią stare gaduły. Aha! na brzegu jeziora Wallenstädt, gdzie przy czerwonym świetle smolnego łuczywa, z ślicznym odblaskiem na tle czarnej wody, dwaj przewoźnicy woczyli nasz powóz, a konie wprowadzili na czółno, płaskie też i szerokie jak łóżka szwajcarskie. Poczem oni siedli u wiosła, furman stanął przy rudlu, my wsiedliśmy do powozu, i—odpłynęliśmy i zasnęliśmy. Ja przynajmniej — bo Adam utrzymuje, że nie spał. Co wiem z pewnością, to, że mnie obudził, *akkoladując* klapsem po ramieniu i wołając: „No, dość już tego spania! otwieraj oczy i patrzaj.”—Otworzyłem—i warto było mieć je ku patrzeniu.

Całe niebo gorzało od zorzy; jezioro, jak zwierciadło, od nieba. Lekka i przejrzysta mgła biała, to ścieląc się jak pajęczyna po wodzie, to w kolumnach wznosząc się nad nią, dodawała wdzięku wido-

kom, jak gaza żywym obrazom, które Rustem w Wilnie urządzał. Jezioro Wallenstädzkie, w porównaniu z Zurichskim, to całkiem inny świat. Zamiast winnic, ogrodów i domków, otaczają je zewsząd dzikie, wysokie, strome, nagie skały, które tuż po nad brzegiem jak ściany się wznoszą. Z wierzchu ich mnóstwo potoków kaskadami zlewa się do jeziora. Zdaleka zdają się nieruchome i błyszczą jak sople lodowe, zwłaszcza gdy je blask słońca oświecił. Szum jednych jak katarakty, drugich jak koła we młynie, innych jak rynnny po deszczu; ale dość, że szum ciągły, jak turkot na ulicach Warszawskich. Największe i najpiękniejsze są: *Seerenbach*, z wysokości 1,200 st. i *Bayerbach*, z wysokości 600 stóp spadające. Kolor skał jest rozmaity: żółtawy, czerwony i szary, a coraz różne kształty i zarysy każdej, nie dają ani na chwilę znużyć się jednostajnością widoku. Jest to, jeśli chcesz porównania, jakby jakieś olbrzymie miasto; ale co dom, to nowa struktura; co krok, to nowy podziw dla widza, a cześć i uwielbienie dla architekta. Adam tak był wszystkiem zajęty, że nawet o rysunku nie myślał, i tylko w każdej skale upatrywał jakieś podobieństwo do czegoś, jakby chciał przez to żartobliwym tonem pokryć głębokie wzruszenie, które z twarzy jego znać było. A jednak nie tu jeszcze był punkt kulminacyjny tegodziennych wrażeń. Po czterogodzinnej zegludze, wylądowaliśmy w nędzném miasteczku *Wallenstadt*, nadającém nazwę jezioru, i po równie nędznej tam kawie, zajechaliśmy na popas do *Ragatz*, małej wioszczyny, ale z dużą

oberżą we środku, a wokoło z niebotycznymi górami. Poszliśmy więc im się przypatrzeć, i tu dopiero raz pierwszy poczułem istotnie co to jest *górnosc*; choć właśnie o niej to kiedyś na examinie z estetyki mówiłem, a Józio Kowalewski czytał mi w ślad, jak tłumaczył z greckiego, cały o niej traktat Longina.

Po niebie czystém dotąd jak woda, zaczęły się powoli przesuwac — nie chmury, ale białe, srebrzyste obłoki. Jeden z nich krył, jak nam się zdawało, szczyt stroméj, osobnéj skały, która nas zadziwiała wysokością swoją. Czekamy zatem nim przejdzie, aby kształt tego szczytu zobaczyć; aż tu widzimy nagle, że ten szczyt nad tym obłokiem góruje o drugie tyle, co obłok sam po nad nami. Nie umiem ci opisać uczucia podziwu, jakie mi na ten widok przejęło; a było w niem coś tak uroczonego, że mi dziwną rozkosz sprawiło. Niechże jaka sztuka sprobuje, aby tego samego dokazać! I kto wie, czy nie z daremnych pokuszeń o to, wynikło może przysłowie: „*du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*”. — Adam z powodu tego opowiadał, jak idąc na Czatyrdah w Krymie z Rzewuskim i wielu innymi, ujrzeni błyskawicę i posłyszeli grzmot w chmurze, która przechodziła pod nimi. Jeden z towarzyszy, jakiś podżyły obywatel z Wołynia, tak był tém do żywego przejęty, że splunawszy z największym gniewem, w największym ferorze zawołał: „Tfu, do stu tysięcy djabłów! Toż warto było truć stare kości, żeby na starość wyjść jeszcze na łgarza!” — Zapytany zaś o znaczenie tego osobliwszego wykrzyknika, odpowiedział: „No, prze-

cież widzę i słyszę, że grzmi i błyska pode mną. Jakże o tém nie powiedzieć nikomu? A jak powiem, to któż uwierzy? tak, jak jabym sam nie uwierzył, gdyby mi to kto drugi powiadał”. —

A propos jeszcze téj skały *Ragatzkiéj*, nauczyłem się od Adama pierwszego włoskiego wyrazu, który biorę za dobrą wróżbę miłego pobytu we Włoszech. Bo jest to wyraz *bella ragazza*, a znaczy *piękna dziewczyna*, który on patrząc na tę skałę wymówił; — chociaż mię za ten mój *omen* chciał zaraz za ucho pokręcić. I musiałem się zastawić przypomnieniem panny Heleny, która broniąc mię kiedyś w Petersburgu, zrobiła słuszną uwagę, że on w drugih chce karać swe grzechy.

Część drogi z Ragatz do Chur, była jakby drugim tomem porannéj. Droga wciąż prawie idzie po nad Renem, to lewym, to prawym brzegiem. Ale Ren tutaj jeszcze nie jest ani tak czysty, ani tak wspaniały, jak dalej po wyjściu z Konstancyeńskiego jeziora. Nie wypełnia nawet koryta, choć po brzegach znać jeszcze ślady niedawnego jak widać wezbrania. Jest on tu jak niedojrzały jeszcze a burzliwy młodzian, przed wejściem w świat i przejściem przez próby. Ale szczególne kraje, gdzie rzeki, jak Ren, w swym biegu, nie wysychając i nie wzbierając zbyt często, oczyszczają się tylko coraz i rosną! — bo natura symbolizuje często umysł i charakter krajowców. Niemen stokroć w tym względzie podobniejszy do Renu, niż Wisła.

Z mostu na Renie mieliśmy przed oczyma najcudniejszy pejzaż, jakiego w myśli nawet wymarzyćby

trudno. Wkoło nagie, olbrzymie, w obłokach ni-
knące skały. Przed nami, w dalszej perspektywie,
wierzchołki Alp, śniegiem okryte, lśniły się jak sre-
brem od słońca. Za nami góry Ragatzkie, do połowy
od dołu zasłonięte mgłą białą, zdawały się pływać
w powietrzu, jak lodowe góry po morzu. Między gó-
rami długa zielona równina; środkiem jej płynie Ren;
po stronach bieleją wioseczki. Nakoniec, jakby dla
uzupełnienia uroku, właśnie gdyśmy stali na moście,
przelotna jakaś przezroczysta chmurka rozciągnęła
się nad doliną; drobnutki deszcz prószyć zaczął,
i aż dwie razem, śliczne, promieniste tęcze, zabłysły
tuż prawie przed nami. Adam przyznał, że nic ró-
wnie pięknego nie widział, i właśnie kiedy to piszę,
on z przypomnienia rysuje ten widok.

Dalsza droga, aż do samego Chur, niemniej zaj-
mująca i piękna—zwłaszcza przy czystym znów nie-
bie i pogodnym zachodzie słońca. Tu i ówdzie ruiny
zamków; tu i ówdzie kaskady lub potoki z gór; tu
i ówdzie białe wioseczki, lub malownicze pojedyncze
domki, urozmaicały jednostajność tła tej ciągłej pa-
noramy, po obu stronach drogi i Renu. Najpiękniej-
sza z tych kaskad jest na rzece *Taminie*, wpadającej
do Renu.

Samo *Chur*, (po francuzku *Coire*), małe miastecz-
ko, choć jest stolicą kantonu Gryzonów (*Graubünden*),
ma zaledwie 5,000 ludności, ale przytęm wspaniałą
katedrę i starszy jeszcze od niej, tak zwany *Zamek*
biskupi, z jakiejś rzymskiej budowy przerobiony. Le-

ży w dolinie nad rzeką *Plessurą*, otoczonej ogromne-
mi górami, a obfituje w przechadzki i piękne widoki,
któreśmy przez dzień cały zwiedzali i oglądali. Jutro
o 5-tój rano wyjeżdżamy dalej. Furmana już najałem;
a napisawszy ci wszystko, co mogłem, mam wszelkie
prawo odpocząć. *Gute Nacht!*

XXXIII.

Do tegoż.

Splügen, 24 Września 1829 r., w nocy.

„Już, już nie będę wierszy składał, mamuleńku!
Piszczał biedny Nazonik, wijąc się na pieńku;
I pewno drugie tyle wziął nieborak w skórę,
Że i to mówiąc popadł w miarę i cezurę.¹⁾”

Tak i ja, choćbym przysiągł, na żadne tu dziwo
Nie wpadać już w extazę *in superlativo*,
(Bo wciąż, co mi najwyższém zdawało się wczora,
Z każdym *dzisiaj* przechodzi *ad inferiora*);
Toć przecie com dziś widział, bez obawy jutra,
Nie mogę nie powiedzieć, że jest *non plus ultra*.

A mogę mówić tém śmielój, że już tylko przed sobą
i nad sobą mamy dzikie wierzchołki Alp, (*Splügen-Pass*),
które jeśli szczęśliwie przejedziemy jutro,
zaczniemy z nich spuszczać się do Włoch, a więc choć-
byśmy coś najpiękniejszego ujrzeni, to już nie będzie
należać do Szwajcaryi; a zaś to, co widzieliśmy dzi-

¹⁾ Publius Ovidius Naso, jeden z najslawniejszych poetów Rzymskich z czasów Augusta, od dzieciństwa okazywał nadzwyczajną chęć i łatwość składania wierszy. Matka bojąc się aby go to nie odwróciło od pożyteczniejszych, podług niej, prac i nauk; po bezskuteczném wyczerpaniu napomnień słownych, uciekła się nakoniec do *roźczki*. Oćwiczony malec rzucił się z płaczem do nóg matki, wołając: „*Jam, jam non faciam versus, carissima mater!*” (Już, już nie będę składał wierszy, najdroższa matko!); a właśnie same te słowa złożyły najdoskonalszy wiersz *hexamet.*

siaj, jest właśnie koroną jój wrażeń. „*Finis coronat opus*”.

Równo ze wschodem słońca, znowu jednokonnym kocykiem, wyjechaliśmy z Chur. Pogoda piękna, droga coraz piękniejsza. Malownicza dolina pomiędzy niebotycznymi skałami zowie się doliną „*Przedniego Renu*“, (*Vorder-Rheinthal*), który w *Reichenau*, gdzieśmy przystanęli na kawę, łączy się z Renem *Tylnym* (*Hinter-Rhein*). Most drewniany, kryty, ogromnej długości (230 stóp), jedną tylko arkadą przerzuca się z brzegu do brzegu, jak zresztą wszystkie mosty i mostki szwajcarskie, któreśmy dotąd przebyli. *Reichenau* słynie w *Guide du Voyageur*, jako niegdyś pobyt *Zschokkego*, który był tu nauczycielem w sławnym naówczas naukowym zakładzie niejakiegoś *Tschanessa*, gdzie też dzisiejszy książę Orleański, syn Filipa l'Egalité¹⁾, uchodząc gilotyny, czas jakiś pod przybranym nazwiskiem obowiązki nauczycielskie sprawował. *Zschokke* od dawna dla mnie jest jednym z tych autorów, którzy najwyżej w oczach moich godność autorskiego zawodu podnoszą. Nie jest on pierwszorzędnym pod względem talentu: ale gdyby mi kazano wybierać pomiędzy geniuszem Goethego a moralnym pożytkiem *Zschokkego*, bez wahania się wybrałbym ostatnie. Bo to pięknie w słowach i w uszach brzmi: *Unsterblichkeit!* nieśmiertelność! Ale to bieda, że oprócz nieśmiertelności chwały na ziemi, jest i nieśmiertelność duszy za

¹⁾ Późniejszy król Ludwik Filip.

grobem. Piérwsza, dla samego człowieka, jestto zawsze tylko *obiecanka cacanka*, a pociecha z niej — *dożywocie*. Ale jak przyjdzie umierać, a gorzej, jak się już umrze—to nuż każą biednej duszyczce patrzeć ztamtąd na nieśmiertelne skutki dzieł swoich, jeśli te skutki będą tego rodzaju, że jej istotną, własną nieśmiertelność, zgryzotą i rozpaczą zatrują! Adam powiadał kiedyś, że każdy czyn człowieka, zły czy dobry, dopóty w skutkach swoich kręci się po świecie, jak pieniądz pokrecony na stole, dopóki nie spotka się z drugim, wręcz przeciwnym, który potraci go i obali. Że zaś, podług dalszej jego teoryi, zły nigdy nie obali dobrego; zatém każdy czyn dobry, im dłużej i dalej się kręci, tém większej nabiera zasługi: bo pewno coraz więcej po drodze czynów przeciwnych obala, i tym sposobem przyczynia się do wielkiego dzieła Odkupienia, które raz przez samego Boga zaczęte, ciągle odtąd przez wiernych sług Jego, to jest przez dobrych ludzi, kontynuuje się na tym świecie. Teoryę tę Adam, jak mówi, przejął od Oleszkiewicza, a ja stosując ją w téj chwili do autorstwa, i do złych i dobrych xiążek, zazdroszczę właśnie Zschokkemu dzieł jego, a mianowicie: *Stunden der Andacht*, które we mnie samym naprzykład tyle złych albo błędnych myśli obaliło. A więc kto wie, czy i sam Zschokke nie ucieszył się tam kiedy ze mnie, i czy nie on sam to może za to, tak się żywo pamięci mojej, w miejscu niegdyś swojego pobytu przypomniął.

Z Reichenau, po nad *tylnym* Renem, wjechaliśmy na drugą precudowną dolinę, *Domleschger-Thal*,

a po romańsku *Val Tomliasca*, gdzie jest skupionych razem dwadzieścia przeszło ruin starych zamków, w których niegdyś, jak sępy w gniazdach, *Zwingerherry* przed Wilhelmem Tellem siedzieli, a także mnóstwo wioseczek i ogrodów, rozrzuconych po górach i wzdłuż brzegów Renu. Sam tylko Ren jest tu brzydki: łożysko przez pół suche, a woda błotnista. Wieś czy miasteczko *Thusis*, u stóp ogromnej góry, (*Heizenberg*), (na której rosną już dobre, to jest jadalne kasztany), nad brzegiem rzeki *Nolli*, wpadającej do Renu, zamyka ową dolinę; a o pół godziny dalej, u ogromniejszej jeszcze, okrągławej skały (*Hohe Rethia* albo *Realta*), z najdawniejszą Rzymską ruiną, zaczyna się owo dzisiejsze nasze *non plus ultra*, to jest najpiękniejszy, jak mówią — a najpiękniejszy przez to, że najdzikszy w całej Szwajcaryi wąwóz, słynący pod nazwiskiem *Via mala* (zła droga). Sama droga właściwie złą nie jest, bo jest to od lat kilku zbudowane *szosse*; ale co podziw obudza, to że przez takie miejsca przejść mogła. Żeby nic więcej w Szwajcaryi nie widzieć, to już dla tego samego wartoby tu choć z za morza przyjechać. Wyobraź tylko sobie!.... Ale na próżno będziesz wyobrażał; kiedy ja, co to dziś jeszcze własnymi oczyma widziałem, nadaremnie usiłuję w téj chwili, sam sobie to, co widziałem, w porządnym jakiś obraz ułożyć. Wyobrażaj wszakże co możesz; a jeśli z tego zrobi ci się chaos — no, to już jakbyś był ze mną i we mnie.

Już naprzeciw wysokości *Realty*, przodownicy szeregu skał niemniej wysokich jak ona, wznosi się druga

grobem. Pierwsza, dla samego człowieka, jest to zawsze tylko *obiecanka cacanka*, a pociecha z niej — *dożywocie*. Ale jak przyjdzie umierać, a gorzej, jak się już umrze—to nuż każą biednej duszyczce patrzeć ztamtąd na nieśmiertelne skutki dzieł swoich, jeśli te skutki będą tego rodzaju, że jej istotną, własną nieśmiertelność, zgryzotą i rozpaczą zatrują! Adam powiadał kiedyś, że każdy czyn człowieka, zły czy dobry, dopóty w skutkach swoich kręci się po świecie, jak pieniądz pokrecony na stole, dopóki nie spotka się z drugim, wręcz przeciwnym, który potrafi go i obali. Że zaś, podług dalszej jego teorii, zły nigdy nie obali dobrego; zatem każdy czyn dobry, im dłużej i dalej się kręci, tém większej nabiera zasługi: bo pewno coraz więcej po drodze czynów przeciwnych obala, i tym sposobem przyczynia się do wielkiego dzieła Odkupienia, które raz przez samego Boga zaczęte, ciągle odtąd przez wiernych sług Jego, to jest przez dobrych ludzi, kontynuuje się na tym świecie. Teorię tę Adam, jak mówi, przejął od Oleszkiewicza, a ja stosując ją w tej chwili do autorstwa, i do złych i dobrych książek, zazdroszczę właśnie Zschokkemu dzieł jego, a mianowicie: *Stunden der Andacht*, które we mnie samym naprzykład tyle złych albo błędnych myśli obaliło. A więc kto wie, czy i sam Zschokke nie ucieszył się tam kiedy ze mnie, i czy nie on sam to może za to, tak się żywo pamięci mojej, w miejscu niegdyś swojego pobytu przypomniał.

Z Reichenau, po nad *tylnym* Renem, wjechaliśmy na drugą precudowną dolinę, *Domleschger-Thal*,

a po romańsku *Val Tomliasca*, gdzie jest skupionych razem dwadzieścia przeszło ruin starych zamków, w których niegdyś, jak sępy w gniazdach, *Zwingherry* przed Wilhelmem Tellem siedzieli, a także mnóstwo wioseczek i ogrodów, rozrzuconych po górach i wzdłuż brzegów Renu. Sam tylko Ren jest tu brzydki: łożysko przez pół suche, a woda błotnista. Wieś czy miasteczko *Thusis*, u stóp ogromnej góry, (*Heizenberg*), (na której rosną już dobre, to jest jadalne kasztany), nad brzegiem rzeki *Nolli*, wpadającej do Renu, zamyka ową dolinę; a o pół godziny dalej, u ogromniejszej jeszcze, okrągławej skały (*Hohe Rethia* albo *Realta*), z najdawniejszą Rzymską ruiną, zaczyna się owo dzisiejsze nasze *non plus ultra*, to jest najpiękniejszy, jak mówią — a najpiękniejszy przez to, że najdzikszy w całej Szwajcaryi wąwóz, słynący pod nazwiskiem *Via mala* (zła droga). Sama droga właściwie złą nie jest, bo jest to od lat kilku zbudowane *szosse*; ale co podziw obudza, to że przez takie miejsca przejść mogła. Żeby nic więcej w Szwajcaryi nie widzieć, to już dla tego samego wartoby tu choć z za morza przyjechać. Wyobraź tylko sobie!.... Ale na próżno będziesz wyobrażał; kiedy ja, co to dziś jeszcze własnymi oczyma widziałem, nadaremnie usiłuję w tej chwili, sam sobie to, co widziałem, w porządnym jakiś obraz ułożyć. Wyobrażaj wszakże co możesz; a jeśli z tego zrobi ci się chaos —no, to już jakbyś był ze mną i we mnie.

Już naprzeciw wysokości *Realty*, przodownicy szeregu skał niemniej wysokich jak ona, wznosi się druga

takaż przodownica drugiego takiegoż pasma, to jest skał równie stromych, wysokich i dzikich. Otoż pomiędzy temi dwiema olbrzymkami, wjeżdża się między oba te pasma — a wjeżdża się nie jako w zwyczajny wąwóz, to jest w dolinę między górami, ale jak gdyby w rozpadlinę skał. Droga nie idzie dołem i po ziemi, ale się czepia i wije po skałach, w połowie ich wysokości. Spójrzysz nad siebie — jesteś jak w przepaści; spójrzysz pod siebie — stoisz nad przepaścią. Wierchy skał giną w obłokach, dno otchłani niknie w ciemnościach. Nad tobą i wokoło ciągły szum modrzewi i jodeł, któremi skały nawisłe, albo strumieni i kaskad, które z gór rzucają się w przepaść. Pod tobą wtór tego szumu, równie głośny i nieprzerwany, brzmi wzdłuż wąwozu nad korytem Renu, w którym on zacieśniony z obu stron, tak, że często wcale niewidny, co krok musi szturmować nową barykadę kamieni, które bieg jego tamują. Skały z obu stron tak niekiedy są blisko, że prawie stykać się zdają. Droga nie mając na czém oprzeć się przy skale, spadzistej i gładkiej jak ściana, przebija się wprost przez jej wnętrze. Jest to tak zwany *Verlorne-Loch*, galerya wykuta w skale, a długa najmniej sto kroków. Tuż za nią dwa niemniej zadziwiające mosty, jednym łukiem przerzucone z brzegu do brzegu, nad głębłą 400 stóp wynoszącą, a przyczepione u spodu, czy raczej w połowie skał, trzy razy tyle wysokich. Widok z tych mostów, w dół czy w górę, naprzód czy po za siebie, równie dziki, przepysny, straszny, przerażający, i zachwycający. Toż choć żal było z nim się rozstawać, swobo-

dniej wszakże jakoś odetchnęliśmy wszedłszy — bo szliśmy ciągle piechotą — na zwyczajną, choć niemniej może malowniczą i dziką dolinę *Szams*, (*Schamser-Thal*), gdzie droga, choć już po ziemi, ale idzie wciąż prawie nad brzegiem głębokiego rozdołu, nawisłego lasem po bokach, a gdzie Ren na dnie, zawsze równie gniewny, wre, szumi i huczy bez przerwy. Tu Adam omal nie uległ wielkiemu niebezpieczeństwu. Dreszcz mię bierze, gdy o tém pomyślę. Idąc pieszo nad tym rozdołem, bawiliśmy się sobie po studencku rzucaniem węń lub spychaniem znajdowanych obok drogi kamieni, których szelest spadania długo słyhać było i które bardzo pięknie skakały. Adamowi zachciało się koniecznie widzieć, jak się wyraził, „skoki olbrzyma”, i upatrzwszy nad brzegiem ogromny kamień, nawpół wrosły do ziemi, postanowił wyrwać go z miejsca i zepchnąć do Renu. Za pomocą więc okutych żelazem kijów, jakie mają wszyscy podróżni, a w które zaopatrzyliśmy się w Chur, — zaczęliśmy go podkopywać i podważać z boków; co mi przypomniało ową precudną scenę z ulubionego mego poematu Waltera-Skotta, t. j. z *Pieśni Ostatniego Minstrela*, kiedy rycerz *Delorraine* z mnichem odwalają grobowy kamień z nad mogiły czarnoksiężnika. Umieć to miejsce na pamięć; Adam zaś chce koniecznie abym tłómaczył, kiedy tak lubię, to poema; bo upodobanie w przedmiocie jest najgłówniejszym warunkiem, jeśli i nie rękomią udania się roboty. Radbym bardzo, i próbowałem; — ale to rzecz niełatwa, z powodu zwłaszcza zbyt lokalnej barwy. Mówiąc o tém, kópiemy ciągle; a gdy

już kamień był w pół podkopany, Adam kazał mi go podważać kijem, a sam zaczął uderzać nogą. Jednym razem, nad spodziewanie nasze, kamień runął nagle, a Adam, który go właśnie nadeptywał, zachwiał się i upadł — rozumiałem, że razem z nim w przepaść. Szczęściem spadziłość nie była zbyt stroma, a on padając chwycił się oburącz za drzewo; inaczej śmierć lub kalectwo mogłyby być nieochybne. Zawsze jednak tak to nas przeraziło, że ja przynajmniej nie byłem już w stanie iść dalej, z powodu jakiegoś dziwnego mdłości w nogach i w całym ciele, która mię ogarnęła z przestachu. Drugi to już raz w życiu doznałem podobnego wrażenia, a w obu razach przypisuję niewidomiej opiece Anioła-Stróża, że jak mię dziś od największego nieszczęścia, tak niegdyś od zbrodni uchronił. Od zbrodni?! wykrzykniesz pewno z podziwieniem. Tak, od zbrodni. Nikomu dotąd w życiu nie mówiłem o tém. Pierwszemu Adamowi powiedziałem dzisiaj, a tobie drugiemu powtarzam.

Przed laty pięciu, wychodząc na polowanie w Giejsunach, zapomniałem zabrać ładunków, po które wracając do pokoju, fuzyę zostawiłem na ganku. Wyszedszy znowu, postrzegłem stajennego chłopaka, który szybko przez sień przebiegał; ale na to nie zwróciłem uwagi. Przechodząc zaś przez dziedziniec spotkałem idącą naprzeciw znajomą ci, a mieszkającą u nas na łaskawym chlebie staruszkę, panią Kornelię Zabłocką, z tą ładną swoją jedynaczką Pelką, której ty kibić tak admirowałeś. Wtedy była ona jeszcze w pół dzieckiem, a ja przez niczem nieusprawiedliwio-

ne głupstwo, zastąpiwszy im drogę i zdjawszy strzelbę z ramienia, zacząłem do niej mierzyć prawie *à bout portant*. Gniew matki, która słusznie nazwała to głupstwem, wzbudził we mnie ducha przekory, tak, że po raz kilka ponowiłem toż samo, a palec za każdym razem machinalnie dotykał się cyngla. Dopiero grzeczna prośba samej dziewczynki skłoniła mię, że dałem im pokój. Ale jak ci opisać moje przerażenie, kiedy już będąc w kniei, gdy się psy doławiać zaczęły, zdjąłem znów strzelbę i widzę — że kurek był odwiedziony. (Była to sprawka tego właśnie chłopca, którego uciekającego widziałem). Włosy mi powstają na głowie, ilekroć o tém pomyślę. Sił mi nie stało aby spuścić zamek; położyłem tylko strzelbę na ziemi i sam się musiałem położyć, taka mię mdłość nagle owładła. Nie wiem jak długo to trwało; wiem tylko, że się skończyło jakimś nerwowym, konwulsyjnym płaczem, który mię przez kilka dni jeszcze, jakby paroxyzmami, za każdą myślą o tém napadał, tak, że się obawiałem pozostać sam jeden. Okoliczność ta, z wielu innemi potem, wyrobiła we mnie tak żywą wiarę w obecność i opiekę Anioła-Stróża, jak gdybym go kiedy widomie, tak jak Święta Teressa, oglądał. Adam nie tylko temu wcale nie zaprzecza, ale owszem, jak widzę, całym sercem podziela tę wiarę, i to nie tylko w samego Anioła-Stróża, ale i w ogólności w nadprzyrodzony wpływ i pomoc z za świata. Kilka proroczych przewidzeń przyszłości, które mu się często zdarzają, przyszło mu, jak sam mówi, jakby z czyjegós wyraźnego poszeptu; a co do cudownej opie-

ki, opowiedział mi o sobie dwa fakta. Będąc dzieckiem, wypadł przez okno, i był już, jak się zdało, bez życia. Matka porwała go na ręce, i rzuciwszy się na kolana, ofiarowała go do Najświętszej Panny. W tej-że chwili otworzył oczy i od razu wrócił do zdrowia. Pozostało mu tylko lekkie splecenie, które go nie tylko nie szpeci, ale owszem, (w moich oczach przynajmniej), nadaje mu jakiś szczególny, odróżniający go wdzięk w ruchach, a mianowicie w chodzeniu. Drugi raz, mieszkając w Kownie, kąpał się w Niemnie, i przepłynął na drugi brzeg rzeki; ale wracając wpół drogi, na największej głębiny, napadł go kurcz i takie osłabienie, że już czuł, iż musi utonąć. W tej chwili przypomniał matkę i polecił się Najświętszej Pannie. Co się dalej z nim działo, nie pamięta;—ale gdy przyszedł do siebie, stał już bezpieczny na brzegu; chociaż, jak się tam dostał, ani wie, ani wytłómaczyć nie umie. Wypadek ten, jak sam powiada, wpłynął wiele na ówczesny stan jego duszy, t. j. na uspokojenie wewnętrzne; nie tylko przez tak blizkie spotkanie się ze śmiercią, ale i przez tak cudowne ocalenie. Sama nawet rozmowa dziś o tém, a może i wrażenie świeżego niebezpieczeństwa, usposobiły go jakoś poważniej i rzewniej, niż był w całym ciągu podróży. Mam nawet podejrzenie, że musi coś myśleć o wierszach. Na popasie w *Andeer*, znaleźliśmy prześlizną czteroletnią dziewczynkę, córkę gospodarza oberży, która po zabawie z moim zegarkiem, tak jakoś przywiązała się do mnie, że nie chciała zejść z moich kolan, całując mię i gładząc rączkami. Adam z dziwną

czułością patrzył na to z boku, co mu się nie często przydarza. Przypomniał Olcię i Kamcię, córeczki państwa Kowalskich w Kownie, które mu zawsze mówiły, że *dwóch* tylko kochają, to jest jego i *Bauzera* (buldoga). Ztąd poszła rozmowa o dzieciach. Ty wiesz, jak ja je lubię—ale zawsze tylko dziewczynki. Adam podziela mój gust co do dziewczynek, choć w ogólności zgadza się z tym jakimś panem, który mówił, że dzieci najmiłsze są wtedy, kiedy płaczą, to jest gdy je wynoszą z pokoju. „A cóż będzie z twojemi, jeśli je ci kiedy da Pan Bóg?” zapytałem. Zaśmiał się i odpowiedział: że z dziećmi jest jak z wierszami; najtrudniej myć je i czesać, tak jak wiersze — nie pisać, ale poprawiać. Dodał jednakże na seryo: że jeśli o czém, to o swoich uczuciach, nikt naprzód z wyobraźni przesądzać nie może, dopóki ich rzeczywistość nie doznał. Nikt nie wie, jakim byłby śród bitwy, albo jakby używał bogactwa, póki nie przeszedł przez ogień, albo nie miał w ręku pieniędzy. Co do dzieci jednakże sądzi, że kochałby je o tyle, o ile byłby przywiązany do żony ¹⁾. To powiedziawszy zasepił się nagle; ale wnet jakby się spostrzegł i chciał wzruszenie to pokryć, zaczął znów po swojemu żartować.

¹⁾ Jako przypisek do tego miejsca, spodziewamy się, że nie będzie bez interesu dla czytelników znaleźć przytoczonych przy końcu tomu parę późniejszych listów A. Mickiewicza, pisanych pourodzeniu się pierwotnej córki jego Maryi, a w których jest mowa o niej, i o jego ojcowskich uczuciach.

wać ze mnie, choć peczułem, że to było udanie. Po wyjeździe z popasu widocznie unikał rozmowy; zrozumiałem to, i marzyłem swoje. Ale ilekroć spójrzałem na niego, wyraz twarzy, a raczej czoła, przypominał mi owe czasy, kiedy pisał czwartą część Dziadów, albo kiedy go spotykałem wracającego z Antokolskich gajów, gdzie spacerując rano i po obiedzie, w ciągu trzech dni ułożył cały *epitr* do pana Joachima. Ale że owszem kazał słuchać *epitru*, w miarę jak przybył jaki nowy ustęp, a zaś o *Dziadach* nigdy ani słówka nie wspomniął; wnoszę więc, że jeśli w rzeczy samej *komponował* dziś wiersze, a nie mi sam o nich nie mówi, to przysięgłbym że muszą być *amoroso*. Byłyby to więc pierwsze wiersze w podróży; bo tłómaczenie w Wejmarze prologu i parę miejsc z Fausta, było tylko wpół żartem, i jakby na próbę. Wena w nim, jak sam mówi, od roku już wyschła; a żal mu mianowicie tego poematu, który zaczął zaraz po Wallenrodzie, a potem musiał przerwać, i wątpi, czy już kiedy powróci do niego ¹⁾. Tytułu nawet dotąd nie wymyślił, a o treści tyle tylko powiada: „że jest

¹⁾ O tym poemacie Mickiewicz pisał w liście do mnie w roku 1827. „Wallenrod już dawno skończony. Nie bardzo z niego jestem rad; są piękne miejsca, ale nie wszystko mi przypada do smaku. Piszę teraz nowe poema, dosyć dziwaczne, na bardzo rozległą skalę, i nie wiem czy kiedy będzie drukowane. Piszę z większą niż cokolwiek rozkoszą, bo piszę dla samego siebie, bez żadnego na nic względu. Niektóre wyjątki może później ci przyszlę.“ (P. A.).

o wszystkich rzeczach i o wielu innych.“ W Petersburgu, jak ci mówiłem, miał mi go przeczytać z dnia na dzień, ale niespodziewanie przyspieszony wyjazd pozbawił mnie tej przyjemności. Rękopism ten, równie jak nieskończoną „*Historję przyszłości*“, zostawił u p. Franciszka, który mu je odeszle do Rzymu, na ręce kiejczy Zeneidy Wołkońskiej. Tam go już więc chyba przeczytam. Tymczasem zwracając się od Parnasu do Splügen, gdzie właśnie noclegujemy, (a dojechalismy o 7 wieczorem), powiem ci tylko, że po drodze z popasu w Andeer, mieliśmy jeszcze kilka pięknych wido-ków, a mianowicie kaskadę Renu, gdzie się łączy z potokiem *Averser-bach*, w dolinie tegoż imienia, i wąwóz między granitowymi skałami, *Rosla schlucht*, z kąd droga już gzygzakiem iść zaczyna pod górę. Wios Splügen, po włosku *Speluga*, leży już o 4,450 stóp nad powierzchnią Śródziemnego morza, a do najwyższego szczytu góry Splügen, który jutro przejechać mamy, jest jeszcze przeszło 2,000 stóp wysokości, bo gzygzakowa długość drogi może tysiąc razy tyle wyniesie. I tu, i w Andeer, i po drodze, wszędzie już nad sklepami są napisy włoskie, i słyszę mówiących po włosku. Jeden szczególnie wyraz „*pioggia*“, który ciągle powtarzany słyszałem, zwrócił moją uwagę. Dowiedziałem się że znaczy *deszcz*. Dzięki Bogu że się już pierwój nauczyłem „*bella ragazza*“, bo byłby to *omen* fatalny; choć bodaj że ten drugi ziści się przed pierwszym. Chmury zaczynają się skupiać, wiatr świszczce, a taki zimny, że aż mi palce krzepną gdy to piszę. Adam grzeje się przy kominku, pali

fajkę i duma. A więc idę zrobić toż samo—i ostatni raz po niemiecku, *Leb wohl!* nim przyszedł list już może włoszczyzną da Bóg zaprawię; to jest, jeśli nas jutro nie zasypie jaka lawina. Bo i góra Św. Bernarda ztąd blisko.

A na Splügen, wśród równie miejsc i przejść okropnych,
Nie ma ni świętych ludzi, ani psów roztropnych,
Aby szukać zbłąkanych w zawieruchy kłębach,
Lub wygrzebanych z śniegu nieść jak tłómok w zębach.

A zatem okoliczność złego jest gatunku,
Módz przewidywać biedę, nie mogąc ratunku.
I gdybyś rzekł — ja dzisiaj nie przeczyłbym wcale:
Że wygodniej jest siedzieć przed kominkiem w Strzale,
Siedź więc, i trzykroć jeszcze: *Bądź zdrow! Leb wohl! Vale!*

XXXIV.

Do tegoż.

Chiavenna, 25 Września 1829 r.

Był sobie jeden królewic,
Wielki admirałor dziewicz.
Słyszysz, że gdzieś za górami
Jest piękność nad pięknościami,
Królewna-wrózka, do której,
Przez morza, stopy i góry,
Cały świat jedzie w konkury.

A więc nie czekając dłużej,
Hajże na koń!—i w podróży
O nic nie dba, nic nie czuje,
A tylko się rozkoszuje
Obrazem, który sam roi,
Tęj przyszłej kochanki swojej.

Jedzie, jedzie, mil ze dwieście,
Zniósł trud, chłód, głód—aż nareście
I dojechał. Wpadł do sali—
I—Wszelki duch Boga chwali!
Widzi—kogo?—nie dziewicę,
Nie królową-krasawicę,
Ale babę czarownicę!

Włos jak wichrem rozczochrany,
Zamiast purpury, łachmany,
Zamiast wdzięków, szloch, fochy!....
On—to my; Ona—to Włochy.

To jest takie, jak nam się wydały w pierwszój chwili wjazdu dziś do nich. Bo jak królewic ów, nie

w ciemną bity, zrozumiał, że to musi być tylko próba, i nie tracąc fantazyi a zamrużywszy oczy, nuż w słodkie komplementa do ideału swych marzeń! które tak widać trafiły do serca, że gdy wnet—jak mówi bajka:

Całus słodki, jak cukrowy,
Zatamował źródło wymowy:
Przed oczyma królewnica
Stała już—nie czarownica,
Ale anioł, cud-dziewica!

Tak i my, choć bez nadziei tak słodkiego w końcu przyjęcia, spodziewamy się jednak:

Że i wpiękną Italiję,
Prędzej później, i nam i jej
Wróca: jej, właściwa postać,
A nam, chęć w niej dłużej zostać.

Tymczasem zaś musisz posłuchać:

Jakeśmy to dziś wjechali
Do tej przesławnej Italii.

Górale, widać, jak powietrzne ptaki, muszą mieć przecucie deszczu; i nie darmo, jak krzyk czajek przed słońcem, słyszałem wczoraj wszędzie po drodze, to *Regen*, to *Pioggia*; bo chociaż wtedy jeszcze ani podobieństwa deszczu nie było, nad wieczorem już każdy mógł widzieć, że będzie. Cała nadzieja była że się w nocy zacznie i skończy; a tymczasem, niestety, stało się całkiem przeciwnie. W nocy wiatr tylko świstał, jakby zwoływał chmury; i gdyśmy dziś

raniutko wyjeżdżali z oberży, jedna z nich, czarna jak niedźwiedź, leżała—(sic) leżała wprost drogi przed nami, tak, żeśmy w nią jak w ciemność wjechali. Deszczuśmy wszakże nie czuli, tylko jakby jakąś mgłę czy parę wilgotną, którą Adam przyrównał do pryskania wodą z ust dziewcząt, podczas gdy prasu ją bieliznę. Ale im coraz jechaliśmy wyżej, z chmury w chmurę, para zaczęła zlewać się w kropelki, albo ścinać się w ziarenka szronu czy gradu; aż nareście, gdyśmy dojeżdżali do szczytu, to jest do włoskiej granicy, zamieniła się całkiem, nie już w krople, ale jak w nieprzerwane nitki deszczu, które cały wkoło horyzont jak tłem włókien wełnistych osnuły. Tu więc zamiast otworzenia się nowej, wszelka nam nawet wsteczna perspektywa zniknęła; i odtąd, nie widząc nic prócz siebie, o niczem też prócz siebie samych nie mam ci do powiedzenia. Za toż powiem słówko przynajmniej choć o drodze z oberży na górę Splügen. Idzie ona ciągle gzygzakiem, tworząc kondygnacye, (których jest ze 20), tak wysokie jedna nad drugą, że najwyższe jodły, rosnące na poziomie jednój, wierzchołkami nie dosięgają drugiej, a droga z wyższych na niższych wydaje się jak żółta tasiemka. W kilku miejscach są długie sklepione galerie, nie wiem czy dla zakrycia okropnych przepaści, nad którymi wije się droga; czy dla zabezpieczenia podróży od spadających śniegów, z gór prostopadle piętrzących się nad drogą. Ze musi być jedno czy drugie, potwierdza samo nazwisko „*śmiertelnego przejścia*“ (*passo della morte*), nadane tej części

drogi. Myśmy ją przebyli bez szwanku; i tam dopiero, gdzie się miały zacząć rozkosze Edeńskie, to jest na szczycie Alp a granicy Włoch, zaczęły się dla nas istotnie próby i *sekkatury* czyszcowe. Naprzód deszcz; potem *dogana*—to jest austriacka komora celna, gdzie trzeba było wśród deszczu dobywać i rozpakowywać tłómoki; potem głód—bo w nędznym *szalecie* na górze, który ma być niby oberżą, nic zgoła do jedzenia nie było; i nakoniec bieda z językiem, który choć łaknął i pragnął, sam o chleb nawet i wodę poprosićby nieborak nie umiał. Wprawdzie mam ciągle przy sobie gramatyczkę i rozmówki włosko-francuzkie, które mi panna Flora Laskarys ofiarowała w dzień wyjazdu z Warszawy; ale cóż kiedy nawet ich kartek nie miałem dotąd czasu rozerznać; a wołałbym sto razy wertować dykeyonarz gruby jak Trotza, niż wyciągać wokabuły z Adama. Z początku wydobyłem wprawdzie wpół gwałtem jakie z parę tuzinów; ale wnet, jak sięga zakłeta, zamknął się na cztery klamry, i fuknąwszy nakoniec po swojemu: „Nie nudź mi! dajże mi pokój!” nadął się i siedział jak mruk. Musiał jednakże rad nie rad nauczyć mię frazesu: *Come si chiama questo?* to jest, *jak się nazywa to?*—z którym język mój, z pomocą wskaziciela-palca, sam sobie miał już torować drogę w ziemi włoskiej. Pierwszą nauczycielką moją podług téj metody była wprawdzie *ragazza*, ale, niestety, nie *bella*, i choć się nazywa Angelika, ze zbytniej swój chyba pulchności do aniołków Rubensa podobna. Była to służąca w oberży, w pierwszej włoskiej wioszczynie, *Campo*

dolcino, do którejśmy także gzygzakiem z góry Splügen zjechali.—„*Avete qualche cosa da mangiare?*“ (czy macie co do jedzenia?), było pierwsze moje pytanie, którego też jako człowiek przezorny, najpierw się od Adama nauczyłem.—„*Niente*,” to znaczy: *nie*, było pierwsze złowrogie słowo odpowiedzi; szczęściem że wnet dodała: „*oltre (prócz) di ravioli*.”—Ale cóż to są te *ravioli*? Że jednak pewnie nie szczury ani koty, (bo choć Włosi pono to jedzą, ale dziś przecie piątek), więc prosimy o *ravioli*. Tymczasem przy tymże samym stole, zasłanym niezbyt czystym obrusem, siedzi jakiś porządny Jegomość, którego już wczoraj zdaleka i w Andeer i w Splügen widziałem; patrzy w sufit i bębni palcami po stole. Adam także milczy nadęty, jak nastrzępiony sokół u Bohdana. A na dworze deszcz leje jak z wiadra; a jeść mi się chce przeraźliwie;—a więc z nudy i z biedy zawiązuje rozmowę z nieznajomym, i dowiaduję się, że jest Anglikiem, i że w jedną drogę jedziemy. Mówimy po francuzku. Adam patrząc na tę nową moją znajomość, kręci głową i ściska ramionami, ale sam ani słowa nie gada. Wtém otwierają się podwoje od kuchni, i ukazuje się ogromna misa cynowa, zamknięta takąż pokrywą, którą za wielkie dwa ucha Angelika dźwiga przed sobą. Stawi na stole—odkrywam—o! siurpryz!—to najprawdziwsze nasze *szoltonosy*! ¹⁾

Kształt pół-miesiąca, rąbek jak w koldunach,
I słodki twaróg we środku.

¹⁾ Pierożki z serem.

Nasz arcy-przysmak studencki w Borunach,
Zarówno jak w Nowogródku!

Adam aż się zaczerwienił z radości;—dziesięć lat, jak powiada, szkołonosów nie widział!... Ożywił się i zaczął przypominać gdzie jadał je po raz ostatni. Z twarzy Anglika odgadłem, że go to nagłe ożywienie zdziwiło. Wytlómaczyłem mu więc przyczynę. Adam także wdał się w rozmowę. A że w Anglii tej potrawy nie znają, więc wniosek, że ją do nas królowa Bona razem z włoszczyzną przywiozła. Co zaś do etymologii nazwy szkołonosów, Adam, mówiąc o tém, zaproponował mi napisać balladę, której treść sam mi podaje. Pani wojewodzina, przyjaciółka Bony, przyjeżdża do dóbr swych na wieś, i daje wielki obiad dla sąsiadów. Figurują na nim potrawy, których się kucharz Jójmości od kuchmistrza królowej nauczył. Z kolei podają *ravioli*; sama pani mówi ich nazwę. Wtém pan Podstoli, stary facetus, zawołał: „A toć to *żółtonosy* tatarskie, Mościa Dobrodziejko!”—Szlachta, która królowej i nowości włoskich nie lubi, w śmiech; a obrażona pani, do której córki zalecał się Podstolic, każe przynieść na wety i zastawić przed nim harbuza. Śmiejemy się z konceptu i probujemy układać pierwszą strofę:—aż tu nam samym na wety przychodzi wcale niepocieszna wiadomość. Furmani, nasz i Anglika, wchodzą i oświadczają, że ponieważ droga, idąca wzdłuż rzeki *Liro*, została przez powódź zniszczona, dalej już jechać nie można i trzeba iść do Chiavenny piechotą;—a to znaczy dwie mile drogi. Struchleliśmy na to *dictum acerbum*,

ale nie było co robić. Furmani sami od siebie, za umówioną do Chiavenny zapłatę, najeli dla nas trzech przewodników, po jednym dla każdego, dla przeniesienia rzeczy. Matka jednego z nich, szesnastoletniego chłopaka, przyszła sama wyprawić go w drogę i otulić przed deszczem, który lał ciągle jak z cewki. O nas nikt się nie troszczył, a więc musieliśmy sami. Adam wziął jakąś płachtę, *quasi* płaszcz jednego z przewodników; Anglik miał płaszcz z ceraty: ja zostałem przy parasolu. Tłómoki nasze przewodnicy obwiązali jakimś guniami, i wszyscy z okutymi kijami w ręku, ruszyliśmy—wcale nie wesoło. Szczęściem, że ani wiatru, ani chłodu nie było. Ale wyobraź sobie naszą podróż. Z góry deszcz, wokoło mgła, tak, że o pięć kroków nie widać; pod nogami naprzód błoto na szossie, ale wnet nad brzegiem wąwozu, w który droga całkiem zapadła, i gdzie tylko gdzieś w głębi słychać straszny szum rzeki—trzeba, żeby iść dalej, piąć się po spadzistościach góry, urwistej, kamienistej, skalistej, której wierzchu we mgle nie widać, ale z kąd co krok leci strumień wezbrany, który albo przeskoczyć, albo w bród po kolana przejść trzeba, i to jeszcze trzymając się za kij przewodnika, a opierając się na swoim, aby z wodą w przepaść nie zlecieć. Musiałem zwinąć i oddać przewodnikowi parasol, aby mieć ręce wolniejsze. Ale co to za niemiła sensacya, gdy pierwsze krople ciurkiem zaczynają przeciekać za kołnier! Ale kiedy bieda, to hoc! Najtrudniej się zrezygnować; raz wszakże zdobywszy się na to, że wszystkiem się można oswoić.

I muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że pierwszy odniosłem ten tryumf—nad sobą i nad naturą; i gdy już całkiem byłem jak w kąpielu, (notabene ciepłej nie zimnej, bo parasłupem buchała z nas wszystkich), zacząłem naprzód deklamować sam sobie w myśli różne wiersze, a potem paplać głośno pierwsze lepsze koncepta; przyczem tak mi się w końcu zrobiło istotnie wesoło, że to śnać sympatycznie oddziaływało na drugich, bo naprzód Anglik, a potem i Adam, który z początku był zły i milczący, zaczęli także gadać, żartować i śmiać się; i gdyśmy znów zeszli na szosę, za nic już nam był deszcz i błoto, po którym przecież iść było bezpiecznie. A i rozmowa przytęm szła też rzeźwo i raźnie. Anglik, pierwszy porządny i nie tylko z postaci człowiek, którego dotąd z jego ziomków spotkałem, (kto jest i jak się nazywa, nie wiem), opowiadał nam, (po francuzku), o górach szkockich, wśród których niegdyś całe lato przepędził. Adam mówił mu nawzajem o Krymie, a ze mną przypominał różne swoje zdarzenia: polowania, podróże, przechadzki, kiedy także zmokł był do nitki. Ja najczęściej słuchałem lub marzyłem swoje; ale tak mi wciąż było miło i rozkosznie, że szczerze tobie powiadam, iż po czterogodzinnym marszu, w taki deszcz, w takie błoto, nie tylko się nie czułem znużonym, ale nawet prawie ze smutkiem spostrzegłem, naprzód winnice, potem orzechy włoskie i kasztany wzdłuż drogi, (bo dotąd w całej tej peregrynacji nic prócz gór, skał i jodeł nie widziałem), i nakoniec dość nędzne pier-

wsze domki, pierwszego włoskiego miasta, czy miasteczka Chiavenny.

O! młodości! o poezyo! o! *belle ragazze!* bo z tych to trzech ingrediencji w marzeniu składał się ów kordyał duchowy, który mię tak w trudzie pokrzepiał, a mgłę i słotę w myśli rozpogadzał. Początek też tego listu ułożyłem wtedy. Że jednak i ruch fizyczny, i włoskie może powietrze nie były w tém tak-że bez wpływu, dowód jest, że równo z wejściem w ciasne i puste ulice miasteczka, wszystkie te piękne marzenia zniknęły, a humor, jak barometr, spadł do punktu rzeczywistości, tak, że ostatnią cytata w progu oberży były owe znajome wiersze Krasickiego:

A naprzód, Mości Xiąże, trzeba o tém wiedzieć,
Że jeśli dobrze jeździć, lepiej w domu siedzieć.

Adam zaś kazał mi w moim dzienniczku zapisać axioma: że k... kto podróżuje w jesieni.

W téj chwili jest już godzina po dziesiątej, a przyszliśmy tutaj o szóstą. Adam już śpi, na łóżku jeszcze wyższem i szerszem niż szwajcarskie, na jakie i ja także mam się zaraz wgramolić. Przez cały wieczór, przed rozłożonym na kominku ogniem, suszyliśmy przemokłe odzienie; bo nowego z tłómoka dostawać się nie chce, a i cóżbyśmy z mokrem zrobili? Adam zwłaszcza, siedząc na ziemi, ze szczególną troskliwością suszył swoje pończochy, które sam sobie naprzód w misce wody przepłókał. Deszcz tymczasem jak lał, tak leje; mimo to, razem z An-

glikiem, zamówiliśmy już na jutro rano extrapocztę do *Riva*, z kąd mamy się ambarkować na jezioro *Como*. W *Como* więc ten list skończę i oddam na pocztę. *Buona notte, carissimo mio!*

Como, 26 Września, godz. 10 wieczorem.

Raniutko dzisiaj o godz. 6 wyjechaliśmy z *Chiavenny*, extrapocztą z Anglikiem. Deszcz taki sam jak wczoraj. Droga całkiem w wielu miejscach zalana, w jedném stała się główném korytem wezbranej rzeki czy rzeczulki *Liro*, która jak nasza *Wilenska*, choć zwykle pono spokojna i cicha, niekiedy takie sztuki wyprawia. Miejsce to trzeba było omijać jadąc obok po wierzchu jakiegoś starego, ale dość szerokiego muru, jakby wału, z którego jednak, nie dawniej jak wczoraj, trzy konie z jakimś wozem spadły i utonęły. Szczęściem że tę ośmielającą wiadomość pocztylion udzielił nam nie pierwój, aż gdyśmy już tę *Charybdę* przebyli. Miasteczko *Riva* całkiem jest pod wodą. Nie dojeżdżając wsiedliśmy do batu, okrytego prostém płótnem, gdzie już było czterech innych podróżnych, i wpłynęliśmy na jezioro *Como*, wązkie dosyć w tém miejscu i otoczone górami. Deszcz i mgła zasłaniały widoki. Około godziny jedenastej niebo się zaczęło rozjaśniać, odkrywając nam brzegi, piętrzące się wszędzie górzysto i bujną roślinnością okryte. Przypłynęliśmy do miasteczka *Domaso*, do samych drzwi pocztowego domu. Najstarsi ludzie nie

pamiętają takiego wezbrania jeziora. Nadbrzeżne ulice i domy do połowy wodą zalane. Samo miasteczko nędzne, ulice wązkie i nadzwyczaj brudne. Wyszedłem chcąc kupić owoców, i w jakimś małym sklepiku, gdzie się sprzedawały cygara, znalazłem gospodynię Niemkę, wcale hożą i młodą blondynkę. Pierwszy raz język niemiecki zdawał mi się mieć tyle wdzięku; ona też rada była nim mówić. Żeby mi więc oszczędzić fatygi, posłała sama sklepowego chłopaka, aby mój sprawunek załatwił; a gdy wrócił, wysłała go znowu, aby mi szwajcarskiego talara rozmienił; przyczém nauczyla mię wartości drobnej włoskiej monety, i nazwania po włosku rozmaitych owoców. Lekcje te trwały z godzinę; za co dostałem burę od *Adama*, który myślał że się utopił. O pierwszój przyszedł statek parowy *Lario*, i zaraz popłynęliśmy dalej. Brzegi wkoło jak panorama. Góry okryte winnicami, ale różnemi całkiem od niemieckich. Tamte podobniejsze do naszego chmielu, te zaś do szkółki karłowatych drzewek. U stóp gór białe domki i małe wioseczki. Wkoło nich bujne drzewa różnego rodzaju: kasztany, cyprysy i mirty. Kilka z nich mianowicie prezentowało się bardzo malowniczo. *Adam* tylko na cyprysy nie łaskaw. A są też i wspanialsze wille, jak pałacyki, bardzo wdzięcznej architektury, z tarasami, galeryami, krużgankami i posągami; ale widać że wszystkie są puste, zapewne skutkiem powodzi, bo wszystkie okna zamknięte żaluzjami, a do dolnych woda dosięga. To jest ogólny obraz nadbrzeżnych widoków, które deszcz wnet znowu zasło-

nił i lał godzin ze dwie bez przerwy. Zeszliśmy więc do kajuty i przypatrywaliśmy się Włochom, których mnóstwo, śnać robotników wiejskich, na niedzielę zapewne płynęło do miasta. Co to za różnica od Niemców! Krzyk i hałas jak u nas w karczmie na kiermaszu, kiedy goście już dobrze podpiją. Na całej *Vogelwie* w Dreźnie ani połowy takiego gwaru nie było. Podzieleni na grupy, niektórzy grali w karty, inni zaś w jakąś grę narodową na palcach, której dobrze zrozumieć nie mogłem. Stojąc w kółko po kilku, wszyscy za jednym razem wyciągają na środek zaciśnione pięście, i krzycząc na całe gardło: *ten tre*, *ten cinque*, *ten due*, i t. d. otwierają, to całą dłoń, to jeden lub kilka palców. Zdaje się, że chodzi o to, aby zgadnąć z góry, kto ile palców otworzy; bo zaraz potem następują śmiechy, obliczanie się, i na koniec rozpłata. Ale wrzask zawsze, że aż uszy więdną. Przytém fizyognomie nadzwyczaj ruchliwe; ciągłe gesta, nie tylko rękami, ale nawet minami twarzy, tak, że nie można było wstrzymać się od śmiechu. Adam ostrzegał i fukał, żeby się nie śmiać, jeśli nie chce szturchać oberwać. Ale to widać jacyś dobrzy ludzie! bawią się sobie sami i pozwalają drugim. Jeden z nich, jakiś gruby i wysoki Samson, w wytartym manszestrowym spencerze, który krzyczał i gestykulował najwięcej: widząc jak się przyglądam ciekawie, zbliżył się i zagadał coś do mnie po włosku. Skłoniłem się i rozstawiłem ręce, na znak że nie rozumiem.— „*A, a! signor straniero!*“ zawołał. „*Inglese? Tedesco?*“— „*No, Polacco,*“ odpo-

wiedziałem.— „*O! Polacco! bravo Polacco!*“ krzyknął znowu tonem rubasznym, i podał mi dłoń szeroką, szorstką i czarną jak łapa niedźwiedzia. Adam wnosi, że to musi być kowal. Gdybym się umiał rozmówić, pewnobym z téj znajomości korzystał. Ale skończyło się na uścisku ręki, i on znowu odszedł do swoich.

Po trzech przeszło godzinach żeglugi zawinęliśmy na koniec do Como, i tu jest najciekawszy epizod dzisiejszej naszej podróży. Wszystko, co kiedy sobie roiłem o Wenecyi, rzeczywiście spotkało mię w Como. Miasto od strony jeziora do połowy wodą zalane, i to do takiej wysokości, że ogromny nasz statek parowy zamiast zatrzymać się w porcie, ruszył wprost jak kareta do miasta, i płynąc środkiem ulicy, zatrzymał się dopiero na rynku. Ale i tutaj jeszcze nie wysiedliśmy na ląd, a tylko przesiedliśmy się na jedną z małych łódek, które dokoła otoczyły statek, zabierając i rozwożąc w różne strony podróżnych i paki. Myśmy popłynęli na pocztę, gdzie nam miano odebrać paszporta, które na statku zabrano, i z kąd mieliśmy zaraz jechać do Medyolanu. Już miałem wziąć bilety na dyliżans, kiedy jakiś grzeczny jegomość, widząc mój strój podróżny i pośpiech, zapytał mię z włoska po francuzku, czy mam już paszport w kieszeni? i radził mi lepiej zaczekać, niż darmo za bilety zapłacić; gdyż policja tutejsza, jak mówił, nie kwapi się bynajmniej z expedyowaniem paszportów, a dyliżans na nikogo nie czeka. Usłuchałem, i źle wyszedłem: ale to wcale nie z winy mego uprzejmego

doradcy, który owszem tak był dobry i grzeczny, że sam ze mną poszedł na policją, (dobre pół wiorsty), i chciał mi dopomagać w wydostaniu paszportów. Odpowiedziano naprzód gburowato, że ich jeszcze nie przyniesiono ze statku; a gdy to właśnie nastąpiło przy mnie, na ponowne przypomnienie się moje, dano mi tymże tonem odpowiedź, że jeszcze *Signor Commissario* nie przyszedł. Paliło mię jak ogniem to oczekiwanie, tém bardziej, że byłem pewny, jak się tam Adam musi niecierpliwie, pilnując rzeczy na poczie. Pobiegłem więc wczuwał do niego, żeby mu to powiedzieć, i znowu na policję wróciłem. Czekałem jeszcze blisko pół godziny, a gdy już z paszportami co tchu znowu na pocztę przybiegłem, wszystkie miejsca, niestety! były już w dyliżansie zajęte. Anglik, który nieprzestrzeżony, wziął bilet wnet po przyjeździe, pojechał, a my osiedliśmy na koszu, i musieliśmy szukać noclegu. Adam był w najgorszym humorze, i mnie całą winę przypisał. Zły byłem szczerze za tę niesprawiedliwość, ale zaciąłem zęby i milczałem. Dopiero gdyśmy się rozlokowali w bardzo wygodnym pokoju na poczie, i gdy po dwóch szklanekach herbaty, jemu zły humor, a mnie złość odeszła, wystąpiłem z perorą, wykazując moje niewinność a jego niewyrozumiałość. Milczał uśmiechając się, i za całą odpowiedź zaczął mię tylko gładzić po swemu i pocałował serdecznie. Niezłe to się czasem pokłócić, żeby potem kochać tém żywiej. Bez tego nie byłbym pewnie, jak się czuję w tej chwili szczęśliwym, po najmielszej naprzód rozmowie, a potem długiej

przechadźce po suchych ulicach miasta, a przypatrywaniu się zalanym, po których uwijają się łądki. Gospodarz nam na jutro rano obiecał dostarczyć weturyna;—a więc spokojnie oczekując jutra, idę odpocząć po burzliwem dzisiaj. Dobranoc!

27 Września, Niedziela, godz. 8 rano. Como.

Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Gdybyśmy pojechali wczoraj dyliżansem, nie widzielibyśmy Como, które przecież warte widzenia, i nie doczekalibyśmy pogody, której widok przy obudzeniu ożywił nas i rozweselił. O szóstą byliśmy już w kościele *della Croce* (Ś. Krzyża). Ludu tłum, ale ciżba i nieporządek, nie tak jak w Niemczech. Nie można nawet było docisnąć się do ołtarzów, żeby się przypatrzeć obrazom. Jest to podobno jedyny dziś kościół, do którego ładem wejść można. W krużganku siedzą baby jak u nas, sprzedając, jak w Ostrój Bramie, książki do nabożeństwa, różańce i medaliki. Z kościoła po mszy poszliśmy do kawiarni, która znowu przypominała nam naszą akademicką kawiarnię u *Tereski*; tylko że większa część gości, wnosząc z ubioru, składała się z tej klasy ludzi, której nie tylko u nas, ale nawet i w Niemczech, nigdy nie widziałem w kawiarniach. Adam mówi, że to już cywilizacya.—Słyszając dwóch jakichś panów mówiących po niemiecku, przysunąłem się do nich i dowiedziałem, że najpiękniejszy kościół tutejszy, katedra, cała z marmuru, jest tak da-

lece zalana, że łódką można wpłynąć do środka. Skusiło to mię bardzo. Adam z początku nie chciał, ale się dał namówić, i sam potem kontent był z tego. Bo jeśli dość już oryginalnie płynąć łódką środkiem ulicy, to cóż dopiero wpłynąć do środka kościoła! Ławki do połowy zalane. Podpłynęliśmy aż pod samo prezbiterium, i gdyby nie brak czasu, pływałbym tam nie wiem jak długo, tak mię ta żegluga bawiła. Kościół duży i piękny, ale mię przedewszystkiem zajmowała woda. Wysiadłszy znowu na sucha, spotkaliśmy processyą, idącą gdzieś za miasto, do jakiegoś cudownego obrazu, dla uproszenia pogody. Nasamprzód szły kobiety. Co kilka par, jedna ze starszych mówiła głośno *Ave*, i t. d., obok idące odpowiadały *Sancta Maria* i t. d. Było ich może ze sto. Pojmujesz, że patrzałem ciekawie; ale cóż, kiedy ani jednej prawdziwie pięknej nie było. Za toż przypatrzyłem się narodowym strojom. Najogólniejszym i charakterystycznym rysem jest zapięcie włosów z tyłu mosiężnemi lub cynowemi, jasno błyszczącymi szpilkami, w kształcie wachlarza. U spodu dwie długie strzały, z tegoż samego metalu, stercząc z obu stron, przepinają warkocz. I na tém koniec wrażeń moich w Como. Wiemy, że gdzieś blisko pod miastem mieszka tu sławny nasz doktor i professor wileński, Frank, ale nie było czasu go odwiedzić. Przed kościołem i na ulicach, co kilkadziesiąt kroków, siedzą baby przy żelaznych piecykach, na których warzą i pieką kasztany. Za dwa soldy dano mi ich czterdzieści. U nasby tyle bobu za dwa gro-

sze nie dostał. Fig świeżych i winogron mnóstwo. Figi tak coś dla mnie mają wstrętnego, że ledwie jedną tylko, jak niegdyś ostrygę w Petersburgu, przez gwałt dla pokosztowania przełknąłem. Adam przeciwnie dosyć w nich smakuje. Jabłek dobrych nie widać; funt gruszek kosztuje 6 soldów, ale nasze winiówki i sapieżanki (a zwłaszcza w *Zapolu*), smaczniejsze. Powiedz o tém Żegocie i uściśnij go od nas. Za kwadrans mamy wyjechać—a i papier się skończył. A więc *Addio, caro mio!*

XXXV.

Do Ignacego Chodźki.

Medyolan, 1 Października 1829 r.

Który to już ja list piszę do ciebie, to jest w którym kraju już jestem! Nie idzie mi o obliczanie; chcę się tylko pochwalić nawiasem, jak rzetelnie dotrzymuję obietnic. Piszę z Lombardzko-Weneckiego królestwa, i kto wie, czy obu tych składowych jego części za osobne uważać nie będę. Tymczasem jestem w stolicy Lombardyi; jestem już od dni pięciu, i już ruszamy dalej — wprost do *pięknej* Wenecyi. Zmiłuj się tylko, dobrodzieju! nie nastrajaj się bardzo na słuchanie rzeczy ciekawych i wielkich. Bo chociaż tu i są takie: pamiętaj! że w małym lusterku, Alpy się nawet odbijają maleńko.

Najlepiej pono więc zrobię,
Gdy bez kłopotu i trudu,
Pisać wam będę o sobie,
Jak dudek woła wciąż *du du*.
Choć z tychto bodaj pobudek
Głupiec też zowie się: dudek.

Otoż w ostatnim liście do Juliana dojechałem do *Como*. Teraz wyjeżdżam ztamtąd *wetturynem*, to jest furmanem, kareta parokonna, na cztery osoby wśród-

ku, a na dwie w kabryolecie na przedzie. Towarzyszymi naszymi są jacyś dwaj panowie z *Como*. A jest to niedziela, ranek, i pierwszy dzień pogody, który mamy we Włoszech. Góry pozostają za nami; przed nami zaczyna się płaszczyna; ale nie step, nie piaski—gdzie tam!

Cały kraj jak ogród jeden,
A ten ogród—to jak Eden!

Wyobraź tylko sobie. Droga prosta jak okiem zarzucić; po obu stronach, w ukośne rzędy nakrzyż sadzone drzewa morwowe, o szerokich zielonych liściach; pomiędzy nimi, jak bluszcz lub powoje, rozwiedzione gałęzie latorośli winnych, wiszą jak zielone girlandy, obciążone przepysznyimi gronami, to zielonych, to ciemno-brunatnych jagód, a wielkich jak wiśnie lub trzśnie; a cała ziemia u spodu zieleni się i złoci zarazem: zieleni się szerokimi liśćmi, a złoci się kitami kukuruzy, które wysterkają z pod liści. Takiej kultury i takiego bogactwa kraju nigdy nawet wyobrażenia nie miałem. A jako dla gospodarza, nie obojętne ci może będą i te wiadomości, które powziąłem od towarzyszków podróży, nie wprost, ale za pośrednictwem Adama, który sam był ciekawy i pytał ich o to. Ja, niestety, jestem jeszcze jak niemy i głuchy; co słyszę, nie rozumiem; a cobym chciał powiedzieć, nie umiem.* Teraz już trochę inaczej, ale mówię jeszcze o *wtedy*.

Otoż wiedz, jeżeli nie wiész, jak i ja nie wiedziałem, że tu są dwa do roku zasiewy i zbiory. Na-

przód zasiewa się pszenica i żyto, które zbierają się w czerwcu; potem sięją proso i kukuruzę, która właśnie teraz dojrzewa. Pszenica i żyto należą wyłącznie do właścicieli ziemi, proso zaś i kukuruzę do włościan, którzy za to obrabiają im grunta, na których mieszkają za kontraktami, mając prawo i wolność wymówić je i przejść z miejsca na miejsce raz do roku w dzień Ś. Marcina. Winem dzielą się po połowie z panem. Największy podobno dochód przynoszą właścicielom drzewa morwowe. W czasie karmienia jedwabników na wiosnę, funt liści płaci się po 5 do 7 soldów. Teraz drzewa okryte są już powtórny liściem, który służy tylko za karm dla bydła.

Teraz po tych poważnych *nocyach* gospodarskich, masz poetycko-malowniczy obrazek.

Przejeżdżając przez jedną wioskę, o białych, mурowanych, a przynajmniej tynkowanych domkach, widzimy całą ulicę wysypaną kwiatami; w górze, w poprzek od domu do domu, porozwieszane różnobarwne festony, z mchu, liści, kwiatów, albo z chust i płacht różnych, takimiż festonami związanych. Była to kościelna jakaś uroczystość miejscowa, na którą właśnie czekano processyi z Como, którąśmy z tamtąd wychodzącą widzieli. Po drodze napędzaliśmy także mnóstwo ludzi śpieszących na nią. Na jednym, dwukołowym, jednokonnym wózku, jechało aż siedmiu Włochów, siedząc i stojąc. Adam ułożył dystych:

Na jednej biedzie
Siedm Włochów jedzie.

Ale najbiedniejszy był koń, który musiał wszystkich ich ciągnąć; bo na nich samych biedy nie widać; ubrani porządnie i czysto, a wrzeszczeli i śmieli się na całe gardło. Kilka podobnychże wózków było zaprzężonych osłami. Przed cmentarzem przy kościele, na drodze, stał stolik okryty całunem, a na nim trupia głowa, krzyż i skarbonka; na cmentarzu zaś, obok kościoła, widać było w perspektywie coś naksztalt katafalku, to jest jakieś podwyższenie, także całunem okryte. Towarzysze nasi objaśnili nam, że to jest taki zwyczaj zbierania jałmużny dla sierot, podczas uroczystych nabożeństw i odpustów.

Nic zresztą szczególnego nie widzieliśmy na drodze z Como do Mediolanu, a i sam Mediolan z początku nie najlepiej nam się przedstawił. Wjechaliśmy przez bramę *Domazańską*, wystawioną, jak świadczy napis, przez kupców Medyolańskich, na cześć cesarza Franciszka I-go „najlepszego i największego.“ Nie wiedziałem, że go tak Włosi kochają, i że on taki wielki. Miasto z tego wjazdu dość brudne, ale ulice ruchliwe. Weturyn zawiózł nas do jakiegoś oberży *pod Jagnięciem* (*al Agnello*), ale tak się nam zdała do owczarni podobną, że zostawiwszy Adama przy rzeczach, puściłem się na wyszukanie lepszej, i trafiłem pod *Sokoła*. Ale i ta o tyle chyba lepsza, o ile ptasznik od chlewa. Izby i wschody ciemne; ściany i sprzęty brudne; podłogi ceglane, dla zapobieżenia gorącu. Jużciż być muszą w mieście czystsze i wspanialsze hotele; aleśmy już pod skrzydłem *Sokoła* zostali, żeby dalej nie szukać.

Przebrawszy się co prędzej wyszliśmy na miasto, a że tu wszyscy chodzą w trzewikach, więc i myśmy je sobie kupili. Miasto, jako miasto, nie nazbyt nas zachwyciło z początku. Ulice po większej części ciemne, domy stare; ale rozpatrzywszy się bliżej, już ciż to wielki i wspaniały gród, i dla tego ma tytuł *la grande*; po Rzymie i Neapolu trzecia wielka stolica Włoch. Gmachów dużych i pięknych tłum; ale *soliter* pomiędzy niemi, to katedra nad katedrami! Nie ubliżam bynajmniej tym, które admirowałem w Niemczech; ale tam najpiękniejsze mają mniej więcej podobne do siebie; ta, jak słońce, jedna na świecie. Będzie o niej osobny paragraf listu, a i obrazek jej kupię dla ciebie. Wprzód chciałbym tylko jeszcze oprowadzić cię nieco po ulicach miasta, po których to z Adamem, to sam jeden, zwijam się jak *perpetuum mobile*, strzelając baki i łapiąc wrażenia.—Zaczynam od najmiłszych—od Medyolanek, które tak mi się zdają piękne jedna w drugą, że mi już oczu nie staje, aby się im wszystkim przypatrzeć. Dziwny wdzięk jakiś w ruchach, w postaci, w ubraniu, a zwłaszcza w ubraniu głowy. Nie noszą kapeluszków, ale czarne koronkowe woale, srebrnemi lub złotemi szpilkami na kokardę u grzebienia zapięte, i po obu stronach wzdłuż twarzy w fałdach spływające na szyję. Twarzyczki w takich ramkach wydają się tém bieliej, a każda prawie ujęćby mogła za model do Madonny, albo do aniołka. Nie przykrą im być musi ciekawość, która się widać w oczach moich maluje, bo mię wzajem obrzucają w przechodzie to gwiazdzi-

stém, to iskrzystém spójrzeniem, a często i uśmieшек przebieży po ustkach. Ale i płęć mężka tutejsza niemniej się uprzejmością odznacza. Na każde o cobądź zapytanie, każdy odpowiada z grzecznością, a nieraz zapytany o drogę wracał wstecz kilkadziesiąt kroków, aby mi ją palcem pokazać. Co za szkoda, że gadać z nimi nie umiem! chociaż już mnóstwo rzeczy wiem *come si chiama*, to jest, jak się nazywa. Za toż oczy pracują najwięcej, a pole do tego obszerne. Całe tu życie, jak widzę, odbywa się najczęściej pod otwartém niebem, jak nam Groddeck o życiu dawnych Rzymian powiadał. Nie tylko na ulicach ruch i gwar we dnie i w nocy; nie tylko wszystkie sklepy i kawiarnie, (a jest ich co niemiara), ale nawet prywatne mieszkania i warsztaty na dole, wszystkie są całkiem od ulicy otwarte, tak, że wygodnie widzisz co się wewnątrz dzieje. Wieczorem zwłaszcza, przy rżęśistém oświeceniu tych sklepów i kawiarni, ciekawy to i uroczy widok. Katedralny plac pod tym względem jest szczególnie zachwycający. Cały zalany światłem, że choć szpilki zbieraj na bruku, ściele się jak ognisty kobierzec u stóp téj cudnej, pysznej, olbrzymiej budowy, co na nim, jak królowa stojąca na tronie, sama dumnie rośnie ku niebu, i panuje *urbi et orbi*. Obym mógł, jak mam w duszy, wyśłowić ci jej obraz! Wtedybyś to dopiero podzielał mój podziw i zachwyt, który może inaczej zda ci się przesadą. Bo naprzód wyobraź sobie, że oprócz ogromu i kształtu, który masz widzieć na rysunku, cały ten gmach jest nie z kamienia, nie z cegły, ale z bia-

łego marmuru; że na wszystkich tych wieżyczkach i łukach, które dach jego stanowią, (a jest ich sto bez czegoś), na wszystkich ich krawędziach i ostrzach, stoi nieprzeliczony tłum białych posągów, (a jest ich kilka tysięcy), które widziane z dołu, na tle niebieskiego błękitu, zwłaszcza przy świetle zachodzącego słońca lub wschodzącego księżyca, czynią wrażenie duchów ulatujących w powietrzu, białością i blaskiem promiennych. Całe dwie godziny onegdaj sami jedni chodziliśmy pomiędzy nimi po dachu, admirując zbliżka ich rzeźbę, a z wieży kraj okoliczny. Jest to równina od północy zamknięta Alpami, które się wydają jak chmury, a dookoła płaski i niknący w przestrzeni jak morze—tylko że nieruchome i całkiem zielonego koloru, a to od drzew morwowych, których wierzchy, złane w jedną powierzchnię, nic innego widzieć nie dają, prócz bielejących między nimi wsi, domów i wieżyc kościelnych. Samo miasto, widziane z góry, rozległe, otoczone wałami, piętrzy się mnóstwem kościołów (a jest ich 80), i zieleni się mnóstwem ogrodów. Byliśmy we wszystkich celniejszych; — ale się nie bój! nie będę ciebie nudził ich nomenklaturą, a tém mniej opisami rzeźb albo obrazów, *gwoździ* którychto mianowicie podróżnicy zwiedzać je zwykli. Nie wspomnę nawet o sławnym *Wieczery Pańskiej*, Leonarda da Vinci; raz, że wiesz pewno o niej lepiej z kądiną, a powtóre, że więcej byłoby do mówienia o zatartych, niż o pozostałych pięknościach tego cudnego fresku. Ale za to powiem ci w ogólności o sobie, że z wielkim podziwieniem własnym, w mia-

re jak coraz więcej widzę posągów i obrazów, zaczynam dostrzegać sam w sobie nie tylko upodobanie, ale nawet instynktowe poczucie ich artystycznej piękności; kiedy przeciwnie w muzyce, sama tylko prostota lub rzewność melodyi do serca mojego przemawia. Adam nawet to zauważał; a ja zastanawiając się nad tém, myślę, że musi to pochodzić z téj samej jakiejś wrodzonej przyczyny, dla której wszystkie żywe twarzyczki i figurki tak prędkie i tak miłe czynią na mnie wrażenie; czyli, podług teorii pana Tomasza, że się *promionki* plastycznej piękności tak jakoś we mnie odbijają w duszy, że zaraz tworzą w niej tęczę—i to wcale nie jako godło nadziei, do której żadnej nawet pretensyi nie roszczę; ale wprost jak ozdobę firmamentu myśli, która je same w sobie tylko rozpogadza, a ze światem i z ludźmi *sprzymierza*.

Ale jeśli pomijam milczeniem malowane i kamienne piękności, na któreśmy po godzin kilka codziennie, to we właściwej galeryi tutejszej, to na wystawie sztuk pięknych, to po różnych kościołach patrzali; to spodziewam się jednak, że będziesz mi wdzięczny, gdy ci powiem o widowisku, co samo do sennego marzenia podobne, i malarstwo razem, i rzeźbę, w żywy sposób uosabia na jawie. Mówię to o balecie—ale nie o takim jak u nas, co to się tylko na wykręcaniu nóg i wykręcaniu się na palcach, lub na sztucznych skokach zasadza; lecz o balecie tutejszym, jedynym pono w tym rodzaju na świecie, który się przy teatrze *della Scala* znajduje. Sam ten teatr jest jednym z najsławniejszych i największych we Wło-

szech, i występują na nim w tej chwili najslawniejsi w Europie śpiewacy: *Tamburini*, *Rubini*, i pani *Lalande*. Pierwszego zaraz dnia po przybyciu poszliśmy tam o pół do ósmej. Grano operę Rossiniego, *Gazza Ladra* (Sroka złodziej), w której wszyscy ci występowali. Widowisko trwało do pierwszej po północy: ale najwięcej czasu zabrał balet: *Ottaviano in Egitto*, (Oktawiusz w Egipcie). Jest to cały dramat mimiczny, w którym właściwe tańce, co się u nas zowią baletem, stanowią tylko epizod (*divertimento*). Mimika tu jest wszystkiem—ale co za mimika! Nie tylko doskonale zastępuje słowa, tak, że każdy gest, każde skinienie, najdobitniej myśl swoją i znaczenie wyraża; ale każdy ruch, każda poza, czy to pojedynczych osób, czy chórów, jeśli same nie są naśladowaniem arcydzieł pędzla czy dłota, mogłyby ujęć za ideał dla malarzy albo rzeźbiarzy. Primadonna, pani *Bencini*, przedstawiająca żonę Antoniusza, cała w bieli, w tunice rzymskiej, była jak ożywioną statua Gracyi; i jeżeli Byron harmonię rysów piękności trafnie nazwał *muzyką w twarzy*; to jej wdzięk, giętkość, i swobodę ruchów, tém słuszniej zważy można *muzykę w postaci*, że wszystkie odpowiadały tonom, a odbywały się w takt muzyki, ciągle z cicha przegrywającej w orkiestrze. Gdy zaś scena napełniła się tłumem; gdy tłum ten, podzielony na grupy, to się rozsypywał, to zbiegał, jak obrazy w kalejdoskopie; gdy np. po bitwie zwycięzcy Rzymianie we zbrojach, jak żywa płaskorzeźba zbiegając po wschodach, w oka mgnieniu całą salę zaleli; było w tém

cóż tak zachwycającego, że ci tego wypowiedzieć nie umiem. Same przytém dekoracye i stroje odznaczały się takim przepychem i wdziękiem: że nie już tylko ja, ale i Adam, który rad z moich extazy żartuje, tą razą był zarówno ze mną oczarowany, i całe to przedstawienie nazwał snem Tysiąca Nocy i jednej. Nie miałem nawet ochoty i czasu przypatrywać się teatrowi i lożom; ale wynagrodziłem to sobie nazajutrz. Grano operę *Saul* (muzyka *Vaccai*), strasznie nudną, i tenże sam balet. Wrażenie ostatniego było niemniej miłe, chociaż nie tak już może zadziwiające jak wczoraj; ale za toż podczas opery, w obserwacji tylko szukałem lekarstwa na senność. Jak scena, tak sala dla widzów, mają równie olbrzymie rozmiary. Samych łóż jest sześć pięter, a w każdym rzędzie po 36. Szóste piętro stanowi już galerią (*logione*). Poszedłem tam przez ciekawość podczas między-aktu. Pomimo kontramarki nie chciano mię wpuścić, ale pół *cwancygiera* ułatwiło sprawę. Gdybym miał język w ustach zabrałbym może niejedną miłą znajomość, bo towarzystwo, jak widziałem, było bardzo przystępne, wesołe i rozmowne. Ja tylko przypatrywałem się wszystkiemu, a najciekawszym dla mnie był widok z góry wnętrza niektórych łóż niższych, w których nie były zasunięte franki, znajdujące się przy każdej. Obok łóż są gabinety, oświetlone i umeblowane, w których mężczyźni i damy, to grają w karty, to siedzą i rozmawiają, tak, że łóż od strony teatru są puste, i napełniają się dopiero wtedy, gdy jest co szczególnego do widzenia lub do

słyszenia. Wiedzieć zaś łatwo co kiedy nastąpi, bo tu nie codzień dają nowe sztuki, ale na każdy sezon są tylko dwie lub trzy opery i parę baletów, które się powtarzają naprzemian. W ciągu naszego pobytu balet nawet był ciągle ten sam. Ale stosuje się to tylko do teatru opery i do *Maryonetek* (w teatrze *Gérolamo*), które tak są ulubioném widowiskiem dla ludu, jak opera dla wielkich panów. To też musisz wiedzieć zapewne, że teatru opery we Włoszech nie są tylko miejscem spektaklu, ale i towarzyskich schądek wieczornych. Zamiast przyjmować odwiedziny w domach, przyjmują je po łóżach, których dwa pierwsze piętra są tu wciąż, jakby prawem dziedzictwa, abonowane przez możniejsze rodziny, i tylko z wyraźnego ich upoważnienia bywają niekiedy na sprzedaż. W teatrze tak zwanym *Królewskim* (*del Re*), gdzie przedstawiają tylko komedye i dramata, rzecz się po naszymu odbywa. Teatr bez porównania mniejszy od opery; ma cztery rzędy łóż, w każdym po 16, a w tém jest już i paradyż. Byliśmy w nim onegdaj na komedyi Goldoniego: „*I Rusteghi*”, co u was Szubrawców znaczyło *Rustykanie*. Zrozumiałem zaledwo przez piąte dziesiąte, ale przedziwna gra aktorów, pełna żywości i naturalności, niezmiernie mię zajmowała. Adam nieraz śmiał się serdecznie. Fatalném tylko było, że spóźniwszy się nieco, nie dostaliśmy już miejsc siedzących i musieliśmy stać na parterze. To też nie mogliśmy dotrzeć do końca, i wyszedłszy o 11-tój, do północy chodziliśmy po mieście, a o północy dopiero piliśmy herbatę w ka-

wiarni, gdzie było ludniiej i gwarniej niż we dnie. Wczoraj byliśmy na *Maryonetkach*, w teatrze *Gérolamo*, i tu znów całkiem nowy i oryginalny spektakl. Lalki ruszają się i gestykulują tak zgrabnie, iżby je można było wziąć za żywe istoty; głos zaś, czy głosy, z za sceny utrzymują między niemi dyalog. Słowa są w dyalekcie lombardzkim, którego Adam zgoła nie rozumiał; ale że być muszą dowcipne, a przynajmniej bardzo wesołe, świadczyły o tém śmiech głośny i nieustanne okłaski słuchaczy, którymi wszystkie miejsca były jak nabite.

Masz więc tedy, kochany czytelniku, dokładne zdanie sprawy ze wszystkich czterech wieczorów, które do dzisiaj przebyliśmy tutaj. Co zrobimy z dzisiejszym, nie wiem; ale ponieważ pogoda i ciepło, mamy projekt iść na spacer za miasto, na co dotąd czasu nie było. Wprawdzie wstajemy codzień bardzo rano i ubieramy się natychmiast; ale nim się w kawiarni przeczyta gazeta, nim się cygarko wypali, to już i czas albo do galeryi, albo do biblioteki (*Ambrosiana*), albo na wystawę sztuk pięknych; albo też bierze ciekawość obejrzeć wszystko po mieście, co ci „Przewodnik podróży” zaleca. A jak wejdiesz do jakiego kościoła, jak zaczniesz z głową zadartą chodzić od pilastru do pilastru, od obrazu do obrazu; to tak ci po dwóch godzinach głowa i nogi osłabną, że już do dalszych spacerów nie ma ani siły, ani chęci. A że nie mamy tu zgoła ani jednej żywej duszy znajomój, a przy znużeniu patrzeniem na jedno i to samo, mówić o tém nie bierze ochota: jedynem przeto ode-

technieniem i pokrzepieniem jest się gdzie przed jaką kawiarnią, na wystawionem na ulicę, słomą wypłatanem krzeselku, i przypatrywać się żywym obrazkom, co ci z pod czarnych woalików, jak malowane z za firanek błyskają. I rzecz dziwna, że to patrzanie nie tylko wcale nie nuży, ale owszem — mnie przynajmniej — orzeźwia; tak, że po jakiejś godzinie znów się czuję zdolnym do pracy, to jest znów do patrzenia na przedmioty martwe. Adam rozumniejszy odemnie, nie dba i nie troszczy się o to, aby miał widzieć koniecznie wszystko, co gdzie jest do widzenia. Ja czuję, że to lepiej, ale go naśladować nie umiem; a mając do wyboru, albo znużenie chwilowe, albo potem niepokój i wyrzuty sumienia: wolę już z biedy pierwsze, choć to czasem bywa nad siły. Dla tego też z prawdziwą przyjemnością powitałem onegdaj kilkogodziną ulewę, która gwałtem zamknęła nas w domu, a ja nie tylko przez to wypocząłem, ale i miałem czas przecie nauczyć się na pamięć jak student deklinacyi, konjugacyi i części mowy nieodmiennych włoskich. Adam, który mnie gwałtem jak *audytor* wysłuchać musiał, oświadczył, że wart jestem zapisania *sc. w erracie* i pół kopy *laudesów*; a ja sam czuję już dzisiaj, jak mi to wiele pomaga do zrozumienia i do zużytkowania pojedynczych wokabuł, których mnóstwo mi codzień ze słyszenia przybywa i ciągle się płacze po głowie. Mam nadzieję, że za jaki miesiąc będę już mógł więcej, jeżeli nie *parlare*, to przynajmniej *balbutire italiano*; a gdybymże znaleźć mógł jeszcze poczytać tak z kim po włosku, jak w Wejmarze po niemiecku czytałem!—

o! to pewnie skorzystałbym więcej, niż odemnie papuga Wejmarska.

Ale wybaczyć, że i sam jak papuga rozgadałem się już może za bardzo; bo skazany tu na milczenie, czuję że chcę to sobie wynagrodzić pisaniem. A jednakże w dodatku do tych naszych dziejów medyolańskich, muszę ci się poskarżyć, a raczej oskarżyć, że przez dwa dni byliśmy chorzy, i to wprost z mojej przyczyny. Jak w Como, tak w Medyolanie, a więc pewno i w innych miastach włoskich, gdzie się obrócisz na ulicy, wszędzie co kilkadziesiąt kroków, obok straganów z owocami, sterczą małe żelazne okrągłe piecyki, przy których siedzące baby gotują na nich i pieką kasztany. Przysmak ten, który u nas należy do *rarity* i przez uszanowanie obwija się w serwetach, tu, jak prorok w ojczyźnie, ma się za nic i sprzedaje za bezcen. Mnie on tak się podobał z początku, że ciągle odnawiałem mój magazyn w kieszeni. Adam ostrzegał mnie wprawdzie, ażebym się nim tak bardzo nie raczył; ale sam mimo tego brał go ciągle, może nie myśląc, odemnie, i także w nim widać smakował. Nakoniec zaczynamy się dziwić, że przy obiedzie onegdaj obadwaj nic jeść nie możemy, a wczoraj tak nam było niedobrze, że dzień cały, oprócz czystej herbaty, nic zgoła nie mieliśmy w ustach. Nie domyśliłbym się jednak przyczyny, gdyby nie osobliwszy wstręt, jaki dziś we mnie sam zapach tych kasztanów piekących się na ulicy obudził. Jestem więc rychtyk jak ów nowo przyjęty cukierniczy chłopiec, którego sam gospodarz umyślnie do jedzenia cukierków zachęca,

aby już potem nigdy ich nie dotknął. Adam przypomniał z tego powodu naszą *Naukę Moralną* na klasę pierwszą; a znowu *à propos* tej elementarnej nauki moralności, w której nie ma ani jednego słowa o powinnościach człowieka względem Boga i duszy swojej, tak doskonale skreślił i scharakteryzował cały system i kierunek edukacji u nas, od czasów Stanisława Augusta, że już ja sam przez siebie, jasno jak na dłoni spostrzegłem i zrozumiałem przyczyny, dla których dotychczasowa literatura i poezja nasza, była i być musiała taką a nie inną, i że tytuł jej *klasyczności*, wart jest tej moralności klasycznej. I to mi przypomina także anegdotę, którą mi kiedyś opowiadał pan Tomasz;—jak towarzysząc twemu stryjowi, *Panu Janowi ze Świsłoczy*, jako sekretarz na wizycie szkół w latach 1821 i 22, był raz fetowany z nim razem w jednym pańskim i bogatym domu, i zmuszony do examinowania publicznie dwunastoletniego chłopczyka, który miał guwernera Francuza, kamerdynera Niemca, i bonę Angielkę, a uchodził za geniusz w domu. Rodzice chcieli się widocznie popisać, a pan Tomasz, że zwykłą swoją dobrocią i miłością, chcąc ten popis jak najbardziej ułatwić, wziął chłopczyka w swoje objęcia, a tuląc go i całując, najnaiwniej zapytał: „No, na cóż ciebie Pan Bóg stworzył?” Chłopiec zrobił nań wielkie oczy i nie odpowiedzieć nie umiał. Rodzice i goście zamilkli; a pan Tomasz, niewinny sprawca tej dekonfitury, zmieszał się więcćj od wszystkich.

Ale co to ma za związek z Medyolanem? zapytasz może czytając. Tak! z Medyolanem żadnego, ale ze mną w Medyolanie, wielki; bo masz w tém główny temat wszystkich moich myśli dzisiejszych, które dopiero pisanie tego listu, *gwoli* tobie, znowu ku szczegółom miejscowym zwróciło. A możesz téż, jeśli zechcesz, zajrzeć przez to i w duszę Adama: jak się w nią wszystko i zawsze wkrąg jednego słońca obraca; jak to słońce ciepło w niej świeci—i jak otaczających ogrzewa.

Ale *à propos* jego, muszę ci opowiedzieć jeszcze jedną drobnostkę, która, choć błaża z siebie, ale może ci uwydatnić pewną stronę jego charakteru, czy może terazniejszego tylko usposobienia humoru, którejby się nikt pewnie w autorze *Dziadów* nie domyślił. Jest to jakaś wesoła dziecinna figlarność, jaką z pomiędzy wszystkich naszych przyjaciół i kolegów, jeden tylko, oprócz jowialnego Frejenta, i to w wyższym jeszcze stopniu, posiada nasz uczony Magister Filozofii, Ignacy Domejko, co go właśnie tak miłym i kochanym czyni. Otoż chodząc onegdaj po wierzchu tutejszej katedry, wśród tysiąca tych białych posągów, zagapiłem się jakoś na jeden. Oglądałem się, Adama nie ma. Myślę, że jest gdzieś blisko, i czekam. Ale upływa minut kilka, nie wraca. Szukam na prawo i na lewo, nie widać. Zaczynam wołać, nikt nie odpowiada. Domyśliłem się, że to musi być figiel, i nie tracąc rezonu, śmieję się i deklamuję głośno, co mi się stosownego nawija na pamięć; np. z Ossyana Krasickiego:

Ozwij się, piękna!—ponure milczenie;
Ozwij się, piękna!—próżne powtórzenie.
Ucichły bardy—nawet wierny Brano
Milczy za ścianą.

albo znowu ów wiersz Karpińskiego, z *Podróży z Dobiecka na skałę*:

..... wołam: Madam, Madam!
Madam milczy, ja z próżném echem tylko gadam i t. d.

Ale gdy z kwadrans pewnie upłynęło, a tu już i zmierzchać zaczyna: wyznaję, że tak mi się zrobiło smutno i okropnie, że wcale już innym tonem, zakląłem się na wszystkie świętości, że siądę i z miejsca się nie ruszę, choćbym noc całą przesiedział, dopóki sam do mnie nie przyjdzie. Wylazł więc z jakiejś framugi, gdzie chyba musiał siedzieć skulony, i śmiejąc się serdecznie zaczął mię po swojemu gładzić i całować.

W chwili kiedy to piszę, on budzi się—bo spał po obiedzie—i pyta, która godzina, i czy nie pora iść na spacer? A że już bardzo pora, bo po piątej—dokończenie więc listu chyba za powrotem nastąpi.

2 Października, g. 10 rano.

Wczoraj wróciliśmy o 11 w wieczór, a dziś o 11 rano wyjeżdżamy, to jest, wczoraj nie było już siły, a dzisiaj nie ma czasu pisać. Nie chcę jednak papieru zostawiać na czysto, a więc krótko a węzłowato. Byliśmy na modnej *promenadzie*, gdzie się tutejszy świat *pie-*

kny i bogaty codzien wieczorem zgromadza. Piękniejszy może, ale chodzący piechotą, napełnia zwykle śliczny i obszerny ogród miejski, gdzieśmy przedtém już byli. Promenada ta rozciąga się na wałach, opasujących miasto, między bramami *Orientale* i *Nuova*. Przed kawiarniami i pod namiotami, siedzą wkoło stolików mężczyźni i damy. Damy nie robią pończoszek, ale się uśmiechają i wdzięczą; mężczyźni szarmanują, jak u nas, nie jak w Niemczech; zbyteczne może zapały, ochładzają sorbet i lody. U stóp wału stoją w szeregach świetne ekwipaże, w których piękne ich właścicielki, przedtém i potem, defilują zwolna przez miasto, a zwłaszcza na ulicach *Porta di Borgo* i *Corso*, które są najpiękniejsze ze wszystkich. Dziwna to jakoś sensacja być wśród tysięcy ludzi a nie znać literalnie nikogo. Jest w tém czasie przyjemność, a czasem tęsknota. Popatrzawszy więc nieco i orzeźwiwszy się sorbetem, ruszyliśmy dalej za miasto, do *Casa Simonetta*. *Casa* znaczy dom, a dom ten sławny jest echem, jak skała *Lurley* nad Renem. Każdy głos, każdy wyraz powtarza się dokoła razy ze trzydzieści, a dawniej kiedyś podobno powtarzał się trzy razy więcej. Ludzie starzejac dopiero wpadają zazwyczaj w gadulstwo; z echem widać dzieje się inaczej. Wywoływałem między innemi nazwisko twoje i Juliana. Adam zaczął od „*chrząszcz brzmi w trzcinie*”, a skończył na „*indyk i małpa*”. Pytałem z kąd mu to na myśl przyszło—ale nic nie odpowiedział. Sądę, że na przekorę sentymetalności mojej.

Wracaliśmy przez bramę Simplońską (*del Sempione*), która, gdy się skończy budować, ma być najpiękniejszą ze wszystkich jedenastu. Jest to łuk tryumfalny na wzór starożytnych. Napoleon kazał go stać na pamiątkę przeprowadzenia pierwszej drogi bitej przez Alpy (Simplonkiej), a więc w rzeczy ku czci swjej własnej; a oto kończą ją właśnie jako łuk pokoju (*Arco della pace*), na cześć Cesarza Franciszka I-go. *Sic vos non vobis!* A że tuż obok jest ogromny plac broni, gdzie pewno musiały nieraz defilować legie Napoleońskie; więc się znowu nasuwa *dictum*: „*On peut s'appuyer sur les baïonnettes, mais non pas s'y asseoir*”.

Daliej po drodze zwiedziliśmy *Arenę*, także dzieło Napoleońskie, ogromną też i wspaniałą, w kształcie podłużno-owalnym, w której 30 tysięcy widzów wygodnie pomieścić się może. Służy ona do odbywania sztuk czy igrzysk konnych i wodnych, bo ją można wodą napełnić. Siedzenia, czy stopnie dla widzów, wykładane są darnią, i wznoszą się w amfiteatr. Widzieliśmy wozy w kształcie starożytnych, na których przed tygodniami kilku odbywały się świetne wyścigi. Patrząc na nie przypomniła mi się Iliada: Hektor obdzierający ze zbroi zabitego przez siebie Patrokla; Achilles włóczący za wozem zabitego przez siebie Hektora; i na koniec ten najmężniejszy bohater ginący z ręki największego tchórza—Parýsa. *Sic transit gloria mundi*.

Dziś rano, na pożegnanie i na mszę przed wyjazdem, poszliśmy raz jeszcze do katedry; a że ci nie mó-

wiłem nic o jej wnętrzu, więc dodaję, że jest równie wspaniałe i urocze jak jej powierzchowność. Po kościele Św. Piotra w Rzymie i po katedrze w Sewilli, ma to być największa bazylika na świecie; a jako budowla gotycka, jednej tylko Sewilskiej ustępuje pierwszeństwa. Ma pięć naw wzdłuż, trzy w poprzek. Olbrzymiej grubości filary, (po 16 kroków obwodu), zamiast kapitelów u góry, mają posagi we framugach stojące. Podłoga z mezaiki różnobarwnych marmurów. A cóż mówić o bogactwie ołtarzów, pomników, nagrobków, rzeźb i obrazów? A to wszystko nabiera jeszcze nowego uroku i wdzięku od jakiegoś szczególniejszego światła czy półcienia, co jest skutkiem szyb malowanych, w potwornej wielkości oknach, na których, w trzystu kilkudziesięciu obrazach, wyobrażone są dzieje Starego i Nowego Testamentu. Gmach ten zaczęty w wieku XVI, a budowany przez wieki, dotąd jeszcze właściwie skończonym nie jest; to jest zewnętrzna jego fasada nie odpowiada jeszcze w zupełności planom pierwotnego architekta, którym był *Enrico Gamodio*, a właściwie *Heinrich Arler von Gmünd*, Niemiec, który tak się przezwiał po włosku. Napoleon, jak do wszystkiego i wszędzie, tak i tu rękę przyłożył; rozkazał wznowić budowę, i za jego to panowania wzniosła się owa wieża przodowa nad wejściem, na szczycie której, jak widzisz na rysunku, stoi złocony posąg Najświętszej Maryi Panny, patronki kościoła, przodkującej, jako Królowa, tym białym Aniołom i Świętym, którzy zdają się składać napowietrzny

Jéj orszak. I dzisiaj, jak codzień i wszędzie, poleci-
łem was w myśli Jéj najświętszej opiece, i proszę
o wzajemność choć w skromnej waszej drewnianej ka-
pliczce w Racewiczach.—*Addio, e sia felice!* to jest,
bądź zdrow i szczęśliwy—*jak życzę.*

XXXVI.

Do Juljana Korsaka.

Werona, 4 Października, Niedziela, godz. 11 w nocy.

Z Medyolanu i o Medyolanie pisałem do Ignace-
go, a więc list ten w kopii mieć będziesz. Werona
jest na pół drogi między Medyolanem a Wenecją, od-
bywamy w niej *dniówkę*, a więc i ty miej *dziennik*.

Przedwczoraj o godzinie 11-téj rano, opuściliśmy
Milano la grande, a opuściliśmy w ten sposób, że
dnem przedtém, ja sam, o własnym języku, wynala-
złem i umówiłem *wetturyna*, a raczej miejsce w *wet-
turze*, (85 franków za obu), wprost aż do samej We-
necyi, z zatrzymaniem się po drodze w Weronie, zład
właśnie jest ten weturyn, tudzież w Vicenzy i Pa-
dwie. Ale ty nie wiesz może co to jest *wetturyn*?
Jestto to samo, co w Niemczech *Lohnkutscher*, to jest
najemny furman; a furmani ci, jak w Niemczech tak
i tutaj, stanowią osobną klasę ludzi, z obyczaju i na-
wet ze stroju w obu krajach podobną do siebie,
a których miejsce u nas zastępują żydkowie, tak, jak
miejsce *wettury* (karety), bryki ich płótnem pokryte.
Ale chcesz wiedzieć może jak ten strój wygląda? No,
to masz obrazek z natury. Szpencer i spodnie man-
szestrowe krótkie; pończochy po kolana długie; trze-
wiki z ogromnemi klamrami; w pół ciała przepasany
pasem czerwonym; szyja goła; koszula zaciągnięta

czerveną tasiemką; na głowie nizki, spiczasty kapelus, z szeroką klamrą i taśmą, zwisającą końcami. Takim jest ten, który nas wiezie, i takimi są wszyscy, których widziałem w Medyolanie stojących codzień na rynku i czekających na passażerów, z ogromnemi biczami w ręku, jakby sztyldem swego rzeźmiosa. Strzeż Boże tylko, żeby wszyscy mieli być tacy gbury i zuchwalczy jak nasz, z którym scenę opowiem później, bo muszę iść po porządku, jak po zrzebie, żeby się w narracyi nie zwichnąć. A także wolę zacząć od opisu towarzystwa podróży, które bodaj że główną i najciekawszą część i treść jęj stanowi.

Jest nas wszystkiego sześć osób, bo tyle tylko może mieścić *wettura*, to jest kareta na cztery osoby w środku, a na dwie w kabryolecie na przedzie. W takiej przyjechaliśmy z Como do Medyolanu, i w takiejże jedziemy teraz; tylko że teraz zamiast dwóch, mamy aż cztery konie zaprzężone w leju. My oba mamy miejsca w karecie; a towarzyszkami naszymi są dwie damy, obie prawdziwie typowe postacie. Starsza, lat około 50, z figury, mowy, ruchów i humoru, najdoskonalszy ideał wesołej i rubasznęj kumoszki; druga młoda, kształtna, wysoka, z pałającemi czarnemi oczyma, z czarnym medyolańskim welonikiem na głowie, a przytęm wcale przystojna i z twarzą pełną życia i wyrazu, zdaje się uosabiać w sobie typ Medyolanek i Włozek. Dotąd, kto ona jest, z pewnością nie wiemy, ale ze wszystkiego się zdaje, że musi być aktorką; bo zna dobrze dramatyczną lite-

raturę włoską i ogólną, i o teatrze z wielką znajomością rzeczy rozmawia; a przytęm ma widocznie wyższe wykształcenie; mówi płynnie po francuzku, chociaż z włoskim akcentem, a tak w tonie, jak w wyrażeniach, nieco na teatralną deklamacyą i sentymentalność zakrawa. Imię nawet ma poetyczne: *Rachela*, a jedzie z nami aż do samęj Wenecyi. Adam jest jęj *vis-a-vis* w powozie; a że ona wie już odemnie że to jest poeta i jaki:—więc z obu stron jest bodziec do ożywionęj rozmowy, do której ja rzadko się mieszam i zostawiam ich samym sobie. Za toż z panią Magdaleną *Sanpietro*, ową jowialną kumoszką, obywatelką Medyolańską, jadącą w odwiedziny do siostrzenicy swojęj w Vicenza, jestem w jak najlepszjęj przyjaźni; i chociaż ona żadnego innego języka prócz włoskiego, a ja właśnie włoskiego nie umiem: gadamy jednak ciągle, z czego ja rzeczywiście korzystam; bo albo się domyśla, co ja chcę powiedzieć, i uczy mię jak trzeba; albo śmieje się do rozpuku z moich niezgrabnych, francuzczyznę łatanych frazesów, i kłapie mię po ramieniu, a niekiedy i gładzi po twarzy, prosząc, żebym się za to nie gniewał. Mnie samego także to bawi, i staram się jak mogę kaptować jęj względy—co mi się tęż najzupełnięj udaje. Jednym z najbardzięj wybitnych jęj rysów, jest szczególne zamiłowanie w łakociach i wielka biegłość w sztuce kulinarnęj. Adam zowie ją pod tym względem mistrzynią, i wnosi, że musi utrzymywać traktyer. W ogromnym koszu, który ma zawsze na kolanach lub w ręku, zawiera się prawdziwy magazyn *salamiów*,

(wędlin), serów, ciastek, czekolady, i różnych innych *dolcezzów*, któremi ciągle posila się sama i sąsiadów uprzejmie częstuje. Na każdy widok bujniejszych winogron, które wszędzie wiszą wzdłuż drogi, festonami po drzewach rozpięte, klaszcze w ręce z dziecinną radością i wykrzykuje z uniesieniem: „*o! che uva! che uva!*“ (*uva* znaczy winne jagody), kłócąc się przytém zęb za zęb z weturynem, kiedy się nie chce zatrzymać, gdy ona sama, albo ja dla niej, chcemy kupić gron kilka, które małe dziewczęta i chłopcy noszą w koszach i sprzedają po drodze. Ale w oberżach zwłaszcza jest ona nieporównana! Masz bowiem wiedzieć, że umawiając weturyna, płaci mu się nie tylko za podróż, ale téż za obiady i noclegi w podróży, które zawsze łączą się razem, a które on już od siebie zamawia i płaci w oberżach. Śniadania tylko na popasie do samych passażerów należą. Otoż zaledwo stajemy na nocleg, szanowna przyjaciółka moja daje mi koszt swój do pilnowania, a sama pędzi do kuchni i rozporządza się w niej jak u siebie. Kłóci się do upadłego z weturynem, gdy nie dość dobry dysponuje obiad; uczy kucharza jak ma co przyrządzać, i dopomaga mu sama zakasawszy ręce. Fuka i pędza chłopców i dziewczęta w oberżę, aby się spieszyli z nakryciem; a to wszystko takim stanowczym tonem zwierzchnictwa i powagi, że wszyscy jój słuchają jak pani. Dopiero gdy obiad już gotów, powraca do roli gościa, a umywszy ręce i poprawiwszy włosy przed lustrem, (bo to wszystko z boku widziałem), przodkuje niosącym potrawy, i zasiada jak go-

spodynii prezydować u stołu. Sama wszystkim nalewa *minestre*; wszystkich do jedzenia zachęca; gani lub chwali jak czego co warte, i często sama z półmisków na talerze drugim dokłada. *Signora Rachel*e, a za nią Adam i drugi nasz towarzysz, drażniąc się z nią, uskarżają, że wszystkich pokrzywdza dla mnie. Ja na to całuję ją w ręce, a ona sama śmiejąc się do łez, głaszcze mię oburącz po twarzy i niekiedy całuje w czoło, *come una madre* (jak matka), nazywając mię przytém: *caro giovine*, albo *Odoardo*. Słowem mamy z niej tysiąc pociech, a ja w niej serdeczną przyjaciółkę. Ale to jeszcze jest nic w porównaniu z drugim moim stosunkiem, który ci tu zaraz opowiem.

/ Wsiadając do wettury w Medyolanie, widziałem, że jakiś jegomość, z militarną miną, wsiada do kabrioletu z jakąś bardzo młodziutką i ładniutką osobką, którą wziąłbym raczej za córkę, gdybym się nie domyślił z obejścia, że musi być jego żoną. Czekając zatem popasu ażeby się z nimi zapoznać. Tymczasem, gdy już w środku karety z bliższymi sąsiadkami dobra zawiązała się znajomość, nadeszła okropna chmura i deszcz strumieniami lać zaczął. Kabriolet jest z przodu otwarty, i choć się zapina fartuchem, nie dość jednak ochrania od deszczu. Żał mi się więc zrobiło téj młodziutkiéj i ładnéj towarzyszki podróży; przypomniałem o pani *Maryi Everard* ze Strasburga, i kazawszy zatrzymać się weturynowi, wysiadłem i ofiarowałem jój moje miejsce w środku karety. Nie zrozumiała widocznie co mówiłem, ale

maż jój zrozmiał; a że musiał także zrozumieć że nie umiem po włosku, odpowiedział więc po francuzku, dziękując, ale razem wyrażając obawę nadużycia mojej dobroci. Uspokoilem go w tym względzie; a wtém i ona sama, dowiedziawszy się widać od męża o co idzie, odezwała się do mnie bardzo wdzięcznym głosem, ale w jakimś całkiem nowym dla mnie języku; bo choć z brzmienia do włoskiego podobny, nie a nie nie zrozmiałem nawzajem. Zaciekawilo to mię bardzo, ale grzeczność potłumiła ciekawość. Podałem więc jój rękę do zejścia z kabrioletu, a drugą utrzymując nad nią parasol, przeprowadziłem ją do drzwiczek karety; a że wsiadając ścisnęła mię lekko za rękę, więc już choć na to przynajmniej nie pozostałem dłużny w odpowiedzi. Dopiero wsiadłszy do kabrioletu z jój mężem, dowiedziałem się słowa zagadki. Pan *Sekwens* (tak się nazywa), rodem Czech, odstawny oficer austriacki, służył przez lat 13 w wojsku hiszpańskim, z tych lat 3 w Ameryce Południowej; otrzymał stopień Majora, ożenił się przed rokiem w Barcellonie z Donną *Maryą Annuncyatką* (to imię jego małżonki), i teraz wraca do kraju dla objęcia spadku po stryju, ale ma się zatrzymać w Weronie, gdzie właśnie, będąc w służbie austriackiej, przez lat parę kiedyś przebywał. Jest to człowiek wcale przyjemny, nawet dość oczytany, a opowiadający ciekawie co widział. Posiada wszystkie prawie europejskie języki; mówiliśmy zaś na koniec między sobą, ja po polsku, on po czesku, a czegośmy nie rozumieli nawzajem, tłómaczyliśmy po

francuzku albo po niemiecku. Donna Annuncyata nie mówi i nie rozumie ani jednego słowa inaczej jak po hiszpańsku, i wychowanie jój, jak mi sam mąż potem powiadał, podobne jest do wszystkich w ogólności Hiszpanek, z których każda mniej więcej mogłaby powtórzyć o sobie z Lamartinem:

„Aimer, prier, chanter—voilà toute ma vie,”

Przez dwie godziny podróży poznaliśmy się z panem Majorem jak nie można lepiej, i kiedyśmy wysiedli na obiad i nocleg w *Treviglio*, (dość dużém i porządném miasteczku), przedstawiliśmy sobie nawzajem: on mnie żonie, a ja go Adamowi, jako dobrych i miłych znajomych. Adam, który swoim zwyczajem zawsze ze mnie pod tym względem żartuje, zauważył, że nigdy jeszcze w dniu jednym nie miałem tak obfitego plonu nowych przyjaciół. Bo i *Signora* Rachela w powozie ze mną naprzód zawiązała znajomość, nim ją potem wyłącznie zdałem na Adama, i w ciągu tego wieczoru stosunek z *Donną* Annuncyatką stanął także na stopie przyjaźni. Ale bo co téż to za oryginalne i pocieszne stworzenie! Mąż z początku służył nam za tłómacza; ale gdy po obiedzie *Signora* Rachela zaproponowała przechadzkę przy świetle księżyca, a ja, jako dawniejszy znajomy, miałem już podać rękę pani Magdalenie, grzeczny pan Major uprzedził mię przy niej, zostawując mię tym sposobem w trzeciej parze ze swoją żoną. Będiesz więc może rozumiał żeśmy szli obok siebie w milczeniu. Gdzie tam! rozmowa owszem nasza

stała się wkrótce tak ożywioną i głośną, że wszyscy na nią zwrócili uwagę, chociaż prócz pana Majora, nikt z nas zgoła jęj nie rozumiał. Był to bowiem ciągły monolog samęj tylko Donny Annuncyaty, jak w komedyi Dmuszewskiego: *Gaduła nad gadułami*. Od początku bawiło mię już niezmiernie że idę pod rękę z Hiszpanką, chociaż tylko niememi znakami starałem się jęj to moje ukontentowanie wyrazić. Ale wnet zabawiła mię i zajęła tém więcęj ta jakaś dziwna naiwność dziecinna, z jaką, mając już mię za *amigo*, (bo to przecież wyrozumiałem), a wcale widać nie troszcząc się o to, że ja po hiszpańsku nie umiem, zaczęła mi opowiadać coś o Barcellonie. Nie rozumiałem ani słowa; ale że to musiało być coś wesołego, bo sama śmiała się mówiąc, więc i ja także pozwoliłem sobie śmiać się, chociaż całkiem z innęj przyczyny. To więc moje niby współczucie ożywiło ją widocznie tém bardzięj, tak, że w końcu przyszło do tego, że jakby w wodewillu, dyalog zaczęła przeplatać piosnkami, które dźwięcznym głosem nęciła. Mąż jęj potęm mi wytłómaczył, że mi opowiadała o jakięmsz weselu przyjaciółki swojęj w Barcellonie, na którém te piosenki śpiewano. Ale tymczasem ta osobliwsza rozmowa tak się stała zabawną dla wszystkich, że i dwie piérwsze pary, nie wyłączając jęj męża, zaczęły się jęj przysłuchiwać i nakoniec śmiać się wraz zemną. Ona jednak, biedny agnusek, aż do samego końca nie domyśliła się wcale powodu tęg wesołości ogólnęj; a ze mną odtąd jest w takięj przyjaźni, że w całym ciągu tęg trzydniowęg podróży, jak

w powozie przy pani Magdalenie, tak na popasach przy nięj, spełniam formalnie funkcyą nieodstępnego *Cavaliere servente*;—*notabene*, za wyraźném upoważnieniem męża, który owszem sam się tém bawi, a z obudwóma nami jest jak w najlepszym stosunku, i często idąc razem piechotą, (bo weturyn wleczę się powoli), opowiada nam bardzo ciekawe rzeczy o Hiszpanii i o Ameryce, albo o swoich własnych woj-skowych przygodach.

Masz więc zda się dokładny biograficzny opis *personalu* naszęg podróży, a więc teraz przechodzę do geograficznego.

Adam powiadał kiedyś o jednym swoim znajomym, że był dla niego jak cukrowa woda: z początku zda się smaczna, a w końcu wzbudzająca nudności i cklliwość. Otoż ja ci to samo powiadam o kraju Lombardzkim. Z piérwszego rzutu oka zachwycił mię jak raj; a teraz myślę, że gdyby raj miał być wciąz taki—to jest choć piękny i obfity, ale płaski i jednostajny, jak cała droga z Medyolanu aż do samego prawie jeziora *di Garda*;—to prawdziwie nie ma co dziwić się Ewie, że się w nim nakoniec znudziła i zapragnęła jakięj takięj odmiany. Szosse, drzewa morwowe, winogrona i kukuruza; domki, wioski, miasteczka, (murowane, ale dość brudne), i gdzie niedzie wspaniałe wille—oto cały rejestr widoków, jakie się widzi wzdłuż po stronach drogi. Nigdzie najmniejszego pagórka, nigdzie łąki ani gajku, nigdzie śpiewu ani świergotu ptasząt! Adam słusznie powiada, że wolałby żyć w stepie, niżli tutaj na wsi.

Bodaj to nasze gaje albo smug zielony!
Gdzie człowiek sobie chodźsz strzelając gawrony,
A tu ci skowroneczek przyspiewuje z góry,
A tu świergocą ptasząt różnotonne chóry,
A tu co krok to kwiatek, co krok to jagoda,
A wonność, a zieloność, a chłód, a swoboda!

Achl nie dziw, że to kiedyś ludzie z ziemi włoskiej
Tak tęsknili do polskiej—do swych pól i wioski,
By tam, choćby o kwasie i o czarnym chlebie,
Szerzej stapać po ziemi, a patrzeć po niebie!

Bo co tutaj, to ani jednego ani drugiego nie można; stapać nie ma gdzie za kukuruzą, a za morwowemi drzewami horyzontu nawet nie dojrzysz. W ciągu jednego tygodnia, dwie rzeczy, co mi się niewymownie podobały z początku, sprzykrzyły się prawie do wstępu, to jest kasztany i równiny Lombardzkie. To też z prawdziwą przyjemnością wczoraj, dojeżdżając na popas do małego miasteczka *Cocaglio*, powitałem pierwsze pagórki, a dojeżdżając ztamtąd do *Brescia*, wspaniałe Alpy Tyrolskie, u stóp których leży to miasto. Do popasu jechałem w kabryolecie; bo ponieważ wyjechaliśmy o godzinie 3-iej rano, a ranek był dość chłodny, wolałem żeby Donna Annuncyata wygodniej sobie i cieplej drzemała na mojem miejscu w karecie; od popasu zaś wsiałem sam do niej, aby łaskawy ku mnie affekt pani Magdaleny przez zbyt długą nieobecność moję nie ostygł. Wynagrodzony też byłem sowicie za jedno i drugie; za pierwsze, wspólnym spacerem po owych pagórkach i po miasteczku w *Cocaglio*, a za drugie, smaczniemi kaskami przy obiedzie, na noclegu w *Rezzato*. Jest to mała

mieścina o 4 mile włoskie za *Brescia*, gdzie nasz weteryn zatrzymać się nie chciał, aby uniknąć kłopotu z wizowaniem paszportów. Że zaś *Brescia* jest miastem godnem widzenia, przeto my oba, i pan Sekwens dla kompanii naszej, zostaliśmy w niem dla obejrzenia, i złożywszy nasze paszporta na odwachu przy bramie wyjezdnej, otrzymaliśmy na to pozwolenie, które nam zwłaszcza p. Sekwens, jako oficer austriacki, wyjednał. Inaczey musielibyśmy się sami prezentować w biurze policyi.

Brescia jest jedną z twierdz sławnego czworoboku, którego trzy inne kąty stanowią: *Peschiera*, *Mantua* i *Weron*a. Miasto obszerne i porządnie zbudowane, liczy 40,000 mieszkańców; ma aż dwie katedry, starą i nową, i wiele innych dużych i pięknych kościołów, a w każdym z nich wiele pięknych pomników, rzeźb i obrazów. Najpiękniejsze: *Wniebowzięcie N. M. P.* w katedrze; *Męczeństwo i Chrzest Ś. tej Afry*, w kościele pod jej wezwaniem; a zaś w pałacu biskupim, prześliczna starożytna statua skrzydłatego Geniusza, z bronzu, przed dwoma laty z ziemi odkopana. Obejrzeliśmy je mniej więcej na prędce, i we trzy godziny po rozstaniu, złączyliśmy się znowu z naszymi damami, o zmroku już i przy świetle księżyca, odbywszy całą drogę piechotą. Donna Annuncyata i Signora Racheli wyszły o milę włoską na spotkanie nasze—jedna i druga nie dla mnie; bo moja właściwa przyjaciółka, pani Magdalena, inną część sobie obrała, i po swojemu tymczasem krzątała się w kuchni. Że zaś, dla nas przynajmniej, czą-

stka ta była najlepszą, poczuliśmy to dopiero z wdzięcznością przy obiedzie, a raczej już przy wieczerzy, gdyśmy do 'niej zgłodniali zasiedli. A że już dosyć mieliśmy spaceru—zatem nie wstając od stołu, a tylko zapaliwszy cygara, resztę wieczoru spędziliśmy na rozmowie. A była to istna wieża Babel! Pan Sekwens z żoną mówił po hiszpańsku, z nami po niemiecku albo po czesku; my z nim i między sobą po polsku; z Signorą Rachelą po francuzku; z panią Magdaleną po włosku, a z Donną Annuncyą na migi. Dwóch jakichś ichmościów, siedzących przy osobnym stoliku, przysłuchiwało się i patrzyło na nas z podziwieniem, które téż i na służących znać było.

Dzisiaj wyjechaliśmy jeszcze raniiej niż wczoraj, bo prawie całkiem za ciemna. Jest to powszechny zwyczaj tutejszych weturynów, budzić się z pianiem kogutów a zabierać się na nocleg z kurami. Nie wiem czy i w lecie tak samo, albo czy się *vice versa* nie dzieje, kiedy podobno dla skwarów zwykle się tylko podróżuje w nocy. Podróż moja w kabryolecie opłacała się mi tym razem sama przez się—bo kraj tu, to już nie sad, nie ogród warzywny, ale ciąg malowniczych obrazów, na mrocznym tle Alp Tyrolskich, które same na błękitnym tle nieba rysowały się ciągle w perspektywie przed nami. Brzegi zwłaszcza jeziora *di Garda*, wzdłuż których jechaliśmy mil ze dwie, z *Desenzano* do *Peschiery*, (ob. mapę), składały najpiękniejszą część drogi. Tu raz pierwszy widzieliśmy cytrynowe drzewa, rosnące wprost na gruncie, jak u nas jabłonie lub grusze; ale je téż

podobno, jak u nas delikatniejsze gatunki, ubierają w słomiane kożuszki na zimę. Widzieliśmy także i drzewa oliwne, ale są one tak brzydkie, że o nich i mówić nie warto; kształtem i z liścia podobne do wierzby lub łoży, ale wierzba w ogólności piękniejsza. Samo jezioro, jedno z trzech największych we Włoszech, (dwa drugie są: *Lago Maggiore* i *Iséo*), ma 8 mil długości a 3 szerokości, a i głębokie jest podobno jak morze. Kolor wody jakiś szczególny, zda się zielony i błękitny razem, a odbłask na powierzchni jakby od zwierciadła.—Na pół drogi z *Desenzano* do *Peschiery* zachodzi daleko w jezioro przeszliczny półwysep *Sermione*, gdzie kiedyś mieszkał Katullus. Adam mi to powiedział, a ja mu za to zaimprovizowałem czterowiersz:

Jak Sermione Katallusa, równie
Przypomni ciebie dolina przy Kownie.
A duch Katulla może się weseli,
Widząc cię obok Signory Racheli.

Niewdzięcznik, chciał mię za to pokreć za ucho; ale szczęściem nie miał rąk wolnych: bo prawą Jój właśnie podawał, a w lewej niósł jój koszyk podróży. Z tego się zatem domyślisz, że w tém miejscu szliśmy piechotą—a i ja z Donną Annuncyą pod rękę.

Peschiera śliczne miasto i twierdza, aleśmy je bez zatrzymania się minęli. Leży nad rzeką *Mincio*, wypływającą z jeziora. A i przedtém widzieliśmy już po drodze kilka rzek pięknych i mających sławę hi-

storyczną, jako to: *Addę, Oglío i Tagliamento*. Przystanęliśmy na krótko w *Castelnuovo*, gdzie piliśmy kawę w cukierni, i jako w dzień niedzielny, byliśmy wszyscy razem w kościele. Przed południem ujrzelśmy Weronę, i dojeżdżaliśmy do niej w najlepszym usposobieniu i harmonii, kiedy je nagle niespodziany wypadek, jak *turbator chori* zamącił. Zjeżdżając z ostatniego pagórka, z kąd był piękny widok na miasto i na most na *Adydze*, wysiedliśmy wszyscy, prócz Adama, aby mu się lepiej przypatrzeć. Adam, który pozostał w powozie, pogrążony nie wiem czy w smutnych czy w rozkosznych marzeniach, oparł głowę o okno karety. Nie podobało się to Signorowi *Gerolamo*, (tak się zwie nasz weturyn), który szedł także piechotą; ale zamiast ostrzedz z grzecznością, ofuknął opryskliwie Adama, że mu szybko może wycisnąć. Adam, przy całej swojej dobroci, nie jest jednak tak bardzo baranek, aby go to nie miało obrazić. Musiał mu więc odpowiedzieć podobnie—gdyż usłyszeliśmy raptem hałas weturyna, zionącego grad słów obelżywych, a w téjże chwili i Adam zawołał na nas przez okno karety. Przybiegliśmy przestraszeni, i dowiedziawszy się o co idzie, wzięliśmy naturalnie stronę towarzysza. Pan Sekwens mianowicie, jako umiejący po włosku i jako oficer austriacki, groźnie z góry napadł na Włocha. Nie ustraszyło go to jednak; rozżarł się owszem do wściekłości, i wyłajawszy od ostatnich słów nas wszystkich, gdyśmy mu oświadczyli, że z nim dalej jechać nie chcemy, wskoczył sam jak szalony na kozieł i czwałem popędził

do miasta. Oburzeni byliśmy okropnie, a i rzecz sama była tego rodzaju, że niepodobna było przepuścić jej płazem. Wiedzieliśmy gdzie go znaleźć w mieście, bo pan Sekwens miał paszport jego w kieszeni, a w nim i adres oberży, której gospodarz był razem panem powozu i koni, a ten gbur tylko furmanem. Od samego początku podróży odgadliśmy z miny jego charakter, i dla tego, ja nawet unikałem z nim wszelkiego stosunku. Jedna tylko nieustraszona pani Magdalena kłóciła się z nim na każdym noclegu i zawsze postawiła na swoim. Doszedłszy więc piechotą do miasta, udaliśmy się wprost do gospodarza. Wymowna pani Magdalena wiodła rej w dramatycznym opowiadaniu samego wypadku, a pan Sekwens oświadczył stanowczo, że się udamy do komissarza policyi, jeśli tu zadośćuczynienia nie znajdziem. Gospodarz, jakiś człowiek porządny, przepraszał nas bardzo pokornie, mówiąc, że nie pierwszy to już raz z powodu tego *birbante* podobnej nieprzyjemności doznaje, i prosił nas o cierpliwość, aż on sam tę sprawę załatwi. Jakoż nie upłynęło pół godziny, gdy przyszedł do nas z winowajcą, który, choć mu patrzyło z oczu że gwałt sobie zadawał, upokorzył się jednak przed Adamem, i z kolei przepraszał nas wszystkich, ekzuzując się tém, że nie był trzeźwy. Gospodarz zaś ze swojej strony dał nam za niego assekuracyą na piśmie, że jeśli w ciągu dalszej podróży okaże się równie niegrzecznym, będziemy mieli prawo wziąć pocztę do samej Wenecyi, i koszt na to z umówionej opłaty potrącić. Na tém skończyła się

ta przykra awantura, która, oprócz niemiłego wzruszenia, kosztowała nas więcej godziny czasu, którego i tak zbyt mało mieliśmy do obejrzenia Werony. Pan Sekwens był naszym *Ciceronem*; a cośmy widzieli naprędce, pokrótce ci też tylko opiszę.

Miasto Weron jest jedno z większych, (ma mieszkańców tyle co Wilno, to jest 60,000), a twierdza jedna z największych, jeżeli nie największa we Włoszech. Rzeka *Adyga* bystra i wspaniała, osiodłana jest pięciu mostami. Wszystkie sztuki piękne i wszystkie wieki, zaczawszy od Rzymskich, są tu świetnie reprezentowane wewnątrz i zewnątrz pysznych bazylik, kościołów i gmachów, na ulicach i placach publicznych. Na *Corso*, starożytny łuk Rzymski kształcie bramy, (*Porta de Borsari*). Na placu *delle Erbe*, (dziś rynku owocowym, a niegdyś Forum Rzeczypospolitej), w środku trybuna na czterech kolumnach, gdzie odbywały się sądy publiczne, i statua Werony. Ściany domów ozdobione freskami. Na placu *dei Signori*, gdzie jest pałac Rady (*la Loggia*), stoją posągi sławnych Werończyków; między innymi Kornelius Nepos i Katullus. Adam zacytował wiersz:

Mantua Virgilio gaudet, Verona Catullo.

a który ja przetłómaczyłem naprędce:

Każda ziemia swojego śpiewaka przytula,
Mantua Wirgilego, Weronę Katulla.

Ale najprzepyszniejszym zabytkiem starożytności jest sławna tutejsza *Arena*, z czasów Dyoklecjana, zachowana w zupełnej całości. Z zewnątrz mur, wysoki na stóp 100, długi na 500, szeroki na 400; w środku zaś wspaniała amfiteatr, o 45 rzędach mar-

murowych siedzeń dookoła, gdzie 25 tysięcy widzów siedzących, a 70 tysięcy stojących, wygodnie pomieścić się mogło. Widzieliśmy ją w dzień i w wieczór przy świetle księżyca. Cienie Cezarów, gladiatorów i tłuszczy—głupszej i dzikszej od zwierząt, które same siebie i ludzi dla jej zabawy szarpały—snuły się nam przed oczyma i w myśli. A czyż i dzisiaj tłuszcze rozumniejsze niż dawniej? Co lepszego wojny dzisiejsze od walk biednych gladiatorów, dla sławy wyprawiających je i dla zajęcia gminu wyprawianych? Ta sama sztuka na inszy manier, i tylko na obszerniejszą skalę. A jednak spójrzeć na tyle kościołów, gdzie się od tylu już wieków słowo miłości i pokoju ogłasza!... Czyżby być nie powinno inaczej?

W kościele Ś. Anastazyi trafiliśmy na jakiś fest uroczysty. Ogromny kościół cały jak nabity ludem; ale więcej oczu i twarzy zwróconych było na chór, niż na ołtarz, bo tam istotnie przecudowna muzyka różne symfonie wygrywała. Ale cobądź w kościele od ołtarza uwagę odwraca, nie wiem czy jest w nim na swoim miejscu. Wprawdzie trzebaby może było wynieść i ów wspaniały tron w środku kościoła, na którym obraz N. Panny, wśród kwiatów i świateł tysiąca, na zbyt dekoracje oper przypominał; a kto wie nawet, czyby nie należało usunąć z ławek, albo wymyślić jakie kratowanie, dla zbyt strojnych i ładnych twarzy, ku którym i ja grzesznik niegodny częściej może niż na ołtarz zérkałem. Na exkuzę mógłbym powiedzieć, że już słuchałem mszy w Castelnuevo, a z obowiązku przecież wojażera musiałem się przypatrywać wszystkiemu. To też widziałem i piękne obrazy

w ołtarzach: *Biczowanie Pana Jezusa*, przez Ridolfiego, i obraz Ś. Patronki kościoła, bogato drogiemi kamieniami ozdobiony. W katedrze, pysznej gotyckiej budowie z XIV wieku, oglądaliśmy sławny obraz Tiziana: *Wniebowzięcie N. M. P.*, a w kościele Ś-go Jerzego, niemniej sławne *Męczeństwo* jego, przez Pawła Veronese, który sam także jest chlubą Werony. Pomijam wyliczanie innych ogromnych i pięknych kościołów, któreśmy choć przełotem zwiedzili; ale nie mogę nie wspomnieć małej kapliczki, w małym zaułku, w ogrodzie dawnego klasztoru Franciszkanów, gdzie się według podania miała odegrać tragiczna scena śmierci Romea i Julii, i gdzie znajdujący się dotąd wielki kamień grobowy nosi nazwę: *Tomba di Giulietta*. Dom, w którym jakoby mieszkała, zamieniony jest dziś na oberżę, ale ma jeszcze nad bramą herby Kapuletów, których grobowce także znajdują się w kościele Ś-go Sebastjana. Z ulicy tylko rzuciliśmy okiem na teatr i na muzeum, i skończyliśmy naszą dzienną wycieczkę na ogrodzie *Giusti*, z kądem jest prześliczny i wspaniały widok na miasto, na okolicę, na Alpy i na Apeniny, których pasma błękitnieją w oddali. Miejsce to słynie także pięknnością i mnogością cyprysów, których być musi że dwieście, a każdy ma połowę lat Matuzalowych.

Po obiedzie, o zmroku, byliśmy raz jeszcze w arenie, aby ją widzieć przy świetle księżyca, a potem już resztę wieczoru przepędziliśmy wszyscy razem w kawiarni, a raczej przed kawiarnią, na placu *Bra*, obok areny. Tu już właściwie jest miejsce powiedzieć ci

jeszcze słówko o skutku moich obserwacji całodziennych, to jest, że w ogólności młode Weronezki nie są mniej kształtne i mniej ładne od Medyolanek. Strój nawet mają zupełnie podobny, tylko że zamiast czarnych, noszą na głowach weloniki białe. Musiała o tém wiedzieć Signora Rachela, bo przed wyjściem na miasto przywdziała podobnyż, i bardzo jój z tém było do twarzy.

Wszyscy jesteście zasmuceni rozstaniem się z państwem Sekwensowstwem, którzy tu na czas dłuższy zostają. Oni też po bratersku żegnali się z nami; ona sama aż łkając płakała. Ależ bo smutne to jój położenie: rzucić kraj i wszystkich swoich, i znaleźć się w obcym, wśród obcych, nie znając nawet języka! Fatalna to rzecz rozstanie! Ale nie powiem tego o kończeniu listu; owszem rad jestem w tej chwili, że nie mam na czém bazgrać dłużej, i że porzucam pióro dla pierzyny;—bo znów jutro o czwartej mamy ruszać dalej. *Addio dunque, e buona notte!*

XXXVII.

Do tegoż.

Vicenza, 5 Października 1829 r., godz. 10 wieczór.

Ani mi się śniło pisać do ciebie pierwój jak z Wenecyi, a że jednak piszę z Vicenzy, nie masz bynajmniej obowiązku być mi za to obowiązany. bo czynię to nie dla ciebie, ale dla siebie; to jest siedzę sam jeden w domu, nudzę się, i chcę się rozerwać. A jeślibyś chciał wiedzieć czemu to tak? to wiedz, że przybywszy tu dziś o południu, rozstałem się z najlepszą moją przyjaciółką, panią Magdaleną *Sanpietro*, odprowadziwszy ją i zadźwigawszy za nią ogromny jej kosz podróży aż do samych drzwi jej siostrzenicy, gdzieśmy się po raz ostatni uścisnęli jeszcze serdecznie i pożegnali przed progiem. Bez żartu, smutno mi było, bo w podróży humor mi jej rozweselał, a życzliwość obowiązywała. Prócz tego winienem jej rzeczywiście wiele pod względem postępu w języku; bo i sama ciągle gadała, i mnie uczyła chętnie wokabuł i całych frazesów. Jedyna zaś reszta Medyolańskiego naszego towarzystwa, to jest Signora Rachela, nie tylko nie jest dla mnie żadną *addycją*, ale owszem, jest rzeczywistą *abstrakcją*; bo grzeczność, która każe się nią opiekować, odciąga odemnie Adama, a pomoc mu w tém moja, widzę, że nie jest potrzebną, zwłaszcza gdy sobie przypomnę sonet jego z radami dla gościa, który chce być miłym. Całe więc popołudnie

musiałbym się tułać sam jeden po nieznanym miejscu, gdyby mi trafił szczęśliwy nowego przyjaciela nie zdarzył. Sylf jakiś opiekuńczy czuwa widocznie w tym względzie nademną.

Nauczywszy się naprzód z *Guide du Voyageur*, co jest do widzenia w Vicenzy, puściłem się ulicą, gdzie oczy poniosą, i zaraz natrafiłem na *tableau du genre* obyczajów włoskich. Przekupka jakaś na ulicy kłóciła się i biła z tragarzem. Ich pozy, gesta i zręczność w szermowaniu pięściami, nie mówiąc już o szermierce języka, mogłyby ująć za sztuczny spektakl pugilatu. To też wszyscy prawie przechodnie zatrzymywali się i stawali koło nich, śmiejąc się, klaszcząc lub gwiżdżąc, w miarę jak on czy ona zręczniejsz palnął lub się ustrzegł kułaka. Współczucie to nieproszonych widzów podwajało widocznie gniew i zapał Megery, która była właściwie stroną atakującą, bo napastowany nieborak odwoływał się ciągle do otaczającej ich publiczności, jakby chciał powód kłótni zdać na sąd polubowny. Nikt wszakże nie miał widać ochoty podjąć się roli rozjemcy, i nie wiem na czémby się skończył pojedynek, gdyby zwabieni hałasem dwaj policyanci nie rozłączyli gwałtem zapaśników i nie zabrali obojga do kozy.

Przypatrując się z ciekawością téj scenie, miałem sąsiadem jakiegoś młodego człowieka w moim wieku, który ponieważ śmiał się i klaskał z innymi, zapytałem go więc, jak umiałem, co to był za powód téj walki? „*Non so*” (nie wiem), była krótka odpowiedź; ale wy-mówił ją tak grzecznym tonem, że mię do dalszych

zapytań ośmielił. Miałem zaś pytać o drogę do *Madonna del Monte*, dokąd się właśnie wybrałem. Jest to kościół o parę wiorst za miastem na górze, gdzie jest wiele pięknych obrazów i piękny widok na miasto i okolice. Interlokutor mój nie tylko że chciał mi oświecić, ale widząc, że informacyi jego dobrze nie rozumiem, ofiarował się być sam przewodnikiem moim aż na miejsce. Masz zaś wiedzieć, że ten rodzaj grzeczności i uczynności ze strony całkiem nieznanego człowieka, nie jest wcale rzeczą nadzwyczajną we Włoszech. Doznałem już tego razy kilka, chociaż nigdy w takich rozmiarach. Nie dziw więc, że wyczerpałem cały zasób mojej włoszczyzny na wyrażenie wdzięczności; a że także okazało się przy tém, że mój towarzysz rozumie po niemiecku, chociaż sam tym językiem nie mówi: więc i rozmowa i znajomość nasza wkrótce bardzo serdeczny przybrały charakter. Powiedziałem mu, ma się rozumieć, kto jestem, i dowiedziałem się nawzajem, że się nazywa *Giacomo Vaccarotti*, że jest aplikantem w palestrze, i że zna doskonale miasto; a że właśnie ma dzisiaj czas wolny, więc chce sam służyć mi za *Cicerone*. Przypomniało mi to pocziwego Baltzara w Jenie, i szczerze w duszy podziękowałem Panu Bogu, że mi tak jakoś wszędzie dobrych ludzi spotykać pozwala. Rozmyślam nawet nieraz, czém się to dzieje, że kiedy tylu innych uskarża się wiecznie na ludzi, ja dotąd, Bogu dzięki, nie spotkałem ani jednego, którego bym rzeczywiście nie lubił, albo ktoby mi zrobił co złego; kiedy przeciwnie od tylu tyle dobrego doznałem. Są wprawdzie

pewne klasy ludzi w ogólności, których nie lubię i niecierpię w idei, np. zapaleńców, fanfaronów, lub pysznych a zawistnych, cechowych literatów Warszawskich; ale jak z nich którego widzę pojedynczo, choćby samego nawet Gurowskiego czy Osiańskiego, dopóki nie przedrwiwa i nie szarpie nikogo, czuję, że nie mam względem niego złej woli, i gotów prawie byłbym go lubić, gdybym poczuł, że on dba o to. Dobrze mi z tém dotychczas i wesoło na świecie; chociaż nieraz przychodzi na myśl, czy to nie jest brak jakiegś klepki do poznawania i oceniania ludzi, co mi już nawet niektórzy *rozumni* zdaleka *ad intendum* dawali. Ale też z drugiej strony, wpatrując się bliżej w powody, dla których oni sami, jak mówią, nienawidzą lub gardzą bliźniemi, widzę jasno, że to nie idzie wcale z obrzydzenia ich grzechów, ale wprost z gniewu za to, że drudzy względem nich samych nie są tak, jakby oni mieć chcieli, to jest, albo ich nie dość wielbią i szanują, albo nie dość im usług oddają. Pan Maurycy Gosławski naprzykład, który ma ciągle na ustach tę strofę Lorda Byrona: „*Wy psy! nie! gorsi od psów, wy ludzie!*” i t. d., nie widzę wcale aby sam był taki baranek, iżby nie rad ukąsić nikogo, a tylko ciska Jowiszowe pioruny na wszystkich, że go nie chcą uznać za Feba. Cóż za dziw, że ta dzika pretensya, śmiech tylko w ludziach, jeśli nie wstręt i ducha przekory obudza? Czemuż Adam, który choć się nigdy nie łąsi, ale też nigdy ani warczy nawet na ludzi, ma wszędzie taką biędę z tłumem wielbicieli, którym się opędzić nie może? Czemu pan Tomasz, który mi-

kuje wszystkich i rad zawsze usłużyć każdemu, nigdy się na niewdzięczność ludzką nie uskarża? Prawdziwie, nie mam na to innąj odpowiedzi, jak chyba, że ludzie w ogólności nie są tak źli, jak na nich krzyczą; że chętnie uznają zasługę, która się sama nie wywyższa nad wartość, i że nie są niewdzięczni za dobroć, która im zaraz gwałtem nie narzuca wdzięczności. Ja nawet, sądząc z siebie, mógłbym i powinienem dodać, że ludzie nawet *gratis* i *à priori* w ogólności są dobrzy, i choćby człowiek sam z siebie nic jeszcze dla nich dobrego nie zrobił, dość, że umie być wdzięcznym za dobroć, aby już dobroci doznawał. Bo i cóż mogło skłonić np. p. Giacomo Vacarotti, że jak płatny *Cicerone* włączył się ze mną po mieście? Nie chciał nawet przyjąć obiadu, na który go chciałem zaprosić; a przecież przyszedł znowu po obiedzie, aby jeszcze i w wieczór kontynuować pielgrzymkę, i tylko porcyą lodów ufetować siebie pozwolił. Gdy mu zaś dziękowałem czule przy rozstaniu, powiedział mi, że się czuje szczęśliwym, że miał sposobność poznać i oddać przysługę jednemu z Polaków, dla których, jak się wyraził, ma wielkie: *simpatia e rispetto*. Czyż to więc nie wyraźne szczęście moje, że ja, a nie kto inny, z tego skorzystałem? A jak dziś, tak i zawsze przekonany jestem, że wcale nie sobie samemu, ale wprost szczęściu i łasce Boskiej wszystkie podobne spotkania i uczynność ludzką zawdzięczam.

Ale muszę się przecież i z tobą podzielić owocem dzisiejszej, to jest, dać ci mniej więcej wyobrażenie o Vicenzy, którą wzdłuż, w poprzek i na ukos, z moim przewodnikiem przebiegłem.

Miasto to jest ojczyzną sławnego architekta włoskiego *Palladio*, który i sam tu wiele gmachów i domów nabudował, i następców swoich ukształcił, i gust do architektury zaszczerpił. Nie wiedziałem nic o tém pierwój, a jednak uderzyła mię od razu piękność tu-tejszych budowli. Do najpiękniejszych należą: dawny ratusz, (*Palazzo del Consiglio*), restaurowany przez *Palladia*, i teatr tak zwany Olimpijski (*Teatro Olimpico*), zbudowany przez niegoż na wzór starożytnych, gdzie téż dają niekiedy sztuki dawnych tragików greckich, bez żadnej w tłómaczeniu przemiany. Prócz tego są tu jeszcze dwa czy trzy inne teatra i dość bogata podobno galerya obrazów (*Pinacoteca*). Kościołów jest w ogóle ze 30, niektóre i duże i piękne. Byłem wszystkiego w siedmiu, gdzie się sławniejsze pomniki lub obrazy znajdują. Pałaców co się zowie naliczyłem blisko dwadzieścia, a na najodleglejszych nawet i nędznych na pozór ulicach dają się postrzegać domy, któreby i największych miast mogły być ozdobą. W liczbie ich jest dom samego *Palladia*. (Szewc tu więc nie chodził bez butów). Plac także jeden nosi jego imię. Na placu *dei Signori* dwa pyszne łuki tryumfalne z czasów Rzeczypospolitej Weneckiej. A jest téż jeszcze kilka pałaców pięknych. Ulica *Corso* długa i wspaniała. A to wszystko w mieście nie większem jak Grodno, liczącem nie wiem czy więcej mieszkańców, bo ma ich 30 tysięcy.

Ale zapomniałem ci jeszcze wspomnieć o kościele *Madonna del Monte* za miastem, w którym właśnie byłem najpierwój. Leży na górze *Berico*, a prowa-

dzi do niego z miasta piękna galeryja sklepiona, zbudowana przez Palladia, mająca 2,000 stóp długości, a wsparta na 180 kolumnach. W kościele jest kilka pięknych obrazów nowszej szkoły, a w refektarzu sławny obraz Pawła Veronese: *Uczta Św. Grzegorza z Chrystusem*. Ale więcej niż malowane, zajmował mię żywy obraz miasta i okolic, które ztamtąd widać najlepiej. Miasto u stóp téj góry leży na równinie, która się rozciąga szeroko, a kończy się w oddaleniu pasmem Alp Tyrolskich. Niektóre z nich już śniegiem okryte, a tu w ogrodzie klasztornym zerwałem sobie różyczkę, zaledwie z pączka rozwitą. Rzeka *Bacchiglione* nie wielka, będzie taka jak nasza Wilia, z ładnym mostem drewnianym o jednéj arkadzie. Wzdłuż jakiegoś strumienia rosną śliczne wierzby płaczące, które mi mój towarzysz, jako jedną z ozdób miasta wskazywał. Rozstaliśmy się z nim bardzo serdecznie, on mnie, a ja jemu okółkiem napisawszy na pamiątkę swoje nazwiska. Włosi w ogólności, jak widzę, z żywości i serdeczności mają dość wiele podobieństwa z nami, ale, o ile na sobie doznałem, zdają się mieć więcej jeszcze prostoty i naiwności, i prędzej nawet ulegają wrażeniu. Twarzyczki żadnej ładnej nie spotkałem. Towarzysz mój powiadał, że *belle Signorine* w poniedziałki zazwyczaj siedzą po domach, odpoczywając po spacerach niedzielnych. Jutro raniutko wyjeżdżamy dalej — do Padwy. Adama jeszcze nie ma. Dobranoc!

Jeszcze Vicenza, 6 Października, godz. 9 rano.

Zamiast wyjechać, jak mieliśmy, o 3-ój rano, wyjeżdżamy dopiero za godzinę, a to z powodu choroby naszego weturyna, który zapewne w skutek onegdajszego wzruszenia, dostał w nocy gorączki i dalej jechać nie może. Wystarał się jednak o zastępcę, który nas jego końmi ma odwieźć aż na miejsce, to jest do Wenecyi. Namówiłem Adama aby pójść go odwieźć. Zmieszzał się z razu widząc nas wchodzących, ale gdyśmy przemówili uprzejmie, zapytując o jego zdrowie, i dali mu po guldenie na lekarstwo, tak był tém widocznie wzruszony, że się przez gwałt podniósł na łóżku, i wyciągając ku nam obie ręce, rzewnym tonem przepraszał znowu Adama, (tą razą pewnie szczerze i serdecznie), i naprzód jego, a potem i mnie w rękę pocałował. Tak mi się żal go zrobiło, że aż się zawstydziłem czując łzy w oczach. On to spostrzegł i chciał mię znowu pocałować w rękę, ale nie dopuściłem tego, i uściśnawszy go po przyjacielsku, zreiterowałem się co prędzej. Adam wyszedł także wzruszony. Kobięta pilnująca chorego, kiedym już drzwi zamykał, słyszałem jak powiedziała: „*bravi Signori*”. Mój Boże! jak to małą rzeczą niekiedy można i sobie i drugim zrobić wielką pociechę! A jakto dobre słowo i pokora rozbraja!

Adam wczoraj powrócił dopiero po jedenastój. Byli z Signorą Rachelą w teatrze. Kelnerowi w oberży dali polecenie, aby mi o tém powiedział jak wróce, i wskazał gdzie mam ich znaleźć. Ale ten bałwan

zapomniał, i może dobrze się stało; bo miałem czas napisać do ciebie i odpocząć po całodzienném chodzeniu. Za toż dziś rano byłem jeszcze w trzech kościołach, a w jednym z nich, *della Corona*, widziałem sławną starożytną statwę Ifigenii, i w wielkim ołtarzu obrazy z mozaiki, wyglądające najzupełniej jak malowidło. — Do Padwy mamy tylko trzy godziny drogi. List ten zabieram z sobą, aby go tam kończyć.

Padwa, 6 Października, godz. 10, wieczór.

Upadam od znużenia, bo ciało jest mdłe; ale biorę pióro do ręki, bo chęć i wola pisania do ciebie są mocne; chociaż bodaj że samo pisanie będzie raczej odpowiadało ciału.

Padwa między innemi ma jeszcze dla mnie ten szczególny urok, że jest stolicą czci mojego świętego Patrona, w którego cudowną opiekę, nie tylko z tradycyi, nie tylko z opowiadań cudzych, ale z własnego mego doświadczenia najszczerzej i najmocniej wierzę. To też wprost z wozu, nie jako wojażer, ale jak pielgrzym, pobiegłem naprzód do kościoła pod jego wezwaniem, i w poświęconej wyłącznie mu kaplicy do czekałem przyjsia Adama, z którym razem dopiero rozpoczęliśmy wojażerski przegląd. Kościół wspinały, piękny i bogaty; budowany przez półtrzecia wieku (od XIII — XV); kształt krzyża; siedm kopuł, trzy nawy, ośm kaplic. Długość 280 stóp, szerokość w ramionach krzyża 138, wysokość najwyższej kopuły 116 stóp. O ołtarzach, obrazach, pomnikach,

o bogactwie marmurów i kruszców, wspominać nawet nie będę; ale nie mogę nie wspomnieć o najcudniejszych, jakie dotąd widziałem, płaskorzeźbach w kaplicy Ś-go Antoniego, dłota różnych sławnych rzeźbiarzy. Jest ich cała nowenna, to jest dziewięć, a wszystkie przedstawiają różne cuda z życia Świętego, którego piękna statua wznosi się nad fasadą kościoła. Przypatrywaliśmy się jój właśnie z placu przed kościołem, kiedy obok mnie stanął jakiś ładny jak panienka młodzieńczyk, mający może lat najwięcej dwadzieścia. Podobał mi się niezmiernie, a widzę że też na mnie patrzy dobrém okiem. Uchylając zatem kapelusz, pytam go, kędy droga do kościoła Ś-tój Justyny? On też z wdzięcznym uśmiechem zdejmując czapeczkę, ale zamiast odpowiedzi na moje pytanie, pyta mię tylko nawzajem: — „Pan cudzoziemiec?” — „*Si, Signore!*” — „A zkąd, kiedy można zapytać?” — „Z Polski.” — „Ach! z Polskil Z Warszawy? z Krakowa?” — Zrozumiałem, że chce przedemną popisać się z jeografii. Odpowiadam mu zatem jak mogę, a on mi wielce uprzejmie ofiaruje się za przewodnika po mieście i obiecuje pokazać pamiątki sławnych Polaków. Adam spogląda z uśmiechem, jak się czule ściskamy za ręce, ale sam jednak łaskawie pozwala się przedstawić jako mój towarzysz; i dowiadujemy się nawzajem, że nasz grzeczny interlokutor nazywa się *Vincio Moretti*, że jest synem właściciela ziemskiego z pod Vicenzy i uczniem uniwersytetu tutejszego, z wydziału filologii. Ale nie ma w nim ani cienia burszeryi niemieckiej, i przypomina on raczej naszych nowicyuszów

Wileńskich, jakim ja sam siebie pamiętam. Jest już na drugim kursie, jak powiadał, a w ciągu dalszej z nami przechadzki, zdziwiony był niezmiernie znajomością literatury starożytnej Adama, (o czém właśnie była rozmowa). Gdy mu zaś powiedziałem kto on jest, był dla niego z takim respektem, że tém więcej ujął mię za serce. Mówi sam tylko po włosku, ale i po francuzku i po niemiecku rozumie. Towarzyszył nam przez całe popołudnie, od 3-jej do 9-tjej (bo przyjechalśmy o 1-jej). Signora Rachelą ma tu jakąś znajomą, do której się wnet po przyjeździe udała.

Ale cóżem widział w Padwie? Mniej więcej wszystko, co jest do widzenia, a przynajmniej co „Przewodnik“ zaleca. Inwentarza ci wszakże kopijować nie myślę. O czém nie można dać wyobrażenia, o tém lepiej całkiem nie mówić. A ściaga się to zwłaszcza do obrazów i rzeźby. Język nie skopiuje pędzla, ani pióro dłota. Za toż bez szczególniejszych wysilen wyobraźni, możesz sobie wystawić, gdy powiem, że Padwa nawet z pozoru zdaje się być poważnem, religijnem i naukowem miastem. Przyczynia się może do tego i ta jej specyalność, że wszystkie prawie, a przynajmniej większe ulice, mają po obu stronach kryte sklepienie chodniki, nakształt korytarzy klasztornych, a podobne nieco do otaczających nasz Ś-to Jański dziedziniec w Wilnie. Podobneż podobieństwo do niego ma dziedziniec sławnego tutejszego uniwersytetu, gdzie na ścianach wyrte są nazwiska i herby wszystkich jego Rektorów, i gdzie zapewne w *antr-*

kursach adepci mądrości muszą się zbierać, jak u nas, na rozmowę o głupstwach. Przechodząca dziewczyna z pełną konwią wody, uwydlatnia jeszcze bardziej to podobieństwo dziedzińców, przypominając owe złote czasy, gdy jak wielbłądy u studni Rebeki, przyklękając przed dziewczętami, niosącemi pełne dzbanki lub wiadra z pod *Lewka*, piliśmy z nich — często bez pragnienia, kiedy warto było przyklęknąć i ofiarować wzajem karmelek, albo słodsza jaką podziękę. A i tu duch pana Tomasza strzegł myśli i słów *młodzianków*. Słowo, podług jego teorii, jest to *promionek* myśli, który zawsze powinien świecić; botaniczny pyłek dusz ludzkich, który z jednej do drugiej zaród kwiatu przenosić powinien. Słowo gorszące, jedno co trucizna, a i z próżnych trzeba będzie zdawać rachunek. Ach! i bodaj że ta rubryka będzie dla wszystkich nas najtrudniejszą na sądzie; a cóż dopiero dla klekających rymy, albo dla interlokutorów płci pięknej? A czy to jest raczej spuścizna po Adamie czy Ewie, tego ja rozstrzygnąć nie umiem; wiem tylko, że z mężczyznami, kiedy nie mam o czém mówić, to milczę; ale wpadnij — że tylko między te aniołki! — język wnet, Boże odpuść, kręci się bez ustanku jak wiatrak — choć najczęściej wiatr tylko miele. Ot i dzisiaj naprzykład przez całą prawie drogę z Vicenzy do Padwy, to jest pewno przez jakie dwie godziny, toczyłem najzażartszą dysputę z Signorą Rachelą — a o co? o ten wieczny gordyjski węzeł pomiędzy płcią piękną a brzydką, którego żadne dysputy przedślubne nigdy rozwiązać nie mogą, a który często, niestety, rozwiązuje się sam przez się, gdy

związani nim myślą, że się związał na wieki. I powiedz twoim pięknym sąsiadkom z Nahorodowicz że z różnych ust Signori Racheli zdało mi się wciąż słyszeć ich słowa, w tłumaczeniu włosko-francuzkiem, tak jak sam też wydobywałem z pamięci wszystkie dawniejsze moje argumenta, któremi wszakże, jak niegdyś, tak i dzisiaj szermowałem napróżno. Przybyło mi więc przekonanie, (raczej tylko wątpliwość), czy nie jest to może zabytek szatański pokusy w raju. Wąż obiecał obu małżonkom: „będziecie jako Bogowie“ (*eritis sicut Dii*). Owoż pycha mężka, w mocarzach i filozofach, chce dorównać koniecznie Bogu w potęgę i mądrości; żeńska zaś; i to bez wyjątku, marzy wciąż o wyłącznej czci i miłości—nie swojej, ale dla siebie. W myśli każdej z nich, jak w Dekalogu, na pierwszym miejscu stoi przykazanie: „Nie będziesz miał drugiej przedemną!“—choć znów, nie tylko w myśli, ale nawet i w oczach każdej, jak mówi Byron, wąż zaszczerpił blask swoich oczu, aby nim serca ludzkie od wyłącznej czci drugich odciągać. Dójdźże więc tu z nie-mi do ładu! Bądź tém, czém chcą niby, dla jednej, to cię wnet wszystkie za nudziarza i mazgaja okrzyczą, aż i ta jedna na koniec zdaniu wszystkich uwierzy. Chciej zaś którą o tém przekonać—nie sposób! A więc rad nie rad musisz grać w ich dudkę, i czy to potakując, czy dysputując z niemi, naśladować zawsze ich przykład, to jest myśleć naprzód o sobie. Ja dziś wolny byłem od tego, bo czułem doskonale, że służę tylko za bałwana do *rykoszetów*, i przeto z całą swobodą myśli, żartami po większej części odstrzeliwa-

łem na patetyczne bomby Cycerońskiej wymowy Signory Racheli, której zapalę tém bardziej się przez to rozdrażniał. Ale co mię najwięcej bawiło, to położenie Adama. Był on rychtyk jak ów minister, który wie, że sąsiedzi o kraj jego wojują, lecz aby się nie skompromitować względem jednej lub drugiej strony, udaje, że się niczego nie domyśla, i zachowuje ścisłą neutralność. Ja mu też, prawdę mówiąc, nie ułatwia-łem wcale odegrania tej roli. Owszem,

Na szept ducha przekory, (wyznaję ze skruczą),
Pewny, że mię nie będzie śmiał kręcić za ucho,
Za ideał w mój myśli kochanków-poetów
Wziąłem razem autora *Dziadów* i *Sonetów*,
(By w teorii z faktu tém śmiej dowodzić,
Że jakoś jedno z drugim daje się pogodzić;
Choć wzorki brane z niego, tonem z *głupia-franta*,
Rozrzuciłem na Tassa, Petrarę i Danta,
Którzy wszyscy podobno, jak śpiewak Maryli,
Płci pięknej w ogólności tylko wierni byli.

Przysiągłbym, że on tę moję intencją przeniknął; ale jako przebiegły dyplomata, nie dał bynajmniej poznać tego po sobie, aby i opponentka moja tegoż nie odgadła; a kiedy był już zmuszony wnieść się do naszej rozmowy, ratował się conceptami lub żarcikami ze mnie, zwracając przeciwko mnie własne moje argumenta, albo je do mnie samego stosując. Jakoż musiałem na koniec, dla złagodzenia sporu, przyjąć niby na siebie rolę głównego bohatera, i rozbroiłem zapalę moję przeciwniczki zapytaniem: coby też pomyślała o mnie, a może i w ogólności o współ-

ziomkach moich, gdybym postrzegłszy ją wsiadającą do jednego powozu ze mną, naprzód sobie zawiązał oczy, a potem zatkał i uszy; bo to był jeden sposób ratowania się od grzechu, który ją tak w płci naszej obrusza; to jest, że nie możemy być ślepi na wdzięki, a głusi na rozum i dowcip, gdziekolwiek je i w kimkolwiek spotkamy. Rada nie rada musiała się zaśmiać — i wjeżdżając już do bram Padwy, podaliśmy i ścisnęliśmy sobie czule ręce na znak przyjaźni i zgody.

Ale wracając także do Padwy — kończę relację o niej. Wprost z uniwersytetu, (który, *inter parentem*, liczył w roku ubiegłym 1800 uczniów), poszliśmy na godny swój sławy, prześliczny plac *Prato della valle*, okrągły i dokoła oblany kanałem, po obu brzegach którego stoją posągi wielu sławnych ludzi, których sława ma związek z Padwą. P. Vizenzio Moretti zaprowadził nas naprzód do dwóch, jako mających związek z nami. Pierwszym jest posąg Jana III, drugim Stefana Batorego; oba postawione kosztem króla Stanisława Augusta w 1784. Napis pod pierwszym: *Joanno Sobieskio — Qui — Patav. academiam alumnus ingenio — Patriam Rex — Egregiis pacis et belli artibus — illustravit — Christ. Rep. optime merito*. U spodu: *Stanislaus Augustus Rex Poloniae, monumentum posuit*. Napis pod drugim: *Stephano Batoreo — olim gymnasi Patavini alumno — Postea Poloniae Regi clarissimo — Stanislaus Augustus, etc.* Dalej są posągi: Petrarki, (który mieszkał i umarł w bliskości Padwy, w Arquą), Tassa, Galileusza, i t. d., i t. d. W sławniej, bo podobno najwięk-

szęj w świecie sali, w Pałacu Sprawiedliwości, (*della Ragione*), mającej 300 stóp długości a 100 szerokości i wysokości, widzieliśmy sarkofag Liwiusza, i model Trojańskiego konia, przez Donatella. O innych pomnikach długoby mówić; a z kościołów, powiem ci tylko słówko o kościele Ś-tój Justyny, jako o jednym z najpiękniejszych, jakie dotąd widziałem. Ogromny, pyszny, wspaniały. Trzy nawy, ośm kopuł. Podłoga marmurowa w tafle: czarne, czerwone i żółte. Po obu stronach odpowiednie sobie kaplice. O bogactwie ołtarzów, rzeźb i mozaik nie mówię; ale co mnie i tutaj zachwyciło najwięcej, to płaskorzeźba z drzewa, znajdująca się w chórze, a wyobrażająca życie Zbawiciela, od Zwiastowania aż do Wniebowstąpienia. Jest to dzieło Francuza *Riccardo z Rouen*, który je po 22-letniej pracy w roku 1555 ukończył. Cud i podziw doskonałości! Obrazów nie można było dobrze widzieć, bo już dzień miał się ku schyłkowi, a oprócz tego najslawniejszy: *Męczeństwo Ś-tój Justyny*, przez Pawła Veronese, umieszczony jest w cieniu i nazbyt wysoko. Do szczególnych osobliwości tego kościoła należą jeszcze sarkofagi Ś-go Mateusza i Ś-go Łukasza. — Resztę dnia, aż do zupełnego zmierzchu, poświęciliśmy oglądaniu po wierzchu miasta, a wieczór skończyliśmy w kawiarni, gdzieśmy uczestowali naszego kochanego przewodnika i pożegnaliśmy się z nim bardzo serdecznie. Jutro raniutko wyjeżdżamy dalej, a ja jeszcze list ten zabieram z sobą, aby coś może dopisać po drodze, a oddać dopiero na pocztę w Wene-

cyi, abyś wiedział, że już tam jestem. A więc, *adieu* do jutra!

Fusina, dnia 7, godzina 11 rano.

Wiészże co to *Fusina*?
Jest to mała miejscina,
Gdzie ład się kończy, a morze zaczyna.
To też w porcie, w półkole,
Stoją, widzę, gondole,

Remiza na tym żywiole.

A przed nami w oddali,
Na horyzoncie fali,
Im bliżej, tém wspaniałej,
Wznosi się i rozwija
Nadobna Wenecyja.

Dokąd, jeśli wiatr sprzyja,
Opusciwszy *Fusinę*,
W poprzek przez tę ciasninę,
Dopływa się w godzinę.

Lecz nim ja też popłynę,

muszę ci jeszcze słów parę o podróży z Padwy powiedzieć, aby już potem w Wenecyi głowy tém sobie nie zaprzętać, a wątku relacji nie przerywać.

Droga po nad *Brentą* prześliczna. Malowniczość, obfitość i rozmaitość kraju i obrazów. Nieraz w myśli, a potem i głośno Adamowi deklamowałem tę twoją harmonijną strofkę:

Po dolinie
Brenta płynie,
Po niej pływa cień gondoli,

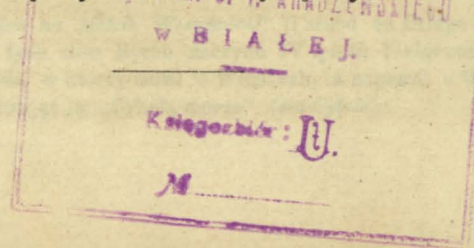
Z szumem wiosła,
Fala niosła
Teskną nótę barkaroli.

Mnóstwo tak zwanych *villi*, to jest domków, a raczej pałacików wiejskich z ogrodami, świeci się po obu stronach drogi. Jeden zwłaszcza ściągnął moją uwagę. Pytam czyj? i dowiaduję się, że hrabiego *Gritti*, do którego mam właśnie list w pugilarzesie od syna jego Kamila, z którym, jeśli pamiętasz, jechałem razem z Mińska do Petersburga, a w przewidywaniu że będę w Wenecyi, wziąłem list od niego do ojca, który ma tam swój pałac i zwykle mieszka przez zimę. A że szliśmy piechotą, (bo dzień był cudny, a nie nas nie nagliło), widzę kilku robotników przy drodze i jakiegoś poważnego jegomościa, w białym płóciennym kitlu, w kapeluszu słomianym, z grubą laską w ręku, który im widać dysponuje robotę. Zbliżam się więc do niego i pytam, czy *il Signor Conte* jest w domu? Zmierzył mię od stóp do głowy, i odpowiada sucho: „Ja jestem. Co pan ma do życzenia?”—Ale zaledwo posłyszał nawzajem kto ja jestem, i obaczył charakter syna: rozpromienił się cały staruszek, i zaczął mi dziękować najczuliej, jakby za coś ważnego, za opiekę nad nim w podróży, o czém już wiedział przedtém z jego listów i miał zapowiedzianą sobie moją bytność. Opowiedziałem mu niektóre dalsze szczegóły o panu Kamilu i o jego służącym, jak się gniewał mianowicie na zimę w Maju—co go, widziałem, ubawiło serdecznie. Chciał koniecznie zatrzymać mię na dni kilka u siebie, obiecując, że mię sam potem do Wenecyi odwie-

zie. Ale że to było niepodobieństwem, chociaż miałbym wielką ochotę doświadczyć *villegiatury* włoskiej; skończyło się więc na tém, że mam złożyć w jego pałacu adres mego mieszkania w Wenecyi, a on mię za przyjazdem odwiedzi. Konferencya ta trwała z pół godziny; *wettura* i towarzysze czekali mię stojąc na drodze, i Adam pewnoby się już niecierpliwił, gdyby nie łagodzący wpływ Signory Racheli, która owszem, dowiedziawszy się odemnie zagadki tego spotkania, wypaliła mi strzelisty komplement o benewolencyi mojej. Adam-zoil kręcił głową z uśmiechem; ale nowy nasz towarzysz podróży, dotychczas grzeczny wprawdzie ale obojętny, teraz, zapewne na wiarę jej słów, podał mi bardzo kordyalnie rękę i moję nawzajem uściśnął. I czyż ja się mogłem spodziewać, aby znak dobrej woli dla nieznanomego w Mińsku, miał mi się tak odpłacić nad brzegami Brenty? Jak to nie widać w życiu ludzkim nie ginie, chociaż nie zawsze my sami skutki widzieć lub zgadnąć możemy. I mądre to jest przysłowie o uczynności: „rzuć za siebie, a znajdziesz przed sobą.”

Nowy ten nasz towarzysz, o którym wspomniałem, jest to bardzo miły i światły człowiek, niejaki p. Badoer, Wenecyanin, który jedzie z nami od Padwy. Widocznie musi należeć do wyższego towarzystwa; znać to z jego obejścia i rozmowy. Nadto zna doskonale wszystkie społeczne i polityczne stosunki Wenecyi, o czém nam wiele ciekawych rzeczy opowiadał. Ale co nas zajmowało najbardziej, to jego opowiadania o rozbójnikach w Apeninach i w Legacyach

Rzymskich, z kąd właśnie teraz powracał. Widać z tego, jak bandytyzm we Włoszech jest jednym z elementów poetyczności tego kraju, i jak bandyci w wyobraźni ludu odegrywają tu niejako rolę dawnych paladynów. Oni sami muszą to wiedzieć, bo lada herszt jakiej takiej bandy, wnet pozuje na bohatera, albo chciałby wywiesić sztandar Mazaniella, by tém pociągać i łudzić łatwowiernych. I możnaby powiedzieć, że każdy naród, obok ideałów prawdziwych, ma jeszcze swoje ideały ujemne, które w nim popularność jednają. I tak np. u nas, junak-warchoł; we Francyi, galant-awanturnik; w Anglii, oryginał-dziwak; w Niemczech, sekciarz-filozof; a we Włoszech, kuglarz-bandyta. Żałuję, że nie mam czasu powtórzyć ci z parę opowiadań p. Badoera; ale masz ich prototyp w *Rinaldo-Rinaldinim*. Zawsze miłość i *quasi* heroizm, a w rzeczy samej zuchwalstwo; niekiedy zaś teatralna wspaniałość i niby to wymierzanie sprawiedliwości ludowej, ażeby lud przez to ujęty, nie tak łatwo ich samych w ręce legalnej sprawiedliwości wydawał. Zostawiam to do ustnej, da Bóg, narracyi; daj Boże tylko nie mieć do dodania o jakim osobistém spotkaniu z tymi panami; bo i nam droga przez Apeniny do Rzymu.— Tymczasem słyszę głos Signory Racheli, wzywający mię na śniadanie, po którym zaraz puszczamy się na morze. J. Bywaj więc zdrów na lądzie!



Wenecya, 7 Października 1829 r., godz. 1 po połud.

W tej chwili przybyliśmy do Wenecyi, i wylądowaliśmy w oberży *de Luna*.

Lecz o tym grodzie Weneckim

Mówię dziś tylko z Goreckim:

„Co dalej? nie wiem; ale jak się dowiem,

Mieście proszę cierpliwość—w drugim liście powiem.“—

XXXVIII.

Do Ignacego Chodźki i Juljana Korsaka.

Wenecya, 13 Października, 1829 r.

Stoję na *Moście Westchnień*, gdzieś ty stał, Byronie! ¹⁾

Lecz tyś dumał natchniony—ja tylko gawronię.

Tys tu zaczął hymn chwały o tej „mórz Cybeli,”

Ja chcę zacząć list o niej do mych przyjacieli.

Na pieśń twoję świat czekał; krocie serc i uszu

Otwierało się na głos twego geniuszu.

Po mój list, może nawet moi przyjaciele

Pożalują posłańca prędkiej, niż w niedzielę.

I gdy pieśń twa tronuje w nieśmiertelnej chwale,

List mój zbutwieje może w Dziewiętni lub w Strzale.

A przecież—gdyś ty szczerze tak się ludźmi brzydził,

Żeś ich wciąż jak psów łajał, jak psów nienawidził,

To zkąd ci ta ochota pisać dla nich wiersze?

Mnie ukontentowanie list mój sprawia szczerze.

Bo piszę go sam do tych, których kocham szczerze,

Bo wiem, że on im sprawi przyjemność; i wierzę,

Naprzód, że w atmosferze wiejskiego zapiecka,

Będzie to dla nich jakby dryakiew wenecka;

A powtóre, że choćby z przymusem i daseń,

Muszą mi przecież oba odpłacić responsem.

I w tej miłej nadziei, choć na *Westchnień Moście*,

Ja nie tylko nie wdycham, lecz mi serce rośnie.

I gdybyś mnie, Milordzie, zdał na wybór dwoje,

Wolę to moje szczęście, niżli wielkość twoję.

¹⁾ „Stałem na *Moście Westchnień*,” (I stood on Bridge of Sighs). Od tych słów Byron zaczyna IV pieśń *Pielgrzymki Childe-Harolda*, w której mówi o Włoszech; a naprzód o Wenecyi, nazywając ją „Cybelą morza” (*sea-Cybele*).

Tylkoż zmiłujcie się, nie psujcie mi tego szczęścia zbyt niemiłym zwlekaniem odpowiedzi waszkiej, a zaraz po odebraniu tego listu, wyprawiajcie już ją śmiało wprost *poste-restante* do Rzymu. Tymczasem zaś, podajcie ręce! oprowadzę was nieco po Wenecyi, gdzie już sam od tygodnia plądruję, a dotąd jestem jak rozmarzony winem, albo jak zakochany w pierwszym peryodzie miłości, to jest, gdy ani ze swych wrażeń i uczuć, ani z uroków kochanki sam sobie zdać sprawy nie umie. Ach! bo ta Wenecya! to sfinx, to amfibia miast; to kamienna *Fata-Morgana* morza; to fantastyczna maska, czy maskarada ziemi; to gorszy od Kreteńskiego labirynt ulic, uliczek, zaułków, kanałów, kanalików, mostków i mosteczków; to jakby miasto tajemnic, intryg, zasadzek i schadzek miłośnych; tak tu jakoś wszystko niezwykle; na pozór mroczno, ponuro, a w rzeczy samej rozkosznie! Sama jakaś szczególna cichość, sam brak turkotu powozów, tego echa miast wszystkich; sam widok czarnych gondoli, z kształtu nawet do trumny podobnych, przesuających się szybko jak cienie po wązkich zamierzchłych kanałach; wszystko to razem wzięte składa się na to dziwne, oryginalne wrażenie, jakiego tu snadź każdy nowy gość doświadcza, a cóż, gdy go jeszcze sam szuka, i tak mu się na oślep, jak ja np. poddaje? Nieraz tak mi się w głowie zamąci, że się czuję formalnie jak we śnie; zdaje się, że chodzę po wodzie—bo woda wszędzie tuż tuż pod nogami; albo że po ulicy ślizgam się skrós murów—bo kanały nieraz tak wązkie, a mrok od postronnych domów

tak gesty, że tu właśnie wody nie widać, a gondola leci jak strzała. Słowem, tak tu jest jakoś wszystko nadzwyczajnem, że sam herb Wenecyi, lew ze skrzydłami, przestaje być już tylko *weneckim straszylem*, a staje się jakby symbolem tego niezwykłego stosunku elementów, mianowicie we środku i po kończynach miasta, które—mówiąc z Trembeckim—są jakby „*rybim podpasem*” Syreny; gorsem zaś jęj i sercem jest *Piazza di San Marco*, a uroczą, zachwycającą twarzyczką—*Piazzetta*, to jest mały placyk, złączony z pierwszym, a otwarty i wychodzący na morze. Wiecie z bajek o zaklętych ogrodach, gdzie się ludzie obracali w kamienie. Otoż i tutaj dzieje się to samo. Kto wszedł raz pierwszy, pewno skamienieje; to jest, stanie jak wryty, i będzie się bał postąpić krokiem, aby nie stracić widoku, który ma przed oczyma, ażeby się nim dostatecznie nasycił. A nie nasyci się pewnie, choćby przestał dzień cały. Wiem od przyjaciela Kanowy, że on tu codzień po godzinach siadywał, mogąc, jak mówił, za jednym rzutem oka oglądać: i największe piękności natury, to jest niebo i morze, i całą przeszłość dziejów sztuki i Wenecyi, w widzialnych ztąd pomnikach i gmachach. Ja nie umiem czytać jeszcze w tej księdze; ale jako stworzenie Boskie, co Pan Bóg stworzył to widzę i czuję, i dość dla mnie byłoby tego, aby naśladować przykład Kanowy, i to nie tylko we dnie, ale nawet i w nocy. Wieczorem owszem i w nocy urok Syreny działa tém uroczej. Wczoraj tego doznałem na sobie. Przyszedłem nie raz pierwszy, ale

już najmniej dziesiąty, a czułem jakby sumę wszystkich tych razów razem. Bo wyobraźcie tylko sobie—niebo przeczyste, gwiazdziste, lazuruwe, z pięcym rozpromienionym w pełni, a oświecającym pod sobą drugie także niebo na ziemi—tylko że jakby żywe, ruchome, dyszące—a dyszące taką świeżością, a brzmiące wzdłuż wybrzeża takim szumem czy szmerem—że nie bierzcie za przesadę, gdy powiem, że jest to jakby oddech albo śpiew Syreny, który gwałtem w głąb ku niej pociąga. A wręście, kiedy już szum fali Switezi, jak wiecie:

I tak cię łechce, i tak cię znęca,
Tak ci się serce rozpływa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnię kochanka wstydliva; —

To i cóż za dziw, że szum przyprływu fal Adryatyku, w takiej nocy, pod takim niebem, i na takim miejscu, tak się mieć może do Nowogródzkiego jeziora, jak pocałunek do ściśnienia ręki. A przypomnijcież znowu co o tym pocałunku mówi Szyller, a za nim i Gustaw powtarza: a będziecie mieli pojęcie tej mojej wczorajszej extazy, w którąby każdy z was popadł, i której się ja wcale nie wstydę. Gdyby zaś kto po takiej chwili, z samotnego, cichego buduaru, oświeconego tylko lampą z alabastru, raptem i w mgnieniu oka, drzwi tylko otworzywszy, znalazł się w sali balowej, zalanej blaskiem luster i zwierciadeł, wśród balowej ciżby i wrzawy; tenby mógł chyba pojąć wrażenie kontrastu, jakiego też tu wczoraj doznałem, gdy gwałtem

prawie wyrwawszy się z *Piazzetty*, aby tam w zachwyceniu nie usnąć, w téjże chwili ujrzałem się na placu Ś-go Marka, który nie tylko przez porównanie można nazwać salą balową, (jak go podobno Napoleon nazywał), ale który w istocie za najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej, służył za miejsce zabaw i uroczystości publicznych, a nawet konnych rycerskich turniejów, nim go potem granitowo-taflowym brukiem wyłożono. Dziś jest to miejsce schadzek i przechadzek; popisu wdzięków i strojów; najświetniejszych wystaw sklepowych i najliczniejszych zgromadzeń po kawiarniach, które, wspólnie z temi sklepami, zajmują dolne piętra pod kolumnadą dwóch przepysznych gmachów, (tak zwanych *Prokuratorji*, stariej i nowiej), stanowiących dwa dłuższe boki czworokąta, a potokami gazowego światła wieczorem, przez drzwi i okna otwarte, tak zalewają plac Ś-go Marka, jak blask pełni pięcioramiennej *Piazzetty*. A dodajcież jeszcze do tego ruch, gwar, ciżbę, i błyskawice oczu i twarzyczek—a nie dziw, że i pod szronem siwizny, mózg w głowie, jak lód wiosną, mógłby tu odtajać, i z pod pół tuzina krzyżyków na sercu, krew mogłaby wytrysnąć jak woda z pod kamienia w krynicy, a nawet samo to serce jak kamień młyński poruszyć. Dla uśmierzenia więc w sobie tego zbytniego ruchu, uciekłem się do dawniej mojej metody w Warszawie, gdy dla uspokojenia, czy to zbyt rozbijałej „waryatki w domu,” jak ktoś gdzieś nazwał trafnie wyobraźnię w człowieku; czy to zgryźliwej a zrzędnej gospodyni, do której możnaby także troskę ludzką przyrównać; sze-

dłem nieraz umyślnie do dolnego kościoła Ś-go Krzyża, aby tam patrząc na oblicza umarłych i życząc im wiecznego pokoju, choć częśćkę jego od nich na czas jakiś zaczerpnąć, a medytując o znikomościach tego świata, ani go nadto affekcyonować, ani się nadzbyt jego i przyszłości obawiać. Tu miejsce nieboszczyka zastąpił mi Pałac Dożów, który obok kościoła Ś-go Marka, wspaniały, pusty, ciemny i milczący, zdaje się być cmentarnym pomnikiem dawniej wielkości i chwały Rzeczypospolitej Weneckiej, której zwyciężkie sztandary rozwijały się tu kiedyś nad tym placem, ze szczytu trzech olbrzymich masztów, zatkniętych w trzech olbrzymich brązowych podstawach, mających wyobrażać trzy niegdyś hołdowe Wenecyi królestwa: Morei, Kandyi i Cypru, a na których dziś tylko siadające ptaki Cyprydy, to jest gołębie, nie są nawet dla niej, (to jest dla Wenecyi), symbolem pokoju, a tylko żalosnym gruchaniem wtórują cichym westchnieniom jej synów.

Ale nie myślcie, proszę, że wzmianka o gołębiach jest tu tylko naciągniętą, poetyczną figurą. Gołębie są integralną częśćką i jedną ze specjalnych osobliwości placu Ś-go Marka. Pierwszego dnia po przyjeździe byliśmy tu około godziny drugiej, gdy nagle, z wybiciem jej na sławną i wspaniałą wieżę zegarową, usłyszeliśmy tak dziwny jakiś szum, świst, grzmot, łoskot, coś tak nadzwyczajnego, a tak raptem napełniającego powietrze, że drgnęliśmy jak na wystrzał armatni, a to tém bardziej, że w téjże chwili jakaś także szczególna ciemność, jak cień słonecznego

zaćmienia, rozciągnęła się w górze ponad nami i padła na błyszczący ciosowy bruk placu. Patrzym, aż tu nad całym placem jakby namiot skrzydeł gołębic; nie setki ich, nie tysiące, lecz krocie, lecą zewsząd jak huragan, jak chmura, i jedne nad drugimi, w słup od dołu do góry, jak komary kiedy mak tłuką, tłoczą się w jeden kąt placu. Jezus Marya! co to się ma znać? Przypomniał mi się „*Twardowski*” pana Tomaszka, po którego ze wszech stron w jego balladzie: „*kruki, kruki, kruki, lecą.*” Chwała Bogu, że tu gołębie nie kruki; bo choćby nawet porwały, to już chyba do nieba. Aleśmy się dowiedzieli nakoniec, że to jest zwykły codzienny spektakl na tém miejscu. Wenecyanie od niepamiętnych czasów mieli szczególną sympatya i respekt dla gołębi. Przejeli to podobno ze Wschodu, a mianowicie z Persyi, z którą byli w handlowych stosunkach. Niegdyś był osobny urządnik do żywienia ich kosztem rządu; teraz opiekę Rzeczypospolitej zastąpiła hojność prywatna. Bogacz jakiś przed laty trzydziestu, nie wiem czy ciepłą czy stygnącą ręką, ale zapisał dla nich tak znaczną sumę, że procent bankowy od niej wystarcza na zakupienie codzienn, przez rok cały, tyle grochu, pszenicy i gryki, że żaden z tych tysięcy skrzydlatych gości nie musi ztąd powracać tak głodny, jak ja nieraz z pańskich wieczorów w Warszawie; bo choć który nie dopadnie do ziemi, to może sobie żerować na grzbietach niższej warstwy towarzyszy, tak, jak na nim żerują wyżsi. Zboże albowiem z okna najwyższego piętra, jakoby pasmem kaskady, sypie się z góry na ten słup skrzy-

dlaty, i przez pióra ich jak przez sito, ruchem ich skrzydeł przewiane, spada dopiero na ziemię. Zresztą, choćby tu który nie dojadł, może znaleźć wynagrodzenie pod oknami i drzwiami domów, na ulicach, gdzie i gospodarze i słudzy, w pewnych godzinach dnia, wysypują okruchy lub ziarna, przeznaczone na traktament gołębi, które nasycone dopiero, stadami odbywają *sieść* na dachach, kopułach, wieżach i krzyżach kościelnych, albo jak u nas jaskółki, pod sklepieniem pałacowych krużganków, gnieźdzą się sobie i bujają swobodnie, jak gdyby były wszędzie w gołębniku swoim.

Ale widzę, że w ślad gołębi odleciałem też myślą od placu Ś-go Marka, gdzie jednak musicie powrócić, ażebyście przecież wiedzieli, co stanowi dwa drugie jego boki; bo cały on ma kształt prostokąta, w jednym końcu węższy nieco niż w drugim. Otoż ten koniec węższy zajmuje całkiem ogromna, ale ciężka budowa, (*Palazzo Reale*), która że przytém jest pusta i ciemna, więc ani w dzień ani w wieczór patrzeć na nią długo nie warto. Ale za toż—lewa noga w tył! obróć się!—a masz przed sobą bok czwarty—bazylikę Ś-go Marka!!!

Nie darmo człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boskie. Znać to zwłaszcza z siły twórczości rozumu jego i wyobraźni, (znaćby było może i z serca, gdyby nie djabeł i nie Ewa w raju). A twórczość ta gdzież się uwydatnia wyraźniej i trwałej, jeśli nie w architekturze? A szczytem architektury cóż jest, jeśli nie szczyty bazylik? A pomiędzy bazylikami

świata, bazylika Ś-go Marka, jeżeli nie jest całkiem jak lew-król w porównaniu z drugimi, to przynajmniej równie jest godną Ś-go Ewangelisty, jak miasta, których lew był symbolem i godłem. Rzeczywiście jest w niej coś lwiego. Nie zdaje się wznosić w powietrze, jak np. katedry gotyckie, ale za pierwszym spojrzeniem dziwisz się, jak wspaniale, jak potężnie stoi na ziemi. Sama jej facyata, to jak grzywiasta głowa lwa; patrzy na cię zda się lwim okiem; taka cię cześć i podziw, nakszałt strachu przejmuje. Wpatrzcie się tylko w rysunek, który wam posyłam, a pojmiecie, że jest w tém coś prawdy. Te kolumny na kolumnach, arkady na arkadach, gmach na gmachu, posągi na posągach, ostrza wieżyc nad posągami, a to wszystko jak w liściach albo w kwiatach rzeźby; a nad tém wszystkiém trzy kopuły, jakby tyara, która całe to dzieło uwieńcza! Jest to, jak mówią, styl byzantyński, naśladowany zwłaszcza z kościoła N. M. P. w Konstantynopolu. Kształt téż jest krzyża greckiego. A cóż wam mam powiedzieć o wnętrzu? Jest to razem i najpoważniejsza świątynia, i najwspanialsze mauzoleum przeszłości, i najbogatsze muzeum arcydzieł wszystkich sztuk razem i historycznych pamiątek, zacząwszy od X. wieku, w którym sam kościół budować zaczęto. Wszystko tu od marmurów, od porfirów, od bronzów, od złota; a z tych wszystkich, lub na tych wszystkich bogactwach ziemi, umysł i ręka człowieka wyrobiły tu cuda niebieskie, wyobrażenia cudów Boskich lub ludzkich, w rzeźbie lub malowidle, a raczej w naśladowaniu malowidła, w mozaikach, które tu na

tle ścian i sklepień złożonych, tak w kościele jak i w przedsionku, zajmują ni mniej ni więcej jak 40,000 stóp kwadratowych. Czyż więc możecie nawet przypuszczać, nie mówię już wymagać, abym się w ten labirynt szczegółów zapuścił? Byron nie moją głowę, a wyznaje w swoim *Childe-Haroldzie*, i to mówiąc nie o bazylice Ś-go Marka, ale o mniejszej pewno od niej katedrze Florenckiej:

Tłum tu przedmiotów dla serca i myśli,
Tłum dziwów—ale nie dla mnie; bo we mnie,
Choć wielbię dzieła geniuszu ludzi,
Natura tylko żywsze czucia budzi.
Duch z nią pod niebem jednoczy się ściślej
Niż w galeryach z sztuką—gdzie daremnie
Siłąc się objąć, co okiem dostrzega,
Nie życie czerpie z wrażeń, lecz ulega
Sam pod ich tłokiem.

Jeśli więc Byron, ten gigant, ten tytan, a ulegał, to czyż ja „mały żaczek, jako robaczek,” potrafiłbym to wszystko spakować w siebie i udźwignąć, dla kolportowania ku wam? Byłoby to prawie to samo, co chcieć wziąć sam kościół na plecy, to jest, mówiąc po prostu, zwaryować.—Dla tegoż, przeżegnajmy się tylko i uciekajmy co najprędzej za drzwi, aby świeżym powietrzem odetchnąć; i nie zbaczając już nawet tą razą do pałacu Dożów, przebieżmy tylko mimo do wschodów Piazzetty—gdzie obok okrętów i statków, bielejących pod żaglem jak łabędzie lub gęsi, gondole też jak kurki wodne, czernią się zbitym stadem i połyskują jasnymi dziobami—aby i weneckiej żeglugi dziś jeszcze choć trochę spróbować. Zatrzymajmy się

wszakże i spójrzmy raz jeszcze—ja na kościół, wy na rysunek. Widzicie te cztery czarne punkciki ponad głównym łukiem pierwszego, a u stóp takiegoż łuku drugiego piętra, nad którym olbrzymia statua Ś-go Marka najwyżej nad wszystkimi innymi góruje? Punkciki te w naturze, jest to owa sławna na świat cały, a godna Febowej *quadriga*, (po naszymu czwórka), sprzężaj niewidomego rydwanu Potęgi i Chwały, na którym one jeżdżą, choć nim same nie kierują, po świecie. Pierwszy ponoć Cezar Konstantyn W. przewiózł je na nim z Romy do swęj nowej stolicy na Wschodzie, z kąd 90-letni i ślepy Dandolo, porwał je, i pod delią Doży przywiozł tu i osadził pod strażą lwa-gryfa. Ale lew zestarzały zląkł się piania koguta, a młodzieniaszek Konsul Bonaparte zbałamucił obie boginie; siadł im sam za furmana i uwiózł do Paryża, a lwu biedz za niemi rozkazał. Konie tam przypomniwały Carogród, stojąc na łuku tryumfalno-cesarskim, aż po roku 1815, łózem już jak niepyszne, z lwem razem, znów tu na swe poprzednie stanowisko wróciły. Orczykowe zdają się oglądać na strony, czy z kąd nowy Automedon nie idzie. Ale artysta, który je modelował, musiał sam chyba być z rodu Centaurów, kiedy tak umiał poczuć w sobie i wydać piękność, życie, i prawie duszę końską. Za toż ani jednego żywego konia niema w całej Wenecyi, a miejsce ekwipażów, dorózek i drażek zastępują owe czarne gondole, do jednej z których właśnie was wprowadzam, a wszystkie jak jaskółki podobne do siebie. Są to wązkie i długie czółna, pomalowane na czarno, za-

kończone u przodu jakby płytkiem żelazcem stalowego toporu w zęby, mające w środku kajutę pod dachem, nakształt domku z oknami, gdzie najmiliej byłoby we dwoje, ale gdzie z biedy i tuzin osób może się na ławeczkach z obu stron pomieścić. Bogatsi mieli kiedyś, a może i mają, (ale ich nie widziałem), większe, wspanialsze, złoczone i różnobarwne, jak landary lub szarabany, w których miejsce poczwórnych lub poszóstnych cugów zastępowała także liczba wiosłarzy. Dziś zwyczajne mają po jednym, i do dalszych tylko wycieczek dobiera się drugi, nie dla parady, ale dla pośpiechu, za co i płaca w dwójnasób się powiększa. Najgłówniejsze ich stanowisko jest w przystani *Piazzetty*, a drugie także na *Wielkim Kanale*, na który właśnie wpływamy.

Wielki Kanał (*Canale Grande*), jest to główna arterya, główna ulica, główny komunikacyjny gościniec Wenecyi. Wykręca się on jak wąż boa, w kształcie nieforemnego S, i przerzynając wpoprzek całe miasto, rozdziela je na dwie części, których jedynym ziemskim—a raczej ponadziemskim i ponadwodnym łącznikiem, jest wspaniały, kamienny, kryty most *Rialto*, jednym łukiem przerzucony przez kanał. Po obu stronach, nie nad wodą, ale wprost z wody, wznoszą się najwspanialsze kościoły i pałace dawnych oligarchów weneckich, których same imiona, do pałaców tych przywiązane, myśl gzygakiem błyskawie przenoszą po lądach i morzach, gdzie kiedyś pod ich wodzą skrzydlaty lew wenecki, jak ptak zdobycz swą ścigał, a jak zwierz pochłaniał; bo w całym *Daru*,

niestety, nie wyczytałem ani jednego wypadku, w którymby się ten symbol kupieckiej Rzeczypospolitej lwia czy orla wspaniałomyślnością odznaczył i na wdzięczność ludzkości zasłużył. Darmo mówić, ale miecz, który jest razem i łokciem, nigdy mieczem Temidy nie będzie, i prędzej może chyba gwicht jęszali sfalszuje. To też bodaj że i upadek Wenecyi sprawił w świecie raczej wrażenie bankructwa niż i odwiecznej firmy, niż upadku wielkiego narodu i państwa. Upadek ten tu zresztą widoczny jest wszędzie, oprócz placu *Ś-go Marka*, gdzie wre życie nowego stylu, i *Piazzetty*, z kądem widoki zawsze te same. Gdzieindziej, im wspanialszy plac, pałac, albo gmach publiczny, tém smutniejsze wrażenie pustkowi, opuszczenia lub brudu. Ten naprzykład szereg pałaców wzdłuż brzegów Wielkiego Kanału, frontami zwróconych ku niemu, z przepysznemi kolumnadami, krużgankami, wschodami, których stopnie ostatnie nurzają się w wodzie; cały ten szereg pałaców, powiadam, podobny jest do szeregu szkieletów w kostnicy; tak są odarte wszystkie ze wszelkich pozorów życia, i tak z nich „wielkiem okiem wyziera zniszczenie,” że więcej niż od wyziewów i pleśni kanału, czujesz zda się od nich chłód trupi. We dnie większa część okien zamknięta żaluzjami, lub po prostu deskami zabita; w wieczór w żadnym ani jednego światelka, które tylko z mostu *Rialto* odbijają w czarnych wodach kanału, a pochodzą od oświecenia sklepów, rozłożonych z obu stron na moście. Na najwspanialszych krużgankach, niegdyś pewnie kobier-

cami okrytych, z kądem tłumy strojnych piękności ciekawie wyglądały na kanał, dziś tu i ówdzie schnie rozwieszona bielizna. Na wschodach z karraryjskich marmurów, zamiatanych togami Dożów, albo powłóczystymi sukniemi *Signorin*, widzisz po prostu śmiecie lub gnijące zielska, które tu woda naniosła. Być może, że w inną porę roku, gdy ich bogatsi właściciele, w tej chwili bawiący po wsiach, na powrót zjadą się do miasta; być może, że i ta część jego żywotniej wówczas i weseliej wygląda; ale co teraz, to żaden cmentarz nie mówi tak ponuro o znikomości rzeczy tego świata; a ja wam mówię o tem z naciskiem dla tego, abyście i wy czytając przeszli przez te sprzeczności wrażeń, których tu każdy gość w pierwszych dniach doznaje. Bo potem, jak się oko oswoi, a zwłaszcza jak raz zajrzysz do wnętrza tych pałaców, kościołów, galeryi, muzeów; to znowu giniesz w podziwie i uwielbieniu tych skarbów, które tu wieki i geniusze złożyły, a dzięki którym, Wenecya dzisiejsza podobna jest do zgrzybiałej, zdeponowanej monarchini, która na pierwszy rzut oka zda ci się może tylko godną politowania staruszką; ale niech ci otwórz swoje szkatuły i skrzynie, a wnet poczuwszy czem była, korzysz się znów przed nią jak wtedy, gdy w blasku majestatu i wdzięków, audyencyą dawała na tronie. Dziś już wszakże nie wprowadzę was nigdzie do środka, bo na niewielkiej reszcie przeznaczonego na ten list papieru, chcę wam jeszcze powiedzieć o sobie, co też my w Wenecyi robimy.

Pierwszego zaraz dnia, w godzinę po przyjeździe, podczas nalotu gołębi na placu Ś-go Marka, gdyśmy o tem z Adamem głośno mówili po polsku, zagadał do nas Czech jakiś, rad że braci Słowian obaczył. Poznaliśmy się więc z nim uprzejmie, i dobrze wyszliśmy na tem; zarekomendował nam bowiem mieszkanie prywatne, które sam dotąd zajmował, a że miał nazajutrz wyjeżdżać, poszedłem z nim natychmiast, aby je obejrzyć i poznać się z gospodarzami. Dwoje staruszków i dwie córki; jedna młodzianka i ładna, lat może siedemnaście; druga jeszcze podlotek, ale będzie ładniejsza od siostry. Czech pocziwy zarekomendował nas jako znajomych sobie pobratymców, a i ja też starałem się jak mogłem zarekomendować dobrze sam siebie. Udało mi się o tyle, że gdy nazajutrz nad wieczór przybyliśmy oba z rzeczami z hotelu, nie tylko już po wyjeździe Czecha wszystko było gotowe na przyjęcie nasze, ale i całe grono gospodarzy powitało nas tak uprzejmie, że nawet Adam zwrócił na to uwagę i był bardzo grzeczny nawzajem. Ja jestem już z nimi jak domowy, a że się nie umiem wysłowić, więc mi sami dopomagają jak mogą, a Signora *Silvia* (starsza) uczy mnie czytać po włosku, i dziwi się moim postępom. Nie powiedziałem jej bowiem, wyznaję, że już ten kurs kiedyś przed laty odbyłem w Bolciennikach z Marylą; ale też i nie skłamałem mówiąc, że we Włoszech raz pierwszy czytam po włosku. Adam także exerceuje się nie lada w towarzystwie Signori Racheli, która też przeniosła się z hotelu na prywatne mieszkanie do ja-

kiejs wdowy po adwokacie, i nie zbyt daleko od nas. My zaś mieszkamy *Ponte dei Dai, Torre Correnta, al Moro*, to jest pod murzynem; bo i tu, jak w Karlsbadzie, domy nawet prywatne mają swoje osobne godła i nazwiska. Co nas jeszcze podniosło w oczach gospodarzy, to wizyta *del Conte Gritti*, który nie zastawszy nas w domu, zostawił u nich dwa swoje bilety, (mówiłem mu że mam towarzysza), i ustnie przez nich zaprosił nas na śniadanie nazajutrz. Adam pójść nie chciał, a więc byłem sam jeden. Gospodarz był nadzwyczaj uprzejmy, a śniadanie od bażantów i ostryg. Połknąłem przez gwałt jedną, na cześć Adryatyku, zapiwszy co najprędzej jakimś smacznym winem krajowym. Rodzaj ludzki musiał być kiedyś jak dziecko, które wszystko co porwie, naprzód nie sie do buzi; bo czyżby mógł inaczej przyjść do zasmakowania w takich szkaradzieństwach na pozór, jak np. ostrzygi lub raki? Ale i to jeszcze jest nie w porównaniu z tak zwanymi *frutti di mare*, (owocami morza), które tu pod Rialto łowią i sprzedają. Wyobraźcie sobie czarny, ruszający się stos najobrzydliwszych małych potworów: żab, żuków, ślimaków, pajaków, skorpionów, etc. etc., które przechodzący kupują, i oberwawszy im tylko głowę i nogi, połykają je w pół żywcem, jak śliżyki z miodem. Z tych to może miłych jagódek smażyła się, jak konfitura, dawna dryakiew wenecka, o której powiadano, że się robi z gadów. Na samo już ich wspomnienie, o śniadaniu dalej mówić nie mogę; ale poznałem na niem dwóch panów, którzy nam bardzo są użyteczni. Jeden p.

de Luca, człowiek bardzo światły, półwieczny, przyjaciół samemu panu Gritti; i drugi, młody markiz *Maruzzi*, kolega jego syna Kamilla. Wszyscy znali tu niegdyś panią Szymanowską, i przesadzali się w pochwałach jej piękności, talentu i rozumu. Otoż to jest co się nazywa przyczyniać chwały narodowi! i każdy z podróżujących powinienby o tém pamiętać, że wszelkie sprawione przezeń, złe czy dobre, na obcych wrażenie, mimowolnie się w ich umyśle na cały jego naród rozciąga i sąd ich o nim formułuje. Pan Gritti obu tym panom polecił mię w szczególną opiekę, i oni bardzo uprzejmie wywiązują się z tego polecenia, pokazując nam lub ułatwiając widzenie różnych ciekawości weneckich. Adam także miał list od pani Szymanowskiej do muzyka *Perucchiniego*, który niemię grzeczny jest dla nas i gościnny w swym domu. A mamy też i znajomego współziomka, któregośmy trafem spotkali. Jest nim p. Badowski z królestwa, częsty nasz i miły towarzysz.

Ale najmilszą nową znajomością i największą tu affekcją moją, jest—zgadnijcie, jeśliście mądrzy!—jest siedemdziesięcioletnia staruszka, matka tego pana Badoera, który z nami jechał tu z Padwy, i zaraz nazajutrz był u nas z wizytą w hotelu, i do siebie na wieczór zaprosił. Możecie sobie śmiać się kiedy chcecie, ale ja wam szczerze powiadam że u mnie, po naiwnych i młodzieńskich panienczkach, które jeszcze o zamążpójściu nie myślą, idą tuż zaraz siwiuteńkie staruszczyki, to jest ma się rozumieć takie, u których nie sama tylko siwizna lub zmarszczki

są oznaką dojrzałości umysłu i doświadczenia życia, Towarzystwo ich i przychylność ma dla mnie jakiś pociąg i urok macierzyński. Od imion pani Wojskiej Zaleskiej, (siostry Tadeusza Matuszewicza), i pani Spitznaglowej w Wilnie, a pani Wojewodziniej Kiekiej w Warszawie, zaczyna się w pamięci mojej i w sercu, długa litania łaskawych przyjaciółek i orędowniczek moich, dla których, nie sama tylko ich dobroć, ale często i życzliwa przestroga lub rada, do synowskiej mię obowiązują wdzięczności. Otoż do rzędu ich właśnie, jak w Dreźnie pani Ewa Dobrzycka, tak tu od pierwszej chwili poznania przybyła pani *Weronika Badoer*, staruszka pełna rozumu i nauki, a przytém takiej żywości uczuć i wyobraźni, i tak ujmującej słodczy, że będąc u niej codziennym gościem o zmroku, kiedy już w mieście nic oglądać nie można, zwykle ani się spostrzegę, jak albo godzina teatru, albo życzenia *dobréj nocy* nadejdzie. Mówi po francuzku sto razy lepiej odemnie, a i z treści jej rozmów czuję sam jak wiele korzystam. Mówimy najczęściej o życiu, uważaném ze strony psychicznej, a poglądy jej i uwagi tak są niekiedy przenikliwe i trafne, że jedno czasem proste powiedzenie, raptem mi, jakby ogniem bengalskim, cały szereg myśli rozjaśnia, czego żadna dziadowska perora *ex cathedra* nigdy we mnie dokazać nie mogła. Rozum mężki na starość, jest jak dąb: rozrasta się, ale twardnieje; żeński zaś jak topola lub palma: strzela w niebo, a zawsze powiewna. Toć i owoc dębu a palmy — żołądź, a daktyle. *A propos* zaś daktylów, i to jeszcze dodać wam muszę,

że najłaskawsza moja przyjaciółka nęci mię łakociami i karmi jak gołębia. Ledwie przyjdę, wnet czekolada, albo konfitury czy lody. Rychtyk jak niegdyś księżna Kalasantowa Czetwertyńska fetowała Gołuchowskiego w Wilnie, czytając z nim filozoficzne rozprawy; przyczém i mnie się czasem dostawały okruczchy. A teraz — patrzcie co za postęp! — sam już na pryncypalnego gościa wyrosłem. Nie powiem żeby mi to nie było do gustu. Ale i ja też *vice versa* dla kompanii mojej miłej gospodyni, piję z nią z równą przyjemnością jakieś gorzkie ziółka bez cukru, co ją, jak widzę, ujmuję i bawi. Syn zaś jej, sam pan Badoer, tak jest uszczęśliwiony z tego mego stosunku z matką, że zawstydzą mnie i upokarzą prawdziwie dziękując mi za każdą bytność kiedy ja czuję najlepiej, jak sam jestem w długi wdzięczności. Gdyby nie ta ich dobroć i gościnność dla mnie, cóżbym począł z szaremi godzinami, w których iść na lekcję czytania, kiedy już liter nie widać, czuję jakoś że nie wypada; a zaś Adam zwykle w tej porze rusza sobie w świat swoją drogą, i spotykamy się już nie pierwój, jak albo w umówionej kawiarni przed teatrem, albo aż za powrotem na noc do domu. Za toż od rana do zmroku jesteśmy *inseparabili*, albo zwiedzając sami to lub owo w mieście, albo wstępującrazem do Signory Racheli, dla zabrania jej na wspólną wędrowkę. A uciążliwa to strasznie ta praca wojażerska! Onegdaj mianowicie tak się czułem znudzony, że wróciwszy od pani Badoer o dziewiątej, nierozebrany zasnąłem kamieniem; tak, że Adam nie mogąc się mię

dobudzić za powrotem, wpadł na dowcipny concept namalować mi wąsy; ale tak przytém korek napalił nad lampą, że formalnie przypiekl mi usta. Zerwałem się prawdziwie jak podsmalony, a obaczywszy o co idzie, za pokutę wycalałem go gwałtem, aby i jemu nawzajem namalowanego już wąsa udzielić.

Ale ponieważ, jak widzę, razy kilka wspomniałem już o teatrze, a jest jeszcze kawał papieru: więc muszę i tę jeszcze rubrykę dzisiaj zapełnić. Największy i najslawniejszy z tutejszych teatrów *Fenice*, to jest *Fenia*, jest w tej porze roku zamknięty, i tylko przez karnawał bywa podobno otwarty. Za wpływem jednak pana Maruzzi, pozwolono nam obejrzeć go we dnie. Gustowny i obszerny; ma pięć piater, licząc w to i galeryę, w każdym po 35 łóż. Dwa mniejsze, w których bywamy, jeden *Ś. Samuela*, drugi *Ś. Łukasza*, (nie pojmuję, co Święci mają za związek z teatrem?) nie podobały się nam najzupełniej. Oba z pozorów nawet gorsze od Warszawskiego, a od Wileńskiego nie lepsze. W pierwszym widzieliśmy *Kopciuszka* Rossiniego, z baletem; w drugim jakąś komedię o Henryku IV. W pierwszym, i aktorowie, i tancerze, i sama nawet wystawa, nie mogą się porównać z Warszawskimi; muzyka tylko doskonała. W drugim zaś—nie mówiąc o komedii, której dobrze nie zrozumiałem—ale same dekoracye i przedstawienie, a zwłaszcza marsze wojska z armatami, były tak niezgrabne i śmieszne, że po teatrach i baletach w Medyolanie, dziwno jest, że coś podobnego może występować we Włoszech. Signora Rachela, dla której

tu i tam wspólnie kupiliśmy łożę, była zgorszona tęp i oburzona. Ale czy ona sama, jak wnoszę, a raczej jak się domyślam, jest istotnie kapłanką Melpomeny? o tęp z pewnością powiedzieć nie umiem; bo jak arabska gościnność, tak europejska grzeczność, nie pozwalają pytać nikogo: „ktoś jest?” tęp bardziej, kiedy już samo *jak jest*, aż nadto do przyjemności towarzystwa wystarcza, i jak podróż, tak i pobyt nasz w Wenecyi, dla obu nas wielce umila. O pięknościach malowanych, których tu jest więcej niż żywych, w drugim liście chyba napomknę. Tymczasem bywajcie zdrowi i łaskawil

A na znak tego widomy,
Pisujcie—(na Berdyczew chociażby), do Romy.

XXXIX.

Do Juliana Korsaka.

Wenecya, 17 października 1829 r.

Lekko po gładkiej lagunie ślizga się szybka gondola,
I jak jaskółka w powietrzu, zdaje się bujać bez śladu.
Plusk tylko wiosła płytkiego mąci tak ciszę żeglugi,
Jak tylko srebrny krąg piany ściął blask morskiego zwierciadła,
Gdzie na tle niebios błękitu, w uśmiechu słońca pogody,
Fal Adryackich królowa sama się sobie przygląda,
Oczy i myśli swych gości tak w głąb wód ciągnąc za sobą,
I odrywając od ziemi—jakby je Cyrejs potęgą,
Nagle z pęt ludzkiej natury, w ryb uskrzydliła swobodę.

Otoż wyobraź sobie, że na tej gondoli,
Wsparci o dach kajuty, płyniem—ja i Adam,
A wzrok przykrywszy dłońmi, zamiast parasoli,
Patrzym na zachód słońca. A ja ci powiadam,
Że takiego zachodu nie obaczysz w życiu,
Chybabyś tu przyjechał.

Jak północna zorza,
Pons, lazur, żywe złoto—w grze, w tęczach, w odbiciu,
Płoną razem na niebie, i w zwierciadłach morza.
A słońce słupem ognia zlewa się do wody,
I gdy samo w niej gaśnie, woda się niem pali,
Że rzekłbyś, niebo z ziemią wielki Mistrz przyrody
Tém roztopioném słońcem nituje w oddali.

A my płyniemy—dokąd? Na Lido.
A co jest Lido? Wyspa, oaza.

Miastu od morza służy egidą.
Byron tam chował swego pegaza,
I woltyżując, z wiatrem w przegony,
Jak w cyrku, z konia, w każdym z podskoków,
Myślą też chwytął na wszystkie strony,
Perły z pod morza, gwiazdy z obłoków.—
I tym to zwłaszcza wspomnieniom gwoli,
My tam, jak widzisz, płyniem w gondoli.

Zmrok już prawie zapadał, gdyśmy zawinęli do brzegu; a wybraliśmy się umyślnie tak późno, aby to miejsce pogrobowo-poetycznych pamiątek, przy świetle księżyca oglądać. Jakoż księżyc dopisał nam w pełni. Był już na niebie o zachodzie słońca, ale nieśmiały i błądzący, jak młoda panienczka we drzwiach sali balowej; dopiero gdy słońce już zgasło, rozpromienił się jak panienska w tańcu, i gdyśmy już na ląd wysiedli, oświecał w kolej przed nami: naprzód brzeg piaszczysty i płaski, potem zielone pola i drzewa, potem szereg lekkich pagórków, potem znowu piaszczystą płaszczyznę, i nakoniec, po drugiej stronie, wszereż wyspy, nie lagunę już, lecz pełne morze. Było spokojne i gładkie jak zwierciadło, a przecieź głuchy szum fali, zapewne w skutek przypływu, rozlegał się wzdłuż brzegów wpośród ciszy nocnej, której żaden głos inny, ani nawet szmer wiatru nie mącił. Nagle od strony miasta zaczął nas dolatywać dźwięk dzwonów, dzwoniących na *Aniół-Pański*. Byliśmy na pagórku nad równiną, po której nieraz pewno harcował Lord Byron. Ja sobie przyległem na ziemi; Adam stał oparty o drzewo. Z twarzy jego widziałem, że myśli na seryo; dałem więc jemu pokój i marzyłem

swoje. Dopiero gdy chłód nieco przejmować mię zaczął, wstałem i zapytałem, czy mu także nie chłodno? Nie odpowiedział nic na to, ale oparłszy rękę na mojem ramieniu, sam patrząc mi w oczy zapytał: „Czy ty czujesz, kto tu jest z nami?”—Pewny byłem, że mówi żartem, a jednak nie mogę powiedzieć, żeby to zapytanie, a zwłaszcza ton jego, nie zrobiły na mnie pewnego rodzaju wrażenia. On zaś nie zdejmując ręki ze mnie, mówił dalej—co? i jak? nie zapomnę nigdy; ale żałuję serdecznie, że ci wszystkiego powtórzyć nie mogę. Nie była to żadna improwizacya, ale czuł widać potrzebę wypowiedzenia co myślał. Mówił o Byronie i o Napoleonie, „dwóch imionach naszego wieku,” jak się wyraził. Obaj mieli i czuli wielką missyą swoją w społeczeństwie, skażonem przez wiek osiemnasty. Obaj nienawidzili złego, które wkoło siebie widzieli, i przeczuwali dobro, do którego wieść byli powinni. Obaj mieli siłę po temu, każdy w swoim zakresie—i obaj nie spełnili missyi swojej, dla tego, że właśnie poczucie téj siły, w porównaniu jéj *tylko* z ludźmi, zrodziło w obudwóch pychę, a pycha zabiła miłość—jedyną siłę do zwalczania złego. Byron, wrażliwy i namiętny, wzgardę złego pomiędzy ludźmi rozciągnął w ogólności na ludzi, nie pomnąc, że i cnoty są w nich, nie gdzieindziej. Przez wzgardę zwątpił o możności poprawy, i szydząc nawet z jéj chęci, skończył na urąganiu moralnej opinii społeczeństwa, myśląc, że tylko urąga obłudzie. Podróż do Missolunghi przyszła już zapóźno—i chyba tylko szlachetna jego dusza, w godniejszych sie-

bie uczuciach opuściła świat ten i życie. Napoleon, rozumny i zimny, nie dosyć ufał rozumowi drugich, aby przybrać ich do współnictwa w tworzeniu i wykonywaniu swych planów. Szukał w nich tylko narzędzi, i sam chciał zrobić wszystko za wszystkich, i—jak zapewne mniemał—dla wszystkich. Na wyspie Elbie poczuł to zapóźno; i także dopiero nad grobem duch w nim stanął na równi z geniuszem, którego natchnień wykonać nie zdołał. Byron rozjątrzył tylko; Napoleon nadeptał tylko to złe, które obaj w ludzkości czuli, i chcieli naprawić. Ale prędzej czy później przyjdą kiedyś nowi zesłańcy, którzy z ich światłem i siłą, ale w innym już duchu, w duchu miłości i pokory, robotę ich dalej posuną;—bo czy ja kiedy ludzie przed skończeniem świata dokończą, wie tylko Ten, który Sam jest tym duchem, i wzór jego z Siebie dał światu. Zkąd się Adam tych nowych pracowników spodziewa, to już ci chyba ustnie, da Bóg, kiedyś opowiem. Teraz poprzestań na tém, że ta jego rozmowa, w takiem miejscu, o takiej porze, i w takim nastroju i tonie, zrobiła na mnie omal że nie mniejsze wrażenie, jak gdybym w rzeczy samej ujrzał ducha Byrona, któryby pokutując w tém miejscu, gdzie kiedyś roił że będzie i chciał być pogrzebionym, szeptał mu to wszystko do ucha, szukając w nim swego następcy.

Wracając do gondoli i płynąc na powrót, Adam przedłużał jeszcze dalej porównywanie tych dwóch współczesnych sobie olbrzymów: poezyi i wojny; a między innemi dowodził, że Byron w poematach

swoich trzymał się mimowiednie téj saméj taktyki, co Napoleon w bitwach, to jest, miał zawsze na celu punkt główny, na który w końcu raptem i wszystkimi siłami uderzał, i przez zdobycie jego odnosił zwycięstwo. O jednym téż i o drugim powiadał, że obaj w głębi duszy byli głęboko wierzący i religijni, bo czuli ciągłą styczność z niewidomym światem, i tylko brakło im czasu, w ciągłej pracy i wirze własnych myśli i uczuć, aby skupić się w duchu, i tajemnice te samym sobie rozjaśnić. Na słowo powagi drugich, oba oni wierzyć nie chcieli, a może nawet i nie mogli. Lew i orzeł, każdy w swoim królestwie, są jak geniusze wśród ludzi; każdy z nich sam i pojedynczo wszystko sobie zdobywać musi: wzór i prawo stada, nie dla nich. Tylko że ptak i zwierzę mają tę korzyść nad ludźmi, że posłuszni samym prawom natury, nie ulegają pokusom; bo pokus nie ma w naturze, a są one tylko w złym duchu, z którym człowiek wciąż walczyć musi, aby sam w końcu stał się *duchem dobrym*.

Było już około dziesiątej, gdyśmy wysiedli na wschodach Piazzetty. Ale zamiast prowadzić was do kawiarni, choć najślawniejszej tutaj, zwanéj *Kawiarnią Floryana*, gdzieśmy resztę wieczoru na czytaniu gazet spędzili: wolę wam za jednym zachodem opowiedzieć i drugą naszą wycieczkę na Lido, w parę dni później odbytą, a całkiem w odmiennym kolorze.

Co poniedziałek podczas winobrania, to jest właśnie w miesiącu Październiku, ludność Wenecka udaje się tam na *wyraj*, jak u nas na Zielone-Świątki do

Werek, a w Warszawie do Białan. A więc i my udaliśmy się tamże w towarzystwie Signory Racheli. Wiele gondoli i łodzi różnego rodzaju płynęło razem z nami w tęż stronę. Brzeg mrowił się różnobarwnym tłumem pod zamkiem Ś-go Andrzeja, gdzie kiedyś odbywały się właśnie sławne Doży zaślubiny z morzem. Tłum ten składał się po największej części z klass niższych. Dziewczęta przy wejściu do służby, wymawiają tu sobie warunek, aby im wolno było odbyć *regatę* do Lido. Nie dziw więc, że i mężczyzn spectatorów nie braknie. Dla mnie ta żywa, ruchoma galeria była tém pożądanśszą tą razą, że jak trzeci bocian bez pary, musiałem się błąkać sam jeden. Ale nie przewidywałem bynajmniej, żeby sam mógł być celem ciekawości drugich. A stało się to z powodu krymskiego płaszcza Adama, którego mam *usum-fructum*. Bo naprzód, wszyscy młodzi, prócz nas, byli bez płaszców; nam zaś doświadczenie poprzednie doradziło mieć tę ostrożność. Ale płaszczy granatowy Adama nie zwracał tak bardzo uwagi; mój zaś, krojem hiszpańskim, czerwonego koloru, fioletowym axamitem podbity, ze sznurami i kutasami u szyi, musiał wszystkim skakać do oczu, bo gdzie się tylko zwróciłem, widziałem że patrzą na mnie, i słyszałem domysły: kto byłem? Wyrazy: *Forestiere, Spagnuolo, Inglese*, i nakoniec *Il Padre* (xiądz), dolatywały mię zewsząd. Bawiło mię to, wyznaje, ale razem i żenowało potrosze; bo nie chcąc nawet, czułem, że pozuję i stąkam nie tak jak zawsze. Grono dziewcząt, złożone z sześciu, idących

po trzy pod rękę, spotkało mię i zaczęło chychotać, szeptać pomiędzy sobą. Spójrzałem, — dwie śliczniutki, a kształtne jak Nimfy! Oduśmiechnąłem się więc nawzajem i pozdrowiłem je zdjęciem kapelusza. „*Buona sera, reverendo padre!*” (dobry wieczór, wielbny ojczule!) zatrzymując się zawołała jedna. „*Non padre, ma il fratello delle belle sorelle,*” (nie ojciec, ale braciszek pięknych siostrzyczek), odpowiedziałem zatrzymawszy się także — bo już umiem składać frazesa. — „*Se così, non è il nostro*” (kiedy tak, to nie nasz), odezwała się druga. „*O! ed anzi, se loro piace!*” (o! i owszem, kiedy się wam podoba), rzekłem. — „*Piacerebbe*” (podobałoby się), odpowiedziała znów któraś. — „*Allora bene, signorine mie!*” — i zawróciwszy się, szedłem razem z nimi. Ale cóż? bez języka, nie tylko nie mogłem się wyśłowić, ale nie rozumiałem nawet dobrze co mówiły, tém bardziej, że wszystkie razem. Znudziłem się więc dość prędko, i właśnie przemyślałem jak się zrejterować z honorem, kiedy szczęściem postrzegłem w tłumie pana Badowskiego, z którym przemówiliśmy kilka słów po polsku. Towarzyszki moje zaczęły się dopytywać ciekawie, co to za język? A choć mię przedtém brały za Hiszpana, (czemu nie miałem potrzeby zaprzeczać), niemniej przeto i dla Polaka pozostały uprzejme, choć nie wiedziały widocznie, z jakiej części świata pochodzi. Pan Badowski przyłączył się do nas, a że lepiej umie po włosku, dopomógł mi podtrzymać honor narodowy. Obok drogi był stragan z ciastkami i cukierkami; prosiłem więc, by co sobie wybrały;

i cały ten traktament kosztował mię wszystkiego cztery *cwancygiery*. Poczém, pożegnawszy się z nimi jak najpiękniej, puściliśmy się w tłum z p. Badowskim, gdzie téż wkrótce spotkaliśmy Adama w parze, i już wszyscy razem we czworo wróciliśmy do miasta.

Powrót ten był zwłaszcza przyjemny; bo sama zabawa, oprócz jedzenia, picia i zalecanek, składała się wyłącznie ze sztuk kuglarskich, conceptów arlekińskich, i przenośnych teatrzyków marynetek, (podobnych pewno do bud Tespisowych), ale których tak tu, jak i w Medyolanie, zgoła rozumieć nie mogłem; bo oprócz własnej ignorancyi mojej, dyalog jest w dyalekcie ludowym, który w każdej prowincyi jest inny. Muszą to jednak być formalne sztuczki dramatyczne, i odznaczać się dowcipem, sądząc po głośnych okłaskach i śmiechach publiczności, której ogólną cechą, przynajmniej w tém zebraniu na Lido, była gwarliwość, ruchliwość, ożywienie, i nieudana, wesołość.

Ale powrót, jak już wspomniałem, był nadzwyczaj przyjemny. Wracaliśmy już po zachodzie, ale jeszcze dobrze za światła. Cała powierzchnia laguny pokryta była mnóstwem rozmaitych statków, między którymi gondolierowie wyprawiali formalną *regatę*, wyscigając się i dowcipkując nawzajem. Z niektórych łodzi słyszał było muzykę i śpiewy. Nie były to strofy Tassa, ale jakieś bardzo melodyjne, więcej rzewne niż wesołe piosenki. I musi to być ogólny charakter tutejszych piosenek ludowych, bo i te, które p. Perruchini nam śpiewał, były wszystkie w tymże

rodzaju. Pan Perruchini zaś zajmuje się właśnie w téj chwili zbieraniem i wydawaniem motywów i melodyi miejscowych. Adam jednakże utrzymuje, że choć Włosi słyną z muzykalności, żadna z tych piosnek nie ma tak wdzięcznej nóty, jak np. nasze: „*Pójdźcie, pójdźcie, gąski moje do domu!*” albo:

Nasza dziewczyna robocza była,
Wziąwszy kądziałkę, po wsi chodziła;
To przędzie, to mota,
To naszój dziewczyny robota. i t. d.

Mówiłem Adamowi, że nasz Ignacy (Chodźko) ma także zamiar zebrać i wydać razem melodye piosnek ludowych, do czego on go bardzo a bardzo zachęca. Ja zaś przy téj rozmowie miałem sposobność dostrzedz bardzo ciekawy dla mnie rysek sercowych tajemnic Adama, o których on nigdy nie mówi. Zapytał mnie czy znam piosnkę ruską: „*Da czerez moj dwor, da czerez moj dwor, da cieciera laciela?*” Odpowiedziałem nie myśląc, że znam, i że słyszałem dorobioną do niej muzykę i waryacje na ten temat. Nie wymówiłem wprawdzie przez kogo; ale twarz jego zmieniła się tak nagle, że mi żal było szczerze nieuwagi mojej. Musisz albowiem wiedzieć, że to Maryla dorobiła tę muzykę, i że następne wiersze pierwszój strofki są:

„*Nie dau mnie Boh,
Nie dau mnie Boh,
Kaho ja chaciela!*”

Sama jednak kompozytorka, ile sędzę, nie bierze tego tak bardzo *na seryo*; a jak sobie jeszcze przy-

pomnę, że słowa zawsze tylko słyszałem śpiewane przez męża, i to przy akkompaniamencie jój samój: to istotnie powiedziećby można, że około téj piosnki dałby się ugrupować niejako cały ten dramat, który na chwałę naszych uczuć i obyczajów, a może i wpływu *promionkowych* teorii p. Tomasza, tak jest we wszystkich swoich bohaterach piękny, szlachetny i czysty, *sans tache et sans reproche*, że sprawiedliwie zasłużył być ziarnem owego kwiatu *lotusa*, który zeń dla poezji naszój wykwitnął. A jednak spytaj czytelników *Dziadów*, którzy istotnych osób i stosunków nie znają, kto z nich nie ma fałszywego wyobrażenia o kochanym naszym panu *Lorensie* ¹⁾, jak go Marylla nazywa? Kto z nich wie albo przypuszcza, że nie tylko z powierzchownej urody i wewnętrzne-go nastroju ducha, ale nawet z całego przebiegu i okoliczności życia, jest on—bez przesady można powiedzieć—najpoetyczniejszym typem naszego obywatelskiego młodzieńca; co przecież w niczem, pod względem moralnym, tak w rodzinnych jak społecznych stosunkach, nie ubliża w nim wcale dojrzałszemu typowi obywatela-męża. Tymczasem, niejednen pewnie z rzeczonych czytelników *Dziadów*, stosując zwłaszcza do niego niektóre ich słowa, o kim innym istotnie rzeczono, wyobraża go sobie jako zimnego, dumnego bogacza, a może nawet i tyrana w domu. Ale niechby raz, jak my, był świadkiem téj

¹⁾ Wawrzyńcu Puttkamerze.

prawdziwej delikatności serca, tej wyrozumiałości braterskiej, która go właśnie i zwłaszcza w domowym pożyciu odznacza; niechby go raz posłyszał, przekonującego z zapałem stronników klasycyzmu, np. obu Śniadeckich, lub przyjaciół swych i sąsiadów Jaszunskich, o wartości poezji Adama, i deklamującego im na dowód jego wiersze ¹⁾; wtenczasby dopiero zrozumiał, jak mogą on i ona, śmiało i swobodnie, w obec wspólnych przyjaciół swoich i Adama, śpiewać razem tę piosnkę—i nie dziwiłby się zapewne, jak ja się nie dziwiłem, że nieraz braterski ich uścisk lub wzajemne ucałowanie ręki, stanowiły jakby jej finał. Wspólne uwielbienie talentu, a osobista przyjaźń dla Adama, to jest właśnie owo duchowe ogniwo, które ich w chwili obecnej najmocniej między sobą jednoczy. Że Adam témże uczuciem obojgu im równie odpłaca, nie wątpię; a dzisiejszy fakt mi tłómaczy, dla czego o nich nie wspomina nigdy. Wielka przeżyta boleść, podobna jest do odbytej operacji, lub

¹⁾ Jako charakterystyczny szczegół z owiej epoki walk klasycyzmu z romantycznością, przytaczam wyjątek z listu pani Salomei Pecn, (matki Juliusza Słowackiego), pisanego do mnie z Wilna po wyjściu *Sonetów* Adama: „Dziwne rzeczy dzieją się na świecie, a donoszę panu o najdziwniejszej, która wiem, że pana ucieszy. Oto obaj Śniadeccy oddają sprawiedliwość Sonetom i uznają *wielki talent* autora; a nasza kochana pani Zofia (Balińska) tak jest dziś jego najszczerzą zwolenniczką, jak była dotąd Rasyna i Delilla. A wszystko to jest dzieło Puttkamera, który dopóty apostołował i tu, i w Jaszunach, aż ich wszystkich na wiarę swoją nawrócił.“ (P. A.)

do jakiego świętego czy strasznego widzenia, o których sama wzmianka obudza doznane wrażenia i niezbyt żywo porusza. Ale co to za szczęście dla duszy, jeżeli w takiej boleści, ani cudzej złej woli, ani własnej winy nie było. Samo, choćby najcięższe, zrządzenie czy dopuszczenie Boże, ma to zawsze do siebie, że w sercu nie zostawia goryczy. I mądrze to ktoś powiedział: że tylko grzech, i zgryzota po nim, są prawdziwem nieszczęściem na świecie.

Ale wracając do Wenecyi—która właśnie od strony Lido najpiękniej się przyjeżdżającym wydaje—oprócz czarującego widoku miasta i stojących wzdłuż brzegu okrętów, które zda się rosły nam w oczach, w miarę jakeśmy się zbliżali; ulatywało jeszcze przed nami, jak *Fata Morgana* na morzu, wspomnienie a raczej widziadło owych czasów i owiej chwili:

Gdy małżonek i pan morza,
Purpurowy, stary Doża,
W ślubnym mircie, w zwycięstw laurze,
Wracał tu na Bucentaurze.
A ten korab' nad korabie,
Strojny w złoto i jedwabie,
Od bisioru i szkarłatu,
W pełnym blasku majestatu,
Depcąc fale, szedł wspaniale—

A dziś biedak w arsenale,
Gdzie niegdyś stał w całej chwale,
Dziś ledwo w żebr swych kawale,
Jak kość mamuta na skale,
Leży świadcząc—jak niestale
Fortuna waży swe szale.
Bo go Francuzcy wásale,

W republikańskim zapale,
Porąbali na drwa. Ale

jest tam także i jego konterfekt, czyli model, który choć tak się ma pewno do oryginału, jak woskowa figura do Herkulesa, którego ma przedstawiać; zawsze jednakże i z niego można powziąć wyobrażenie o wspaniałości i przepychu tej oficjalnej nawy weneckiej, której sama np. pozłota kosztowała 20,000 dukatów, a samo nazwisko *Bucentaura*, miało jakoby pochodzić od dwustu (*ducentorum*) wiosłarzy, używanych do jej poruszania.

Ale ponieważ jesteśmy już w arsenale, warto i o nim coś przecież powiedzieć, jako o jednym z przedmiotów ciekawości wszystkich odwiedzających Wenecją wojażerów. Nie jest to jeden tylko gmach, ale raczej zbiór gmachów, a przynajmniej ogromnych budowli, poprzdzielanych kanałami, a otoczonych murem o basztach i wieżach. Jedna np. sala do kręcenia lin okrętowych, ma 910 stóp długości. Niegdyś była tu jakby kuźnia Marsowych i Neptunowych piorunów Wenecyi; fabryka jej sił i zasobów ku panowaniu na lądach i morzach; dziś jest już tylko magazyn czy muzeum: dawnego oręża i zbroi, modelów dawnych galer, trofeów dawnych zwycięstw, i pomników dawnych zwycięzców; nie mówiąc o teraźniejszych, którzy mają tu także swój teraźniejszy arsenał, a których czarny orzeł dwugłowy góruje po nad lwem ze skrzydłami, górującym po nad przepyszna bramą wejścia, na której najwyższym szczycie stoi posąg św. Justyny. Po obu stronach tej bramy

siedzą niemniej potworne cztery lwy, choć bez skrzydeł, ale dwa tak kolosalno-olbrzymie, że z mamutami chyba i mastodonami podobne żywcem kiedyś chadzały po ziemi, a obok których dwa drugie, choć na dziś też strasznie ogromne, wydają się tylko jak lwiątko. Wszystkie cztery są dłota greckiego, z hymetskiego marmuru, zabrane i przywiezione tu z Aten, jak konie na kościele św. Marka z Carogrodu; jak sławne na *Piazzetta* dwie granitowe kolumny z jakiejś wyspy Archipelagu; jak tyle innych skarbów i dzieł sztuki zkądinąd. *Fatum* w historii, gra zda się ciągle w *odkrytego kalebraka* z państwami i narodami. Co jeden z nich nabierze i nakładzie przed sobą stos *bitek*, to *Fatum* zaraz wyświeca na stolik jakiegoś tuza, matadorę czy młódkę, za pomocą których gracz drugi przyczepia się do jego zbioru, i ciągnie go odeń do siebie, jak Pers od Meda, Grek od Persa, Rzymianin od Greka, i t. d., i t. d. Patrząc zaś na to samo z ziemskiego punktu widzenia, możnaby o nich wszystkich powiedzieć:

Póki w ręku miecz a bat,
Lupi i podbija świat.

Ale niechno syty sławy,
Zechce sobie dla zabawy
Wziąć pędzelek albo dłótko,
Albo w struny brząkać słodko:
Do drzwi jego, ani chybi,
Wnet miecz cudzy nos swój wścibi,
I znów jest: „*sic tu non tibi*.“

A znów z tego wychodzi na jaw, jak wyższość głowy nad ręką, jak wyższość głosu ludzkiego nad głó-

sami wszelkich cymbałów lub dudek, tak wyższość słowa, nad wszelkimi innemi objawami myśli ludzkiej; tak wyższość poezji, nad wszystkimi innemi sztukami pięknymi. Co kto powiedział lub zaśpiewał w Atenach, to jakby przyrosło do ziemi; tego już ani do Romy, ani do Wenecyi nie zabrać, tak, aby i tam nie zostało. A chociaż się i bierze co z tego, to już nie jako łup, ale chyba jak dobrodziejstwo, za które, rada nie rada, Roma być musi dłużniczką Hellady, i Romulusowa wilczyca łąsić się sowie Minerwy.

Ale w kupiecko-wojennój rzeczypospolitej Weneckiej, ani wymowne ani śpiewne słowo nie było towarem popłatnym. Dość spojrzeć na pałac Dożów, aby zgadnąć przyczynę tego. Opasany dokoła murem, cudnym wprawdzie co do struktury, ale zawsze do klasztornego lub do fortecznego podobnym; z paszczą lwa wiecznie otwartą, jakby wiecznie ryczącą i głośnie, u wejścia, w którą denuncyacye rzucano; z *Mostem Westchnień* po drugiej stronie, wprost z sądowej sali w pałacu, prowadzącym do olbrzymiej turmy tuż obok; z więzieniami politycznymi na wierzchu, to jest na strychu, pod ołowianym dachem, (*I piombi*), gdzie nieszczęśliwi, winni czy niewinni, piekli się żywcem i ginęli od skwaru; z takiemiż więzieniami pod spodem, to jest w podziemnych dwupiętrowych lochach, ciasnych, ciemnych i głębokich jak studnie (*I pozzi*), dokąd wtrąceni, zwłaszcza winowajcy stanu, jeśli się nie podusili sami od zatrutych wyziewów bagniska, to ich tamże cichaczem po turecku duszo-

no;—sam ten pałac, powiadam, siedlisko rządzców rzeczypospolitej, czyż nie był dość wyrazistym symbolem panującej tu swobody i władzy, ażeby się przy nich myśl ludzka śmiało w słowie odzywać mogła? Za toż milcząc jak malowana, w malowaniach też przedewszystkiém szukała zajęcia dla siebie, pola do popisu przed ludźmi, i sposobu przypodobania się swój dumnej a surowej pani, która się pędzla nie bała, a za apoteozę siebie, aby ją lud w niej wielbił, hojnie złotem malarzom płaciła. Apoteozy te wiszą dotąd na ścianach, albo świecą ze sklepień w opustoszałym dziś pałacu Dożów, który prócz nich i swój architektonicznej piękności, (której opisywać nie myślę), niczém inném sympatyi nie wzbudza, a owszem historycznymi swemi wspomnieniami odraża.

Piérwszém, które ciebie spotyka przy wejściu z wewnętrznego dziedzińca na tak zwane *Wschody Olbrzymów*, jest tocząca się po nich z góry na dół sędziwa głowa i spływające strugi krwi Doży, Marina-Falieri, ściętego, jak wiadomo, na wierzchu tych wschodów, to jest na tém samym miejscu, gdzie i on, i każdy nowo obrany Doża, po obniesieniu go na tronie z kościoła wkrąg placu, wdziewał koronę czy kołpak xiażęcy, i w nim ukazywał się ludowi. Samo nazwanie wschodów, nie pochodzi od ich olbrzymich rozmiarów, ani też od stąpających po nich—ale tylko od stojących u góry dwóch kamiennych olbrzymów, to jest kolosalnych posągów Neptuna i Marsa, jakoby dwóch pogańskich patronów Wenecyi, którym ona istotnie w duchu, niż świętemu Ewange-

liście służyła. Drugie także wschody nad temi, prowadzące na wyższe piętro, noszą nazwę *Złotych*, dla tego, że i drogi ich marmur, i artystyczne ozdoby, warte były tego metalu, i wiele go musiały kosztować. Ale dopiero za wejściem do sali *Rady Wielkiej* (*del Gran Consiglio*), ogromnej i wspaniałej, rozpoczynającej szereg sal innych, błyszczących nie mniej od marmurów i złota, pełnych posągów, bronzów i pomników rzeźby, i podobnie od góry do dołu historycznymi obrazami okrytych, i historyczne też nazwy noszących; dopiero w progu tej sali owiewa cię takie wrażenie, taka jakaś atmosfera przeszłości, że nawet najpewniejszy siebie literat warszawski, musiałby tu zapomnieć o sobie, a żyć w tém co widzi przed sobą. Naprzód zaś uderza oczy największy, jak powiadają, z obrazów olejnych na świecie, zapelniający całą prawie ścianę, obraz Tintoreta, przedstawiający „chwałę dusz wybranych w raju.” Szkoda tylko, że *światłość wiekuista*, jak widać, nie wchodziła w myśli malarza w skład koniecznych przymiotów tej chwały; bo tło i koloryt tak ciemne, że wielu nawet figur dobrze widzieć nie można. Za toż ziemską chwałę Wenecyi świeci tuż obok w najjaśniejszych barwach. Są to większe i mniejsze, na ścianach i na sklepieniu, i w tej i w dalszych salach, obrazy bitew, zwycięstw, tryumfów i hołdów, które rzeczpospolita przez sług swoich odnosiła i odbierała, ciemiężąc i łupiąc bez braku: Greków, Turków, Saracenów, i prawowiernych ziomków i sąsiadów swoich. Sama ona, w kilkakrotnej apoteozie przez naj-

piérwszych mistrzów, figuruje jako bogini, otoczona nadziemskim blaskiem i uosobieniem cnót wszystkich, pogańskich i chrześcijańskich. One jedne do dziś dnia pozostają zawsze czém były, to jest malowanemi; choć może, gdyby żyły istotnie w jej życiu, onaby sama dzisiaj malowaną tylko nie była. Po nad historycznymi obrazami faktów, wiszą rzędem u góry, w dwóch piérwszych salach, portrety wszystkich Dożów, zaczawszy od dziewiątego z nich, *Obeliero*, w r. 804, do ostatniego, *Manina*, w r. 1797. Jest ich w ogóle 115, licząc w to i puste ramy, w których, zamiast portretu, świeci na czarnej tablicy napis białymi literami: *Hic est locus Marini-Falieri, decapitati pro criminibus* ¹⁾. Rzecz jasna, że chciano tym sposobem zatrzeć w ludzkiej pamięci obraz tego Doży, a bodaj czy nie oddano mu tej samej przysługi, co niegdyś Herostratowi w Grecyi, zakazując wzmianki jego imienia.

Zawsze rzecz zakazana ostrzejszy smak rodzi,
Nie dla tego, że smaczna, lecz że się nie godzi.

Nikt dziś nie wie, kto wybudował świątynię Efezką, a każdy wie, kto ją spalił. Otoż i we mnie, nie wiem czy z ducha przekory, czy może z przypomnienia tragedyi Byrona, dość że ze wszystkich tych namalowanych, ten właśnie zamalowany portret, tak opanował wyobraźnię moję, że wyrosłszy w niej w całą postać z popiersia, szedł wciąż przy mnie, jak niewidomy przewodnik, przez wszystkie następne sale, i odegrywał w nich przed nią rozmaite sceny

¹⁾ „Tu jest miejsce Marina-Falieri, ściętego za zbrodnię.”

z przeszłości. On, nie kto inny, w sali *degli Pregadi*, (Senatu), siedział w pośrodku na kurulskim krześle, gdy wokoło niego na ławach, trzystu najstarszych wiekiem i najślawniejszych zasługą *Ojców Ojczyzny* siedziało. On, nie kto inny, w sali *del Collegio*, (audyencyonalnej), otoczony dostojnikami i tak zwanymi „wielkimi mędrkami” (*Savi grandi*), z tronu, w imieniu Rzeczypospolitej, przyjmował hołdy królów i cesarzów Rzymskich, które mu ich posłowie składali. I on to, nie kto inny, nakoniec, z nieprzeliczonych ofiar strasznej *Rady Dziesięciu*, stał w sali jej posiedzeń, przed sądowym jej stołem, obciążony więzami, z ubieloną głową, zmuszony sam wyznawać swą winę, którą już przedtem w sali przybocznej *Trzej Inkwizytorowie* zbadali, i tylko już po wyrok śmierci przysłali go przed trybunał *Dziesięciu*. W tej to zwłaszcza ostatniej, inkwizytorskiej sali, pamięć i sama nawet liczba tych trzech okrutnych i nieubłaganych badaczy, nasuwała wciąż na myśl mitologiczny ów komplet sędziów piekielnych, których prezesa, (Minosa), przyprowadził mu tylko ogon jako djabłu, Dante też w piekle swoim na sędziowskim krześle posadził; a ile się on razy tym ogonem obwinał, o tyle stopni potępiona dusza zapadała niżej w głąb piekła. Porównanie to jest tém stosowniejsze, że właśnie w tej sali *Trzech Inkwizytorów* znajdują się jedyne wschody, prowadzące do podpalacowych lochów więziennych, w których na pierwszym piętrze mieścili się zwyczajni kryminaliści: mordercy, podpalacze, złodzieje, a na drugim dopióro, *in fundo*, podejrzani o zbrodnie stanu. My

zeszliśmy tylko na pierwsze, bo Adam nie chciał iść dalej, tak miał już dość tego co widział, a co w nim wstręt tylko wzbudzało. Wschody wąskie i ciemne; kto zszedł po nich, nie trafił napowrót. Izdebki, aż strach pomyśleć! Zowią je właśnie *studniami*, z powodu wilgoci i głębi; ale z powodu ciasnoty, są one istotnemi klatkami, w których najmłodszy czyżyk nie dziwiłby się drugiemu, że płacze. Pokazują dotychczas jedną, w której się odbywały tajemne wykucy wyroków, przez duszenie cienkim powrózkiem, przywiązanego do krzesła winowajcy, na którego już ciało, pod okienkiem u góry zewnątrz, zamknięta gondola czekała. I krzesło to, i powrózki, i różne inne narzędzia tortury, ciekawi mogą dotąd oglądać. Myśmy tej ciekawości nie mieli; i gdy je nasz przewodnik chciał nam gwałtem pokazać, Adam odwrócił się ze wstrętem, mówiąc o niemiłym wrażeniu, jakie w nim kiedyś na długo zostawił anatomiczny gabinet wileński. Mnie zaś przypomniał się obraz więzienia z „*Pani Jeziora*” Walter-Skotta, gdzie tu i ówdzie, jak mówi poeta:

Leżą i wiszą, rdzą krwawą okryte,
Katnie topory, i miecze zużyte,
I różne srośniętej tortury narzędzia,
Na których wzmiankę blednie kat i sędzia,
Dzieła rąk mistrzów, co przez wstyd sumienia
Sami im nadać nie śmieli imienia.

Ale straszne to były czasy, kiedy we wszystkich, tak zwanych chrześcijańskich krajach, (prócz, Bogu dzięki, u nas), sposoby zabijania i męczenia ludzi tak były wszędzie podobne do siebie; a drugie *Bogu dzięki*, że świat przecież dożył do chwili, kiedy nie tylko na widok,

ale nawet na samo wspomnienie tych tortur i ich narzędzi, każdego taka groza i ohyda przenika.

A że je, wiem, dzielisz i ty,
Więc zamiast cię żegnać w lochu,
Furknę piórem—i w błękity,
Na najwyższy szczyt nad szczyty,
Wynoszę cię miną prochu.

Na szczyt wieży,
Co się jeży
Na Świętego Marka placu,
Vis-à-vis Dożów pałacu,
Gdzieśmy wczora, przez półtora
Godziny stali z wieczora;
A wzrok sokół,
Krażąc w okół,
Widział tylko roztoczone:
Niebo w górze,
W dole morze,
Wielkie, jasne, nieskończone.
Niebo Boskie,
Morze włoskie,
Co tak jednem być się zdają,
Że aż szczerze
Żal cię bierze,
Że się zdając — nie stykają.

A na wodzie, u stóp wieży,
Gród Wenecki plackiem leży,
Jak żółw czarny, jak w kłęb zwity
Lewiatan, łupu syty,
Co śpiąc zda się
Sni o czasie,
Gdy dźwignąwszy kadłub smoczy,
Na galerach, jak na skrzelach,
Z Zary Niemcom bryzgał w oczy,
Ogniem zionąc w Dardanellach!

A dziś—a dziś! Śpij nieboże!
I bez ciebie świat żyć może.

Lecz to niebo! lecz to morze!
Lecz to pasmo Alp zdaleka,
Co jak tęcza, co jak rzeka,
Kryształami lodów skrzająca,
W sto barw słońcem gorejąca,
W dal bez końca się rozwleka!...

O! mój drogi! by to wydać,
Com czuł patrząc, co ztąd widać,
Brak mi na to sił i słów.
Chęć mię tylko próżno drażni—
Sam więc sobie w wyobraźni
Dopatrz resztę—i bądź zdrów!

XL.

Do tegoż.

Wenecya, 18 Października, 1829 r.

Kłęczy—wzrok w ziemię schyliła—z oblicza
Anielska słodycz i skromność dziewicza
Tchną— jak wkrąg niego jasność tajemnicza.

Piękność rozmarza upojeniem kwiatu,
Świętość przeraża blaskiem majestatu—
W Nięj i z Nięj Niebo objawia się światu.

Bo oto przed Nią Zwiastun *Dobrej Wieści!*
Wzrok pełen razem zachwyty i cześci,
Hołd Nieba niesie naturze niewieścięj.

W prawicy ku Nięj wzniosł białą liliję.—
O! w kim duch żyje—o! w kim serce bije,
Słowy Anioła pozdrowi Maryję.

Taki jest obraz niewielkich rozmiarów, nie głośnej sławy artysty, (niejakiego *Pennachi*), niewymieniony nawet szczególnie w „*Przewodniku podróży*,” a znajdujący się w kościele Ś. Franciszka *de la Vigna*, który jednak z pomiędzy tysiąca sławnych na świat cały arcy-dzieł arcy-mistrzów, napełniających tutejsze kościoły, galerye i pałace, tak żywe i tak szczególne zrobił na mnie wrażenie, że przypisuję to chyba jakimś wyższym, tajemniczym przyczynom, których odgadnąć nie umiem, ale w których

wpływ i istnienie najmocniej i całą duszą wierzę. Bo oto jest np. co czytałem gdzieś o hr. *Zinzendorfie*, założycielu stowarzyszenia *Herrnhutów*. Był on zawsze szczerze wierzącym i pobożnym chrześcijaninem, ale ta żywa, gorąca, i niczém niezmordowana miłość Boga i bliźnich, którą się w dalszém życiu odznaczył, obudziła się w nim dopiero z następującego zdarzenia. Modląc się raz w wiejskim kościółku, zwrócił uwagę na obraz umieszczony w ołtarzu, a wyobrażający śmierć Zbawiciela na krzyżu. Widok boleści a pocucie miłości i ofiary ze strony Boga, tak go nagle i głęboko przejęły, że odtąd, z wyznawcy tylko postanowił być sługą i naśladowcą prac i trudów Zbawiciela, i na spełnienie tego ślubu, wedle pojęć swoich, istotnie, jak wiadomo, resztę życia poświęcił. Ale jakież było jego zadziwienie, kiedy nabywszy ów obraz, znalazł na drugiej jego stronie napisaną modlitewkę malarza, w której tenże wyraził te same myśli i uczucia swoje przy malowaniu, jakie sam obraz w duszy Zinzendorfa obudził!

Otoż nie wiem co myślał *Pennachi* malując swoje „*Zwiastowanie*,” ale to wiem, że za pierwszym jego widzeniem, oprócz religijnej świętości przedmiotu, uderzyła mnie nagle psychiczno-poetyczna myśl o dwóch rzeczach, o których ja, nie wiem dla czego, ale medytuję oddawna, jak Kopernik o słońcu i ziemi: co się koło czego obraca, i jak jedno wpływa na drugie?—to jest, o Piękności i o Miłości. Malarz uidealizował je obie w tym swoim prawdziwie cudownym obrazie, a ja codziennie prawie pielgrzymując do

niego i wpatrując się weń po godzinach, utworzyłem sobie całą teorią o wzajemnym ich stosunku i wpływie. I oto masz ją w streszczeniu.

I z wiary, i z poezyi, i z doświadczenia wiemy, że miłość jest duszą świata; najpierwszém prawem, siłą i cnotą ludzkości; jedynym węzłem, który ją między sobą i z Niebem jednoczy.

*Selig durch die Liebe
Götter; durch die Liebe
Menschen Göttern gleich.
Liebe macht den Himmel
Himmlischer; die Erde
Zu dem Himmelreich.*

(Przez miłość szczęśliwi bogowie,
I ludzie równają się z niemi.
Przez nią Nieba przybywa w połowie,
I Niebo się staje na ziemi).

Tak mówi Szyller, a za nim i Walter-Skott podobną myśl powtarza;

*Love rules the court, the camp, the grove,
And men below, and saints above,
For love is heaven, and heaven is love.*

(Miłość rządzi dworem, obozem, i gajem,
Aniołami w Niebie, i ludzkim rodzajem,
Bo raj jest miłością, a miłość jest rajem.)

Wyższych powag cytować nie śmiem, a tobie, wiem, że i tych nawet nie trzeba, aby cię o potęgę miłości przekonać. Ale jakąż być powinna ta miłość? *That is the question* — to sęk, dobrodzieju!

Otoż teoria moja tak dalej mówi: Pan Bóg wiedząc jak miłość jest ludziom potrzebną, stworzył nasamprzód Piękność, tak w naturze, jak i w niewieście, aby przez nią miłość obudzać. Cel piękności jest ten, a nie inny. Gwiazdy, kwiaty, jasne oczka i krásne twarzyczki, wyższego przeznaczenia nie mają. Sam djabeł nawet przeszkodzić temu nie może — ale wiemy jak sobie poradził. Piękność rajska, nie myśląc o sobie, sama przez się spełniała myśl Bożą, to jest, obudzała miłość — *tę rajską*. Mądry djabeł trafił do źródła, ażeby strumień zamącić. Po emigracyi więc z Raju — jak siła mężka, *w pocie czola*, musi sobie zarabiać na chleb; tak piękność niewieścia, *w zaplonieniu czola*, musi sobie zarabiać na miłość. A więc jaką być powinna ta piękność, aby obudzać miłość taką, jaką być powinna? i czy nawzajem miłość pod tym względem nie mogłaby wpływać na piękność? To jest właśnie ów twardy dubeltowy orzech którego rozgryźć nie mogłem, aż mi obraz *Pennachi*ego dopomógł. Piękność w nim kłęczy — a więc jest pokorną; patrzy nie po stronach, lecz w ziemię — a więc jest skromną; zdaje się być zdziwiona swą chwałą — a więc widać, że przedtém swęj wartości nie czuła, czyli, że sama nie myślała o sobie; a cóż dopiero mówić o wymaganiu czci wyłącznej dla siebie? To ideał piękności, jaką być powinna. A miłość? Zaraz powiem. Ideałem jęj jest tu Anioł — z lilią w ręku, ale i ze skrzydłami. Wpatruje się on w piękność ze czcią i uwielbieniem, jak w gwiazdę; lubuje się i upaja jęj urokiem, jak kwiatem; ale gwiazdy ni kwiatu nie

pragnie dla siebie. Słyszysz zda się jak mówi: „Pan z tobą!”—co możnaby na mowę ludzką przettłomaczyć doskonale, mówiąc: „Niech cię Bóg błogosławi z kim zechcesz!”

Dalszych wniosków i zastosowań praktycznych wyprowadzać tutaj nie myślę.

Sens twój własny niech dopowie

Cobyś wiedzieć rad.

Mądrzej głowie dość na słowie,

Sapienti sat.

Chciałbym tylko żeby wszystkie panienki miały zawsze przed sobą choć obrazek tego obrazu, i tak starały się naśladować wyrażoną w nim piękność, jak ja, nie chwaląc się, staram się naśladować anioła. I niech mię teraz która zechce ukłóć tym wykrzyknikiem, co już jak éwiek sterczy mi w uszach: „Jaka to pańska miłość, która kocha wszystkich?”—odpowiedziałbym zaraz kruczkiem zapytania: „Jaka to pani pokora, która chce i wymaga, aby ją wyłącznie kochano?”—A jeszcze miłość taka ma i tę zasługę, że piękność oducza pychy, a tém samém uczy pokory.

Otoż proszę cię, mój drogi! zaraz po odebraniu tego listu, każ sobie osiodłać konia, i jedź z nim jak sztafeta do Nahorodowicz, dla odczytania go wszystkim czterem siostrzyczkom razem. Tylkoż niech cię Bóg broni, abyś go miał czytając zgnieść w rękę ze złości, że ci zamiast dalszych szczegółów o Wenecyi, posyłam własne moje filozoficzne rozprawy i papier niemi zajmuj! Bo czyż to ja dla tego wałęsam

się po świecie, abym to tylko co widzę, w zwierciadlanych *zajęczkach* na twoję mózgownicę odbijał? Nie, wcale, mój dobrodzieju! Ja podróżuję na to, abym w sobie zmadrzał; a jeśli ci już podaję owoc myśli moich, to możesz mi przecież być wdzięcznym, jak twojemu staremu ogrodnikowi, któremu dałeś kiedyś, pamiętam, pół rubla, za pierwszy melon z inspektów, o którym przez lenistwo nie wiedziałeś nawet że rośnie.

To téż zamiast ci mówić szeroko o różnych innych obrazach, których tu jest tysiącami, a choćby tylko o *arcych*, które się téż liczą na setki; powiem ci lepij w krótkości, jaki z codziennego ich oglądania złożył się w myśli mojej ogólny obraz historii malarstwa, to jest stopni, kolei i przemian, przez jakie ono, od początku do dziś dnia, pod wpływem różnych wieków i pod ręką różnych mistrzów, przechodziło.

Otoż naprzód sztuka ta, czy Muza malarstwa, (bo mi koniecznie do mojego obrazu potrzebny jest jój rodzaj żeński), występuje na świat chrześcijański jak młodziutka, trwożliwa, prosta, ale bardzo pobożna Nowicyuszka klasztorna. Twarzyczka biała i wychudła od postów, ledwo widna z pod opięcia welonu; oczki łzawe, wzniesione ku Niebu; w ustach tylko ruch półwestchnienia; kibić ginie w fałdach habitu; rączki tylko, jak do modlitwy złożone, wysuwają się z szerokich rękawów. Na nią samą nie ma co patrzeć, ale wyraz jój twarzy taki, że mimowolnie patrzysz za nią w górę, i musisz ręce złożyć jak ona. (To wiek i szkoła *Giotta*).

Powoli wąła dziewczeczka, jak kwiat z pączka rozkwita, rozwija się, pięknieje; i masz w niej uroczą dziewczę, ale razem i świętą kapłankę. Nie z nią tylko patrzysz już w Niebo, ale i w nią widzisz niebieskość. Wpatrując się sama w Aniołów, odbłask ich w swoim spójrzeniu, podobieństwo w rysach odbija. Rad modlisz się z nią razem i wzdychasz ku Niebu, ale i na nią samą z zachwyceniem spoglądasz. Uczysz się od niej chwalić Pana Boga, ale choć nie śmiesz rzec głośno, myślisz o niej samą pocichu: „Jaka piękna!” (To wiek i szkoła *Bellinich*, w której i mój *Pennachi* jest uczniem i mistrzem).

Ale czy jęj to wreszcie ktoś głośno powiedział? czy ona sama instynktowo odgadła? czy ją tylko wpływ wieku owionął?—dość, że Muza z kapłanki coraz wyraźniej staje się poprostu kobietą. Znać już, że się przed zwierciadłem ubiera; że się chce już i ludziom podobać. Aż powoli, powoli—w wieku protestantyzmu—sekularyzuje się całkiem z za kraty; a że *les extrêmes se touchent*—dbałość o piękność ciała tak bierze górę nad duszą, że nie tylko w pałacach i galeriach stroi się i gorsuje na wzór bogiń greckich, (które tu, uciekając od Turków, z Konstantynopola nabiegły); ale nawet mając iść do kościoła, mizdrzy się i drappuje jak modna elegantka, która idzie tam tylko dla tego, ażeby się ludziom pokazać. (To wiek tak zwany *Odrodzenia*, i szkoła *Tycjana Vecellì*).

Ale piękność z przesady zaczyna więdnąć i powszednieć. Postrzegła to snąc sama Muza, i jak starzejąca kokietka, nuż do sztuk i nadsztukiwań! do farbo-

wania się coraz jaskrawiej, do ubierania się coraz przepyszniej! I oto jak wielka dama Wenecka, w bławatach, axamitach, klejnotach, paraduje znów z dumą, pod rękę z *Pawłem Veronese*. Aż wreszcie, gdy i te stroje wyszły widać z mody, zamyka się wewnątrz pałaców, które jęj hojną ręką, jak Teby Amfion smyczkiem, tak pędzlem buduje *Canaletto*.

Jaką i kiedy z nich wyjdzie? dziś jeszcze przewidywać nie można. Musi snąc medytować i rozpatrywać się przez okna: przed kim ma i dla kogo wystąpić?

Notabene, mówię tu tylko o Muzie Weneckiej; bo z kochanką Rafaelowską, równie jak z boginią Medyceuszów, mam się dopiero we Florencyi zapoznać.

Ale rzecz dziwna, że w miarę jak malarstwo, jakby Irys po tęczy, zbiega coraz z Nieba na ziemię; rzeźbiarstwo, jak posąg Galatei, zaczyna zda się ożywiać się duchem, podnosić się, i wzdychać ku Niebu. W samych już Nimfach Kanowy więcej jest nadziemskiej natury, niż w szczerogreckich boginiach Olimpu. A cóż dopiero mówić o Aniołach? Rzechy można, że rzeźbiarze greccy tak się zlekli losu Prometeusza, że idealizując i ubóstwiając tylko glinianą lepiankę człowieka, iskry z Nieba tchnąć w nią nie śmieli.

To też ze wszystkich rzeźb, jakie dotąd widziałem, najlepiej mi się podobają Kanowy. Jest tu ich wiele, i z marmuru i z bronzu, najwięcej w Akademii Sztuk Pięknych; ale bronz do marmuru, to jak pro-

za do poezji, jak ciało do ducha. W arsenale jest grupa z brązu, odlana podług jego modelu, a mająca zdobić kościół jego fundacyi i od jego imienia nazwany. Wyobraża ona N. Pannę, w postaci siedzącej, trzymającą na kolanach martwą głowę Chrystusa. Z drugiej strony klęczy kobieta, i z boleścią twarz swoją na martwej ręce jego opiera. Byłoby to precudne, gdyby było z marmuru. Za toż w tejże Akademii, w sali rzeźbiarstwa, jesteś jakby wśród białych duchów, między którymi *Hebe* i *Muza* Kanowy, funkcjonują rzeczywiście jak niegdyś na Olimpie i na Parnasie, rozdając wkoło widzom duchowy nektar i natchnienie. Za nic jednak na świecie nie chciałbym żadnej mieć w domu u siebie, bo niebyłoby łatwiejszego, jak zwaryować *à la* Pigmalion. Ale nie masz wyobrażenia, jak po napatrzeniu się na nie, smutne robią wrażenie, pokazywane w drugiej sali: odcięta martwa ręka i dłóto Kanowy. Jest w tém jakby profanacja i ciała i ducha razem; — ciała, przez amputację ręki tej po śmierci; ducha, przez przypisywanie zda się samej tej ręce, co duch tylko przez nią wykonał. Samo nawet dłóto, które, jako narzędzie, byłoby bez tej ręki rzeczywiście nader drogą pamiątką, traci przy niej całe swoje znaczenie. Za toż sam grób Kanowy, w kościele N. Panny *dei Frari*, nie tylko nie daje czasu smucić się widzowi, ale go owszem przez sam widok nagrobka do poczucia potęgi i chwały Mistrza podnosi. Nagrobek ten ma dziwną analogię ze sławném *Requiem* Mozarta, które on napisał dla kogoś innego, a które grano naprzód

na jego własnym pogrzebie. Podobnie i ten nagrobek Kanowa wymodelował sam na grób i na uczczenie pamięci Tycjana; tymczasem, po jego śmierci, postawiono go nad nim samym. Kształt piramidy, jakby wpuszczonej w ścianę i jednym tylko bokiem płasko wystającej. W środku czarne drzwi do grobowca, przede drzwiami trzy stopnie. Z prawej strony, na pierwszym stopniu, kobieta okryta zasłoną niesie ku nim pogrzebną urnę. Nieco za nią Geniuszek z pochodnią. Dalej dwie inne kobiety w draperyach; za nimi dwa Geniusze, także z pochodniami. Z lewej strony, przy drzwiach, uspiiony lew Wenecki, na którym skrzydlaty Geniusz, z przewróconą pochodnią, wspiera się w postaci siedzącej. Puch i pióra łabędzie nie mogą zda się być miększe i białsze, jak te skrzydła lwa i anioła; a cóż dopiero mówić o figurach? Dość, że przy ich to zwłaszcza oglądaniu przyszła mi owa myśl o rzeźbiarstwie, w stosunku do dzisiejszego stanu sztuk innych, o której już wyżej wspomniałem, to jest, że w miarę jak tamte *ziemszczeją*, ono zdaje się *uduchowiać*. A jest to pomnik najnowszy w Wenecyi, bo postawiony dopiero przed dwoma laty, ze składek całej Europy, (*Europae universae*), jak świadczy napis na podstawie wyryty. A tymczasem biedny Tycjan, który leży w tymże kościele, od trzech wieków już czeka na podobneż uznanie. Wprawdzie siostra-szkulptura chciała go uczcić godnym jego pomnikiem, ale cóż? gdy go dla kogo innego zabrano; siostra-poezja zaś wystą-

piła z tak niefortunnym *epitafem*, że wszyscy jój czciciele wstydiłoby się za niego powinni. Oto go masz:

*Qui giace il gran Tittiano Vecelli,
Emulator de Zeusi, e degli Apelli* ¹⁾.

W ogólności grobowce w Wenecyi robią szczególniejsze wrażenie. Nie dla tego, że jest ich tyle, ani dla swój artystycznej piękności, ale że prawie na każdym czytasz jakieś wielkie imię, o którym już z historyi wiedziałeś. A jak sobie jeszcze przypomnisz ten lub ów obraz, w którym *ten*, co *tu leży*, figuruje w pełni siły i chwały: to ani się spostrzeżesz, jak sam *à la Salomon* filozofujesz w myśli nad życiem i *próżnością próżności* tego świata. Ależ jak za to moc pióra i pędzla olbrzymieje w twojej estymie! Czyżbyś wiedział, co ten nieboszczyk dokazywał kiedy, mieczem lub berłem, gdyby ktoś gęsiem piórem nie napisał tego? Czyżbyś zgadł, jak *Marsowo* lub *Herkulesowo* wyglądał, gdyby go ktoś kocim ogonkiem nie namalował na płótnie? Owoż ja medytując nad tém, skleciłem sobie wierszyk, który ci tu przepisuję.

Co w przeszłości z ziemi było,
Ziemia w swém łonie zamyka,
Pod skromnej darni mogiłą,
Lub dumnym głazem pomnika.

Lecz duch, co na nią tchnął z Nieba,
W sztuce ma wieczne odbicie,
By przez nią znowu, gdy trzeba,
W przyszłości wstąpić mógł życie.

¹⁾ „Tn leży wielki Tycyan Vecelli, współzawodnik Zeuxisów i Apellesów!”

I równej godne zalety,
Gdy w nich mistrz prawdę odtwarza,
Czy pieśń natchniona poety,
Czy twórczy pędzel malarza.

Bo równo dziełem ich obu,
Dla serc potomnych i oka,
Kształt przeszłości wstaje z grobu,
A duch jój wionie z wysoka.

Ale wieczne odpocznienie przeszłości! Że zaś w niej za dni parę i Wenecya ma dla nas utonąć: czynni więc niż z początku krzątamy się w teraźniejszości, aby resztę tutejszych ciekawości obejrzeć. Zwiedzieliśmy już wszystkie galerye, i byliśmy co najmniej w pięćdziesięciu kościołach. A jest tu ich wszystkich 72. To powód, że w szczególności nie wspominam o żadnym. Gdyż i pod tym już względem jestem tu dziesięć razy rozumniejszy, niż byłem w Medyolanie. Nie mam pretensyi widzieć koniecznie wszystkiego; a więc mam więcej czasu patrzeć lepiej na to, co widzę, i nie męczę się tak do upadłego, gzygzakując dzień cały po mieście. Prawda, że tam w Medyolanie nie było nic żywego, coby mię na spoczynek pociągało ku sobie; tu zaś aż dwa tego rodzaju magnesy działają na mnie bez przerwy. W domu, lekcye czytania; za domem, tyzanna i lody u najlaskawszej przyjaciółki mojej, pani Badoer. Przy lekcyach tych młodszą siostrzyczką siedzi zawsze jak żywy amorek; a choć może niewidomego odstrasza, sama jednak, nie wiedząc o tém, odegrywa niekiedy jego rolę. Zdradza przedemną tajemnice siostry, da-

jąc mi przez to powód albo do oznak wdzięczności, albo do pretensyi i kłótni, po których zawsze następuje zgoda. Za toż za każdym przyjściem na lekcję, przynoszę regularnie mojej małej przyjaciółeczce *Lui-gii* (Ludwisi), po kilka cukierków, a zawsze jak raz do pary, aby się mogła niemi po połowie podzielić. Nazywa mnie swoim *fratello*, a więc i witamy się po bratersku. Ale bo też to milutkie dziewczátko! „*weso-
lulka, jak młoda koteczka*.“ Niedawno w publicznym ogrodzie zbiegałem się z nią na wyścigi, jak za do-
brych czasów studenckich. Prawda, że w tej bocznej alei prócz nas nie było prawie nikogo, a nagrodą miał być bukiet od serduszka Signory Sylwii, która na nas, siedząc z matką, patrzyła. Ale za toż gdybyś mię widział u pani Badoer, jak poważnie siedzę i rozmawiam, popijając cząber bez cukru! A jednak daję ci słowo, że ani tu, ani tam nie udaję; tylko, że jak dudka zadęciu, poddaję się wrażeniu chwili. Raz przecież namówiłem Adama, że był ze mną u niej wieczorem, właśnie gdy Signora Rachela była też gdzieś zaproszona na wieczór. Sam był ujęty uprzejmością i zachwycony rozmową mojej ukochanej staruszczy, co jednak nie przeszkadza pod-
drzewaniu ze mnie. Odciałem się więc jak mogłem sonetem, który ci tu załączam:

Zartuj zdrów! ja się mojej staruszki nie wstydzę.

Kocham w niej piękność duszy, nie twarzy niewieściej;

I jeśli ktoś Amorka sonetami pieści,

Toć Psyche i w tém warta iść z nim w jednej lidze.

Ja piękność, byłem oczy zamrużył, to widzę,

„Gdzie? Przed oczyma duszy.“—Ale mądrój treści

W czém tyle, co w niewieścich rozumach się mieści?

A te rosną dopiero w jesieni—jak rydze.

A wręście, człek z staruszką choć sam na sam siedzi,

Ani chce drzwi przed gośćmi zamykać na głucho,

Ni się boi sam siebie. A choć tknięty skruchą

I przystąpiłby kiedy do jawnej spowiedzi:

Nicby mu z niej powtórzyć nie mogli sąsiedzi,

Za coby chciał ich potem pokręcać za ucho.

Sonet ten, po napisaniu w nocy, przypiąłem szpilką do jego kapelusza wewnątrz, i umyślnie nazajutrz po-
śpieszyłem wyjść piérwój, aby go sobie bezemnie, bio-
rąc kapelusz, przeczytał. Jakoż zaraz na wschodach chciał spraktykować na mnie wiersz ostatni; ale wi-
działem z miny, że mu się concept podobał.—Dziś jesteśmy na zaproszonym muzykalnym wieczorze u p.
Perucchiniego, gdzieśmy już przed tygodniem raz byli; na jutro zaś mamy już na cały dzień zamówio-
ną gondolę, aby zwiedzić port *Malamocco* i sławne *Murazzi*, to jest tamę od morza, a potem sobie na waletę tu i ówdzie popływać. Signora Rachela i p.
Badowski mają nam w tej *regacie* towarzyszyć. Z tym ostatnim przed dwóma dniami byłem w sławnej tutejszej fabryce zwierciadeł i paciórów szklan-
nych, na wyspie *Murano*, a przedtém jeszcze z nim i z Adamem razem w klasztorze i w drukarni *Ojców
Mechitarystów*, na wyspie Ś-go Łazarza, gdzie się drukują książki we dwudziestu kilku językach, ale najwięcej w ormiańskim; bo i ci mnisi są to Ormianie, przybyli tu z Grecyi na początku przeszłego wieku, pod przewodnictwem Ojca *Mechitara*, od którego bio-

ra nazwisko. Rzeczpospolita darowała im tę wysepkę, gdzie kiedyś był tylko szpital dla zapowietrzonych, a dziś jest jakby *erem* Kamenduków: schludny, czysty, zielony, kwitnący, założony i utrzymywany przez samychże nieży. — Ale ci o tém wszystkiem dłużej pisać nie myślę; a wolę, jako obrok duchowny, dodać tu jeszcze słówko o jednym portrecie, a raczej o człowieku, którego jest ten portret, ażebyś o nim codzień przy obiedzie przypomniiał, i pewnie przez to sobie wiele rumiankowych goryczy oszczędził. Jest to portret niejakiego *Cornaro*, (nie Doży, ale prywatnego doktora), który żył lat sto kilkanaście, i to w trzech wiekach, to jest, cały wiek XVI, i po lat kilka w poprzednim i następnym. Myślisz więc może, że się musiał posilać nie lada, aby mieć siłę na tak długą pielgrzymkę; ależ to właśnie w tém sztuka, że żył prawie nie jedząc. W 25 roku życia miał tak rozstrojony organizm trawienia, że skazany na śmierć przez kolegów, sam się zaczął leczyć dyetą, i w lat kilka doszedł do tego, że brał tylko na dobę po 26 łótów pożywienia, które sam sobie przyrządzał, a pił tylko 14 uncyi, to jest funt wina. Skutkiem tego sposobu życia, nie tylko wrócił wkrótce do zupełnych sił i zdrowia, ale od 30-go do setnego roku życia, w którym napisał swoje pamiętniki, nie czuł nigdy żadnej słabości ani bólu, a mógł bez unżenia, po 12 godzin codziennie, albo pracować umysłowo, siedząc nad stolikiem; albo być w ciągłym ruchu: chodząc, wiosłując, albo jeżdżąc konno. Kontynuator pamiętników jego dodaje, że dopiero na trzy lata przed śmiercią

zaczął zwolna słabnąć na siłach, i bez żadnej choroby i cierpienia — mówiąc słowami Trembeckiego:

„Tak się spokojnie złożył z przodkami pospołu,
Jak gdy po walnej uczcie wstawałby od stołu.“

Choć życia jego, prawdę mówiąc, w żaden sposób nie możnaby przyrównać do uczty, a cóż dopiero *walnej*; a wziąć je chyba tylko można za dowód, że żyjemy nie samym chlebem, ale może i powietrzem, i słońcem, a już najpewniej duchem. Ztąd wniosek, że poeci powinni żyć jak najdłużej, mając tych przysmaków do syta, a zwykle nie mając za co kupić sobie pieczenia i wykraczać przeciw dyecie.

Ale ponieważ już jestem na drodze wyciągania moralnych nauk z obrazów, które widziałem, masz tu jeszcze jedną historyjkę o obrazie *Sądu Ostatecznego* przez Palmę (*Il Vecchio*), znajdującym się w pałacu Dożów. Malarz w nim bardzo nietrafnie, zamiast dążyć z dołu do Nieba, zaczął naprzód od malowania Nieba, i zawczasie też widać do niego wprowadził swoje kochankę, mieszcząc ją tam w chórze aniołków. Zanim bowiem zstąpił do piekieł, aniołek musiał pokazać pazurki, i tak go niemi udrapnąć, że obrażony malarz rzucił go tam w szpony szatana. Jaka była tego przyczyna, komentatorowie dotychczas zgodzić się z sobą nie mogą. Jedni twierdzą, że go zdradziła; drudzy, że się z nią w tym czasie ożenił. Ale czy jedno czy drugie, wierz-że tu panieńskiemu anielstwu!

Owoż, mój przyjacielu! jak przy obiadach o *Cor-naro*, tak na tańczących wieczorkach przypomnij sobie czasem o tym obrazie Palmy.

A że wiersz lepiej w pamięć wraża się od prozy,
Więc ci i wierszem radę dam po przyjacielsku:
Nie podnoś nazbyt skoro do apoteozy,
Téj, co na cię zbyt skoro patrzy po anielsku.

A teraz bądź zdrow! bo czas iść na wieczór. List
jutro przed wyjazdem dokończę.

Godzina 12 w nocy.

Spać mi się chce okropnie—a jednak masz dziś
jeszcze *post scriptum*; ale miejże je sobie za temat do
rozwijania dalszych w tym kierunku myśli, tak, jak
i ja mieć będę. Nie idzie tu o wieczór, który był dość
przyjemny, i wyraźnie dla nas. Byli wszyscy nasi
znajomi: pp. de Luca, Maruzzi i Badoer. Grano,
śpiewano, częstowano uprzejmie, i pożegnano się ser-
decznie. Ale wyszedłszy z wieczoru poszliśmy je-
szcze na *Piazzette*, i usiadłszy na wschodach od mo-
rza, przegawędziliśmy z godzinę. Fale, pod lekkim
wiatrem, rozbijały się z szumem u stóp naszych.
Adam mówił o głosach natury, i utrzymywał, że
w nich jest pierwszy kamerton i zasada wszelkiej har-
monii, miary i rytmu—tak w muzyce, jak i w poe-
zyi. (Monotonny plusk fal jednych po drugich, i to
w regularnych przestankach, zdawał mi się być wzo-
rem *alexandrynów* francuzkich). Gdybyśmy mogli
i umieli wsłuchiwać się dobrze w śpiew ptaków, do-

strzeglibyśmy i tam to samo prawo. W śpiewie pta-
ków, podlatujących nad ziemię, zaczyna się poezya;
głosy czworonogów—to proza. Śpiewają właściwie
ptaszątka tylko leśne i polne, i to małe, szare, nie-
winne. Bełkocą tylko duże i czarne, jak cietrzew,
głuszc, indyk, i t. d. Drapieżne, tylko kraczą. Nocne,
tylko huczają. Pstro-pióre i błotne, tylko wrzeszczą,
jak czajka, sroka, dudek, paw' i t. d. Milczą tylko
ryby i gady. A czemu to tak? Otoż właśnie w tém
zapytaniu leży temat do dalszych medytacji i do ana-
logii z poetami i z ludźmi. Ja zaś myśląc o sobie
i o tobie, dodaję:

Z nas, wiem, że orzeł ni dudek nie będzie,
Strzeżmy się tylko być pawiem czy głuszcem.
A siedząc sobie skowronkiem na grzędzie,
Nie gońmy nazbyt za sławą lub kruszczem.

Dobranoc!

19 Października, godzina 11 w nocy.

Każdy dzień, który kończy jakibądź peryod w ży-
ciu, jest to zawsze jak czarna kropka na sercu. Ta-
kim był i jest dla mnie dzisiejszy. Jutro raniutko
wyjeżdżamy przez Ferrarę do Bolonii. Pożegnałem
się już ze wszystkimi, prócz domowych, którzy obie-
cali wstać rano, aby się jeszcze przed wyjazdem oba-
czyć. Ale czy się ja mogłem spodziewać, abym na
cudzej ziemi żegnał się tak kiedy z kimkolwiek, jak
dziś z panią Badoer? Tu już nie obaczymy się pe-
wno; a jednak i ja i ona rozstaliśmy się jakoś z na-
dzieją, że się gdzieś kiedyś spotkamy. Adamowi tak-
że rozstanie widać że nie musi iść łatwo, kiedy jeszcze

dotąd nie wraca. Ja tymczasem spakowałem już rzeczy, i tę ostatnią chwilę na kończenie listu poświęcam.

Wycieczka do Malamocco i nazad zajęła nam przeszło sześć godzin. *Malamocco* i *Chioggia* są to dwa najważniejsze porty Wenecyi, a *Murazzi*, to ich forteca przeciwko falom morskim i napływowi piasku. Jest to olbrzymia gruba ściana, odłączająca lagunę od morza; budowana nie z cegieł, ale z ogromnych płyt ciosowego kamienia, bardzo ściśle i gładko spojenych cementem. Ma długości 3 mile włoskie, to jest ³/₄ mili naszej. U spodu grubsza we dwoje niż u wierzchu, od strony morza podzielona jest na trzy nierówne kondygnacye; wysokość zaś o 5—6 łokci przenosi najwyższy stan przypiły morza. Patrząc na nią stały mi w myśli piramidy Egipskie, a razem różnica czasów, i w nich stanu ludzkości. Piramidy, to drugi tom wieży Babel; zarówno pomnik pychy jak głupoty ludzkiej. Ten kto je kazał budować, myślał pewnie, że na ich szczycie pamięć swego imienia jak posąg, ku czci świata na wiek wieków postawi; a one są dlań właśnie *pomnikami zapomnienia*. Bo każdy patrząc na nie, chciałby wiedzieć, a nie wie, kto je wystawił, i dziwi się, że o tém można było zapomnieć. Myśląc zaś dalej: dla czego? musi przyjąć do tego rezultatu: naprzód, że to jest druga wersja kary Babilońskiej, a powtóre, że człowiek, który dla własnej tylko pychy tyle pracy ludzkiej zmarnował, nie wart jest pamięci ludzkiej, a tylko podpada pod generyczne imię — mówiąc najgrzeczniej — *nie-mędrca*.

W oświecenijszych czasach pogańskich — a cóż dopiero od czasu Chrześcijaństwa? — wszystkie podobnie olbrzymie budowy wznoszą się już tylko albo dla chwały Bożej, albo dla ogólnego pożytku ludzi. To jest już prawdziwy postęp. I dla tego warto jest wiedzieć, że pierwszy pomysł wybudowania tych *Murazzi*, powziął xiądz *Coronelli*, sławny geograf włoski, w roku 1716, a zaś architekt, który je wybudował (od 1744 — 1782), zwał się *Bernardino Zendrini*. Rzeczpospolita Wenecka wyłożyła na to 20 milionów liwrów, i jest to już ostatni pomnik jej wielkości. Napoleon w roku 1806 kazał był wymurować drugą takąż ścianę, ale ta dotąd jest tylko zaczęta.

Ale więcej niż te kamienne ściany, zajmował nas i zachwycił szczególnie widok samej Wenecyi: czy dla tego, żeśmy na nią po raz ostatni patrzali; czy że mieliśmy sposobność przypatrzeć się jej lepiej, niż kiedy. Dzień był śliczny, morze gładziutkie; wieże, kościoły, domy i okręty, dwoiły się w niem jak we zwierciadle. Odbicia zwłaszcza wież i masztów, jak smugi niebieskiego światła, sięgały aż do naszej gondoli, w odległości ćwierć mili od miasta. Potem opłynęliśmy wokoło całe miasto, przepłynęliśmy wzdłuż *Wielki Kanał*, i już prawie o zmierzchu wylądowaliśmy na wschodach Piazzetty. Jutro o świcie dalej w świat!

Gott sey uns gnädig!

Leb wohl, Venedig! —

Na wschodach słyszę kroki Adama —

A więc — *vale, et me ama!*

przód musiałem mieć do czynienia. Z pomocą więc pana Badowskiego najałem już weturyna aż do Bolonii, to jest dwa miejsca w *wetturze*, jedno w środku karety, a drugie w kabryolecie, (bo wszystkie inne były już zajęte), i zaraz po śniadaniu jedziemy na noc do Padwy. Bądź więc zdrow! bo muszę jeszcze przez pana Badowskiego napisać liścik po włosku do mojej przyjaciółeczki *Luidzi*, który przez całą drogę układałem w myśli, zaglądając co chwila do gramatyki i do dykcyonarza, które mam z sobą w kieszeni. I nie ma lepszej metody do nauczania się języka!—to jest, nie dykcyonarz nosić w kieszeni, ale mieć do kogo pisać liściki, które się chce koniecznie napisać. *Adieu!*

20 Października, godzina 10 wieczorem—Padwa.

Od trzech godzin jesteśmy już w Padwie. Droga ta sama co ztąd do Fusiny, tylko że już zieloność drzew przerzuca się tu i ówdzie *zółtą*; że już grona między niemi nie wiszą; że kukuruza nie pozłaca ziemi; czyli, że kilka letnich wdzięków ubyło naturze, a kilka zmarszczków jesiennych przybyło. Dzień też lubo pogodny, ale wietrzny i nawet chłodnawy. Towarzyszami podróży byli, i mają być dalej, trzej jacyś porządni Anglicy, którzy siedzą z Adamem w karecie, i chudy, sztywny, podżyły *Abbate*, t. j. xiądz włoski, który ze mną podziela kabriolet. Adam ze swymi sąsiadami nie przemówił, jak powiada, ani słowa; ja z moim próbowałem zagaić dyalog, ofiarując mu naprzód cygaro; ale to jakoś

nie poszło. Zamiast mi mówić sam co ciekawego, zaczął mię tylko indagować o mnie: „a kto? a zkad? a dokąd? a po co?”—tak, że choćby mi nawet łatwiej było z włoszczyzną, nie miałbym wcale ochoty spowiadać się przed nim w kabryolecie. Zbywszy go zatem grzecznie, udałem że drzemię; i wpół spoglądając przez rzęsy, w pół marząc całkiem zamrużywszy oczy, w milczeniu dojechałem do Padwy. Adam ciągle skarży się na zęby. Ulokowawszy go więc naprzód w dość wygodnej izdebce, pod „Złotą Gwiazdą” (*Stella d'Oro*), wybiegłem na godzinkę co miasta, aby cokolwiek odprostować nogi. Chciałem wpaść choć na chwilkę do kościoła świętego mojego Patrona, ale że już był zamknięty—pomodliwszy się więc tylko przed progiem, przebiegłem kilka pryncypalnych ulic i placów, aby je sobie odnowić w pamięci, i na herbatę wróciłem do domu. Adam leczył się wodą zimną, ale mu to nie pomagało. Przyniosłem mu więc z apteki flaszeczkę wódki kolońskiej, aby twarz nią sobie nacierał i na wacie wkładał do ucha. Rada moja, przy gorącej herbacie, okazała się istotnie skuteczną; a pacjent tak był kontent z pozbycia się bólu, że wdzięczność swoją nie tylko mi słowami, ale gładzeniem i pocałunkami wyrażał.—Ale był w tém także i pretext wynagrodzenia mię jakoś nieznacznie za kwaśno-gorzki humor dni ostatnich, który choć nie z mojej przyczyny, ale jednak skrupiał się na mnie. Za toż wieczorek dzisiejszy był jednym z najprzyjemniejszych—i wybac mi mój kochany! że twoim zwłaszcza kosztem ubawiłem Adama i siebie. Przypomniałem

i opowiedziałem mu pierwszą twoją wyprawę na ulice Warszawskie o zmroku. Uśmieł się prawie do łez;—ale się nie bój! nie straciłeś nic przez to w opinii jego. Powtórzył owszem parę razy: „*Poczciny Julianus!*” i udawał twoją figurę, jak musiałeś wtedy wyglądać ¹⁾).

¹⁾ Jako przypisek w tém miejscu, muszę opowiedzieć rzecz samą, o której tu jest wzmianka. W jesieni 1826 r. Korsak przyjechał do mnie w gościnę do Warszawy. Kolega mój uniwersytecki i dobry przyjaciel, Tadeusz Hrehorowicz, naówczas urzędnik w banku, zaprosił go na mieszkanie do siebie. W pierwszych dniach swego pobytu gość nasz nie chciał w żaden sposób wieczorem wychodzić sam jeden na miasto. Żartowaliśmy więc z niego dopóty, aż się nakoniec ośmielił. Przyszedłem właśnie do niego, kiedy był na tej wyprawie i oczekiwałem powrotu. Wrócił wkrótce, ale cały zmieszany, i zaczął mi wyrzucać namowy, które go do wyjścia skłoniły. „*Ejda! jakiś*”, jak się wyraził, przyczepił się do niego na ulicy Długiej, i to szedł krok w krok za nim następując na pięty—to go trącał łokciem mijając—to znowu zatrzymywał się przed nim, aby dać się z kolei ominąć, i *da capo* rozpocząć swoje. *Poczciny Julianus*, (jak go w Wilnie jeszcze przezwał Mickiewicz), unikając kłótni ulicznej, wołał zniesć cierpliwie tę napaść, i korzystając z pierwszej spotkanej dorożki, wsiadł w nią i powrócił do domu. Dziwno mi było niewypowiedzianie, że właśnie jemu jednemu trafiła się podobna przygoda. Wtém przyszedł gospodarz domu, a wysłuchawszy cierpliwie całego opowiadania, tyle zaczął dodawać doń rozmaitych szczegółów o zachowaniu się zwłaszcza napastowanego: jak np. o przechodzeniu z jednej strony ulicy na drugą; o chrząkaniu groźnym sposobem, za każdym potrąceniem go łokciem, i t. d.; że się nam obu wyjaśniło nakoniec: że on to sam, okryty płaszczem, a korzystając ze zmroku, tak doskonale rolę napastnika odegrał. (P. A.).

Jako *pendant* zaś do tej anegdoty o tobie, opowiedziałem mu drugą o Julku, i także z tym samym Tadeulem, u którego, jak niegdyś ciebie, tak i jego, po przyjeździe do Warszawy w tym roku, ulokowałem na mieszkanie *gratis*. Znasz sentymentalność Tadeula. Otoż na kilka dni przed moim wyjazdem za granicę, kupił on sobie czy dostał od kogo jakąś bardzo piękną różę, i przyszedłszy z nią do domu, odezwał się patetycznie do Julka, który czytając książkę leżał na kanapie. „Patrz, Julku! jaką mam śliczną różę!”—Słowacki na te słowa zerwał się równemi nogami, i poskoczywszy ku niemu, wyrwał mu różę z ręki, potargał i rzucił na ziemię. Tadeulo osłupiał. Zamiast jednak obrazić się i gniewać, ze zwykłą swoją łagodnością zapytał go tylko spokojnie: „Julku! za co ty mi zrobiłeś tę przykrość?”—Julek tak się tém zmieszał, i tak był skruszony, że rzucił mu się na szyję, całując go i przepraszając. Ale dla czego on to zrobił? Ja myślę, że sam dobrze nie wiedział. Ale jest to niewątpliwie objaw tych jakichś demonicznych popędów, które wyraźnie tkwią w jego naturze, i nieraz z najmilszego chłopca, czynią go raptem tak nieznośnym, irytującym pyszałkiem, że aż trzeba przykaśić języka, aby mu coś pieprznego nie powiedzieć nawzajem. Tak było od lat jego dzieciennych, i matka nieraz mówiła mi o tém z boleścią, przewidując i lękając się mianowicie, ażeby to nań kiedy nie ściągnęło jakiej awantury. Adam też z tego powodu przypominał sobie wrażenie, jakie na nim uczynił jego widok, kiedy raz pierwszy ze mną był z wizytą

u jego matki, w r. 1822, gdzieśmy téż wtedy razem i Jana Śniadeckiego zastali. Julek nie mógł mieć więcej podówczas nad lat 11 czy 12, ale fizyognomia jego od dziecka była zawsze niezmiernie wyrazista. Adamowi utkwily zwłaszcza w pamięci jego czarne, ogromne, pałające oczy, które, przy drobnym wzroście, bladój i delikatnej twarzyczce, a ironicznym uśmiechu na ustach, nadawały mu wyraz jakiegoś Asmodeusza; tém bardziej, że zawołany przez matkę i przedstawiony przez nią Adamowi jako piszący wiersze, spoglądał nań, jak mówi Adam, z widocznym wyrazem niechęci. Ja tego nie przypominam, ale wierzę, że tak być mogło. Od dzieciństwa najwydatniejszą w nim cechą była jakaś szczególna, niepomahowana pycha, i niemniej osobliwsza przekora i drażliwość, kiedy przy nim kogokolwiek chwalono. Raz pamiętam—na parę lat przedtém, (miał już może lat 10), siedział na małym stołeczku przy ścianie, kiedy grono gości u matki rozmawiało o rzeczach literackich. Jedna z dam, (bodaj że pani Balińska), uwielbiała gorąco Rasyna. Zdania innych dzieliły się różnie, chociaż wszyscy zgadzali się na jedno, że Rasyn był wielkim poetą. Ale to właśnie tak oburzyło Julka, że zerwawszy się ze swego stołeczka i stanąwszy na środku pokoju, tak zaczął deklamować przeciw Rasynowi i jego zwolennikom, że aż matka musiała go upomnieć o nieprzyzwoitość tonu, a ktoś z obecnych, uspakajając go niby, żartem zrobił uwagę, że Rasyn nie zagrozi mu drogi do sławy, byle tylko sam na nią, jak on kiedyś, zasłużył. Otoż

bardzo być może, że szerząca się właśnie w tym czasie sława imienia Adama, obudzała w zawistnym malcu podobnegoż rodzaju uczucia, których pokrywać zwykle nie chciał, czy nie umiał. To téż ówczesny jego guwerner, wesoły nasz Józik ¹⁾, nazywał go pospolicie przez żart swoim *pół-djabłkiem*, a na seryo upatrywał w nim podobieństwo z naturą owego karła, w poemacie Walter-Skotta: „*Pieśń Ostatniego Minstrela*”, którego największą przyjemnością było robić na przekór i dokuczyć komuś. Józik mógł tego doznawać na sobie; bo co do mnie, nie mogę na to zgodzić się w ogólności. Widziałem przecież chwile i czułości jego dla matki, i uprzejmości dla sióstr; (mówię sióstr, bo nie wiem jak mam oznaczyć stopień powinowactwa między nim, a córkami jego ojczyma). Ja sam wszakże, wyznaję, pomimo najszczerzej chęci, nigdy nie mogłem polubić go tak, jak czułem że byłbym powinien przez przyjaźń dla jego matki. A co mię odpychało najbardziej, to ta, tak niezwyčajna w dziecku, a ciągle jakaś ironia—z którą sam zda się popisywać lubił, i brak wszelkiego entuzjazmu tak dla rzeczy jak i dla ludzi, z zapomnieniem choćby na chwilę o sobie. Wrodzona mu już widać ta jego właściwość, nigdzie jednak nie występowała na jaw wyraźniej, jak w stosunku z najbliższym jego towarzyszem i ko-

¹⁾ Józef Massalski, poeta, o którym już była wzmianka powyżej. Tomik poezji jego wydany był w Wilnie i przedrukowany w Poznaniu w r. 1832. Bajki zwłaszcza, pod względem dowcipu i naturalności, warte są stać obok Krasickiego.

legą, Ludwikiem Szpitznaglem, który znów pod tym względem stanowił najdoskonalszy z nim kontrast, i przeto ciągle naprzemian, albo go kochał najczuliej, albo zrażenie swoje aż do nienawiści posuwał. Ty wiesz może ów tajemniczy węzeł, który go tak przywiązywał do Julka, i którego rozerwać nie mógł. Kochał on i cenił prawie w Julku—nie jego samego—ale powinowatego Olesi; jak np. jakiś *Paria* mógłby kochać i cenić Bramina za to, że ten codzień może się zbliżyć i spoglądać na bóstwo. A i nienawisć ta, którą dłoń niekiedy poczuwał, wynikała nie z czego innego, jak że ów *bramin* nie umiał dość oceniać tego swego szczęścia, lub na przekór, z lekceważeniem odzywał się o niém. W niczém też tak, jak w tych na wpół dziecinnych uczuciach serca, nie da się lepijć pojąć i oznaczyć różnica, jaka była między naturą Ludwika a Julka. Ludwik, choć nawet starszy o lat parę od niego, dałby się wprzód posiekać w kawałki, niżby śmiał przed starszą od siebie zdradzić się, nie to z uczuciem, ale nawet z uwielbieniem swém dla niej; choć uczucie to i uwielbienie napełniało naówczas całą jego duszę. Przeciwnie, trzynastoletni Julek, jakby najpewniejszy siebie młodzieniec, nie waha się oświadczyć formalnie starszój również od siebie pannie Ludwice, która też odtąd, pomimo całej życzliwości dla niego, z jaką zawsze brała jego obronę, nie mogła sama nie przyznać, że pycha w nim była nad lata.

Ale *à propos* braku entuzjazmu. W ciągu dzisiejszej rozmowy, wyjaśniła mi się raptem przyczyna,

którą w tej chwili uważam za istotną: dla czego klasycy warszawscy, a nawet młodsze plemię literatów tamecznych, nie pozwalają jakoś gościom swoim z sąsiedztwa, zbliżyć się do nich i zażyć się z nimi w ten sposób, jakby tamci może pragnęli, i jakby być zda się powinno między ludźmi jednego fachu; tém bardziej, że ci goście pomiędzy sobą wchodzą zwykle i łatwo w braterski nawzajem stosunek. Otoż zdaje mi się w tej chwili, że pochodzi to nie z kądiną, jak z braku entuzjazmu dla rzeczy, któreby interesując zarówno obie strony, stały się przezeń jakby roztopionym cementem, sklejającym między sobą jednostki. *Notabene* zastrzegam, że *entuzjazmu* nie biorę tu za jedno z *zapalem*, który może być nieraz wynikiem osobistego temperamentu, chwilowego uniesienia, albo nawet prostej przekory; podczas gdy entuzjazm prawdziwy, może tylko i wynika jedynie z miłości—z miłości samej tylko rzeczy lub idei, bez udziału i bez względu na własną. Bo jużciż słyszałem nie sto razy najuporczywsze dysputy, prowadzone z *zapalem*: np. o klasyczności i romantyczności; o Mickiewiczu lub Malczewskim; o tłumaczeniach *Andromaki* Rasyna przez Morawskiego i przez Dmochowskiego; ale były to zawsze spory polemiczne, w których koteryjna stronność lub niechęć, i tryumf nad przeciwnikiem, więcej miały znaczenia i wpływu, niżeli sam przedmiot dysputy. Słyszałem także nieraz i pochwały: ale te były zawsze jak z trójnoga albo z katedry—dogmatyczne, lub protekcyjne. Właściwego entuzjazmu serca nie spotkałem nigdy i w ni-

kim. Był to widać ów *sezam* zaklęty, czy ów nieporuszony kapitał, który każdy zachowuje tylko dla siebie. *Notabene secundo*, że to się nie stosuje bynajmniej do płci pięknej, dla której ja ze wszech względów mam właśnie ów *entuzjizm serca*; a zaś z mężczyzn, starych i młodych, wyjmuję tylko jednego—Zygmunta Krasińskiego, który mi owszem pod tym względem, ze wszystkich moich przyjaciół i znajomych, przypomina może najwięcej Ludwika Spitznagla. Ale tuż obok niego, najbliższy jego przyjaciel i towarzysz, ze wszech miar miły, zacny i kochany młodzieńczyk, Konstanty Gaszyński—to już gałąź innego szczepu; to już owoc warszawskich inspektów; wychowaniec tej samej szkoły, przeciw której formom powstaje, ale której duchowi sam, bezwiednie może nawet, hołduje. Nie bywał on jeszcze, równie jak i sam Zygmunt, na czwartkowych obiadach u Jenerała; atmosfera ich wszakże wpływała nań niewiedomie, i więcej, niż poezye czytane wspólnie i przyjacielskie towarzystwo z Zygmuntem. Zygmunt, równie jak Ludwik, pierwój dałby swą rękę spalić jak Scevola, niżliby miał jej użyć na pisanie szyderczych konceptów z Jaxy, lub z inną jakiejś skazaną na pośmiewisko ofiary; chociaż znowu z całą dobroduszością gotów byłby śmiać się z dowcipu, skoroby go gdziekolwiek rzeczywiście obaczył, choćby nawet ten dowcip wymierzony był przeciw niemu samemu. I dziwna to rzecz w istocie, jak właśnie w głównym ognisku literackiego świata warszawskiego, mógł wzejść i rozwijać się talent, nie tylko nic z nim nie

mający wspólnego, ale owszem wręcz jego kierunkowi przeciwny. To też przy pierwszym zaraz wstępie na świat, ufny, serdeczny, kochający Zygmunt, stał się szorstko z czysto-miejscowym elementem, i zrażony usunął się przed nim. Obecnie bawi w Genewie, gdzie się z nim spodziewam obaczyć. Ale bardzo jestem ciekawy, jak się też Julek uładzi i zażyje w Warszawie? Z Brodzińskim i Witwickim, z którymi go zapoznałem, widzę już że się nie zbliży: bo serca ich od początku nie zjednał, a zasługiwać się pewno nie będzie. Ursyn go przyjął uprzejmie, na rekomendacyą Śniadeckich, ale to go dlań nie ujęło—może nawet z racyi jego sławy, która jest głośniejszą od innych. A wręście my względem Ursyna, to jak wnuczeta z dziaduniem. Pocałujesz go w rękę—on cię ścisnie za głowę i pocałuje w czoło, jak mnie przed wyjazdem—ale na tém i koniec stosunku. Z klasykami starymi, myślę nawet że się Julek nie pozna; ale jak się zetknie z młodszymi, będzie to bodaj reprezentacya przysłowia w akcji: *Trafiła kosa na kamień*. Po Adamie, ze wszystkich młodszych synków Apollina, (a znam ich wszystkich jak złamane szelagi), trzech tylko obiecywało istotnie stać się kiedyś za czasem godnymi jego braćmi: Ludwik, Julek i Zygmunt Krasiński. Dziś dwaj tylko ostatni zostali, a między nimi rychtyk ten sam kontrast, jaki był między Julkiem a Ludwikiem. Ciekawa rzecz myśleć czasem o tém, co z kogo być może w przyszłości; bo co będzie istotnie, to Bogu tylko wiadomo. O Ludwiku jednakże łatwo było do prze-

widzenia, że albo z niego wyjdzie jakiś wielki człowiek, albo że musi skończyć awanturą. Sprawdziło się, niestety, ostatnie. Zbyt w nim było powietrza i ognia, a zbyt mało ziemi i wody, aby miał na czém się oprzeć, i czém przygasić pożar, co go strawił. Ale serce i dusza były w nim bez skazy. *Terra sibi ei levis* ¹⁾.

¹⁾ Do najbardziej fenomenalnych, że nie powiem genialnych ludzi, pod względem zdolności umysłowych; ale też i do najexcentryczniejszych, pod względem rozbijania wyobraźni, przy dziecinnej prostocie i naiwności serca: — może się bez przesady policzyć wspomniany tu Ludwik Spitznagel, towarzysz mój i przyjaciel od dzieciństwa, o którym przeto, na potwierdzenie tego założenia, czuję się w obowiązku powiedzieć tu słów kilka, a raczej przytoczyć kilka faktów, które lepiej niż wszelkie słowa pozwolą powziąć o nim istotne wyobrażenie.

Do piętnastego roku życia, to jest do czasu wejścia do uniwersytetu w r. 1821, czytał on już był: *Iliadę* i *Odysseę*, po grecku, *Eneidę*, po łacinie, *Jerozolimę Wyzwoloną*, po włosku, *Raj Utracony*, po angielsku, nie mówiąc już o niemieckiej *Messyadzie* Klopsztoka i *Henryadzie* francuskiej. Czytał bowiem wyłącznie same epopeje: a czytał nie tak dla tego, aby sam kiedyś epopeję napisał, jak raczej aby się przez nie na bohatera jakiejś epopei wykształcił; a to znów nie dla tego, żeby sam tylko słynął u świata, ale żeby dla świata coś wielkiego dokonał. I w tém to było źródło i cecha wszystkich jego excentryczności. Naukę zaś wspomnianych wyżej języków, zawdzięczał jedynie ojcu, (profesorowi medycyny w uniwersytecie wileńskim), który sam biegły ich znawca, i widząc nadzwyczajną do nich zdolność syna, od pierwszych lat jego dzieciństwa, codzień z nim po kilka godzin na tę naukę poświęcał.

Ale muszę ci jeszcze dodać tu jeden faksik, który tkwił mi zawsze w pamięci, ale który mi Adam dzisiaj dopiero wyjaśnił; i to na potwierdzenie ogólnych

Prócz tego młody Ludwik, z własnej ochoty, nauczył się jeszcze od ojca, o ile ten sam umiał, po węgiersku; z gramatyki i dykcyonarza, nieco po hiszpańsku, a od sług domowych po litewsku. Chciał też koniecznie jeszcze nauczyć się po portugalsku, dla czytania w oryginale *Luizyady* Kamoensa, której przedmiot i bohater, Vasco de Gama, był zwłaszcza, obok z Kolumbem, bohaterem i ideałem jego wyobraźni: tylko że w całym Wilnie naówczas ani gramatyki, ani dykcyonarza portugalskiego nie było. Obok zaś tej znajomości tylu języków, przejął on jeszcze od ojca gruntowną znajomość botaniki, i innych nauk przyrodzonych, w których niemniej miał zamiłowanie, jak i w historii spraw ludzkich. Szkoły skończył ze stopniem celującego ze wszystkich przedmiotów, (prócz z matematyki), a w pierwszym roku chodzenia na uniwersytet, za konkursową do złotego medalu rozprawę po łacinie, otrzymał najpierwsze *accessit*. W tymże czasie, w przeciągu jednego roku, napisał bohaterskie poemat w XII pieśniach, w oktawach: p. t. „*Oswobodzenie Wiednia*“, w którym professor literatury Borowski, znakomity i surowy krytyk, upatrywał wiele pierwszorzędných zalet i piękności, ale które sam autor po roku, w przystępie niezadowolenia, w piec wrzucił.

Z tego wszystkiego możnaby wnioskować, że pilna, nieustanna i cierpliwa praca pochłaniała wyłącznie całe jego życie. Tymczasem było całkiem przeciwnie. Nauka przychodziła mu prawie bez pracy, i jakby rzecz można, *naviasem*; oddawał się jej też tylko chwilowo, prawda, że wtedy z gorączkowym zapałem. Intuicyjna bystrość pojmowania, i niesłychana, fenomenalna pamięć, zastępowały mu miejsce pilności. Głównym, ciągłym, istotnym przedmiotem pracy jego i myśli, było gotowanie się do jakiegoś przyszłego bohaterstwa. Ku

uwag moich o uczuciowym nastroju naszych nadwilańskich kolegów. Nie pamiętam, czy się zdarzyło mówić ci kiedy o tém, a jeśli i mówiłem, to nie wiem

temu zmierzały nauki, ku temu wszystkie moralne i fizyczne ćwiczenia, które ciągle sam sobie zadawał. O dobrowolnym głodzie i bezsenności przepędzał nieraz całe dni i noce. W największe mrozy i skwary, w ulewne burze i pioruny, kiedy wszyscy kryli się w domach, on jeden wykradał się z domu dla nabrania w ten sposób hartu duszy i ciała. Nie przestając na próbach własnych, upoważniał i prosił przyjaciół, ażeby wymyślali dlań trudy i męczarnie, dla doświadczenia w nich siły i wytrwałości jego. I przyjaciele, niestety, byli tak niemądrzy, że przez żart zadawali mu istotne katusze. Mając płeć delikatną i białą, niezgodną w myśli jego z ideałem bohatera, wśród największych skwarów w południe, kładł się nawznak na płaskim dachu lodowni w domu ojca, i mając obok konew wody, polewał nią i suszył w kolój na słońcu twarz swoją, ażeby mogła przez to zgrubieć i ogorzeć. W ciągu zaś tych operacji, z zamrużonemi oczyma, układał w myśli na pamięć ową swoją konkursową rozprawę lub poemat, których obojga część znaczną tym sposobem napisał.

Wschód, jako kraj cudów natury, niebezpieczeństw podróży i geograficznych tajemnic, nęcił szczególnie wyobraźnię jego. Tam on chciał szukać i spodziewał się znaleźć pole do ziszczenia poetycznych swych marzeń. W tej myśli, po skończeniu nauk w uniwersytecie, udał się do Petersburga, do Instytutu Wschodnich Języków, gdzie podczas trzyletniego pobytu, oprócz obowiązkowej nauki języków: tureckiego, perskiego i arabskiego, nauczył się z własnej ochoty po hebrajsku i po chaldejsku. Ale i tam jak w Wilnie, codzienny tryb jego życia nie przestał być również excentrycznym; a pozbawiony rodzicielskiej opieki z jednej, a pobłażliwości przyjaciół z drugiej strony: nieraz w zetknięciu z życiem rzeczywistym wy-

czy ty pamiętasz. Otóż w początku roku 1822, przed twoim jeszcze przyjazdem ze szkół, przyjechał był do Wilna, z pięciem Kuratorem, pan Karol z Ka-

stawiał go na gorzkie zawody, które przy jego wrażliwej naturze, rozgorączkowanej wyobraźni i braku praktyczności światowej, zaczęły się, niestety, przeradzać w niesmak i odrazę do życia. Jak on zwykle mało je cenił, a raczej jak je płocho na niebezpieczeństwo narażał, za dowód niech posłuży fakt jeden z pomiędzy wielu, który sam przez się może już dać miarę jego lekkomyślniej odwagi. Podczas pamiętnej powodzi w Petersburgu w r. 1824, w kilka miesięcy po jego tam przybyciu, kiedy się wszyscy zamykali w domach, on właśnie wyszedł na miasto, aby się skutkom tej klęski przypatrzeć i wrażeń jej doznawać na sobie. Zaskoczony zalewem na jedną z pomniejszych ulic, biegiem swym w pływaniu i w gimnastyce winien był tylko ocalenie swoje. Pasując się bowiem z unoszącą go falą, chwycił się ręką za żelazną kratę krużganku pierwszego piętra, i wdrapawszy się po niej na sam ganek, wszedł ztamtąd do wnętrza domu, gdzie zdumieni i przerażeni mieszkańcy z największą go uprzejmością przyjęli. Ale się gorzej rzecz miała z doświadczeniem na sobie skutków trucizny, do której chciał przywyknąć na wzór Mitydata. Przebrał dozę i poczuł niebezpieczeństwo. W tej chwili przypomniawszy z żalem rodziców, przypomniał też szczęściem antidotum, o którym słyszał od ojca, i zażywszy go jeszcze w porę, uratował się wprawdzie od śmierci, ale długim cierpieniem nieroztropność swoją przypłacił. To wszakże uleczyło go wtedy z manii samobójstwa, i mówiąc mi później o tém, złożył najuroczystszą przysięgę, że się już nigdy odtąd na swe życie nie targnie. Zapomniał o niej, niestety, pod wpływem chwilowego wrażenia, czy raczej gorączkowego obłądu, który go niespodzianie ogarnął. Stał się był właśnie u celu swych życzeń. Mianowany drogomanem przy misyji

linówki ¹⁾; tłumacz „*Pani Jeziora*” Waltera-Skotta, która się właśnie drukowała w Warszawie, i o której nam cuda głoszone. Był to pierwszy literat i poeta warszawski, który się zjawił na horyzoncie naszym; wszyscy więc byliśmy niezmiernie ciekawi go widzieć. Adam poznał go będąc u xięcia, i zapowiedział mnie i Olesiovi ²⁾, że nas zaprowadzi do niego. Tymczasem kilka dni upłynęło, a Adam, choć sam go odwiedzał, nie już nam o tej wspólnej wizycie nie wspomniął.

w Egipcie, udawał się już tam z radością. W chwili wyjazdu z Wilna, (1827 r.) pisał do mnie list do Warszawy, zapowiadając dzień swego przybycia, i zaklinając na wszystko, abym go przeprowadził do Krakowa. Tymczasem w parę dni potem, wstąpiwszy na dzień jeden po drodze do domu przyjaciela rodziców, tamże — bez żadnych słusznych ku temu powodów i bez czyjékolwiek w tém winy — wystrzalem z pistoletu życie sobie odebrał.

Dla uzupełnienia tego rysu, należy tu dodać jeszcze słówko o jego charakterze moralnym. Do wrodzonej czułości i łagodności serca, łączył on rzeczywiście heroiczne przymioty: entuzjazm, ufność, szczerość, odwagę, hojność i poświęcenie: — na nieszczęście, wszystko bez granic. Wszystko to bez podstawy w życiu wewnętrzném, a bez roztropności w praktyczném, czyniło go wciąż tylko: albo igraszką wyobraźni własnej, lub ofiarą cudzej rachuby; co znowu, na przemian, z chwilowych uniesień, wtrącało go w zwątpienie i rozpacz. Los Ikara, to obraz jego. Wzlatował nazbyt wysoko, i utonął w przepaści.

(P. 4.)

¹⁾ Jan Karol Sienkiewicz, znany poeta, bibliograf i badacz historyczny, zm. w r. 1860 w Paryżu.

²⁾ Alexander Chodźko.

Raz idziemy z nim oba środkiem Zamkowej ulicy, aż jakiś nieznajomy jegomość, idący trotoarem naprzeciw, schodzi z niego i wyraźnie zachodzi nam drogę. Adam spuścił w dół oczy, i tylko półgłosem i prędko rzekł do nas: „Ruszajcie sobie naprzód, i nie oglądajcie się!” — Poszliśmy, aleśmy się obejrzeni — jak Orfeusz — uszedłszy kilkadziesiąt kroków. Adam stał w miejscu i rozmawiał z tym panem. A był to właśnie Karol z Kalinówki. Dowiedzieliśmy się o tém później; — ale Adam dzisiaj dopiero dopowiedział mi resztę zagadki. Za drugą swoją bytnością u niego, mówił mu rzeczywiście o nas obudwóch, jako o swoich młodszych przyjaciółach; ale on, *du haut de sa grandeur*, przyjął to tak zimno i obojętnie, że choć się widać spostrzegł, i sam już potem dopominał się o to: Adam się zaciął i postawił na swoim, aby nas już z nim nie zapoznać. Nie mówił zaś nam wtedy o tém dla tego, żeby nas, jak powiada, nie zrażać, i w sercach może naszych nie zaszczeplać niechęci. A jednak ten sam pan Karol z Kalinówki, pamiętasz jak był grzecznym i uprzejmym dla mnie i dla ciebie, za bytności naszej w Puławach! (1828). Ależ bo wszyscy oni, to w gruncie dobrzy i nawet serdeczni ludzie, (oprócz chyba jednego z trzech koryfeuszów klasycyzmu), tylko że w nich za literatem trudno jest dobrać się do człowieka. Cobądź który napisał i wydrukował, to tak sam wciąż o tém pamięta, jakby chodził na codzień w todze i w wieńcu laurowym, jak Cezar; — chociaż sam Cezar kiedyś, jak wiadomo, niedostatek tylko swój głowy, to jest łysinę, w ten sposób pokrywał.

Jutro już o tej porze spodziewamy się być w stolicy dwóch prawdziwych laureatów włoskich: Ariosta i Tassa— w Ferrarze. I z tej to właśnie myśli i nadziei wysnuła się owa rozmowa o poetach naszych, którą ci tu w treści podaję. A że się i ćwiartka skończyła—jutro więc zacznę list nowy, chociaż i ten i tamten nie inaczej jak razem, i to dopiero z Bolonii wypiszę. Teraz już blisko północ. Adam śpi od godziny, a i mnie litery w oczach pęcnieją jak senno muchy. Dobranoc!

XLII.

Do tegoż.

*Santa Maria-Maddalena, 21 Października 1829 r.
godzina 11 w nocy.*

Czy zły dzień, czy zła droga, czy złe konie, czy wszystkie te *zła* razem—dość, że nie dociągnęliśmy na noc do Ferrary, choć wyjechaliśmy z Padwy o czwartej rano, a zatrzymywaliśmy się w *Rovigo* nie dłużej nad zwykły czas popasu. Miejscem naszego noclegu jest wieś, czy też miasteczko, o kilkunastu domkach murowanych, (drewnianych tu nigdzie nie widać), nad samą granicą Państwa Kościelnego, którą stanowi rzeka Po, płynąca tuż pod oknami naszej oberży:

Tak, że siedząc przy oknie, w ciszy nocnej słyszę
Ciągły szmer i plusk fali, jak szum wodospadu,
A blask mosiężnej lampy, przy której to piszę,
Odbija się przez szyby w *bystrych nurtach* Padu.

Bo już ciż musisz wiedzieć zapewne, że *Po* po polsku nazywa się *Pad*, z łacińskiego *Padus*, od czego może i nazwa sąsiadki Padwy pochodzi. Po Tybrze jest to najpoetyczniejsza rzeka we Włoszech: to jest, tak często wspominana w wierszach, jak np. *Mincio*, *Oglio*, *Tagliamento*, i t. d. w biuletynach wojen włoskich Bonapartego. A w iluż to ona szaradach figuruje na *pięrowszém* miejscu! i oto masz tu jedną dzisiejszej kompozycji mojej:

Pierwsze jest wstęgą ziemi; z dwóch *drugich* drzew szata.
Wszystko gnie się ku ziemi, a ku Niebu wzłata.
 W grzech przeciwny *wszystkiemu*, ufam, że nie wpadniesz,
 Choć znaczenie *wszystkiego* od razu odgadniesz.

Bo nie potrzeba na to mędrszej głowy, jak na owe
 sławne zagadki:

Siedzi przy drodze
 Na jednéj nodze—grzyb.

Albo:

Cała jak ufryzowana,
 A ma za męża—barana.

Choć pono ktoś kiedyś odgadł, że to: *pani Janowa*.

Ale wracając do *Padu*: — jest to szeroka i wspa-
 niała rzeka. Jechaliśmy wciąż nad jej brzegiem z Ro-
 vigo; a przed Rovigo przejechaliśmy rzekę *Adygę*;
 a przed rzeką *Adygą*, jechaliśmy z *Padwy* wzdłuż ka-
 nałów: *Battaglia* i *Monselice*, prowadzonych od rzeki
Bacchiglione, a biorących swoje nazwiska od dwóch
 miasteczek, do których przytykają. W ostatniem z nich
 jest piękny zamek i piękne góry; w pierwszym zaś
 sławne w tej okolicy źródła wód mineralnych. Brzegi
 Po i *Adygi*, porosłe tu i ówdzie małym laskiem, biele-
 ją porozrzucanemi domkami. Zresztą kraj nic szcze-
 gólnego — to jest, ma się rozumieć, na kraj *pięknej*
Italii, o którym Byron mówi w *Childe Haroldzie*:

Even in thy desert, what is like to thee?
Thy very weeds are beautiful; thy waste
More riche, than other climes fertility!...

(Pustkom twym nawet, jaki kraj gdzie zrówna?
 Same twe chwasty piękne; twe odłogi
 Bogatsze stokroć, niż ziem innych plenność).

A cóż dopiero mówić o poetyczności?... Jesteśmy
 tu jak w *centrum* tego rodzaju pamiątek. Za nami
Padwa — przed nami *Ferrara* i *Ravenna* — w bok
 nas *Arqua*, i t. d. — a wszystko to miejsca, gdzie się
 uczyli, żyli, śpiewali, wzdychali, kochali się, tułali się,
 siedzieli w kozie, lub na dewocyi — aż nareście pou-
 mierali, i nie mając za co być pochowani, leżą dziś
 pod mauzoleami — cztérej *olbrzymi włoskiego Par-
 nasu, tak od wieków słynni po świecie, jak w strate-
 gice dzisiaj czworobok fortéc Lombardzkich. Doby-
 łem więc z tłómoka *Childe-Harolda* Byrona, aby oba-
 czyć, a raczej przypomnieć, co o nich tegoczesny wiel-
 kolud powiada. A że Adam leżąc z fajką na łóżku,
 lenił się wstać i czytać własnemi oczyma, a angiel-
 szczyzny mojej nikty nie zrozumiał: więc mu czyta-
 łem głośno z angielskiego po polsku — ma się rozu-
 mieć, nie wierszem, to jest nie rymami: bo się owszem
 sadziłem na to, aby wiersz w wiersz oddać rytmicznie.
 Możesz to sam sobie przeczytać od XXX do XLII
 strofy, *Canto IV*:

Milord nie dziw że się dąsa,
 Wali góry na Alfonsa,
 Bo Torquata broniąc wrzкомо,
Orat et pro sua domo,
 Radby wnieść w kodex na świecie,
 Że wszystko wolno poecie,
 Jak stare przysłowie *dicit*:
Poetis omnia licet!

Ci nawet, o których tu mowa, nie pozwalali sobie
 tak wielkich *licencyi*; tylko że i ich wszystkie kłopoty

i biedy wynikały najczęściej z tego samego źródła: z wiecznego naśladownictwa bożka swego Feba, wniefortunnéj pogoni za Dafną. Wprawdzie i dla nich niedościgłe kochanki przemieniały się koniec końców w *laury*, ale które i oni sami, jak powiada Byron, musieli dobrze polać „melodyjnemi łzami” (*melodious tears*); doścignione zaś i wprowadzone na kobierzec, gorszej jeszcze ulegały metamorfozie, przeobrażając się — jak np. Gemma dla Danta — w symbol, nie już chwały, ale krytyki, co ich też gryzła i kłóła cierniami — tak, iż aby je przykryć i przytępić, musieli znów gonić — po laury.... Widać jednak, że te forsowne łowy (*steeple chase*) potrzebne są dla wprawy pegazów. Bo czemuż dotąd żadna Amazonka nie wgalopowała na Parnas? — kiedy niejedna przecież na równinie próbowała dosiadać czworonogiego skrzydlacza; lecz pojeździwszy jakby dla zabawki, wracała znów do domu, wzdychać zcicha, lub śpiewać tylko: *luli, luli!* — A więc czemu to tak? zagadłem Adama. Że zaś mi odpowiedzieć nie umiał, czy nie raczył: sam sobie rozwiązałem zagadkę, i mam zdaje się prawo wykrzyknąć: *Eureka!* Bo oto jest moja teoria:

Płeć piękna nie dla tego nie wydaje dotąd poetek, żeby w niej wieszczęj siły nie było: ale tylko, że niema dla kogo skupiać i expensować téj siły. Bo naprzód: rodzaj ludzki w ogólności, zamiast chcieć jęj tylko *śluchać, słuchać, słuchać*, woli sam na nią choćby tylko *patrzeć, patrzeć, patrzeć* — i nigdy się dowoli *napatrzyć* nie może. A powtóre: po cóżby Piękność miała psuć ząbki gryząc pióro, lub kalać atramentem paluszki,

kiedy jedno spójrzanie i uśmiech mogą jęj nadać od razu: i cały urok poezji dla drugich, i cały urok chwały dla nięj samęj. Ciekawy nawet bardzo jestem, w jakiej postaci chwała literacka mogłaby nęcić płeć piękną? Najpoważniejszy krytyk, w birecie, z umbrellką i w okularach na nosie, z tabakierką i ołówkiem w ręku, chwalcący *ex cathedra* jęj dzieła, wątpię, czyby już przez to tylko na ideał jęj wyobraźni wystarczył? Tandetny zaś gazeciarski recenzent, piszący i przedający zdania swoje na łokcie i cale, mógłby prędzej chyba obruszyć delikatną szlachetność jęj serca. Z młodymi poetami rzecz się ma całkiem inaczej. Dla nich sława — to napowietrzna, tęczowa *Fata-Morgana*, pełna zwłaszcza aniołkowych twarzyczek, w balowych, spacerowych, a choćby i w codziennych sukienkach, które na nich patrzą ciekawie, uśmiechają się ku nim łaskawie, i nie uciekają tak bardzo w obawie, jak owa złowrogięj pamięci Dafne, która się snąć na poezji nie znała. Ale z kogoż dla młodych poetek podobny chór dałby się złożyć, żeby w tém istotnego bałwanochwalstwa nie było? Jedyna dotąd sławna na świat cały poetka *Safo*, jest już sama najlepszym dowodem, jak chwała z wierszy *własnych* nie warta jest starań płci pięknej. A przeciwnie, chwała z *natchnionych*, jakąż ją aureolą otacza! *Safo* wierszami i sławą nie mogła utrzymać kochanka — i kto wie, czy go nawet tém nie odstraszyła. Wszystkie jęj wiersze zaginęły, a o nięj samęj to tylko wiadomo, że się utopiła z rozpaczy. A *Beatrice, Laura, Eleonora!* Czyż nie słyną na równi z kochankami swymi?

Czy o nich z wieków w wieki nie wiedzą i nie marzą ci nawet, co ich kochanków nigdy nie czytali? A i na mitologicznym Parnasie, czyż nie jedyną funkcją Muz było, dodawać weny i natchnienia Febowi? (A i to też symbol nie lada, że na jednego, było ich aż dziewięć!) Piękność pod każdym względem podobna jest słońcu. Słońce samo nie produkuje kwiatów, a tylko je w ziemi rozwija. Koniec końców—sens moralny tego wszystkiego jest: że piękność pożądana chwały poetyckiej, nie ma potrzeby pisać sama wierszy, a tylko niech się stara przypodobać poecie.—Adam parsknął ze śmiechu, i aż wstał z łóżka aby mię pogłodzić za ten ostatni wynik teorii mojej. Dodał wszakże, że mogą przyjść czasy, kiedy poeci zaczną pisać tylko dla złota; i że wtedy poetki, jak nowe Westalki, przyjdą i staną na straży świętego ognia, ażeby go dla lepszej przyszłości przechować.—Na dzisiaj, *basta, e buona notte!*

22 Października, godzina 7 rano—Ponte Lagoscuro.

Otożemy i w Państwie Kościelném, pod kluczem Ś-go Piotra! Po, którąśmy przepłynęli na promie, wyglądała jak rzeka ognista, tak jaskrawo jesienny wschód słońca odbijał w jej szerokim zwierciadle. Słowa te piszę na komorze celnej, na biurku i piórem dyrektora—ma się rozumieć, za uprzejmém jego pozwoleniem. Obok mnie rewidują właśnie nasz tlómk; ale że w nim kontrabandy nie mamy, więc zamiast akkomodować się strażnikom, wołałem tobie

powiedzieć: *Buon giorno!* Za godzinę mamy być w Ferrarze.

Ferrara, godzina 9 1/2.

Jesteśmy już — ale gdzie? W biurze policyi; i dla tego piszę ołówkiem. Wjazd do królestwa Piotrowego na ziemi, zdaje się przypominać trudności w dostaniu się do Niebieskiego. Więcej godziny przetrzymano nas na komorze granicznej. Tu mamy ledwo bawić parę godzin, a już od pół godziny czekamy w policyi na wizę paszportów, za co z góry kazano zapłacić po 3 *paole* (nasze złote) od sztuki.—Ha! przecież wołają na mnie!—Adieu!

22 Października, godzina 3 po południu—Altedo.

Ferrara przed nami, i my skróś Ferrary,

Przesunęliśmy się, jako sennie mary;

I tyle z niej tylko zostaje wspomnienia,

Co w chwili ocknienia, z sennego widzenia.

A i samo wrażenie tego widzenia podobne jest do tęsknoty we śnie. Ulice proste, długie, szerokie; place wielkie, wspaniałe; ale to wszystko puste, głuche, martwe. Miasto liczące niegdyś sto tysięcy mieszkańców, ma ich dziś ledwo część czwartą. Trawa zieleni się na bruku. Ściany domów jak wypłowiałe makaty. Na wszystkiém jakby jakieś opuszczenie starości. Sto kościołów, najeżonych wieżami, nadaje temu wpół-martwemu miastu jeszcze bardziej cmentarny pozór, przypominając w sobie cmentarne pomniki;

a wśród nich snujący się ludzie, chodzą też zda się takim krokiem i z taką miną, jakby po mogiłach stąpali. Byron ma rację, mówiąc:

„There seems as t'were a curse upon the seats
Of former sovereigns, and the antique brood
Of Este.”

(Przekleństwo zda się ciążyć nad siedliskiem
Dawnych jój panów, z prastarój krwi Estów);

których „chwałą i hańbą,” jak powiada dalej, była opieka i prześladowanie poetów, którzy choć sami wprowadzić tej opieki szukali, warunkom jój jednakże poddać się nie chcieli—a może nawet nie mogli.

Ach! bo dziwna też to historia z tymi poetami! O nikim, tak jak o nich, sąd potomnych nie różni się z sądem współczesnych;—a znów w niczym, jak w tej różnicy sądów, nie występuje tak na jaw odwieczna sprzeczność między duchowym a światowym pierwiastkiem. Poeci, obdarzeni przeważnie pierwszym, pojmują bardzo sprawiedliwie wyższość jego nad drugim, ale bardzo niesprawiedliwie zapominają o tém, że póki duch siedzi w ciele, skrzydeł jego nie widać, a po ziemi musi stąpać nogami. Tymczasem ujeżdżacze Pegaza, nawykli do bujania w myśli, chcą często i po świecie chodzić po nad ziemią, i dla tego wspinają się na *kruki*. Ale także to i chodzenie! Zwracają wprawdzie oczy, ale obudzają śmiech tylko. Są to poliszynely, albo hipokryci poezyi—bo chcą ją wyzyskiwać dla siebie. Wyrok o nich współczesnych, zwykle konfirmuje potomność. Ale

mówmy o prawdziwych poetach! Tym nie chodzi o pozór, ale o istotę; nie o siebie, ale o poezję. Są to jój kapłani i wyznawcy. Ale i ci mają swego fijołka. Zdają się wierzyć na dobre słowom jednego z pomiędzy siebie, który mówi:

*Der Sänger soll mit dem König gehen,
Sie beide stehen auf der Menschheit Höhen.*
(Śpiewak się z królem równać może śmieie,
Obadwaj stoją na ludzkości czele).

I w tej wierze np. jakiś *Torquato Tasso* myśli, że może śmiało zakochać się w więźniczce. Jakiś *Jean Racine*, że może nieproszony dawać rady królowi. Jakiś *Alighieri Dante*, że może swoim republikańskim współziomkom prawić gorzkie prawdy jak Mentor, i t. p. Wiadomo, jak wszyscy trzej wyszli na tém; jak to *za panie bracie* zniósł xiażę Alfons d'Este, król Łudwik XIV i Rzeczpospolita Florencka. Ale to wszystko dzieje się dopóty, póki poeta chodzi w skórze ludzkiej—której często, niestety, nie ma czém przyodziać. Przeciwnie, gdy śmierć na ziemi wszystkich poukłada do równi, a przyszłe pokolenia sądzą o nich tylko po duchu: a duch tylko po śladach, jakie w świecie po sobie zostawił; cóż za dziw, że na tym sądzie poeci bują najwyżej—choćby tylko jak mgła nad ziemią, albo ogień nad bagnem?

A i jeszcze to samo na inszy *manier*:

Poezya jest nic innego, jak szczyt uczucia i rozumu ludzkiego, który oboje w górze zbliża i łączy między sobą w jedność. Jest więc jakby wiązaniem

dachu nad społecznym gmachem ludzkości w epoce danej. Dla uczujących w salach tego gmachu, albo dla pracujących w jego suterrenach, poeci, gnieźdzący się jak zwykle na poddaszu, są tylko jak jaskółki lub wróble, które im świergocą nad głową; a kiedy się z nich który aż na dach wydrapie, to jeśli go nie zapędzą do komina, patrzą przynajmniej na niego jak na lunatyka, który spokojnym ludziom spać nie daje. Tymczasem dla patrzących zdaleka—to jest dla przyszłych pokoleń—postacie te na dachu zamieniają się w posągi, górujące nad całym tym gmachem, i którym gmach ten cały zdaje się tylko służyć za piedestał.

I tak np. za życia Ariosta — co to była za łaska księcia Kardynała d'Este, kiedy po smacznym obiedzie, siadłszy sobie w wygodnym, purpurowym krześle, raczył pozwolić dworzaninowi swemu, aby go bawił czytaniem wyjątków ze swego *Orlanda*, i gdy zanosząc się od śmiechu, dziwić się także raczył dobrotliwie: „z kąd tyle głupstw autorowi przychodzi do głowy?”—A co to być musiało za oburzenie dworaków, co za zgroza w całej Ferrarze, kiedy się dowiedziano np. o Tassie, że się śmiał zakochać w księżniczce i pisać do niej miłosne sonety? Jak to musiano uwielbiać niesłychaną łaskawość księcia Alfonsa II-go, który go *tylko* kazał zamknąć do *czubków*!

A oto w kilkadziesiąt dziesiątków lat potem — co dziś jest chwałą i duszą Ferrary? Co w Ferrarze celem pielgrzymki i ciekawości podróźnych, którzy tu dążą ze wszystkich stron świata? Czy pamięć tych moż-

nych potentatów, czy pamięć tych biednych poetów? Czy wspaniały gmach pałacu d'Estów, czy domek i grób Ariosta—a najbardziej, więzienie Tassa?

My jednak zaczęliśmy od pałacu, bo tak nas poprowadził wzięty *Cicerone*. Ale i w tym pałacu, obszernym i ogromnym, jak forteca w środku miasta—otoczonym wałami, basztami, fossami, mającym aż ośm dziedzińców—a przytém, jak całe miasto, opuszczonym, ponurym i pustym; otoż i w tym pałacu, za najgodniejszy ciekawości przedmiot, przewodnik nasz wskazał nam okna wieżyczki, gdzie miało być mieszkanie księżniczki Eleonory, i chciał nas zaprowadzić do podziemnego lochu, gdzie w roku 1425, panujący naówczas margrabia Mikołaj III, kazał ściąć razem, w obecności swojej, żonę swoją, *Parisinę Malatesta*, i syna *Hugona*, których pamięć i miłość Lord Byron w poemacie swoim uwiecznił. I byłbym bardzo ciekawy wiedzieć, czy to nie od daty tego poematu loch ten wszedł w poczet ciekawości Ferrarskich? *Cicerone* mi tego objaśnić nie umiał; a że Adam nie miał ochoty oglądać samego lochu, poszliśmy więc wprost ztamtąd do blizkiej katedry, która choć z wierzchu, a mianowicie z frontu, wydaje się bardzo wspaniałą, wewnątrz jednak, oprócz obszaru i sędziwości swojej, niczém się szczególniej nie odznacza. Na obrazy nie spojrzeliśmy nawet, oszczędzając i czas i oczy, a śpiesząc do poetycznych pamiątek.

Pierwszą z nich był plac, najobszerniejszy w mieście, noszący nazwę „*Placu Ariosta*”; dalej dom jego,

w którym mieszkał i umarł, z napisem wyrytym nad wejściem, a przez samego poetę ułożonym:

„Parva sed apta mihi, sed nulli obnoxia, sed non
Sordida, parta meo sed tamen aere domus.”

(Mały, ale nie brudny, lecz dla mnie nie ciasny,
Lecz nie dłużny nikomu, lecz to dom mój własny).

Daléj grób, a raczéj ex-grób tegoż Ariosta, w kościele Benedyktynów, sławny uderzeniem weń kiedyś piorunu, który stopił brązowe laury na skroniach popiersia poety. Byron z tego powodu znajduje, że piorun bardzo dobrze zrobił, niszcząc to „fałszywe podobieństwo” (*false semblance*) laurów, które tylko kaziły skroń wieszczą. Bo—jak powiada daléj:

„Wieniec z prawdziwych laurów, który Chwała wije,
Jest z drzewa, w które nigdy żaden grom nie bije”.

Dla zaspokojenia zaś tych, którzyby chcieli upatrywać w tém jakąś karę Nieba, dodaje: że owszem

„Piorun z Nieba uświęca wszystko, w co uderza.”

a więc: „że skroń ta odtąd jest podwójnie świętą” (*yon head is doubly sacred now*).

Bodaj jednakże czy sam Ariosto, świadom może dumnych myśli swoich za życia, nie lękał się czegoś podobnego przy śmierci: kiedy wyraźnie przed skonaniem zalecił, ażeby go bez żadnej pogrzebowej parady, wprost z domu, i to w nocy, czterech dziadów do kościoła zaniósł, i aby tam, prócz nabożeństwa, żadnych innych wystaw nie było. Wolę tę umierającego speł-

niono ściśle naówczas. Ale jakby ów piorun przypomniał ziomkom poetę: po trzywiekowym spoczynku zwłok jego w kościele Benedyktynów, wydobyto je z tamtąd w r. 1801, za czasów krótko-trwałej Rzeczypospolitej Włoskiej, i przeniesiono z największą ostentacją i pompą—ale dokąd? Myślisz może, że do jakiegoś osobnego mauzoleum, albo przynajmniej na łono wspólnej matki-ziemi, to jest na jaki cmentarz publiczny? Gdzie tam! Przeniesiono je do biblioteki publicznej, i umieszczono tam w sarkofagu, w którym się dotąd znajdują, ozdobionym popiersiem z białego marmuru i napisem, którego nie miałem czasu przepisać. Nie umiem pojąć mądrości w pomysle tego rodzaju grobowca. Adam zaś mówi, że to prosty bezsens, dający się chyba wytłómaczyć z punktu widzenia republikańców ówczesnych, dla których biblioteka zdawała się być ważniejszą, niż kościół. A wreszcie kościół ten wtedy był zamknięty, i miał być całkiem skasowany, ale go potem znowu przywrócono. W każdym razie—przypomina to coś ową rękę Kanowy, w Akademii Sztuk Pięknych w Wenecyi, i również na profanacją zakrawa. A jak tam przy tej ręce dłoto mistrza: tak tutaj, przy tym sarkofagu, tracą swoje znaczenie pomniejsze pamiątki poety. Takiemi zaś są mianowicie: proste drewniane krzesło z poręczami, bez żadnego obicia i bez materaca, na którym siedząc pisał swego *Orlanda*, i niemniej prosty kałamarz brązowy, którego w tymże czasie używał; nakoniec własnoręczny rękopism tego poematu, kilka listów, i medal znaleziony na piersiach umar-

tego, podczas przenoszenia zwłok tutaj. Medal ten ma z jednej strony popiersie samegoż Ariosta, a z drugiej rękę ucinającą żądło wężowi. Musiała to być jakaś droga pamiątka, kiedy się z nią kazał pochować. Prostota sprzętów świadczy o skromnej mierności lub o prostocie w sposobie życia właściciela; pismo zaś, wcale od Adamowego nie lepsze, dowodzi:

Że można piórem malować,
Nie umiając niemi kierować.

Ale gdybyżem mógł istotnie odmalować, co nas w Ferrarze najbardziej zajęło: nie miałbym już potrzeby opowiadać ci o wrażeniu, które sam wtedy poczułbyś przez siebie. Mówię to o więzienną celi, czy raczej klatce, nieszczęsnego śpiewaka wyzwolenia Jerozolimy, który w niej całe lat siedem w szpitalu waryatów przesiedział, i dopiero na wstawienie się miasta Bergamo, jak świadczy napis, na wolność wypuszczony został. Szpital ten, noszący dziś nazwę Ś. Anny, leży przy jednej z głównych ulic, *Della Giovecca*, niedaleko xiążęcego pałacu; a celka ta tak jest okropna, że mimowolnie nasuwa myśl o zamurowywaniu żywcem we framudze. Ma zaledwo dziewięć małych kroków długości, a tylko pięć i pół szerokości; przytém nisko sklepiona, wilgotna i ciemna. Jedno jest tylko okno przy drzwiach, i to obwarowane kratą. Kiedyś podobno było jeszcze i drugie, wychodzące na ogród, miejsce którego dzisiaj zastępują nowsze mury szpitala. Jeśli tu Tasso nie zwaryował na prawdę, przypisać to chyba trzeba poezji albo miłości; czyli,

że waryacya sztuczna odpęda prawdziwą, jak np. walcyna oszę. Nie dziwię się już dzisiaj, że Byron w *Childe Haroldzie* tak zbeształ Alfonsa. Po oglądaniu tej celi, niktby pewnie nie wziął jego obrony, choćby się może całkiem z Byronem na apoteozę Tassa nie zgodził. Zowie on go nie tylko „*nieprześcignionym zwycięzcą w nowożytną pieśń*,” ale mówi: że cały potok pokoleń nie zdobędzie się na wydanie równego geniuszu:

— „jak choćby z tysiąca
Gwiazd promień zbiegł się w jedno — nie utworzy słońca.”

A przypomnijże znowu co mówi Boileau o tych, którzy preferują: „*le clinquant du Tasse à tout l'or de Virgile*,” i sądź sobie o sądach ludzkich. — Ale Byron musiał pisać wyraźnie pod wpływem widoku tej celi, w której kazał się zamknąć sam na godzin kilka, i przez ten czas, jak powiadają, ułożył plan i napisał początek „*Żołow Tassa*.” A musiał to chyba robić żłobiąc zarazem scyzorykiem czy rylcem jakimś w murze swoje nazwisko, które dziś każdy przewodnik nie zaniedbuje ukazywać gościom, a na którego wyrycie, sądząc z wielkości i głębokości liter, trzeba było najmniej godziny czasu. Byron czuł niewątpliwie, że przydaje „złoto do złota,” pamiątkę do pamiątek; — ale że niemniej pewnie wstydził się robić tego publicznie, kazał się więc zamknąć niby na medytacyą poetyczną, aby światu, którym tak głośno pominał, zostawić wszakże ślad swój bytności tutaj. Adam pomimo prośb moich i namów, nie chciał pójść

za tym przykładem, a więc i ja się wstydziłem; chociaż Bogiem a prawdą, miałbym wszelkie do tego prawo, jako gość; gdyż te tysiące imion, któremi całe ściany zabazgrane, żadnych innych ku temu, kwalifikacyi nie miały. Bardziej wszakże żałuję, że nie było dość czasu przekopować napisu na wmurowanej tablicy, gdyż i tak o pół godziny więcej przeciągnęliśmy dany nam przez weturyna urlop, który przecież nie gniewał się o to. Że zaś dotychczasowy mój sąsiad *Abbate*, został sobie szczęśliwie w Ferrarze, Adam wsiadł ze mną do kabrioletu, a treść rozmowy po drodze mniej więcej wypisałem ci wyżej.

Altedo—wieś czy miasteczko, w którym popasujemy, nie ma w sobie nic szczególnego, prócz chyba że oberża *pod Fenicem* tak jest ciasna, duszna i brudna, że woleliśmy obiadować raczej w sieni, niżli w tak zwaną salę, i że tam właśnie list ten piszę na oknie. Skończę go dzisiaj jeszcze w Bolonii, gdzie mamy niewątpliwie dociągnąć na nocleg. Tymczasem zaś w tej chwili ruszamy naprzód z Adamem piechotą, nim weturyn konie zaprzęże.—Dzień od rana prześliczny. Adieu!

Godzina 10. wieczorem, Bolonia.

Stanęliśmy tu już za ciemna i rozlokowaliśmy się na dni parę pod skrzydłami *Czarnego Orła (Aquila Nera)*. O mieście tyle tylko mogę dziś powiedzieć, że ulice, któreśmy przejechali, zdają się być szerokie i piękne, i mają po obu stronach sklepione krużganki, jak w Padwie. Kraj po drodze z Ferrary płaski,

ale bardzo uprawny. Idąc piechotą z *Altedo*, widzieliśmy pola ryżowe i śluzy, służące do zalewania ich wodą z kanału *Cavo Tassone*, prowadzonego od rzeki Po. Adam zalecił mi, abym nie zapomniał napisać, że jesteśmy już: *gdzie ryż rośnie*;—a ryż przecież ważniejszy od *pieprzu*! Bądź zdrów!

XLIII.

Do tegoż.

Bolonia, 1829. Października 25—w nocy.

Trzy dni całe jesteśmy w Bolonii, czy w Bononii, i jutro raniuteńko wyjeżdżamy dalej. Dla samego więc rzeczy porządku trzeba o niej coś także powiedzieć, choć ani z zewnątrz, ani z wewnątrz, ostrych bodźców ku temu nie czuję.

Jak niegdyś każdy wielki pan polski miał swoje osobne przysłowie, po którym go nazywano; jak historia do imion królów dołączać zwykła numera lub przymiotniki; tak każde większe miasto we Włoszech ma sobie dodany przydomek, który tak się odznacza trafnością, jak studenckie przezwiska po szkołach. Otoż na Bolonię przypadł wcale nieosobliwy tytuł: *la grassa*, (tłusta). A czy pierwszym jego początkiem była bujna plenność okolic; czy gatunek fabrykowanych w niej samój, a sławnych na całe Włochy przysmaków; czy nakoniec odznaczające się istotnie tym przymiotem twarze i tusze mieszkańców;—dość, że cała ogólna fizygnomia Bolonii odpowiada tak temu przydomkowi, jak Wenecya swojemu: *la bella*. I Bolonii wprawdzie na piękności nie zbywa; ale jest to jak piękna otyła kobieta, której rysom sprawiedliwość oddajesz, ale w niej sam uroku piękności nie czujesz. A przynajmniej, ja to o niej—to jest o Bo-

lonii—w osobie pierwszej liczby mnogiej—to jest za siebie i za Adama—powiadam.

Miasto wszakże jest wielkie i okazałe. Opasane dokoła murem z 12 bramami, przerzniete w części kanałem od rzeki *Reno*, ma 130 kościołów, wiele pysznych pałaców i gmachów publicznych, i 70 tysięcy mieszkańców. Uniwersytet tutejszy, najdawniejszy podobno w Europie, tak niegdyś słynął w wiekach średnich, że miasto wzięło sobie za dewizę, w herbie i na pieniądzach: „*Bononia docet*.”—Dziś jest to stolica Legacyi Rzymskich i prowincyi, noszącej imię twojej siostry, *Emilia*; o czém może z geografii nie wiesz, tak jak ja dotąd nie wiedziałem. Wszystkie głównejsze ulice, podobnie jak w Padwie, mają po obu lub po jednej stronie, kryte nakszaft korytarzów chodniki, któredy czy w deszcz czy w upał ponieważ chodzić wygodniej, cały więc środek ulic literalnie jest pusty, co im nadaje dziwnie smutny pozór. Gorzej jeszcze dzieje się z placem, ogromnym i przepysznym w samym środku miasta, (dawne Forum), ale który wygląda jak step, tak go każdy bokiem omija. Na środku tego placu jest sławna fontanna, z olbrzymim z brązu Neptunem na wierzchu, od którego i plac ten cały zowie się „placem Neptuna, albo Olbrzyma” (*Fiazza del gigante*).

Sam żywy Neptun, z trójzębem w prawicy,
Gdy pędząc rydwan po huczącej fali,
Uśmierzał wściekłość wód i nawałnicy,
Nie mógł wyglądać groźniej i wspanialej.

Za toż cztery Syreny u stóp jego, musiałyby chyba zacząć śpiewać, aby urok prawdziwych przypo-

mnieć. Twarze ich same nie zawrócą głowy; a i woda wytryskująca z ich piersi, nie wielki czyni zaszczyt estetycznemu gustowi artysty. Mimo to, wszystkie figury téj fontanny, (licząc w to i czterech Trytonów, ujeżdżających po rogach delfiny, buchające do góry potokami wody), należą tu, jak się patetycznie wyraził nasz *Cicerone*: „*ai più celebri monumenti della scultura*“ — t. j.: do najświetniejszych pomników rzeźbiarstwa, które tu świetnie niegdyś w wieku XVI kwitnęło, tworząc nawet osobną szkołę, pod przewodnictwem tak zwanego *Jana z Bolonii* (*Giovanni di Bologna*), który jest najświetniejszym z jég mistrzów i autorem tego Neptuna.

Ale najosobliwszą z zewnętrznych architektonicznych osobliwości Bolonii, są dwie wieże, prawie obok stojące; nie dla tego, iżby były *nadzwyczaj* wysokie lub piękne, ale tylko, że wbrew *zwyczajowi* są — krzywe; to jest tak w górze pochylone ku sobie, jakby się do upadku chyliły. Podług jednych, jest to umyślny *figiel mądrości* architektów; podług drugich, skutek ugięcia się podstaw, albo może trzęsienia ziemi. Nie szkodzi to jednak ich trwałości, bo stoją tak od siedmiu wieków, i Dante do jednej z nich, (niższej), porównywa Tytana Anteusza w piekle, kiedy na prośbę Wirgiliusza nachylał się właśnie ku niemu, ażeby go wraz z Dantem podnieść *na barana*. Obie mają osobne nazwiska od rodzin, które na ich budowę łożyły. Wyższa zowie się *Asinelli*, i ma 256 stóp wysokości; niższa *Garisenda*, liczy ich tylko 130. Adam, żeby sobie nie utrudzać pamięci, zowie je nie

inaczéj, jak *Bezende* i *Newazende*, od pary Pilpajowskich gołąbków u Krasickiego. Effekt wszakże tego skrzywienia, nie powiem żeby był piękny dla oka. I gdyby mię kto grając w *Sekretarza* zagadnął: jakie jest podobieństwo i różnica pomiędzy wieżą a panienką? — odpowiedziałbym bez wahania: że obie, aby być piękne, muszą być smukłe, lekkie, i *niekrzywe*; tylko że wieża powinna być *mocniejszą* od panienki, a panienka *przystępniejszą* od wieży; bo wieża buduje się dla *niezdobycia*, a panienka hodzi się dla *wzięcia*.

Ale dosyć już o tych murach zewnętrznych, któreśmy ogarniali okiem z wierzchołka *Asinelli*, a zkąd się widok aż do gór za-Werońskich i za-Padewskich rozciąga. Więcej jest tu do powiedzenia o skarbach, we wnętrzu tych murów zawartych, tylko że już sama ich mnogość od mówienia o nich odstrasza. Skarby te, jak we wszystkich innych miastach włoskich, tak i tutaj, składają się mianowicie z obrazów, rzeźb i pomników, rozrzuconych po kościołach, albo skupionych w galeryach. Z tych ostatnich najgłówniejsze są trzy: *Pinacoteca*, w Akademii Sztuk Pięknych; galerya w pałacu *Zambeccari*, i galerya w pałacu *Sampieri*. We wszystkich przeważa stanowczo szkoła miejscowa, to jest tak zwana *Bolońska*, której pierwszymi założycielami, w drugiej połowie XVI wieku, byli trzej bracia *Caracci*, (Ludwik, August i Annibal), a ich znakomitszymi uczniami i następcami: *Guido-Reni*, *Albano*, *Domenichino*, *Guercino* i t. d. W Pinakotece wszakże prym przed wszystkimi inne-

mi obrazami trzyma sławna na cały świat *Ś. Cecylia* Rafaela. Jest ona w zachwyceniu muzyczném; zapewne słyszy w duchu ów koncert, który sześciu aniołków wykonuje z nut nad nią w błękitnie niebieskim, i słuchając spuszcza niedbale ku ziemi organek, który sama ma w ręku, i z którego dwie dudki wypadają. Wszystko tu, jak mi się zdaje, jest bardzo i wysoko symboliczném. Mistrz zatopiony myślą w ideale, mało waży własny instrument, przez który ma ten ideał urzeczywistnić dla drugich: i za to też drudzy w nim samym szukają dopełnienia ideału. Stojący obok *Ś. Paweł*, (symbol siły), zamyśla się tylko i skupia w samym sobie; ale stojący za nim *Ś. Jan Ewangelista*, (symbol miłości), takim okiem spogląda na Świętą, jak ona sama ku Niebu. Stojący z drugiej strony: *Ś. Marya-Magdalena* i *Ś. Augustyn*, zdają mi się wyrażać niemniej symbolicznie inne jeszcze, moralne znaczenie obrazu, a mianowicie: że muzyka, jak z jednej strony potęguje w duszach uczucia święte, które już w nich są; tak z drugiej, dusze nawet zajęte światem nawraca i podnosi ku Niebu. Czy Rafael to myślał malując, ja nie wiem; ale to pewna, że bez jego obrazu, nigdyby mi to na myśl nie przyszło. Że zaś przyszło, i przypomniałem sobie odę Drydena, w tłumaczeniu naszego Ursyna:—więc i mnie wzięła ochota do rymów, i ukleciłem też hymn do *Ś. Cecylii*, który, dla nieprzerwywania narracji, przy końcu tego listu dopiero ci przepiszę.

Z innych obrazów, napełniających sześć sal Pina-koteki, jeden zwłaszcza sprawił na mnie szczegól-

niejsze wrażenie, to jest obudził takie współczucie dla treści, jak gdybym patrzył na nią w chwili, gdy się działa. Jest to „*Rzecz Niewiniątek*,” przez Guido-Reniego. Młoda, prześliczna matka ucieka z dzieckiem na rękę, w tłumie innych uciekających. Straszny żołdak, z mieczem dobytym, dogania ją i porywa za włosy. Malarz tak uwydatnił krzyk przestachu i rozpaczę w jej ustach, że zdaje się słyszeć go uchem—ja go przynajmniej czuję, jakbym słyszał. Jest to pierwsze tego rodzaju wrażenie, jakiego patrząc na obraz doznałem. Wiem oddawna co jest malowidło w poezji, i jak różne mieć może: ton, koloryt, odcienia, i t. d.; ale dopiero teraz zrozumiałem rzeczywiście sam przez się, co jest poezya w malarstwie, albo raczej, jak poezya pod pędzlem, zarówno jak pod piórem, może być wielorakiego rodzaju. W Rafaelowskim np. obrazie *Ś. Cecylii*, każda osoba sama przez się wyraża swoje uczucia i przelewa je w spektatora—to *liryzm*. *Madonna Syxtyńska* w Dreźnie, ile sobie mogę przypomnieć, to samo. W historycznych obrazach Szkoły Weneckiej, widzisz *co i jak* było, jakbyś słyszał lub czytał opowiadanie o tém—to *epos*. Ale tutaj dopiero patrząc na obraz, czujesz, zda się, że się rzecz jego na scenie przed tobą odbywa; a więc to już jest — *dramatyczność*. Na czém ten odcień właściwie zależy, ja ci tego powiedzieć nie umiem; nie wiem nawet—a jednak czuję. I to nie tylko w tym jednym wspomnianym wyżej obrazie Guido-Reniego, ale i w *Ukrzyżowaniu Chrystusa*, przez niegoż, i w *Męczeństwie Ś. Agnie-*

szki, i w *Śmierci Ś. Piotra Męczennika*, przez Domenichina, i we wszystkich większych obrazach braci *Caraccich*, i w ogólności w całej szkole tutejszej. Być może, że to co tu mówię, jest herezyą względem dogmatów sztuki; to też ja nie upieram się wcale przy swoim, tylko że nie mam nikogo, co by mię dziś lepiej oświecił. Mówiłem to i Adamowi, ale i on w tém nie *judez competens*. Mówi tylko, że i o muzyce dałoby się powiedzieć to samo. Duszą jej i podstawą jest *liryzm*. Ale symfonie *Beethovena*, oratoria *Haydna*, to już każde jak *epopeja*. Dramatyczność upatruje on zwłaszcza w Mozarcie.

Ale wyobrażam sobie, mój drogi! jaką ty zrobisz minę, czytając tę część mego listu. Niedawniutko podobniutki do ciebie w nieświadomości rzeczy tego świata, prawi ci raptem o tém i o owém; rychtyk, jakby przystały jakiś do werbunku *Jurek*, brząkał szablą nazajutrz nad uchem jakiegoś *Juhaska*, który z nim razem pasł „*ucieszne kozy*“, a przyległszy przed ularami w trawie, spokojnie sobie nadal w sielankowej professyi pozostał. Tylkoż zmiłuj się, wierz mi, że to nie przez fanfaronadę. Masz w tém tylko jak cienie myśli, które mi przelatują przez głowę—i tak pewnie bez śladu i skutku, jak cień obłoczków po wodzie lub piasku. Ależ w tém to jest właśnie cała korzyść wojażu, że chcąc nie chcąc musisz pomyśleć o tysiącu rzeczy, które nigdyby same, przez wiek *Matuzala*, nie przyszły cię wizytować za piecem. Mnie zaś te różne myśli o malarstwie tak dokuczały przez cały dzień onegdaj, że w końcu, jak kadzidłem od

komarów, musiałem bronić się od nich wierszami, na cześć świętej Patronki muzyki—czyli klin klinem wybijać. Cały dzień bowiem onegdaj poświęciliśmy wyłącznie oglądaniu owych trzech galeryi, o których już wyżej wspomniałem, zostawując na dzisiaj, jako na niedzielę, obejrzenie wnętrza kościołów. Towarzyskami naszymi byli ci sami właśnie trzej Anglicy, którzy z nami jechali z Wenecyi, ale z którymi ja się tutaj dopiero poznałem. Póki bowiem siedzący razem wewnątrz *wettury* Adam nie zawiązywał z nimi w drodze żadnego stosunku, nie wypadało mi jakoś na popasach narzucać się im z moją znajomością. Ale gdy oni sami, przy rozstaniu się już tu u drzwi oberży, powiedzieli nam pierwsi: „*Adieu, Messieurs!*“ miałem więc niezaprzeczone prawo, spotkawszy ich nazajutrz rano na wschodach, powiedzieć im również grzecznie: „*Bon jour, Messieurs!*“—z czego wywiązała się naprzód *stante pede* rozmowa, a potem projekt wspólnego zwiedzania galeryi, do których wstęp jednej czy sześciu osób zarówno tyleż kosztuje. Adam nie miał nic przeciw temu; a więc chodziliśmy dzień cały i obiadowaliśmy razem, częstując się nawzajem sławnymi tutejszemi przysmakami, które są: *salami*, to jest kiełbaski i salcesony, *maccaroni* z mąki ryżowej, i rzeczywiście arcy-smaczne *likwory* i konfitury. Ze wszystkich dotąd widzianych Anglików, ci zdają się najporządniejsi. Światli, grzeczni, weseli, i wszyscy płynnie mówią po francuzku. Najstarszy może mieć lat około 40, dwaj młodszy w wieku Adama. Szkoda, że nie ja z nimi jechałem w *wetturze*! Adam

nicby nie stracił milcząc jak mruk z nudnym *Abbatem*, a jabym się nie męczył udawaniem drzemki, żeby indagacyjnych jego wypytywań uniknąć.

Wprost z obiadu poszliśmy zwiedzić za miastem sławny tutejszy cmentarz, *Campo Santo*, od klasztoru Kartuzów zwany także *La Certosa*, który istotnie wart jest sławy swojej. Dwa ogromne dziedzińce czy place, otoczone katakombami na arkadach, podzielone są na kwatery, osadzone po rogach cyprysami. Jest to miejsce pospolitszych grobów i nagrobków; wspanialsze mieszczą się w katakombach, i są ozdobione mnóstwem prześlicznych popiersi, rzeźb i pomników—a wszystko prawie z białego marmuru. Między innemi znaleźliśmy grób naszego ziomka Tadeusza Matuszewicza, z łacińskim tylko i francuzkim napisem. Tyle kiedyś słyszeliśmy o nim od jego rodzonej siostry, a naszój wielce łaskawej przyjaciółki w Wilnie, pani Wojskiej Zaleskiej, tak odznaczającej się dziwną dobrocią i wdziękiem rozumu na starość, jak brat jej przez całe życie był prawie ideałem zacnego człowieka. Jemu też to winniśmy prześliczny przekład Tomasza à Kempis: „*O Naśladowaniu Chrystusa*,” a sama już ta praca, jak z jednej strony jest najlepszym dowodem zasady i kierunku jego uczuć, tak z drugiej najpiękniejszym chwały jego pomnikiem. Myśląc o tém i mówiąc z Adamem, ułożyłem następujący czterowiersz, który podpisałem ołówkiem pod łacińskim napisem, uzyskawszy naprzód, ma się rozumieć, *scribatur* Adama.

Imię twe nawet w ojczystej mowie
Nie napisane na twoim grobie,
Ale świadomi cnót twych ziomkowie,
Z czcią i miłością pomną o tobie.

Adam przy téj okoliczności opowiedział mi wielce ciekawą historyjkę o sobie, którą ci tu muszę powtórzyć.

Przy pani Wojskiej Zaleskiej, za czasów naszego bywania u niej w roku 1822, mieszkała znajoma ci potem w Warszawie, krewna jej, panna Flora Laskarys, wielka też przyjaciółka nasza. Adam nazwał ją przez żart *Cezarynią*, jako pochodzącą istotnie ze krwi dawnych Cezarów Greckich; za co też ona nawzajem mianowała nas swymi paziami: jego *starszym*, mnie *młodszy*. Nazwy te dotąd między nami istnieją. Adam był zawsze dla niej z wielką przyjaźnią i szacunkiem, admirując zwłaszcza jej rozum i wesoło-pieprzykowaty dowcip; i niepotrzeba było ostrowidza, aby wzajemne dla niego uczucia jej odgadnąć. Otoż teraz powiedział mi o niej, że nigdy tak się z nikim nie miał na baczności, aby przyjaźń nie zamieniła się w miłość, i ażeby się z nią w końcu nie ożenił. A powód do tego był taki. W pierwszym roku pobytu swego w uniwersytecie, chodząc raz po cmentarzu *na Rossie*, postrzegł na jednym grobowcu napis imienia *Laskarys*, (a był to właśnie grób matki panny Flory)—i w téjże chwili przyszła mu myśl dziwna, że przeznaczona dlań żona będzie się nazywała *Laskarys*. Otoż ta myśl tak w nim odtąd utkwiała, że kiedy później poznał pannę Florę i polu-

bił ją jak przyjaciółkę, nieraz z trwogą, jak mówił, rozbierał sam w sobie, czy uczucie to nie jest wstępem do spełnienia się przepowiedni. I ztąd to pochodziła ta jego ostrożność, aby go *Fatum* gwałtem nie uniosło.—„A co wiesz, czy *Fatum* w końcu nie postawi na swoim?”—zapytałem żartując. Zaśmiał się i odpowiedział słowami Książnina:

„A któż kiedy dójrzy okiem,
Co ma być jego wyrokiem?“¹⁾

Prawda, że przeciw tego rodzaju niebezpieczeństwom Adam musi być chyba ciągle jak we zbroi. Wszędzie gdzie go tylko widziałem pod promieniami pięknych oczu lub oczątek—w Wilnie, w Kownie, w Petersburgu, w Karlsbadzie, w Wejmarze, w Wenecyi, słowem wszędzie, gdzie się obrócił—gdybym ja tak, broń Boże, był na jego miejscu, stopniałbym jak воск od słońca. Szczęściem, że jak podług przysłowia, *wiatr strzyżonym owcom*, tak widać i młdym sercom muszą mierzyć dozę pokusy; bo cóżby było inaczej z wolną wolą ludzką?

Ale wracając do Bolonii.—Cały ranek wczoraj deszcz padał. Adam znowu cierpiał na zęby, i do po-

¹⁾ I rzecz godna zastanowienia—że była chwila w dalszym życiu Mickiewicza, (mianowicie w Maju 1832 r., podczas pobytu jego w Dreźnie, w której najosobliwszy zbieg różnych a niepodobnych nigdy do przewidzenia okoliczności, tak był *uprawdopodobnił* ziszczenie się tej przepowiedni, że prawie dziwić się trzeba, że się nie ziściła w istocie. Nie tu jest miejsce do mówienia o tém; ale opowiem to może kiedyś gdzieś indziej.

łudnia nie wychodził z domu. Ja tylko z Anglikami kręciłem się po mieście. Przyszli ze mną pożegnać Adama, i po południu pojechali dalej. Tymczasem deszcz i ból zębów ustały powoli, a więc i myśmy także puścili się w świat. Nie zastawszy *Mezzofantego* w domu, (o czém niżej), poszliśmy naprzód za miasto, do kościoła N. Panny, (*Madonna di S. Luca*), na górze *della Guardia*. Jest to cel pobożnej pielgrzymki, sławny cudownym obrazem Bogarodzicy, przywieszonym tu niegdyś z Konstantynopola, a malowanym, jak wieść niesie, przez samego Ś. Łukasza Apostoła. Cała droga od miasta, wynosząca ćwierć mili naszalej, pokryta jest sklepieniem krużgankiem, na 640 arkadach. Z góry ma być prześliczny widok na Apeniny, aleśmy go za mgłą nie widzieli; kościoła zaś nie było komu otworzyć. Chcieliśmy więc zwiedzić za jednym razem i drugi sławny punkt na wzgórzu za miastem: *S. Michele in bosco*; ale że tam droga nie kryta, błoto po dżdżu było tak śliskie, że musieliśmy się rejterować, i przesiedziawszy więcej godziny w kawiarni, poszliśmy wieczorem na teatr.

Teatrów jest tu podobno kilka; my byliśmy w tak zwanym *Miejskim* (*Comunale*). Obszerny i ozdobny. Ma 4 rzędy łóż, (w każdym po 22.) Łoże w kształcie ganeczków wystają ze ściany nad parter. Wszystkie były zajęte. Grano operę *Romeo i Julietta*, z muzyką *Vaccai*, i balet p. t.: *Karol wiąże Burkundzki*. Opera równie nudna, (przynajmniej dla mnie), jak *Saul* tegoż autora; ale co balet, to wart prawie na równi stać z Medyolańskim. Prócz do-

skonałej mimiki, tańców i tancerek, dekoracye także i ubiory świetne; osób mnóstwo. Sama kawalerya tak szybko i tak zręcznie przebiega i obiega na powrót scenę, że z kilkunastu koni zdaje się być ich ze sto. Adam zauważył nawet, jak mówi, że konie stąpają w takt. Być może—bo ja na końskie nogi nie patrzałem. Ale co *Prima Ballerina*, to i sama prześliczna, i *niech ją wszystkie zefiry!*

Na paluszku jednym, widzę,
Jako kwiatek na łądździe,
Zda się z wiatrem się kołysze.
Wtém frunęła jak jaskółka,
I migotne, lotne kółka
Po powietrzu nóżką pisze.

Z każdym zwrotem,
Szyty złotem
Jakby iskry siał fartuszek.
Cud boginek!
Kwiatek—młynek—
Ptaszek—wietrzyk—genijuszek!

Biłem brawo, aż mi dłonie popuchły;—jak niegdyś od linii professorskiej w Borunach, gdy zamiast liczb na tablicy w klassie, tak wyraźnie widziałem ciągnącą w poprzek niej słomkę, że ani się spostrzegłem, jak mi z ust wyleciało wystrzałowe *puf!*—za co oprócz dubeltowego *paf, paf*, drewnem po rękach, musiałem jeszcze znosić śmiech i żarty kolegów. A i teraz miałem tuż obok Mentora, który, choć w nie tak dotykalny sposób, ale przecież conceptami swojemi psuł mi moje illuzye i zapał. I czuję że tu

szczerze na świecie! Wykrzykniesz mimowolnie z uniesienia—bija; zdrzemniesz z nudy na nudnej operze—łają; obudzisz się i klaskasz na balecie—żartują; a za wszystko każą się wstydzić.

Biedne wy ludzkie uczucia!
Koń w munsztuku, pies w kagańcu,
Wół pod jarzmem, niedźwiedź w tańcu,
Mniej znoszą pęt i okucia,
Niż na was tłoczą zazwyczaj:
Wzgląd, sąd świata, i obyczaj.

Ale ponieważ obyczaj i tutaj nie zabrania, jak widać, lornetowania po łóżach: ja, który, dzięki Bogu, nie mam i nie potrzebuję lornetki, mogłem sobie tém śmieliej pod tym względem dogodzić;—jak astronom bez teleskopu lubuje się swobodniej wdziękiem ciał niebieskich. Nie tylko zaś z tych obserwacji wczorajszych w teatrze, ale też z onegdajszych i dzisiaj—po ulicach i na spacerach, mogę ci dokumen-tnie powiedzieć w ogólności o Bolonezkach: że choć z pod takich samych woalików, jak Medyolańskie, i z pod takichże mantylek, jak Weneckie, wyglądają one wszakże jakoś inaczej, niż tameczne *Signorine* i *Ragazze* (dziewczęta); a różnią się mianowicie jakimś śmiałym zakrojem na heroiny, który tak się w ich rysach, oczach i ruchach odbija, że choć z nich sztyftuj rejment amazonek! W rozmowach też, sądząc po gestykulacji w łóżach, muszą być nie mniej żywe i energiczne; chociaż trzeba im oddać sprawiedliwość, że po kościołach, (jak przypatrzyłem się dzisiaj), siedzą bardzo spokojnie i skromnie,

i mniej nawet strzelają oczyma, niż np. uroczę Wenejki, które drobiąc krok na ulicy, zdają się tylko patrzeć w ziemię i przed siebie, a nie ominiesz żadnej, żeby cię jasnym oczkiem nie drasnęła jak szpilką.

Dzień dzisiejszy, jako niedzielny, poświęciliśmy wyłącznie kościołom. Jest ich tu, jak już bodaj wspomniałem, dwie kopy i dziesięć; a byliśmy najmniej w trzydziestu, t. j. we wszystkich celniejszych, naprzód *gwoli* pacierza, a potem ciekawości. Największy, *San Petronio*, miał być bazyliką, ale niedokończony. Katedralny, *Ś. Piotra*, właśnie się teraz odnawia. Najdawniejszy, jak mówią, pod nazwą *Ś. Stefana*, na miejscu dawniej świątyni Izdy, składa się aż z siedmiu kościołów, spojonych między sobą jak grono orzechów. Te i dalsze, większe i mniejsze, odznaczają się wszystkie, przyznać trzeba, wzorowym porządkiem i czystością, godną zaiste *Kościelnego Państwa*; a i rzesza wiernych w nich też nie mała. Na drzwiach katedry widzieliśmy aż 14 drukowanych sonetów, naklejonych obok jak afisze, na *primicyą* różnych „godnych chwały młodzieńców.” Każdy prawie prócz tego kościół słynie tu przed innemi jakimś cudownym lub sławnym obrazem, rzeźbą, albo pomnikiem, których w każdym jest co niemiara. Najwięcej jednak pod tym względem zajął nas kościół *Ś. Dominika*, a w nim zwłaszcza grób tegoż Świętego, ozdobiony bogatą rzeźbą różnych arcy-mistrzów, a między nimi Michała-Anioła. Jest tam także grób Guido-Reniego, obok najulubieńszej jego uczennicy,

Elżbiety Sirani, słynnej równie z piękności, jak z talentu, a w dwudziestym roku życia, niewiadomo czy z czyjej zawiści, czy z miłośnej rozpacz—otrutej. Z pomiędzy wielu innych grobów sławnych ludzi, interesował mnie szczególnież grobowiec *Króla Enzo*, nad losem którego niegdyś płakałem rzewnymi łzami, czytając historią o nim w jakiejś powieści niemieckiej. Był on synem cesarza Fryderyka II (Barbarussy) i sławnej z piękności Blanki Lancia. Odziedziczywszy też piękność po matce, a odwagę i rozum po ojcu, w dwudziestym roku życia był on już ideałem mężstwa i poetyczności rycerskiej, a jako naczelnik Gibellinów, mianowany przez ojca królem włoskim, zdobywał jedno po drugim miasta i kraje we Włoszech; aż nakoniec w bitwie z Bolończykami, mając pod sobą zabitego konia, został wzięty przez nich w niewolę. Cesarz za okup jego ofiarował im tyle srebra, ileby było potrzeba na ukucie takiej obręczy, któraby całe miasto Bolonię objęła. Ale Bolończycy tak się bali doznanej już waleczności swojego jeńca, że nie tylko odrzucili ofiarę, ale owszem postanowili uroczyście, nie wypuścić go aż do śmierci. Traktowano go wszakże po królewsku, i przeznaczono mu na mieszkanie wspaniały pałac, w którym ogromna sala nosi po dziś dzień nazwę „sali Króla Enzo.” Tam to najpierwsza młodzież Bolońska zbiegała się na biesiady do więźnia, biorąc go za wzór uprzejmości i zalotności rycerskiej. Kilku z tych młodych przyjaciół powzięło zamiar uwolnienia jego. Śmierć jednego z pomiędzy dworzan zdawała się podawać

stosowną ku temu sposobność. Zamiast zatem martwego ciała nieboszczyka, zamknięto w trumnie żyjącego więcia, chcąc tym sposobem wynieść go za miasto. Nie szczęściem pukiel włosów, które nosił trefione i długie, wymknął się z pod wieka trumny, i już w chwili przejścia za bramę, zdradził i zniweczył ten podstęp. Obrażeni Bolończykowie, sprawców jego, swych ziomków, skazali na śmierć, a zaś samego jeńca na pogrzebanie żywcem aż do śmierci. Zbudowano dlań loch podziemny, w kształcie obszernego grobowca, w którym miał być zamurowany na zawsze, i tylko przez otwór u góry miano mu spuszczać pożywienie codzienne. Jednej tylko osobie, jeśli się jaka znalazła, pozwolono mu towarzyszyć i dzielić z nim tę grobową samotność. Piękna, młoda, bogata *Lucia Vendagoli*, która go już przedtém kochała, nie zlekła się tej strasznej ofiary. Dano im ślub i spuszczone razem do grobu. Przyznaj, że było nad czém zapłakać. Xiążę liczył zaledwo 24 rok życia, i jeszcze lat 20 przeżył w tej swojej mogile. Wyniesiono go z niej dopiero po śmierci, aby uczcić świetnym pogrzebem, i pomnikiem, o którym tu mowa. Od potomka z tego małżeństwa wywodzi swój początek sławna potém w dziejach Bolońskich rodzina *Bentivoglio*.

Rozpisałem się tyle o tym nieboszczyku, bo o jedynym żyjącym człowieku, którego chciałem i spodziewałem się poznać w Bolonii, nie, niestety, do powiedzenia nie mam. Człowiekiem zaś tym jest najślawniejszy tegoczesny lingwista, X. *Józef Mezzofanti*,

professor języków starożytnych i bibliotekarz przy uniwersytecie tutejszym. Blizki jego przyjaciel p. *de Luca* z Wenecyi, dał nam do niego list rekomendacyjny; co zaś nas mianowicie do téj znajomości nęciło, było to opowiadanie tegoż pana *de Luca*, że z pomiędzy tych czterdziestu kilku języków, które już dzisiaj Mezzofanti posiada, (bo ciągle uczy się nowych), język polski był pierwszym, którego się po łacińskim nauczył, i że właśnie téj nauce polskiego, przypisuje on sam naukę wszystkich innych. A oto jak się rzecz miała. Około roku 1800, kiedy się Mezzofanti tylko co był wyświęcił, stała w Bolonii Legia Polska, a panująca tamże epidemiczna gorączka codzienne z niej porywała ofiary. Nieumiejący obcych języków żołnierze, musieli umierać bez spowiedzi. Dowiedziawszy się o tém młody kapłan od oficerów, z którymi był w stosunku, wprost z gorliwości religijnej i miłości bliźniego zaczął od nich uczyć się po polsku, aby temu nieszczęściu zaradzić. Nauka szła mu z tak dziwną, z tak cudowną łatwością, że przy końcu trzeciego tygodnia był już w stanie słuchać spowiedzi. Kiedy zaś wkrótce potém, również łatwo i prędko nauczył się po francuzku i po niemiecku: w nim samym wyrodziło się przekonanie, że go Bóg tym cudownym darem uczenia się języków, za dobrą intencją przy uczeniu się pierwszego, nagrodił. Korzystając więc z tego daru, umie już dziś wszystkie główne języki i dyalekty wszystkich czterech części świata, i jest jakby drugim, przeciwnym biegunem wieży Babel:

skupiającym znów w jedno, co się z winy tamtęj roz-pierzchło.

Nazajutrz zatem po przyjeździe wybraliśmy się do niego z listem p. *de Luca*. Jakiś bardzo elegancki młodzieniec, ze zwykłą tu wszystkim uprzejmością, zapytany przezemnie o drogę, doprowadził nas aż do drzwi jego mieszkania. Samego nie zastaliśmy w domu; ale dwaj młodzi jego siostrzeńcy przyjęli nas bardzo gościnnie, i na żądanie nasze oprowadzili po całym mieszkaniu. Jeden z nich przepisywał jakiś stary łaciński rękopis, drugi zaś jakiś sextern po nowo-grecku. Wuj bowiem, jak nam mówili, wprawia ich także do nauki języków. Pierwsza izba, w której pisali przy stolikach u okien, wyłożona zamiast podłogi cegłami, uderzyła nas szczególną prostotą, że nie powiem ubóstwem umeblowania. Tuż obok jest gabinet samego Mezzofantego, a za nim pokoik sypialny. W gabinecie, przy prostym drewnianym biurku, stoi podobneż krzesło z poręczami, wyplatane słomą. Taką kanapą i kilka mniejszych krzeseł bez poręczy stanowią cały sprzęt dalszy, oprócz szaf, a raczej półek z książkami, otaczających dookoła ściany. W sypialni, nad równie skromnym łóżkiem i pościeleniem, wisi w głowach obraz Pana Jezusa na krzyżu, a nad środkiem wizerunek N. Panny, oba w wązkich złoconych ramach. Jednym słowem, w ogólności i w szczegółach, znać tu we wszystkiem skromność literata i ubóstwo kapłana. Pan *de Luca* mówił nam o nim samym, że się zarówno jednym jak i drugim odznacza.

Zostawiliśmy list, bilety nasze i adres, a powróciliśmy z teatru do domu, zastaliśmy już dwie jego kartki wizytowe. Dziś więc rano byliśmy znowu u niego, ale był wtedy w kościele; i znowu nad wieczorem szwajcar naszej oberży wręczył nam dwa jego bilety. Pobiegłem więc raz jeszcze do jego mieszkania, ale już sam jeden, i niestety, dowiedziałem się, że wyjechał na spacer za miasto, i chyba późno w nocy powróci. Napisałem więc tamże kilka słów do niego po polsku i w imieniu nas obu, dziękując mu naprzód, że nas raczył po dwakroć odwiedzić, a potem wyrażając nasze uwielbienie i żal, że musimy opuścić Bolognię nie poznawszy go osobiście.

Na jutro bowiem, na godzinę 4-tą rano, weturyn jest już zamówiony. Dwa miejsca do Florencyi kosztują ztąd 26 franków, z Mestry zaś do Bolonii kosztowały 55, licząc w to obiady i noclegi, które już z tego sam weturyn opłaca.

Ale, ale—do wspomnień dzisiejszych dodać jeszcze muszę spotkanie polskiego żyda, a przynajmniej ubranego jak nasi żydzi; który jednak albo nim nie jest, albo być musi chyba waryat; bo gdy Adam do niego zagadał po polsku, on zakrzyczał coś przeraźliwie i niezrozumiale, i wyraźnie uciekł przed nami. Adam z tego powodu mówił mi o spotkaniu też raz w Odesie żyda z pod Borysowa, i o rozrzucającem wrażeniu, jakie to na nim sprawiło. *Dulcis est fumus patriae!*

Nie kończę jednak listu tego *żydem*, ale powiedziawszy ci sakramentalne *vale!*—przystępuję do przepi-

sania obiecanego wyżej hymnu, który polecam twemu
łaskawemu *placet*.

HYMN DO ŚW. CECYLII.

O! Cecyljo święta! Za jakież zasługi
Bóg cię wzniosł tak wysoko między sług swych chóry?
Lub czemuż tam do tej aż pory
Obok ciebie nie stanął nikt drugi?

Toć gdy dosyć na sztucznych strón dźwiękach,
Harmonijnych ich pieśniach lub wrzawie,
Tylu mistrzów moc czaru ma w rękach,
Tyle imion w światowej brzmi sławie.

O! Patronko! snąć w tobie nauka,
Jakich natchnień i ducha potrzeba,
By mistrz sztukę uświęcił, a sztuka
Aby mistrza podniosła do Nieba.

O! muzyko! ty echo
Jakby słowa twórczego!
Kierownico gwiazd biegu w przestrzeniach!
Ty niebieska pociecho
Serc i ducha ludzkiego
W burzach uczuć i życia cierpieniach!

W tobie pokój i zgoda,
W tobie zapał i tkliwość,
W tobie myśli swoboda,
W tobie wiary żarliwość.

Przez cię miłość się budzi.
I nadzieja tchnie błoga.
Tyś głos Boga do ludzi,
I głos ludzi do Boga!

Ty uśmierzysz katusze
Szału Saula w rozpacz;
Na twe jęki, Bóg skrusze
Dawidowej przebaczy.

I pokuta ocali
W przepaść wtrąconych pychę,
I grom trąb twych rozwali
Harde mury Jerycho.

Bo choć grzech się wielmoży
Po nad ziemią, swą branką:
Piekło zwalczy Duch Boży,
A tyś ducha posłanką.

O! Cecyljo święta!
Spraw niech muzyka taka,
Wzorem twoim poczęta,
Duchem twoim natchnięta,
Zabrzmi w duszy śpiewaka!

A nie czcza rozkosz ucha,
Nie czczy poklask słuchaczy,
Ale potędze ducha
Wtór dusz ludzkich przyświadczy.

I nad cześć sławy blaski,
Wiara promieniem łaski,
Miłość sercami braci,
Znoje mistrza opłaci.

Aż gdy przezeń z kolei,
Z ducha świętej nadziei
Świętych czynów zapali się dzielność:
Z natchnień jego te czyny,
To są mistrza wawrzyny,
To cel sztuki—i w tém nieśmiertelność!

XLIV.

Do tegoż.

Pietramala, 26 Października 1829 r., w nocy.

Dzień w mieście, a dzień w budzie, czy w pudle karety, jakże to straszna na pozór różnica, pod względem treści do listu! Ale słyszałeś może talmudyczną przypowieść o trzech mądrych rabinach, medytujących wspólnie nad tém: co jest największe na świecie?— Jeden mówił, że morze—bo otacza ziemię; drugi, że niebo—bo ogarnia ziemię i morze; trzeci nakoniec, że głowa ludzka, bo może objąć to wszystko. Na to zdanie przystali i tamci. Otoż dziś głowa moja pod pudłem *wettury* obejmowała tyle różnych rzeczy; a przynajmniej różne te rzeczy, jak obrazy w *Szene-Katarynce*, tak przesuwały się przez głowę moję: że gdybym tylko mógł je dobrze spamiętać i ponotować, miałbyś list bez porównania ciekawszy, niż wszystkie moje deskrypcje grodów.

Byłaby to albowiem jak barwno-pstrokata
Mozaika ze wszystkich czterech części świata.
Miałbyś tam o Sułtanie i kraju tureckim,
O Greczynce-Potockiej, i naszym Trembeckim.
O szkockim Aryoście i góralskich klanach,
O dzikich Indyanach i Amerykanach.
Jak Arabi wielbłądy i konie kulbaczą,
Jak nad brzegami Nilu krokodyle płaczą;
ak sterczą góry Andy; lub jak wre i kipi

Wodospad Niagary, i nurt Mississippi.
Albo jak wyglądają przez okna wettury
Te, cośmy przejeżdżali, Apennińskie góry;
Albo ów ogień-wulkan, co w ciemnościach zdala
Jak woda na powietrzu błyszczy w Pietramala.
A jeśli ci to jeszcze nie dość brzmi jak bajka,
Dodaję—że to wszystko poczęło się—z jajka.

„Oj! coś tu, to już bigos bez sensu!” — pomyślisz może sobie czytając. Nie bój się! sens w tém jest, jak pieprz w bigosie; tylko że abyś go schwycił, czuję, że ci muszę to wszystko opowiedzieć jasno, porządnie, prozaicznie, i prozą.

Za ciemna jeszcze wyjechaliśmy dziś z Bolonii, a więc nie widzieliśmy twarzy towarzyszków, którzy wsiadłszy do wettury wraz z nami, zajęli Nr. 3 i 4 na przedzie, to jest plecami do koni. Dopiero gdy dzień się rozwidnił a ja się rozbudziłem, postrzegłem, że jednego z nich, starszego, (lat około 60), widywałem już w Wenecyi, w galeryach i *à table d'hôte*; a że ma minę dziwnie pocziwego człowieka, posłużyło mi to za assumpt do zawiązania z nim rozmowy—na los szczęścia, po francuzku. Z pierwszego wszakże słowa odpowiedzi odgadłem, że mam znów do czynienia z synem Albionu, choć w rysach téj rasowości nie widać. Dla drugiego, młodszego, (lat może 30), wykrzesalem ognia do cygara, które gryząc smoktał na zimno; z czego także zaczęła się znajomość. Mówi też po francuzku, ale z jakimś szczególniejszym akcentem. Gdyby czwartym z nas, zamiast Adama, był jaki Paryżanin, lub *dandys* warszawski, dla którego pronuncyacya

paryzka, to zakon; toby użył dopiero akustycznej rozkoszy, słysząc to harmonijne *trio*, trzech tak różnych pomiędzy sobą, a tak równie od prawdziwego różniących się akcentów! Adam ruszając ramionami i głową, obserwował tylko i milczał. Tak dojechaliśmy do pierwszego przystanku w *Pianoro*, gdzieśmy mieli posilać się kawą. Kto chce we Włoszech mieć ją ze śmietanką, musi to *à priori* zapowiedzieć wyraźnie. Anglikowi podano czarną. Zadzwonił więc łyżeczką o szklanke, i gdy się dziewczyna (wcale nie ładna) zbliżyła, zaczął się silić widocznie na frazes, którego skleić nie umiał. Nakonięć po dwukrotnem „*Date mi, date mi....*” wymówił najwyraźniej: *mléko*” Dziewczyna nie rozumiała; ja więc za niego dopowiedziałem: *latte*—a sam własnym uszom nie wierząc, zakomunikowałem Adamowi, że ten pan gada po polsku. Adam po swojemu ofuknął, że mi się przysłyszało. Czekalem więc co będzie dalej. Tymczasem dla innych jakichś gości przyniesiono jaja na miękko. Anglik odezwał się znów do dziewczyny: „*date mi, date mi....*” i znowu, po wielkiem widać wysileniu pamięci, dodał: *jajko*” Tym razem byłem już pewny swojego, i domówiwszy zaś dziewczynie: *uove*—oświadczyłem mu moje zdziwienie, że już raz drugi wyrzekł słowo polskie. I oto masz rozwiązanie zagadki.

Nowym tym towarzyszem naszym jest pan *Wiliam Allan*, jeden z najznakomitszych malarzy angielskich, prezes Akademii Sztuk Pięknych w Edyburgu, serdeczny i domowy przyjaciel Waltera-Skotta, który nieraz też o nim w romansach swoich wspomina, mó-

wiąc: że ta lub owa figura czy scena, mogłaby posłużyć za temat do obrazu „*przyjacielowi mojemu, Allanowi*”.—Otoż ten Allan za młodu — przed 25 laty — podróżował na Wschodzie, w Egipcie i w Turcyi; miał posłuchanie u Sultana, malował wiele portretów Baszów i Odalisek, i nakoniec wracając ztamtąd przez Odesę, zajeżdżał do Tulczyna, do hrabiego Szczęsnego Potockiego, i bawił tam półtora roku. O ile admiracya wdzięków samej pani, o których mówi dotąd ze szczególnym zapałem, wpłynąć mogła na to przedłużenie pobytu, nie wiem; ale dość, że tak o tym pobycie, jak i o doznanej w ogóle gościnności polskiej, ze szczerą wdzięcznością wspomina. Z Trembeckim tak był ściśle zażyłym, jak tylko młody ze starym być może, i zowie go jednym z najmiłszych w obejściu i najrozumniejszych ludzi, jakich kiedy znał w swoim życiu. Po polsku nauczył się był o tyle, że się mógł ze sługami rozmówić; ale potem całkiem zapomniał, i sam teraz był zadziwiony, że mu zamiast wyrazów włoskich, polskie przychodziły na pamięć.

Z rzeczy tego, w rozmowie o Mezzofantim, dowiedziałem się też o drugim towarzyszu podróży, że jest aż z antypodów, to jest Hiszpan Amerykański z Peru, syn matki Indyanki, z jakiegoś oswojonego pokolenia, którego nazwiska nie pamiętam, będący na edukacyi w Paryżu, i ztamtąd wojażujący po Włoszech. Nazywa się *Don Jose Manuel Urquiza*. Dobry jak widać chłopiec, ale tylko strasznie poważny. Z czarności oczu i włosów, a nawet z owalu twarzy, przypomina nieco Witwickiego — ale gdzie mu do jego piękności!

Opowiadał nam o wizycie swojej u Mezzofantego, że nie tylko mówił z nim doskonale po hiszpańsku, ale dowiedziawszy się o pochodzeniu jego matki, zaczął rozmowę po indyjsku, i to w dyalekcie tego plemienia, z którego była rodem, a którego własny jęz. syn nie rozumie. Z Allanem także, oprócz po angielsku, próbował rozmawiać po gallicku, czego Allan zgoła nie umie.

Wszystko to, mówione między nami we *trio*, zainteresowało nakoniec Adama, tak, że sam naprzód z własnego popędu zaczął brać udział w rozmowie; a gdy następnie zarekomendowałem go Allanowi a *Dona Urquize* jemu; prosty podróżny stosunek przybrał wkrótce ściślejszy przyjacielski charakter, i dalszą podróż naszą uprzyjemnił, i uprzyjemnia. Ale nie prawdaż, że się zaczął literalnie *ab ovo*?

Tuż za *Pianoro* wjechaliśmy w Apenniny, odgraniczające z tej strony Legacye Rzymskie od Toskanii. Po Alpach, jako o górach, mówić nawet o nich nie warto. Ani tych ogromów, ni kształtów; ani tej wspinałości, ni zgrozy! Pagórki nad pagórkami, i znów na tych pagórkach pagórki; te mniej, te więcej wysokie lub strome; te wrzosem, te lasem porośłe; piętrzące się stopniami do góry, a po bokach wiążące się w pasma, przerywane to błoniem, to wąwozem, to smugiem, w głębi i środku których najczęściej przepływają strumienie. To jest ogólna fizyognomia Apenninów, przynajmniej jak się nam przedstawiła dzisiaj w przejeździe z *Pianoro* do popasu w *Lojano*, i ztamtąd do noclegu w *Pietramala*, zkąd właśnie list

ten datuje; — a jeszcze nie jesteśmy tu u szczytu pasma. Widoki tu i ówdzie, nie przeczę, że mogą być piękne, ale je dzień wcale nie piękny, to chmurami, to mgłami zasłaniał. Dusza jednakże nie traciła na tém; bo im mniej oczy miały do czynienia, tém obficieć za to przez uszy wpływały do niej obrazy: to gór Andyjskich, to Szkockich, to Krymskich, do których pamięć moja dodawała Alpy. A to wszystko słyszane wśród gór Apennińskich, z ust: przyjaciela Walter-Skotta, potomka Korteżów i Inkasów, i autora Sonetów Krymskich — wprawiało mię w dziwnie rozkoszne poetyckie marzenie; tém bardziej, że sam byłem tylko słuchaczem, nie wzajem do opowiadania nie mając; jakkolwiek nieraz przed oczyma i w myśli stawały mi: to nasza urwista *Bekieszówka* ¹⁾, gdy z niej, przez niczem nieusprawiedliwione głupstwo, kazałem w dół po piasku, na złamanie szyi, zbiegać biednemu Ludwikowi ²⁾, na dowód że kocha Greków; to nasze rozkoszne *Popławy* ³⁾, gdzie tyle pięćcowych nocy letnich przechodziliśmy z Olesiem i z tobą; to nakoniec owa *Parchatka* ⁴⁾, na której obiecałem ci niegdyś — co teraz akuratniej niż się spodziewałem dopełniam, pisząc ci prawie codzień dyaryusz podróży.

¹⁾ Góra w Wilnie nad brzegiem Wilenki. Był na nią pochowany ulubieniec Stefana Batorego, Kasper Bekiesz, i miał murowany pomnik; zkąd jęz. nazwa.

²⁾ Spitznaglowi, o którym było wyżej.

³⁾ Malownicza okolica Wilna, w dolinie przeciętej Wilenką, opasanej piętrzącymi się po wzgórzach laskami.

⁴⁾ Wzgórze pod Puławami nad Wisłą.

Nagle, wśród tych dumań i rozmów, słyszymy krzyk jakiś na drodze. Spójrzę — aż jakiś obdartus, udrapowany łachmanem, gołonogi, w łapciowych koturnach, w szerokim niskim kapeluszu z piórem — rychtyk jakiś czatownik bandy — wylazł z kąsis i woła na kogoś, obrócony twarzą ku górom. W téjże chwili weturyn stanął. Przyszedł mi na myśl Rinaldo-Rinaldini — a i w spójrzeniu kolegów zabłysł jakby reflex téj myśli. Krótko jednak trwała wątpliwość. Weturyn nam objaśnił, że jest to zwykłe hasło do przyzwania podprzegu, który się pasie przy drodze, a dopomaga powozom do wwindowania się na stromą górę, która się w tém miejscu zaczyna. Jakoż po chwili ukazał się drugi, podobny do pierwszego łapserdak, prowadząc dwa muły w chomątach. Przyprężono je w lejcu do naszej trójki rumaków, i w ten sposób, noga za nogą, przebyliśmy ten pierwszy Apeniński szczebel. A było ich aż trzy takich w ciągu dalszej dzisiejszej podróży; tylko, że przed drugim, zamiast mułów, zaprężono nam dwa bawoły, które nas omal nie wciągnęły w przepaść, tak, żeśmy musieli wysiąść, i pomimo deszczu i błota ująć naprzód z kwadrans piechotą, nim je weturyn i pan ich za rogi nawrócili na dobrą drogę.

Na popasie w *Lojano*, (nędznej oberży), spotkała mnie nadzwyczaj miła niespodzianka. W przyległym zamkniętym pokoju słyszę głosik dźwięczny, kobięcy, i — o! dziwy! mówi po polsku. Żadna harmonia muzyczna nie mogłaby mi sprawić miłszego wrażenia. A co większa, głos zdaje mi się znajomy. Waham

się, wejść czy nie wejść? Aż tu otwierają się drzwi, i wychodzi — kto? Mój dobry znajomy z Warszawy, pan Dernałowicz, którego śliczna i młodziutka żona, kuzynka pana Grabowskiego Ministra, (Szydłowska z domu), przed ślubem jeszcze swoim, jako Ewunia, brylowała kiedyś na wieczorach u niego, w konstelacyi najpiękniejszych i najłaskawszych przyjaciółek moich w Warszawie: panien Natalii i Rozalii Bispink, panny Melanii Grabowskiej, panny Flory Laskarys, i panny Maryi Slaskiej; wśród których, jak róża wśród pączków, kwitła najpiękniejsza z mężatek, pani Katarzyna Lewocka. A że *les amis de nos amis sont nos amis*; więc i to niespodziewane spotkanie dla obu stron zarówno zdawało się być przyjemnem. Dla mnie wszakże zasępił je widok nadzwyczajnej bladeści jęj i wycieńczenia — skutek, niestety, słabości piersiowej, na którą takie włoskie powietrze jak dzisiaj, daj Boże, żeby było dobrém lekarstwem! Na widok jednak Adama, którego jęj przedstawiłem, spłonęła cała rumieńcem, jak niegdyś; a mnie się przypomniało *dictum* Brodzińskiego: że tylko dla płci pięknej warto być poetą.

O Walter-Skocie téż powiadał nam Allan, że choć z pozoru na starość wygląda nieco en *gros fermier*, w gruncie duszy jednakże jest, a przynajmniej był jeszcze niedawno, pełen rycersko-poetyckiej szarmanteryi dla dam. W ostatnich bowiem czasach, niespodziana ruina majątku, z powodu bankructwa xiegarrza i bankiera jego *Constabla*, wpłynęła znacznie na jego humor i zdrowie. Zniósł ją wszakże z prawdzi-

wie stoicką, a raczej chrześcijańską odwagą i rezygnacją;—i Allan opowiadał nam szczegółowo tę wzruszającą scenę, której sam był naocznym świadkiem, wezwany jako jeden z najbliższych przyjaciół, aby był przy nim w tej chwili, kiedy mu miano oznajmić o tym strasznym a nieprzewidzianym ciosie. Żebyś zaś to lepiej zrozumiał, masz naprzód wiedzieć, że w Anglii nikt znacznych kapitałów nie trzyma u siebie, ale ma je złożone na procencie u którego z bankierów, i zamiast sam wydatkować gotówką, wydaje tylko wexle czy raczej bony, za którymi ów bankier ma te jego długie wypłacać. Ale dopóki wierzyciel pieniędzy tych rzeczywiście od bankiera nie weźmie, dopóty wydane w ten sposób wexle ciążą na odpowiedzialności, nie bankiera, ale tego, który je wydał.

Otoż tedy Walter-Skott, mając u swego xiegarza i bankiera (*Constable and Ballantyne*), przeszedł 70 tysięcy funtów szterlingów, (około 3 milionów złotych naszych), za dzieła, których dom ten był nabywcą i wydawcą: żył stosownie do tego majątku, i zwłaszcza na budowę i ozdobę ulubionego swego *Abbotsfortu*, znaczne bardzo summy wyłożył, wydając na nie wexle wierzycielom swoim. Kiedy więc Constable zbankrutował nagle, Walter-Skott nie-tylko stracił od razu wszystko co posiadał, ale nadto ujrzał się obciążony długiem dwudziestu kilku tysięcy funtów szterlingów, (około miliona złotych naszych). I taką to wiadomość trzeba było powiedzieć mu raptem; bo on sam nie miał nigdy najmniejszej wątpliwości o charakterze i majątku swego bankiera, który był razem przy-

jacielem jego. Owoż Allan był obecny tej scenie, wraz z całą jego rodziną, kiedy mu to nakoniec powiedziałno. Walter-Skott zbladł, i cofnąwszy się o parę kroków, wsparł się plecami i obu rękami o biórko. Ale wnet zaczerwienił się nagle; oczy się jego zaiskrzyły, i wznosząc je ku Niebu zawołał: że jeśli mu Bóg zdrowia i siły użyczy, wierzyciele jego pokrzywdzeni nie będą. To była pierwsza myśl i pierwsze słowa, które wymówił, a do których nie trzeba komentarza, aby zrozumieć wielkość i szlachetność tej duszy. Wierzyciele z własnego natchnienia chcieli odstąpić mu każdy połowę należności; ale on tej ofiary nie przyjął; a przez nowe wydanie dzieł dawnych, i napisanie kilku nowych, znaczną już część tych długów zaspokoił. Zmartwienie to jednakże i wysiłona praca, przy wpływie wieku, zachwiały jego atletyczny organizm, i Allan bardzo się boi, aby to nie skróciło dni jego. Kocha on go serdecznie i czule, a z tego, co o nim mówi, widać co to za zacny pod każdym względem człowiek. A jak ma być miły i łatwy w domowym i towarzyskim pożyciu! Przed tą nieszczęsną katastrofą majątkową, lubił zwykle być żartobliwym i jowialnym w rozmowie, ale bez cienia ironii lub żółci; z tymi zaś, którym sprzyja i ufa, jest prosty i naiwny jak dziecko. W Adamie widzę wiele podobieństwa do niego. Po tych zaś wszystkich opowiadaniach Allana, jestem jak gdybym sam *jadł pieczeń* z Walter-Skottem (podług wyrażenia się Osińskiego); a przecież i po tej próbie „*Wielki Nieznajomy*” (*Great*

Unknown) ¹⁾, nie tylko nic na wielkości w wyobraźni mojej nie stracił, ale owszem podbił i serce.

Ale i Allan niemniej rozplýwał się nad nami, widząc jak doskonale znamy dzieła jego przyjaciela. Ach! i toż to bodaj jedyna erudycja moja! I nigdy nie zapomnę kochanemu panu Joachimowi, że może domýslając się tego, na ostatnim swoim egzaminie z Historii Powszechnéj, wybrał dla mnie takie właśnie pytanie, na które mógł być pewny, że mu *scitis-sime* podług „*Quentin-Durward'a*” odpowiem. W ciągu zaś téj rozmowy zauważyłem szczególniej, że Adamowi tkwią zwłaszcza w pamięci postaci oryginałów, jak np. *Dominus Sampson*, *Antykwarejusz*, stary *Lee*, i t. p.; podczas gdy znowu dla mnie np. *Miss Dyana Vernon*, *Miss Julja Mannering*, *Zielony Kapelusik*, albo *Lucya z Lamermooru*, są jakby integralną częstką galerii żywych obrazów, któremi się w Pinakotece wyobraźni mojej lubuje. Allan za przybyciem do Florencyi obiecuje nam pisać zaraz do Walter-Skotta, i opowiedzieć mu spotkanie nasze. Walter-Skott zatem będzie wiedział o mnie! Czy ty czujesz cały urok téj myśli? A wiesz-że, że mam jeszcze jedną szczególną wspólność z Walter-Skottem. (Ja z Walter-Skottem!!!). To jest, że i on piérwszy swój zawód poetycko-pisarski rozpoczął naprzód od przekładu i wy-

¹⁾ Tak nazywano zwykle w Anglii autora *Waverleya*, i dalszych jego powieści, wydawanych zawsze bezimiennie, dopóki się do nich przy końcu życia sam Walter-Skott publicznie nie przyznał.

drukowania téj saméj, co i ja właśnie, ballady Bürgera: „*Der wilde Jäger*”, (Myśliwiec). Allan opowiedział nam z tego względu ciekawą anegdotę, którą ma z ust samego Walter-Skotta, i którą ci tu muszę powtórzyć. Walter-Skott liczył już wtedy 25 lat życia, (t. j. tyle, co ja mam teraz), i był na uniwersytecie w Edymburgu. Wytkómaczywszy więc tę balladę, przepisał ją sam bardzo starannie, (a ma śliczny jakoby charakter), we czternastu aż egzemplarzach, to jest dla tyluż swoich kolegów, których gust, sąd i znanstwo w poezyi poważał. Jednego dnia obszedł wszystkich, i nie mówiąc jednemu o drugim, zostawił każdemu rękopism, z prośbą, aby przy każdym wierszu, który mu się będzie podobał, położył krzyżyk, a przy każdym niepodobającym się, zero, i aby to koniecznie w ciągu tygodnia wykonał. Po tygodniu więc odbył tę samą kolej, i odebrawszy wszystkie egzemplarze, zamknął się na cztery klucze, aby sąd swojej publiczności wybadać. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy się pokazało z obrachunku, że każdy wiersz miał swój krzyżyk, i każdy wiersz swoje zero! To tak dalece dało mu do myślenia, że naprzód wpadł w apatyę i zniechęcenie; ale potem, zastanawiając się bliżej, doszedł tylko do tego rezultatu, który już nasz Krasicki przed nim na *czerwiennym tuzie* wyczytał, to jest: „*że ile głów, tyle sposobów myślenia*”; i korzystając z uwag, które sam uznał za słuszne, wszystko resztę zostawił i wydrukował jak było; wzięwszy sobie zarazem za prawo nadal, co téż nasze stare przysłowie doradza: „*Rad cudzych słuchaj, a swój rozum miej!*”

A pomimo tego jednakże, raz jeszcze sparzył się podobnie na prozie. Zaczawszy bowiem pisać *Wawerleja*, niepewny znowu siebie w tym rodzaju i w prozie, przeczytał pierwsze rozdziały jakiemuś przyjacielowi, który tak przy tém ziewał i nudził się widocznie, że znowu zrażony tém autor dalszej kontynuacji zaniechał. Po kilku dopiero latach, odnalazłszy przypadkiem zarzucony rękopism, i sądząc go już jako rzecz cudzą, tak się w nim sam rozmyślał, że to właśnie stało się dlań bodźcem nie tylko do skończenia tego, ale i do pisanja wszystkich dalszych swoich romansów, które mu taką sławę zjednały. Odtąd wszakże nic już nigdy nikomu przed skończeniem w rękopiśmie nie czyta. Co do pośpiechu w pisaniu — Allan sam wydziwić się nie może, jak mu na to, nie tylko już weny, ale nawet sił i czasu wystarcza; tém bardziej, że to pisanie nie jest wcale dla niego głównem, ale tylko jakby dodatkowem zajęciem, a raczej jakby tylko rozrywką po istotnej, obowiązkowej pracy. Codzień bowiem o 10-tę godzinie rano idzie do sądowego bióra, gdzie ma urząd, i bawi tam aż do obiadu. Na obiedzie lubi mieć zwykle kilku dobrych przyjaciół, z którymi wesoło rozmawia; po obiedzie zaś idzie sam jeden do ogrodu, gdzie myśląc zapewne o czém inném, opatruje wrzekomo drzewa i kwiaty. Dopiero późnym wieczorem zamyka się już w gabinecie, i pisze w nocy i nazajutrz rano, aż przyjdzie pora wybierać się do sądu. Po téj okropnej wszakże katastrofie majątkowej, charakter nawet jego pracy uległ widocznej zmianie. Nie pracuje już tylko z na-

technienia i z przyjemnością jak dawniej, ale raczej jakby z powinności, przez przymus, w widoku zapłacenia swych długów; co równie może wpływać na niekorzyść nowych utworów, jak i na fizyczne zdrowie autora.

Pietramala, gdzie nocujemy, i gdzieśmy o zmroku stanęli, jest to nędzna oberża wśród kilku czy kilkunastu równie nędznych domków, sławna jednak w „*Przewodniku Podróżnych*”, z powodu dwóch wulkanicznych fenomenów czyli zjawisk, które są do widzenia w pobliżu. Jednym z nich, któregośmy nie widzieli, jest źródło zwane *Acqua Buja*, na którego powierzchni, występujące wciąż z głębi gazowe bąble, zapalają się za zbliżeniem ognia. Drugim zaś, któreśmy oglądali, jest prawdziwy *wulkan-ogniok*, jak ja go nazwałem, a Adam trafność téj nazwy potwierdził. Są to bowiem płomyki gazu, w nocy tylko widzialne, wymykające się z ziemi i wznoszące się nad nią o jakie pół łokcia, błękitnawego i białego koloru. Blask ich, widziany zdaleka, wydaje się jak odbłask wody od słońca. Nazywają je tu po prostu *ogniami*, („*fucchi di Pietramala*“). Przestrzeń niemi zajęta, i już od wieków gorejąca, ma 13 kroków moich obwodu, a leży między górami, w okolicy dzikiej i kamienistej, zwanéj téż *Górą Ognia* (*Monte-di-Fò*). Wszyscy mieliśmy iść je oglądać; ale że pan Dernałowicz nie mógł odejść cierpiącej żony; Allan lękał się deszczu i wilgoci nocnej dla kaszlu, a Don Manuel Urquiza miał natartą nogę; więc my tylko we dwóch z Adamem puściliśmy się nieustraszenie śladem przewodnika,

i w ciemności, po ślizkich kamieniach i błocie, trzymając się mocno pod rękę, aby co krok nie upaść: po półgodzinnej zaledwo wędrówce, z wielką biedą na koniec doszliśmy do celu. Widok nie wynagrodził trudu. Popiekszy więc tylko palce przy doświadczaniu gorącości powietrznego ognia, i przysmaliwszy w nim na pamiątkę różki naszych dzienniczków, wróciliśmy strasznie znużeni, i to szczęście, że jeszcze przed deszczem, którego plusk i szelest w tej chwili przypomina mi z Wallenroda, że „*przy nim spać miło*,” co zresztą sam jego autor od godziny już przykładem potwierdza. A więc i nam—Dobranoc!

Tagliaferero, 27 Października, po południu.

Do trzech koni wesoły
Doprząglszy znów dwa woły,
Z Pietramala od świtu,
Krok za krokiem, do szczytu
Wysokiej, stromej góry,
Nie wysiadłszy z wettury,
Jechaliśmy uśpieni.

Tam u stóp *Monte Beni*,
W oberży *Covigliajo*,
Gdzie weturyni stają,
A goście kawę piją,
Piliśmy też i my ją.
A zaś ztamtąd, we *trio*,
Choć pod górę i w błoto,
Ale w pogodę złotą,
I z wesołą ochotą,
Ruszyliśmy piechotą.

(Bo Don Jose Urquiza,
W wetturze, jak waliza,
Siedział biedak bez bóta).
I aż na *Monte Futa*,
(O 3,000 stóp
Nad morze, w nieba strop),
Zenit tego gór grzbietu,
Weszliśmy. Ale nie tu
Był spoczynek. Dopiero
Jest on w *Tagliaferero*,
(Oberża, *vulgo* karczma,
Która orla za tarcz ma).
Gdzie i woły samopas
Poszły sobie na popas,
(Bo już tu się wyżyna
W dół przeginać zaczyna),
I konie obrok—i my
Jemy obiad—i rymy
Ja te składam.
A Adam,
To z Hiszpanem, to z Szkotem,
Gwarzy o tém i o tém.
Więc i ja się z nim łączę.
Listu wszakże nie kończę,
Bo go nie mam intencji
Wysłać wprzód, jak z Florencyi,
A więc może coś jeszcze
Dopatrzę i domieszczę.

Bo co teraz to do tych *jambów* mógłbym chyba dodać: że państwo Dernałowiczowie jadą wciąż i posasają tu z nami razem; oraz, że po mglistym i chłodnym ranku, dzień zrobił się prześliczny i ciepły, a droga bez porównania więcej ożywiona niż wczoraj. Widoków wszakże pięknych nie było; ale obiecują nam

że będą, jak się zaczniemy zniżać i zbliżać do Florencyi, gdzie za cztery godziny być mamy.

Florenca (Firenze), godz. 7 wieczorem.

Jesteśmy już—ale dziś o niej ani słowa! O podróż tylko dodaje, że w istocie pochyłość gór ku Florencyi, tak się ma do pochyłości Bolońskiej, jak dobra strona axamitu do drugiej. Zjazd w dół, im dalej, tém coraz bardziej stromy, tak, że trzeba koła hamować. Przez śliczną dolinę nad rzeką *Sieve* (*Val di Mugello*), szliśmy znowu piechotą, ja przy drzwiczkach powozu biednej naszej chorągwi, która sama chodzić nie może. Raz tylko wysiadła na chwilę dla obejrzenia jakiegoś złamanego i porzuconego na drodze dwukołowego wozu, ale który tak ma kształt starożytnych wozów wojennych, i tak przez to zastanowił Allana, że go nie tylko dla siebie, ale i dla niej w jej albumie, i dla mnie w moim dzienniczku przerysowałam; ja zaś stanawszy na nim przedeklamowałam kilka wierszy z Iliady, kiedy Patrokl z Automedonem wsiadają na wóz Achillesa. Ztąd wywiązała się długa archeologiczna rozprawa o trójkonnym zaprzęgu tego wozu: czy *Pedaz* z *Xantem* i *Balim* ¹⁾ zaprzężony był w leju, czy na *orczyku*? i czy z prawej, czy z lewej strony? Stało na tém, że musiał być na *orczyku* i z lewej; bo tym sposobem nie przeszkadzał działaniom prawicy rycerza, a sam go owszem niejako od natarcia przeciwnika zasłaniał.

¹⁾ Nazwiska trzech koni Achillesa w Iliadzie.

Od stacyi *Fontebuona*, po obu stronach drogi, zaczyna się prawdziwy ogród: bujny, zielony, kwitnący nawet w Październiku, nasadzany białymi domkami—który się już aż do samej Florencyi rozciąga. Miasto samo, podobnie jak Wilno, leży w kotlinie gór, na równinie, wzdłuż nad rzeką Arno, która też nam przypominała Wilię. Ujrzelśmy je raz pierwszy w aureoli wspaniale zachodzącego słońca, i jak gdyby w zasłonie z mgły białej. Ma coś w sobie dziwnie miłego—może dla tego właśnie, że nie zdaje się być wielkiem miastem. Oko łatwo je obejmuje, i wkrąg zaraz ma wieś przed sobą. Dante miał słuszość, że tak tęsknił po nim. Ale co to za okropna męczarnia, kochać, jak on, kraj swój rodzinny, a tak niecierpieć społecznych swych ziomków! Czuć ich głupstwa, błędy i wady, i być od nich prześladowanym za to, że się je czuło i chciało naprawić! To też zawsze bieda prorokom!—Mówiąc o tém, wjechaliśmy w bramę *San-Gallo*;—a u mnie w głowie, jak w czopie, fermentuje wiersz na ten temat, który jeżeli przejdzie przez alembik pióra, to ci go w przyszłym liście obiecuję przepisać. Na teraz—miej dość na tém, że masz list ze stemplem: *Firenze*.

XLV.

Do tegoż.

Florencya (Firenze), 3 Listopada 1829 r.

Choćbym miał z tuzin oczu i ze cztery ręce,
Nie byłoby to jeszcze nadto na Firenze,
Gdzie tyle jest co *widzieć*, i tyle co *pisać*.—
Lecz gdy męka autorom treść z pióra wysysać,
Nie mniejszy bodaj kłopot, kiedy nawał treści
Bucha tak, że się w głowie nakoniec nie mieści,
A wrąc w nią i helkocąc, jak w kociołku wrzątek,
Mąci nie tylko wątek, ale i początek.

Doświadczam tego na sobie. Od dwóch dni łamię
głowę z jakiej beczki zacząć—a dotąd wszystkie pod
szpuntem. A jest tych beczek w głowie jak w piwni-
cy, tak, że na sam ich widok, już się w mózgu kręci.

Lecz zacząć—mówi Horacy—
Jest to już zrobić pół pracy.

Dimidium facti habet, qui coepit. A więc posta-
nowiłem koniecznie zacząć dziś, i zaczynam—ale da-
ję ci słowo, że jeszcze sam nie wiem od czego. Wpraw-
dzie wiem dobrze, czegoś najciekawszy — Medycej-
skiej bogini piękności! Ale ja właśnie o nią chciał-
bym mówić najpóźniej, aż się lepiej nauczę czuć ją
i oceniać. Wiedz bowiem, że piękność żywa tak się
ma do piękności w sztuce, jak płomień do krzemienia.
Ten cię chwyta i piecze od razu; z tego musisz naprzód

iskrę wykrzesać—potém na nią chuchać i dmuchać,
aż się także w płomień roznieci. Rafaelowski pędzel,
całą tęczą farb nie dokaże tyle, co nieraz jeden ru-
mieniec na liczku. Jedna intonacya głosu, może
sercem wstrząsnąć potężniej, niż cały chór orkiestry
z waltorniami i z bębmem. W jednym słówku tchnąć
może poezyi więcej, niż jęj w tomie wierszy wyczytasz.
O stosunku żywych kształtów i rzeźby, sam już sobie
w duszy dośpiewaj! Ale z tego wszystkiego co mó-
wię, zgadnąć już możesz łatwo, żem jeszcze nie w exta-
zie przed posągami bogini. Mówię *jeszcze*, bo być
bardzo może, że będę. W galeryach tutejszych jest
tłum wdziękiń kamiennych, Nimf i Bogiń, ubranych
i całkiem w *negliżu*. Otoż na porównaniu z każdą
Medycejka coraz więcej zyskuje, chociaż sama przez
się od razu nie czyni spodziewanego wrażenia. Przy-
najmniej nie uczyniła go na mnie. Wina w tém
pewno moja, nie Kleomenesa, (tak się nazywał jęj
snycerz). On tworzył ręką mistrza, ja patrzę okiem
profana. Dla mnie piękność—to wyraz duszy i po-
wab; dla artysty—to doskonałość wydania, i harmo-
nia rysów i kształtów. Allan, jako artysta, czuje to
i admiruje w Wenerze, chociaż nie może nie przyznać,
że pani *Zofijówki* była od niej piękniejsza i miłsza.

Pocziwy, kochany Allan! Tak się już do nas
po bratersku przywiązał, że nie tylko jest naszym
nieodstępny *trzeciakiem*, ale nawet prosi formalnie
abyśmy go nie wypuszczali z opieki, (to jest właściwie,
nie chwając się, *ja*, który jestem jego płatnikiem, dra-
gomanem i przewodnikiem), i obiecuje swój pobyt za-

stosować tu do naszego, byle razem jechać do Rzymu. Nie mieszkamy jednakże razem. My od wczoraj mamy mieszkanie prywatne, które dla nas wynalazł *Ciampi* ¹⁾, (*Canto alle rondini* Nr. 7000, ulica *Pianellai*); Allan został w oberży *di San Luigi*, gdzie nas wszystkich weturyn wysadził.

Ale *à propos* téj oberży, muszę ci opowiedzieć historyjkę o Adamie, która stanowi w sobie jakby cały dramat, a przytém i dość charakterystyczny epizod naszej podróży. Prolog dzieje się w Wenecyi. Napomykałem ci już kiedyś poprzednio, że w ostatnich dniach naszego tam pobytu, Adam był w kwaśnym humorze. O przyczynach pisać nie chciałem, ale teraz widzę, że muszę. Jedną z nich był i kwas na mnie—ale czy słusznie, sam osądź! Od zmiany we Frankfurcie *kredytywy* na złoto, ja byłem kassyerem Adama, to jest, dźwigałem w mojej kieszeni to złoto, i opędzając z niego wspólne kosztą podróży, właścicielowi dawałem do rąk tylko na drobne wydatki. Ale te *drobne wydatki* w Wenecyi, zaczęły tracić coraz bardziej swój *drobnostkowy* charakter, tak, że jako wierny stróż skarbu, ośmieliłem się w końcu zrobić nad tém uwagę. Pryncypał mój atoli nie przyjął jój wdzięcznie; spójrzał owszem na mnie tym

¹⁾ X. Sebastian Ciampi, urodzony w Pistoii w r. 1769 był przez cztery lata od 1818—1822 professorem literatury starożytnéj w uniwersytecie warszawskim. Pisał wiele po łacinie i po włosku, znaczną część prac swoich poświęcając dla Polski. Zmarł w roku 1847.

wzrokiem, jakim zapewne Król Ludwik XIV zabił kiedyś pocziwego Rasyna—i dał mi formalną dymisyą z mego urzędu kassyera, mówiąc grzecznie i sucho: „Proszę mi oddać moje pieniądze!”—Oddałem, nic nie mówiąc, razem z rachunkiem, który utrzymywałem bardzo akuratanie. On go zgniółł nie czytając w rękę, rzucił do kąta, i wyszedł. Ja podjąłem, odprostowałem, i schowałem na powrót u siebie. Cała ta scena zresztą odbyła się w parę minut, w milczeniu, i więcej mowy o niej nie było. Ślad jój wszakże pozostał w humorze stron obu; aż wreszcie nocleg w Padwie całkiem go i na zawsze zagładził. Ale skarb był już przy Adamie. Przesypał go tylko z rulionu do paciorkowego woreczka z klamrą, roboty panien Heleny i Celiny, i nosił w bocznej kieszeni, a na noc kładł pod poduszkę.—Teraz scena przenosi się do Florencyi. Dwa dni temu, śpiesząc jak zwykle, wyszliśmy rano do kawiarni, gdzie codzień schodzimy się z Allanem. Mieliśmy pójść trochę za miasto, ale że czas był brzydki, uchwaliliśmy raczej przebyć go w galerii *Pitti*. Wróciłem więc po katalog do domu. Klucz był jak zwykle u *garsona* oberży, który po wyjściu naszym urządził pościelę i sprzęty, a który, *inter parenthesim*, jest młody, rześki i bardzo rozmówny chłopak, a że chętnie słucham go i rozmawiam, więc z tego względu wielki mój przyjaciel. Ledwie mię spostrzegł—zaczyna kręcić głową, śmiać się figlarnie, i ćmakać ustami—co u Włochów jest bardzo zwyczajnym akcentem.—„*Cosa é?* (co to jest?) pytam zadziwiony.—„*Ah! ah! ah! il suo amico! il suo amico!*”

(ach, ach, ach! pański przyjaciel! pański przyjaciel!) — „Cóż on zrobił takiego?” — pytam znów zaniepokojony. — „Co zrobił?...” powtarza szyderczo; — i znów kiwając głową, śmiejąc się i grożąc palcem dodaje: „*Se fossi un birbante—ebbene! che sarebbe?*” (gdybym był złym człowiekiem—no! to cóżby było?). — „*Ma, per Dio! caro Luigi!*” — zawołałem prawdziwie z przerażeniem — „Co to ma znaczyć? nie rozumiem.” — On za całą odpowiedź, zwraca się do stolika, wysuwa szufladkę, i wydobywa z niej — co? — Paciorkowy worek ze złotem. Struchlałem, jakbym skamieniał. A on z tryumfującym uśmiechem oddaje mi worek i mówi: „Możecie panowie przeliczyć!” — i znów śmiejąc się i grożąc dodaje: „Ale pamiętajcie, panowie, że nie wszędzie jest taki Luigi!” — i to mówiąc stuka w siebie palcem jak dzidą. Ucisnąłem go czule, ochłonawszy z przestachu; a wracając, wyznaję, że tryumfowałem sam w sobie, i ze studencką uciechą rozmyślałem nad tém: jakby i za pokutę Adama trochę przymęczyć, i nie przerazić go zbyt, lub nie obrazić. Zastałem go rozmawiającego w najlepsze z Allanem, jak gdyby miał wszystko w porządku. Spytałem więc czy ma drobne, dla rozpląty w kawiarni? Sięgnął do kieszeni — i zamilkł. Już chciałem go uspokoić — bo mi się żal go zrobiło; gdy wtém on, nadrabiając fantazję, jakby nic go nie frasowało, odfuknął mi tylko opryskliwie: że nie ma, i że ja mam za niego zapłacić. „Czy tak? mój dobrodzieju!” — pomyślałem sobie — „obaczmyż, jak ty długo dotrzymasz?” — Jakoż po chwili powstał, wziął kapelusz, i chciał wy-

chodzić. „Dokąd to?” — zapytałem. — „Poczekajcie mnien! zaraz powrócę.” — A mówił to już bardzo łagodnie. Dopuszciliem go aż do progu — a wtedy śmiejąc się zawołałem: „No, no! wróć się, i bądź spokojny!” — Zaczerwienił się aż po uszy; ale znać było po nim, że odetchnął swobodniej. Wziął mię za ramię, i pocałował w czoło. Allan musiał się zdziwić, zkąd ta nagła czułość. Nic mu wszakże nie powiedziałem o tém. Ale worek odtąd znów u mnie. Właściciel dał zeń tylko dwa luidory pocziwemu *Luigi*, który je przyjął z gorącą, serdeczną wdzięcznością, i dopomagał nam gorliwie w przenosinach na nowe mieszkanie. — Nie prawdaz, że jest w tém cały dramat, i że się w nim wybitnie maluje charakter bohatera?

Ale ponieważ zacząłem już o nas samych — więc i dalej wyczerpuję ten przedmiot. Napomknąłem wyżej o *Ciampim*. Jest to przyjaciel i korespondent pana Joachima, który mię właśnie listem do niego opatrzył; były professor uniwersytetu Warszawskiego, z emerytury, którą ztamtąd pobiera, żyjący tutaj sobie na dewocyi literackiej i trudniący się zawsze piśmiennictwem, w przedmiotach zwłaszcza, że się tak wyrażę, polsko-włoskich, to jest takich, które razem zarówno obu krajów dotyczą. Takiem np. jest dzieło jego: „O uczonych, lekarzach i artystach włoskich w Polsce, i o polskich we Włoszech.” Pokazywał nam wiele ciekawych materyałów historycznych, które także skrzętnie zgromadza i przygotowuje do druku. Składają je między innemi: Instrukcyje różnych Papieżów, dawane Nuncyuszom w Polsce; Raporta

tychże Nuncyuszów o stanie Polski w rozmaitych czasach; Listy królów i panów polskich do Papieżów, i t. p. On sam jest miły i poważny staruszek, a raczej starzec, bo wysoki, barczysty i krzepki. A jakże on kocha Warszawę! Jak wszystkie jej kąty pamiętał! Jak widocznie młodnieje słuchając, i jakby mi rad nieba przychylić, kiedy mu opowiadał o niej, a zwłaszcza o uniwersytecie i o professorach, z których wielu znać że kocha serdecznie! Affekt więc ten rozciąga się i na nas. Sam ułożył nam cały program porządnego zwiedzania miasta i wszystkich osobliwości jego; sam nam *cyceronuje* gdzie może, a skoro mamy wieczór niezajęty, przychodzi dzielić go z nami w kawiarni, albo zaprasza do siebie. Dziwna to jednak, jak nasz duch gościnny przywiązuje i obowiązuje cudzoziemców, zwłaszcza gdy już kraj nasz opuszczają, i zapewne wspomnienia swe o nim porównują z tém, co ich [otacza! Mamy tu tego przykład na nim, i na Allanie. Obaj też są zachwyceni Adamem, a i na mnie bardzo łaskawi. Allan uczy mnie pronuncyacji angielskiej jak szpaka, i bodaj że nie z większym pożytkiem. Ciampi zaś sam się obiecał dopomagać mi w nauce po włosku, to jest przeczytać ze mną po kilka wyjątków z wielkich poetów, aby mi przez to kiedyś czytanie dzieł ich ułatwić. Język bowiem w poezji włoskiej różni się niezmiernie od prozy, a każdy z tych poetów ma jeszcze styl, tok, i ton swój odmienny. Przeczytałem już z nim tym sposobem kilka sonetów Petrarki, i prawie całą pierwszą pieśń Dantowskiego *Piekła*. Widzisz

więc z tego, że czasu nie tracę, a staram się korzystać—jak mogę.

Ale nie na tém koniec znajomości naszych. W parę dni po przyjeździe, byliśmy z oficjalną attencją u Posła, którym tu jest książę Gorczakow, młody i dziwnie piękny mężczyzna, w obejściu równie miły i grzeczny. Jest on kolegą szkolnym i przyjacielem Puszkina. O Adamie, jak mówił, wiedział wiele od niego i od innych. Przyjął nas jak nie można uprzejmiej, i sam z własnego natchnienia obiecał, jeśli zechcemy, dać nam poznać najpierwsze towarzystwa tu-tejsze. Rzecz jednak osobliwa, że i on, jak niegdyś Göthe w Wejmarze, jak tylko mowa o „*jolies dames*“, zaraz wyłącznie obracał się do mnie, jakby mi na łbie było napisane: że się tam nic innego nie mieści; albo jak żeby Adam był już tak lwem czy orłem, że na te gołębiątka i jagniątka nie baczy. Nie upokarza to mię przecież — i owszem bardzo skwapliwie pośpieszyłem przyjąć z wdzięcznością łaskawą ofiarę xięcia—bojąc się, aby jej Adam nie odrzucił—że nas zawiezie na bal do xięcia *Bacciocchi*, który ma być w przyszłą sobotę, i na którym ma się znajdować całe piękne towarzystwo Florenckie. Adam istotnie gderze już mię za to, że będziemy musieli wydać kilka dukatów na najęcie karety, na kupienie nowych trzewików, rękawiczek, i t. d. Ale niech sobie! Kiedy nie żałujemy płacić za wstęp do galeryi malowanych obrazów, toć przecie żywe są godniejsze widzenia. Wreście pocziwy Allan wziął też moje stronę, i sam, dla kompanii naszej, ma pójść jutro

umyślnie do swojego posła, aby także od niego bilet wejścia na bal ten otrzymać. Napiszę o nim, co i jak będzie. Tymczasem na zakończenie téj rubryki dodaję, żeśmy poznali także xięcia Ogińskiego (Michała), który tu od lat kilku osiadł na stałe mieszkanie, a którego żonę i trzy córki znałem w Wilnie, i byłem u nich raży kilka na wsi w Zalesiu, w niedalekiem sąsiedztwie od Dziewiętni. Sława Adama, i ta moja znajomość, zjednały nam tak uprzejme przyjęcie, że od piérwszój zaraz wizyty jesteśmy uważani nie jak obcy goście, ale jak przyjaciele domowi, i codzieln zapraszani na obiad albo na wieczór—z czego nawet tak często nie możemy i nie mamy czasu korzystać. Dawne nasze przysłowie mówi o polskich panach, że dobrze jest:

„Z Czartoryskim żyć,
Z Radziwiłłem pić,
Z Ogińskim jadać,
Z Rzewuskim gadać.“

Ja wszakże nad wszelkie —smaczne w rzeczy samej obiady, wolałbym tysiąc razy słuchać tylko *gadania* Ogińskiego; tak wdzięcznie, i tak wiele ciekawych rzeczy opowiada. Ale cóż? Jak tylko przyjdziemy na dłużej, zaraz na stół wyłożą te przekłęté szachy, przy których jak zasiadą z Adamem, wszelka rozmowa bierze naprzód *matą*; a potém te ustawiczne i jednostajne *szach, szach!* z każdój strony, co jak placka na muchy biją mię po uszach, tak jakiś magnetyczny wywierają wpływ na mnie: że jak

w Bonn kiedyś przy sanskrycie Schlegela, jak wszędzie na operach *Vaccai*, tak i tu żadną miarą od snu się opędzić nie mogę, a potém tylko muszę się rumienić, gdy mię albo śmiech graczów ze mnie, albo własne chrapnięcie obudzi. To téż wolę wieczorem, kiedy nie jesteśmy w teatrze, siedzieć w kawiarni z Allanem i Ciampim, albo fertać się po ulicach z jednym jeszcze nowym znajomym, p. Fortunatem Heryngiem z Warszawy, z którym nazajutrz zaraz po przyjeździe spotkałem się i poznałem na ulicy. I szczególne to było wrażenie, kiedy właśnie w téj samej chwili, gdy idąc sobie rozmyślam, że już tu pewno nie ma żywój duszy, coby na mnie zwróciła uwagę:—słyszę tuż obok siebie wymówione moje nazwisko. Zląkłem się, sam nie wiem dla czego;—i to był piérwszy początek znajomości z panem Heryngiem, który znał mię z widzenia w Warszawie, i tu piérwszy życzliwie powitał. Znajomość ta jest nam równie miłą i pożyteczną, jak była p. Badowskiego w Wenecyi. Pan Heryng, jako dawniej przybyły, zna już tu wszystkie ścieżki i drogi, które albo wskazuje, albo otwiera przed nami, a sam towarzysząc nam chętnie, mnóstwo drobnych kłopotów załatwia. A i to jeszcze do codziennych tu moich obowiązków zaliczam, aby choć na kwadransik wpaść do chorój pani Dernałowiczowój, dla którój, zamkniętój w hotelu, jest to widzę jaką taką rozrywką, a więc i dla mnie bodźcem, aby tego nie zaniedbywać. Hiszpański zaś nasz towarzysz podróżny, po dwudniowém leczeniu się na nogę, poje-

chał już sobie do Livorno, aby ztamtąd do Francji odpłynąć.

I oto są żywe stałe punkta, wśród których lub z którymi kręca się tu, jak w zegarku, kółka naszego codziennego żywota, zahaczając się i szlifując o tysiące martwych, wielkich i małych, najczęściej nawet kamiennych przedmiotów, o których też mniej więcej trzeba ci coś powiedzieć.

I Florencja ma ten sam tytuł czy przydomek co Wenecja, to jest: *la bella*. Ale jeżeli Wenecją równają do Wenery, rodzącej się z fal morskich; to Florencją tém słuszniej należałoby porównać do Flory; bo nie tylko siedzi wśród kwiatów, ale nazwisko nawet wzięła widać od nich. Przypatrzyliśmy się już jej zblizka, a najpierw z wysoka, to jest z prześlizcznej wieży katedralnej (*Campanilla*), na którą nas pan Heryng, zaraz nazajutrz po spotkaniu się ze mną zaprowadził. Biedny Allan ledwo się wdrapał; ale trud był opłacony sowicie.

Długa dolina, na której leży miasto, przepasana błękitną wstęgą rzeki Arno, z trzech stron zwłaszcza zamknięta jest blizkimi górami. Na wschód zielone pagórki bieleją malowniczo rozsianymi domkami. Jesieni tu jeszcze nie widać. Pola uprawne jak ogród. Wierzchy tylko gór tu i ówdzie sterczą nago i szaro nad tém morzem zieleni, rysując się na tle niebios błękitu, którego żadna chmurka nie émiła. Rzeka przedziela niasto na dwie nierówne części, połączone czterema mostami, z których zwłaszcza jeden, Ś. Trójcy, (*Ponte a Santa Trinità*), tak się zdaje zgra-

by i lekki, jakby szczupak w podskoku przerzucił się przez rzekę. Inne zabudowane są po bokach sklepami, jak ulice. Wzdłuż rzeki, po obu stronach, ciągną się wspaniałe nadbrzeża, zwane ogólnie *Lungo l'Arno*, albo *Lungarno*, z dodaniem nazw częściowych. Miasto opasane dokoła murem i ogrodami, zabudowane jest ciasno; domy najczęściej w kwadrat, sądząc z góry po czworogrannych otworach we środku, które im muszą służyć za dziedzińce. Dachy płaskie, kryte dachówką. Kościołów wyższych i większych naliczyłem tuzin; jest zaś ich wszystkich osiemdziesiąt kilka. Ludność przechodzi sto tysięcy. Wiem to z *Przewodnika Podróżnych*, bo resztę wszystko, co tu mówię, własném okiem *à vol d'oiseau* widziałem.

Onegdaj, jako w dzień Wszystkich Świętych, i wczoraj, jako w Dzień Zaduszny, całe ranki poświęciliśmy kościołom, a popołudnie ogrodom. Galerye były zamknięte. Ale tu każdy kościół to jak galerya i muzeum razem; (niekiedy nawet aż z ujmą godności i powagi świątyni); a zaś w ogrodach, migające obrazki i statuetki, więcej budzą moję ciekawość, i sto razy żywsze współczucie, niż wiekujące w ramach i na piedestałach.

Ze wszystkich dotąd kościołów Florenckich, największe na mnie wrażenie zrobił wczoraj kościół Ś. Krzyża (*Santa Croce*), i to wcale nie swoją architektoniczną pięknnością, ani artystyczném bogactwem, ale wrażenie czysto duchowej, poetycznej natury. Jest to „Panteon Włoski,” jak go nazywają; przyby-

tek prochów *nieśmiertelnych* ludzi, którzy tu, w ognisku Italii, byli dla niej, rzecz można, temi promieniami, które obliczu jej świetność, myślom jasność, a samemu jej imieniu jakby oblask aureoli nadały. Na grobach więc takich nieboszczyków, jak Galileusz, Michał-Anioł, Machiawel, Alfieri, i t. d. obchodziliśmy wczoraj formalnie *Dziady*; przyczém Adam odegrał rolę prawdziwie natchnionego *Guślarza*. Przyszliśmy już po nabożeństwie i kościół był prawie pusty. A przyszliliśmy wprost z prześlicznego kościoła *Santa Maria Novella*, który Michał - Anioł zwykł był nazywać „swoją ulubioną kochanką,” tak był rozmówany w architekturze jego i skarbach wewnętrznych; agdzie, oprócz admiringowania dzieł mistrza jego (*Ghirlandajo*), i wielu godnych jego poprzedników i współzawodników, byliśmy szczególnie wzruszeni precudowną muzyką i śpiewem żałobnym, który płynąc z ust niewidzialnych śpiewaków, ukrytych w głębi chóru za zasłoną z kiru, bez przesady tobie powiadam, że zdawał się być głosem z tamtego świata, echem chóru błogosławionych duchów;—co mi już tam najpierw przy-pomniało *Dziady*. A jeśliż to na mojem uchu niedźwiedziem takie czyniło wrażenie, to cóż dopiero mówić o Adamie, na którym muzyka każda gra jak wiatr na arfie eolskiej. To też był on po swojemu zamknięty w sobie i milczący, gdyśmy szli i wchodzili w progi *Santa Croce*. Kościół ten zawsze mroczny, poważny, posepny, zdawał się być wspanialszym i posepniejszym niż kiedy, przy kirowych dokoła oponach i w blasku niepogaszonych jeszcze gromnic na ołtarzach i wkrąg katafalka. Głos gaszących je wła-

śnie zakrystyańczyków przerywał tylko czasem uroczystą ciszę, zalegającą cały ten gmach, olbrzymi a pusty. Ciemność nie dozwalała oczom rozpatrywać się szczegółowo w pomnikach i rzeźbach; za toż ogół wrażenia był większy. Przy grobie Galileusza Allan zrobił jakąś uwagę o losie wielkich ludzi za życia, i o przeszkodach, jakie każdy nowy geniusz i każda nowa prawda na tym świecie spotyka. Słowa te padły jak iskra na minę. Adam ze słupa *dymu*, stał się słupem *ognistym*.

„Wieczna walka człowieka z Niebem o pierwszeństwo ziemi nad słońcem, (mówił); tak w świecie natury jak ducha, jest jedną z wielkich tajemnic Stworzenia i Odkupienia. W obu tych światach jest *słońce*—stworzone i objawione—źródło życia, światła i siły; niewzruszony środek wszystkiego. A przecież ile wieków minęło, ile walk staczać było potrzeba, nim Kopernik, a za nim Galileusz, odkryli i przekonali, że ziemia nie jest panią, ale sługą słońca. Ale prawda ta w świecie widowym, raz odkryta i dowiedziona, jakkolwiek mogła oburzać i upokarzać współczesnych, że jej sami wprzód nie dostrzegli: dla następnych wszakże pokoleń jest już jasną i nieruchomą jak słońce. Tymczasem w świecie ducha, pomimo tylokrotnych świadectw i doświadczeń najmędrszych i najcenniejszych ludzi tylu wieków, słońce prawdy duchowej ulega ciągle jeszcze wątpieniu i roztrząsaniu każdego nowego pokolenia, które tę prawdę po swojemu przesądza, a zawsze chce ją uczynić *satellitą* ziemskiego rozumu. Pochodzi to nie z kądiną, jak z różnicy oręża, którym człowiek w świecie natury i w świecie

ducha wojuje. W pierwszym, orężem tym jest rozum; w drugim, uczucie. Rozum, chociaż się czuje upokorzonym przed geniuszem, który mu po raz pierwszy nowe prawdy odkrywa lub dawne błędy jego wykazuje: widzi wszakże w nim tylko wyższy stopień własnej swojej potęgi, i rad poprzestaje nakoniec na udziale w tryumfach, które geniusz w imię jego odnosi. W świecie ducha przeciwnie. Rozum niezdolny sam przez się dójść i ogarnąć ostatecznej prawdy, tém mniej daje się powodować uczuciu, że ono samo nie inaczej, jak przez pokorę tylko, do uwierzenia tej prawdzie, a przez wiarę dopiero do przeświadczenia się o niej przyjść może. Rozum więc woli przez pychę zaprzeczyć raczej z góry prawdzie, której nie zna, niżli dla jej poznania zacząć od wyrzeczenia się pychy, przyrodzonej siostry swojej po grzechu. Ztąd też to, nie z czego innego, wynika zawsze i to sprzeciwieństwo, jakie ludzie wielcy zazwyczaj we współczesnym społeczeństwie znajdują. Wyższość ich w duchu, razi pychę równych im w ciebie; chyba że ich materialną potęgą do uznania tej wyższości przymuszają. Ale i dla przyszłych nawet pokoleń stają się oni bożyszczem często nie przez cò innego, jak przez to, że im służą za miarę do sądzenia i poniżania współżyjących, a obok tego, solidarnie niejako w każdym pychę ludzką podnoszą i łechcą. Wszystko zaś razem wzięte jest tylko dowodem: że w świecie ducha, *ziemia*—której siłą jest rozum, a grzechem jego pycha—przeważa dotąd nad *słońcem*—którego światłem prawda, a ciepłem jest miłość.”

Oto masz suchy ekstrakt z żywych słów Adama, którymi on przez kwadrans prawie, mnie jak zwykle—a zaś Allana tak widać niespodzianie po raz pierwszy zachwyił: że prawdziwie pocieszenie było go widzieć, jak z otwartymi ustami i wielkimi oczyma wpatrywał się w Adama i słuchał. Bo chociaż mu już przedtém mówiłem, -kto był Adam; on jednak wierząc na słowo moje w znakomitość jego jako poety, nie spodziewał się pewnie znaleźć w nim takiego człowieka, jakim się przed nim w tej chwili, nie tylko w słowach swoich, ale nawet i w tonie głosu, i w wyrazie twarzy okazał. Było to bowiem jedno z tych improwizacyjnych natchnień, które czasem na niego przychodzą, ożywiając go wtedy nagle, jak wschód słońca posąg Memnona. Allan w tym razie przypominał mi Davida; na obu zaś wrażenie chwil takich działało còś nakształt tego, jak zgłoska *von* w paszportach naszych, na owych dwóch kupczyków z Lipska, którzy płynęli z nami z Moguncyi do Kolblentz, i wprost skutkiem tej partykuły, ton swobodny i poufały obejścia jednym razem z nami zmienił. W Allanie, jak w Davidzie, widzę i czuję wyraźnie, że w miarę rosnącego wyobrażenia o Adamie, staje się z nim jakby żenowany; rychtyk jak każdy z nas w obec piękności, gdy mu się coraz bardziej podobać zaczyna. Ja zaś w obu tych razach używam niejako przywileju stariej ciotuni, albo młodziej siostrzyczki: gdy afekt dla samiej bogdanki, hamowany przed nią respektem, rozlewa się i na nie, jak

woda wezbrana przed tamą, albo się o nie tém jawniej i śmiej, jak kula dla rykoszetu, odbija.

„*Wszelki duch!.. i nie wódz mię na pokuszenie!*...” pomyślałem w téj chwili, i przeżegnałem się. Ale i to nie pomaga. Bo czyż to nie widoczna pokusa? Tylko co miałem w myśli same kiry i groby, i już się gotowałem zacząć opisywać pomniki: gdy oto jedno proste porównanie, co mi się samo nawinęło pod pióro — rychtyk szmer sukni jedwabnej w kościele, kiedy się człek modlisz w najlepsze — tak nagle myśli moje w inną stronę zwróciło; tak żywo stanął mi w oczach wczorajszy spacer w ogrodzie *Boboli*; że albo muszę list przerwać, albo dać pokój nieboszczykom i grobom, a przenieść cię — jakby między szczęśliwe duszyczki, które w skutek modłów powszechnych dostawszy się wczoraj do raju, przebiegały zapewne po nim tak wesoło i raźnie, jak żywe a młode Florentki po tym istnie Edeńskim ogrodzie.

Zebranie było tak liczne i strojne, że oprócz ciepłej a prześlicznej pogody, nie zgrzeszę zda się posądeniem, gdy powiem, że i chęć otrząśnięcia się z żalobnych porankowych wrażeń i kirów, nie mały w tém musiała mieć udział. Kręte ulice, pomiędzy zielonemi klombami, na tle zieleniejszych jeszcze i jakby axamitnych trawników, wyglądały jak różnobarwne, przesuujące się wstęgi lub tęczę; a zaś w strzyżonym, laurowym szpalerze, natłok był jak w sali balowej. Za dowód wrażliwości natury i wyobraźni włoskiej, mógłby też może posłużyć psychologowi widok pogody i wesołości na tych wszystkich twarzach, po

których jednak dziś rano, przy rozpamiętywaniu o śmierci i o umarłych, niejedna łza pewno spłynęła. Ale co nas uderzyło szczególnie, to, oprócz gustowności w strojach, jakaś pewna ogólna cecha poloru, wdzięku, i przyzwoitości towarzyskiej. Co to za podobieństwo np. z owém gwarném, jarmarcznm zebraniem na Lido, albo z tym jakimś amazońskim ruchem i szyrmem Bolonezek! Przypominało mi to raczej nasz miły ogród Saski, w dni świąteczne albo niedzielne, gdzie nieraz te same twarzyczki, cośmy widzieli przez okna zgięte nad sztabnówkami trzewików lub sukien, noszą modne kapelusiki z taką gracyą i z taką godnością, jak pewnoby, w razie danym, choć mitrę nawet potrafiły nosić. O Warszawie ktoś trafnie powiedział, że jest to przedewszystkiem miasto *pańskie*; — mnie zaś w téj chwili przychodzi concept — że obok znajomego powszechnie *dictum*:

„Szlachcie na zagrodzie,
Równy wojewodzie,”

możnaby niemniej słusznie powiedzieć w ogólności o Polkach:

W płóciennój spodniczce,
Podobna xiężniczce.

Otoż ze wszystkich miast, jakie dotąd widziałem, Florencya pod tym względem zdaje mi się być najpodobniejszą do Warszawy. W mężczyznach nawet, a zwłaszcza w żołnierzach, zastanawiały nas również: inteligentny wyraz twarzy i oczu, a zręczność i swoboda w ruchach. (Od wieków téż tu, obok lamp i wa-

zonów, gliniane nawet dzbany i gąsiorzy Etruskie kształtnością formy sływały). Nie darmo bowiem Florencyą zowią *Atenami Włoskiemi*. Wiész pewno, że tylko w Toskanii lud mówi czysto po włosku; we wszystkich zaś innych krajach Italii, ma wszędzie swój osobny dyalekt, a raczej *żargon*, które wszystkie, z pomiędzy Włochów, sam jeden chyba Mezzofanti rozumie. W tutejszym ludowym teatrze *Cigli*, gdzie bilet parterowy kosztuje tylko 2 gracye (6 groszy naszych), zamiast samych figlów Pajaca, lub płaskich conceptów Arlekina, jak gdzieindziej, dają sztuczki moralnej i estetycznej treści, wzięte z życia i obyczajów ludu. Publiczność na parterze i w łozach, (a jest ich 46), zachowuje się równie skromnie i przyzwoicie, jak w większych tutejszych teatrach; chociaż wszędzie równie żywo i głośno przyjmuje i objawia wrażenia. Widowiska sceniczne, jak mi mówił Ciampi, stoją tu prawie na równi z codziennymi potrzebami życia, jak niegdyś w Romie: *panis et circenses*. (A i w tém rys podobieństwa z Warszawą). Teatrów jest tu bodaj siedem czy osiem; my byliśmy dotąd we czterech, licząc w to i ów *Cigli*. Teatr wielkiej opery i baletu, (*della Pergola*), wspaniały i bogaty co do budowy i ozdób, (5 pięter, w każdym po 22 łozę), nie zachwycił nas wcale ani operą, ani baletem, ani nawet *ballerinami*. Ale za toż nie mam dość słów na uwielbienie doskonałości komedyi, w teatrze del *Comero*, a zwłaszcza doskonałości gry p. *Luigi Vestri*. Raz tylko widziałem starego Wojciecha Bogusławskiego, na ostatniem pożegnalm występ-

niu jego w Warszawie, a odtąd jeden tylko *Vestri*, tak mi kazał zapomnieć o scenie, tak porwał i tak wcielił niejako w akcyą, że zda się byłem świadkiem rzeczywistego wypadku. I co dziwna, że ledwie przez piąte dziesiąte rozumiejąc co drudzy mówili; z gry, z twarzy i z gestów *Vestrego*, nie tylko rozumiałem wszystko, co sam mówił, ale nawet przez niego myśl słów tamtych i treść całej sztuki pojąłem. Widziałem go już dwa razy, w komedyi Goldoniego „*Il Sposo Sagace*,” i w drugiej, „*Poeta Fanatico*.” W obu razach pękałem od śmiechu. Adam, który zna teatr francuzki i włoski w Odessie, Petersburgu i Moskwie, a był także na teatrze w Berlinie, powiada również, że podobnego komika nie widział. Mówią, że jest też niemniej doskonałym tragikiem; ale tu przy nas jeszcze żadnej tragedyi nie grano. W teatrze nawet pod imieniem Alfieriego, (*Teatro Alfieri*), trafiliśmy tylko na operę Mercadantego, „*Eufemio in Messina*,” która podobala się nam jużciż lepiej, niż te *somniferyczne* kantaty i *recitative* Vaccai, które i tutaj w *La Pergola* Morfeusza na mnie nawoływały. Sam teatr *Alfieri* nie wiele jest mniejszy od tamtego, (bo ma także pięć pięter dwudziesto-łozowych); ale miejsce bogactwa i przepychu zastępuje tu tylko poetyczność ozdób. Na sklepieniu całe grono Muz; nad sceną Parnas Włoski. Na stopniach jego siedzą Dante i Petrarka; dalej stoją Ariost i Tasso. W pośrodku Italia, w postaci kobiety, podnosi się z tronu na spotkanie Alfieriego, którego Sława w wieńcu ku nięj prowadzi. Pamięć tego poety, jak widać, jest tu w szcze-

gólniejszém uczczeniu. Oprócz nazwy teatru, dom, w którym mieszkał i umarł (w 1803), należy do osobliwości miasta, które każdy przewodnik cudzoziemcom wskazuje. A i pomnik jego w kościele *Santa-Croce*, jest, podług mnie, najpiękniejszy ze wszystkich;—nie dziw, bo i najnowszy, i dłota Kanowy. Ale sam nawet pomysł daje mu już pierwszeństwo. Nad grobem np. Michała-Anioła, wyobrażone są tylko trzy Sztuki, a raczej trzy boginie Sztuk Pięknych: Malarstwo, Rzeźbiarstwo i Architektura; nad grobem Alfierego, sama Italia płacze swego poety. Piękność jej twarzy jest zachwycająca. Mówią, że nosi podobieństwo rysów hrabiny Albany, przyjaciółki Alfierego, która koszt na ten pomnik łożyła, a dziś już sama, pod jednym z nim dachem, spoczywa w pobocznej kaplicy.

Ale wróciwszy do *Santa-Croce*:—Każdemu, kto myśli i czuje, mimowolnie nasuwa się pytanie, które Byron przez usta Childe-Harolda wyraża: „*But where repose the all three?*...

*Ale gdzież leżą wszyscy trzej, synowie
Ziemi tej: Dante, Petrarca, Boccacio,
Co dotąd, w duchu i w natchnioném słowie,
Od wieków zmarli, żyją między bracią?
Czemu ich nawet proch się tu nie mieści,
Tu, gdzie już przez ich nieobecność samą
Wznawia się pamięć ich krzywd i boleści,
Będących wieczną ich ojczyznę plamą?...*

Za odpowiedź niejako na to pytanie, (naśladowane z myśli, nie ze słów Byrona), niech ci posłuży własny

mój wiersz, stosujący się zwłaszcza do Danta, o którym już w poprzednim liście wspomniałem, a który mam tu zaraz przepisać, powiedziawszy ci prozą:
Bądź zdrow!

PROROK.

W kim duch lotny, myśl wysoka,
Serce żadne świata chwał,
Cóż mu za dziw, że Proroka
Cześć i miano miećby chciał?

Lecz niech ujrzy—a ochłonie—
Jaki na to brać ma chrzest;
Czém u ludzi—nie po zgonie—
Lecz za życia Prorok jest.

Szał, ślepotą, czeze rachuby,
Pchną lud jego w grzech lub srom;
Prorok widzi otchłań zguby,
Groźb niebieskich słyszy grom.

Prorok woła, co mu każe
W sercu Prawda, w duszy Bóg:
Za odpowiedź grzmią potwarze—
Wszyscy bracia, on jest wróg!

W nim się serce żalem krwawi,
Wkoło śmiechu szynny ton.
Wszyscy mądrzy! wszyscy praw!
Kłamca, zdrajca—jeden on!

Najlichszego gmin podnasza,
Gdy ma kamień rzucić nań.
Ból i los Jeremiasza,
To proroków wszystkich dań.

Lecz czyż zmiłknie, i z bojaźni
Natchnień Pańskich stłumi dar?
Czyż i w nim się nie rozdrażni
Człowieczego gniewu żar?...

Biada, biada Prorokowi,
Gdy błąd karcąc, sam brnie w błąd!
Bóg litośny człowiekowi,
Lecz na niego inszy sąd.

Wziął najwyższe—wziął natchnienie,
I najwyższe musi dać,
Na co ludzkie przyrodzenie,
I ludzkiego ducha stać.

Prorok musi zrzec się siebie,
Chwałą, życiem wzgardzić tu;
Stos kamieni, co go grzebie,
To dopiero ołtarz mu.

Tam się naród w pierś uderzy,
Tam wdzięczności spłaci dług,
Gdy po skutku groźb uwierzy,
Że z Proroka mówił Bóg.

XLVI.

Do Ignacego Chodźki.

Florencya, 8 Listopada 1829 r.

Nie pisałem do ciebie z Bolonii, jako ze stolicy
Romanii czy Legacyi Rzymskich, bo to nie jest wła-
ściwie żaden kraj osobny, ale tylko *Appendix*, albo
raczej *Filia* Kościelnego Państwa. Etrurya, *vulgo*
Toskania, to rzecz inna.

I niech mi Wasza Mość wierzy,
Że w Wilnie na święty Jerzy,
Ni w Mińsku na święty Józef,
Nikt z was nie cieszy się szczerzej,
Gdy nie czekając na pozew,
Ma czém spłacić kredytora,
Jak ja, biorąc się do pióra,
Aby i ztąd, *gwoli* słowu,
List do ciebie pisać znowu.

I to nie dla tego bynajmniej, żeby mi dług ten
tak ciężył, ale tylko że mi jest miło myśleć, że mię
ta akuratność waszej pamięci i myśli przypomni,
a o mojej nawzajem przekona.

Z listów do Juljana, które z różnych miejsc po
wyjeździe z Wenecyi, i ztąd już raz pisałem, wiész
zapewne co wiedzieć potrzeba, abym się nie musiał
powtarzać, a tylko wprost, jako ciąg dalszy, konty-
nuował relacye moje.

Damy twoje pewno ciekawe, jak mi się powiódł bal włoski; a że to właśnie najświeższy wypadek, co mi brzęczy i miga w pamięci, od niego więc naprzód zaczynam. Wczoraj, o godzinie 9-jej wieczorem, w białych chustkach i rękawiczkach, jak do ślubu, i w błyszczących trzewikach, jak do tańca, wsiedliśmy do karety, jak wielcy panowie, i pojechaliśmy do xięcia Gorczakowa, u którego byliśmy już rano, ażeby się dowiedzieć, co i jak mamy czynić wieczorem. W salonie zastaliśmy dwóch jakichś panów, równie jak my wysztafirowanych balowo. Xiążę, który wszedł wkrótce, zapoznał nas z nimi. Jeden xiążę Naryszkina, a drugi hrabia Borch, z Infant;— to jest wszystko, co o nich wiemy. Gospodarz z dziwnym taktem uprzejmości tak umiał kierować rozmową, że wszystkim gościom swoim z kolei pole do mówienia podawał. Adama z żywym zajęciem wypytywał o znajomych i nieznajomych sobie, starszych i młodszych literatach w Moskwie i Petersburgu, i znać było, że na zdania jego o nich przystawał. Na mnie znowu przypadły damy—*à propos* „uroczych,” jak się xiążę wyraził, dam warszawskich, i porównywania ich z niemieckimi. Przekonałem się atoli, że w tym przedmiocie xiążę Naryszkina był sto razy większym odemnie, jeśli nie amatorem, to znawcą. Słuchałem więc z ciekawością co mi opowiadał o Włoszkach, podczas kiedy gospodarz domu z hr. Borchem o niezdobytych warowniach Dynaburga rozmawiał. Piliśmy przytém herbatę, i bawiliśmy przeszło godzinę. Około jedenastej dopiero xiążę

oświadczył, że już pora jechać. Każdy z gości miał swój powóz osobny. My za najęcie naszego zapłaciliśmy dwa skudy, z *napiwkami* dla furmana (*per bére*).

Xiążę *Bacciochi*, do któregośmy jechali, jest to szwagier cesarza Napoleona, mąż najstarszej siostry jego Elizy, teraz już wdowiec po niej, i żyjący tu sobie jak prywatny bogacz. Cały front pałacowy był uilluminowany lampami. Kareta xięcia, a za nią i nasze, wjechawszy wszereg powozów, zapelniających ulicę, ruszały się już tylko jakby za konduktem. Pierwszy raz w życiu jechałem na bal w ekwipażu na własną rękę, i ta myśl tak mię bawiła, jak Adama ta moja uciecha. Aprobuje on wszakże mój system, jak ja go nazywam, *pszczelny*, to jest, ażeby z każdej chwilki i okolicznostki, jak pszczołka z drobnego ziółka, starać się i umieć wyciągnąć co najwięcej słodyczy; bo z takich tylko mikroskopijnych kropelek składa się w końcu w duszy ów *godzinkowy* „plastr miodu Samsona,” którym nawet ten olbrzym siły swoje pokrzepiał.

Dygressya ta i przerwa w narracyi, niech wam będzie jakby obrazem zatrzymania się powozów przez minut kilka, nim nakoniec i nasz z kolei zatoczył się przed zajazd, gdzie już xiążę stał w progu i czekał.

Wschody okryte przepyszny kobiercem, umajone po bokach wazonami kwiatów, odbijały w ogromnych zwierciadłach rzesiste oświetlenie kinkietów i żyrandoli. Służba miejscowa, skoro xięcia poznała, chciała wnet przed innymi utorować mu wejście na

górze; ale on wolał czekać cierpliwie, aż jakaś wspa-
niała dama, (niewątpliwie Angielka), w zielonej axa-
mitnej sukni, z szerokiemi falbanami z koronek, z bry-
lantami we włosach, w uszach i na szyi, odbyła prze-
gląd loków i toalet dwóch wysmukłych panienek
w bieli, i samą siebie we zwierciadle—i dopiero:

Goniąc szat ich ogony po kwiatkach dywanu,

weszliśmy w ślad za niemi do pierwszego salonu, gdzie
sam gospodarz domu, niski, gruby i okrągły jak
beczka, grał już w wista z jakimiś gwiazdzistymi
panami, i podnosząc się na wpół z trudnością, wielce
uprzejmie podał rękę xięciu. Xiążę wskazując na
nas, wyrecytował jednym tchem wszystkie nasze na-
zwiska, których on pewno ani dosłyszał. Kiwnął
nam wszakże głową, i przebąknawszy machinalnie:
„*Charmé, charme, Messieurs!*” zajął się znów swemi
kartami—i tyleśmy go widzieli. Czy była jaka go-
spodynja balu? nie wiem, bo już nas więcej nie przed-
stawiano nikomu.

Każdy bal w pierwszej chwili, wyznaje, jest za-
wsze dla mnie bardzo zajmującym widowiskiem, jako
żywa zarazem galeryja obrazów i scena; a zawsze
mi się naprzód przypomina „*Malwina*,” gdzie po raz
pierwszy w życiu opisanie balu czytałem. Wczoraj
ciekawość i nowość dodawały jeszcze bodźca wrażeniu.
Wchodząc do sali tanecznej, przyszła mi na myśl
strofka z ballady Göthego „*der Sänger*” (Śpiewak),
którą znasz z epigrafu do mojego „*Kasyana*”:

*Seyd mir gegrüsst, ihr edle Herrn!
Gegrüsst, ihr schöne Damen!
Welch reicher Himmell! Stern bey Stern!
Wer kennet ihre Namen?*

i którą sparodyowałem naprędce, stosownie do oko-
liczności, i wydeklowałem Adamowi do ucha:

Witajcie nam, Signori!
Witajcie, piękne damy!
Co tu gwiazd! co za splendory!
Szkoda że was nie znamy.

I z tej to właśnie przyczyny, po godzinie tego
spektaklu, znużyła nas i znudziła rola spectatorów.
Pocziwy Allan, który się wnet do nas przyłączył,
przeszedł wraz z nami też koleje wrażeń, i w dal-
szym ciągu wieczoru, prozaicznym już tylko okiem
rozpatrywaliśmy się w szczegółach włoskiego balu.
Pokoje umeblowane bogato, ale wszystkie w ogól-
ności dość ciasne; sala nawet do tańca niewielka,
i równie jak wszystkie inne kwiecistym kobiercem
zastłana, tak, że kroków tancerzy nie słyszać. Mu-
zyka grała z balkonu nad wejściem. Tańczono same
kadryle francuzkie i tylko niekiedy walca. Rozno-
szono sorbety, lody i cukry. W bufecie były wina
i zimne przekąski, ale wieczery właściwej nie było.
Swoboda jak na balu publicznym. Towarzystwo zło-
żone najmniej z dwiestu osób, przeważnie Anglików
i Angielek, spacerowało sobie po wszystkich salonach.
Z Polaków, prócz p. Borchy, był jeszcze młody xiążę
Sanguszko (Władysław) z żoną, xiężniczką Lubo-

mirską z domu, najpiękniejszą z całego balu. Pan Borch zapoznał go z nami, a on przedstawił nas żonie. Z postaci istna Dyanna; z twarzy—nie powiem Wenus—bo od Medycejskiej nawet piękniejsza; ale raczej Charyta, lub Anioł Kanowy. Jednym słowem, królowa balu! I rzecz dziwna, jak solidarnie niejako czuliśmy jej tryumf, jako współziomki; choć nie wiem, czy która ze współziomek doznawałaby podobnego uczucia—. Jednym razem, około godziny pierwszej, ruch się zrobił po wszystkich salonach. Byliśmy w drugim czy w trzecim, gdyśmy usłyszeli wkrąg siebie: „*La masurque! la masurque!*”—i razem z tłumem ciekawych wcisnęliśmy się do sali tanecznej. Angielki zwłaszcza tłoczyły się na przebój. Dwie z nich, a jedna młoda i ładna, znalazły się tuż przy mnie, ale ani spójrzały na mnie. Mazurek zajmował wszystkich. Pan Borch był w pierwszej parze z piękną Sanguszkową. Mąż jej, książę Naryszkin, i jakiś Kurlandczyk, składali trzy inne pary, z jakimiś nieznanymi damami. Dla mnie nie był to spektakl nowy, i więcej mnie zajmowała moja harda sąsiadka, przez to samo, że ma mnie za nic. Skorzystałem więc z pierwszej chwili, gdy księżna Sanguszkowa przebiegała w *szenie* koło mnie, aby półgłosem odezwać się do niej po polsku, na co mi też z uśmiechem odrzuciła grzeczne słóweczko. Nie zawiodła mnie moja rachuba, że to zwróci uwagę sąsiadki; lecz też postanowiłem razem za pokutę nie dopuścić jej żadnych bliższych obserwacji. Jakoż pierwszy wzrok ciekawości, cofnął się

zaraz przed moim, jak podjazd przed pikietą; że zaś moja pikietka nie schodziła z placu, to jest, że ja wciąż na nią patrzałem, więc i wszystkie następne jej spójrzenia, migały tylko ku mnie błyskawicą przez rzęsy, i zaledwo błysły, wnet gasły. Bawiło to mię niezmiernie, a ją widać przyprowadziło do złości; bo nagle zwróciła twarz ku mnie i spójrzała pełnemi oczyma; ale spotkawszy mój nieco ironiczny uśmiech, zmieszała się, zarumieniła, i nie wiedziała zda się co począć.

Ale jakbym słyszał w tej chwili okrzyk oburzenia i zgrozy najłaskawszej panny Anieli dobrodziki, dziwiącej się i gniewającej zarazem, że mię takie głupstwa zajmują, i że nawet śmiem o nich pisać. Otoż ty, mój drogi Ignacy, bądź w tym razie zastępcą moim! Chwyć jej rączkę, ucałuj serdecznie i powiedz, że piszę to umyślnie dla niej, aby się z nią jak zwykle podrażnić, i mieć potem za co przeproszać. Na dowód zaś, że i z głupstw tego rodzaju można przecież wyciągnąć jaką taką korzyść, przytaczam tu wierszydełko, które, powróciwszy z balu o trzeciej, wpół zasypiając, wpół budząc się naza-jutrz, skleciłem, a które jest czystym produktem owego *oczekowania* z Angielką.

Kto mi powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Widzi każdy;—lecz rzecz o to:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek:
Że to seraf, nie djabełek.

A wtém znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
„Ach! to szatan, nie djabełek!”

I ztąd wiecznie świat się biedzi
Jak rozwiązać ten węzełek,
Co w panieńskich oczkach siedzi:
Czy aniołek, czy djabełek?

Ale bodaj czy i tym wierszem nie poprawię się
z *pieca na łeb* w opinii panny Anieli; jeśli jęj nie
rozbroi chyba jeszcze jedna strofka, którą w tój chwili
do niego, jak klamerkę do łańcuszka doplatam.

Ja wszakże mam pewność wszelką
Co do moich przyjaciółek,
Że w tój, co się zwie Aniela,
Musi przecież być aniołek.—

Ale dość już tych żartów! Bieda tylko, że nie
ufam sam sobie, jakby to wam na seryo powiedzieć
coś, jak chciałbym:

O wspanialszych nad wszystkie sale,
O ciekawszych nad wszystkie bale,
O wcielonych snach czy ideach,

O dwóch galeryach-muzeach,
Co w gmachach: *Uffizi* i *Pitti*,
Stanowią dwa miasta zaszczyty?

Sam plac, na którym stoi gmach ten pierwszy,
najwspanialszy z placów tutejszych, zwany placem
„wielko-xiążęcym” (*di Gran-Duca*), jest już jak mu-
zeum pod gołym niebem; tyle tu historycznych wspom-
nień i pomników, tyle dzieł sztuki dłota najsławniej-
szych mistrzów, tyle przedmiotów do medytacyi. Tu
było *Forum* Rzeczypospolitej; tu pałac Medyceuszów,
podobny raczej do twierdzy lub klasztoru, z wieżą
jakby kościelną: istny symbol ducha i władzy wieków
średnich; co się zresztą we wszystkiem na tym placu
odbija. Tuż naprzeciw pałacu sławne *Loggia di
Lanzi*, pyszny otwarty portyk, o czterech arkadach,
z kąd niegdyś ogłaszano dekreta ludowe, a gdzie po-
tém był odwach *Lanzknechtów*, będących główną
podporą władzy wielkich książąt, i od których ów
portyk wziął swą nazwę dzisiejszą. Wszystkie też
prawie dzieła sztuki na tym placu, (nie wiem tylko
czy przypadkowo, czy umyślnie,) zdają się symbolizo-
wać pod różnemi względami myśl jedną—tryumf siły;
i to siły tak materyalnej, jak duchowej; przyrodzonej,
i z góry natchniętej. Różnicę tę wyobrażają tu wy-
datnie: naprzód dwa lwy na wschodach *Loggi*, z któ-
rych jeden jest grecki, drugi nowożytny; dalej zaś:
Herkules, zwyciężający Kakusa, i młody Dawid, zwy-
cięzca Goliata; Perseusz, z uciętą głową Meduzy, i Ju-
dyta, z głową Holofernesa. W wykonaniu też tych

posągów walczyli z sobą o lepsze najwięksi siłacze w sztuce: Michał Anioł (*Dawid*) i Bandinelli (*Herkules*); Benvenuto Cellini (*Perseusz*) i Donatello (*Judyta*). A dodaćby tu jeszcze można i grupę Jana z Bolonii, „Porwanie Sabine”, jakoby symbol tego, czém była piękność względem siły w pogaństwie; chociaż do przeciwstawienia temu, nie ma tu nic innego, oprócz chyba starożytnego posągu jakiegoś branki germańskiej, (znanego pod imieniem *Tusneldy*), w którym tchnie już przynajmniej surowa godność niewiasty, której dziecy przodkowie Średnich Wieków, jak wiemy, dziką także cześć oddawali, nim ją Syn Matki-Dziewicy rzeczywiście uświęcił, a pieszczoty i rycerskość na piedestał ideału podniosły.

Środek placu zajmuje przepyszna fontanna z Neptunem i Trytonami na wierzchu, (dzieło rzeźbiarza Ammanati), wzniesiona na tém samym, jak mówią, miejscu, kędy spłonął na stosie sławny Savonarola: z mnicha, ludowy trybun i władca Rzeczypospolitej, i nakoniec ofiara zmienności i wściekłości ludowej. Fontannę tę wzięćby można za pływającą wciąż wodę lustralną, na zmycie plamy tego *aktu* ognia i zapalów gminu; a tuż obok fontanny, konna statua Koźmy I. jest zarazem pomnikiem upadku Rzeczypospolitej Florenckiej, a początku monarchicznej władzy Medyceuszów, którym Florencya, jak wiadomo, najwięcej artystyczną swą świetność i chwałę zawdzięcza.

Zatrzymałem was tak długo na tym placu, bo i my sami, przyszedłszy tu raz pierwszy, tak długo zatrzymaliśmy się na nim, że zaledwie przed zam-

kniciem Muzeum mieliśmy czas obejrzeć, i to zlekka, dwie jego przedsale (*vestibule*), napełnione rzezbami, starożytnymi i nowszymi. W pierwszej stoją szeregiem popiersia Medyceuszów; w drugiej: naprzód dzik czyli odyniec, zapewne z rasy Kaledońskiej; potem koń, może Bucefał lub konsul Kaliguli; potem dwa wilki, ha! może mleczni bracia Romulusa; a wszystko to z bronzu, i jakby emblematy godnych jego następców—Cesarów, których posągi zajmują głąb sali.

Ale właśnie z progu téj sali otwiera się widok, który pocujecie, jeżeli możecie, bo ja go wam opowiedzieć nie umiem. Wystawcie tylko sobie najdłuższy jak być może, (500 stóp), i najwspanialszy korytarz. Całe sklepienie i ściany w obrazach; a pod niemi, po obu stronach, nieprzeliczony tłum, szeregi głów, bustów, postaci: bogów, bogiń, półbogów, bohaterów, atletów, nimf, amorów, amorków; a między niemi, kolumn, trofeów, ołtarzy, urn, sarkofagów, i przeróżnych starożytnych pomników. A to wszystko z białego marmuru; a to wszystko są arcydzieła rzeźby; a to wszystko tak na raz uderza i odurza przychodnia, jak kiedy się, na przykład, położywszy na wznak na trawie, wpatrzysz w gwiazdzisty firmament, a porwany urokiem nieskończoności, zapominasz o wszystkiem, i nawet o sobie. Takie jest pierwsze wrażenie tego korytarza, i wy na tém tylko przestańcie. Ja chyba to jeszcze dodam, że ten pierwszy długi korytarz, przez krótszy poprzeczny przy końcu, łączy się jeszcze z drugim, téjże saméj co on długości, rozciągającym się równolegle, i zupełnie do niego podobnym. A pa-

miętajcie, że to są jeszcze tylko korytarze! Wzdłuż ich po bokach znajdują się sale, gdzie się mieszczą dopiero najcenniejsze skarby tego muzeum. Sal tych jest aż dwadzieścia dwie. A zawierają one: naprzód, obrazy wszystkich, jakie były na świecie, sławnych szkół malarstwa—każda szkoła w osobnej sali. Potém zbiory antyków, rzeźb, bronzów, rysunków, napisów, naczyń Etruskich, kameów, mozaik, i nakoniec klejnotów, czyli raczej drogich kamieni, których niekiedy artystyczny wyrób samą drogość materiału przewyższa. Ale najdroższym klejnotem całego tego muzeum, jest jedna z sal, zwana *Trybuną*, gdzie jakby w ośmiokątném pudełku, mieszczą się same *solitery*; albo jak w klatce, same *białe kruki*; albo jak w *Sanctus sanctorum* tego przybytku sztuk pięknych, same cudowne obrazy i figury, wśród których, w samym środku, jak w systemacie planetarnym słońce, wznosi się, świeci, i obraca około swój osi: *Wenus Medycejska!!!* Czołem, Mości Dobrodzieju! albo „*Odi profanum vulgus!*”

A wszakże w ustach moich, wyznaję, jest to tylko *pacierz za panią matkę*; bo choć się sam przekonałem istotnie, że to jest najpiękniejsza ze wszystkich piękności z marmuru, żywych jednak naliczyłbym z tuzin, które mi się zdały piękniejsze i żywiej ujęły za serce, chociaż im się tak zbliżka przypatrywać nie mogłem. Na nięj wszakże niech będzie koniec tego mego *quasi* opisu tego sławnego muzeum *Uffizi*, o którym pewno słyszeliście nieraz. A chociaż długi, sklepiony, napowietrzny korytarz, prowadzi zeń aż za

rzekę, do drugiego niemniej sławnego muzeum w pałacu *Pitti*, ja tu o nim dziś ani wspomnę; naprzód dla tego, że byłyby to *dwa grzyby w barszczu*; a powtóre, że jeśli człowiek, jak mówią, nie żyje samym tylko chlebem, to tém mniej przecież dla kamieni lub malowideł może zapominać o chlebie, a cóż dopiero o *barszczu z rurą*, na który właśnie w tej chwili, w skutek specjalnej inwitacyi, musimy iść na obiad do xiecia Ogińskiego. I to niechaj ci wytłómaczy, że tuż obok Wenery Medycejskiej śmiałem wspomnieć o barszczu i grzybach; a coby może inaczej wydało ci się takim dyssonansem, iżbyś mię gotów posądzić, że mimo oglądania tylu estetycznych specyałów, we mnie samym smak *boćwinowy* zawsze jeszcze nad estetycznym przemaga. Protestuję więc przeciw temu, i dokończenie listu na poobiedzie odkładam.

Godzina 10 wieczorem.

Jeśliś miał może dziś paroxyzm czkawki, między trzecią a piątą godziną, to się nie bój! Nie był to żaden chorobliwy symptomat, ale wprost sympatyczny skutek ciągłej o was przy obiedzie rozmowy. Mówię o *was*, bo nie tylko o tobie, ale o całej rodzinie Chodzków w ogólności, której xiążę, równie jak i my oba, jest wielkim i szczerym przyjacielem, i przyznaje wam wszystkim solidarny i heredytarny rozum, dowcip, poetyckie usposobienie i zdolność; popierając to swoje twierdzenie przykładem starszego pokolenia, które znał oddawna i zbliżka, a do czego, ma się rozumieć,

i my też dodaliśmy swoje *trzy grosze*, mówiąc mu o Józiku, o Olesiu, o tobie, i o panu Dominiku; bo Leonard, jako sam pupil xiecia, był właśnie punktem wyjścia téj rozmowy ¹⁾. Ale jeżeli spotkasz pana Dominika, to upomnij go, aby do waszych splendorów nie dodawał cienia lenistwa, o które go Adam obwinia, oddając zresztą całą słuszość nauce jego i zdolnościom. Wadę zaś tę przypisuje nie czemu innemu, jak „nazbyt gronostajowój“, jak się wyraził, naturze jego charakteru; to jest, że bojąc się skompromitować czémś mierném, woli nic zgoła nie robić; jak gronostaj przyparty do błota, woli raczej dać się zabić myśliwcom, niżby uciekając przez błoto miał pokalać swoje białe futerko ²⁾. A zapamiętaj też to *dictum* i *ad usum* siebie samego.

Xiażę mówiąc o stryju twoim, panu *Janie ze Swisłoczy*, powiadał między innemi, że oprócz wielu innych obywatelskich jego i literackich zasług, nikt może więcej nad niego nie przyczynił się do rozszerzenia w prowincyi naszej estetycznego nastroju i gustu, przez zaprowadzenie zwłaszcza po wsiach i w różnych stronach amatorskich teatrów, których on sam był wszędzie reżysserem i duszą. Mnóstwo z tego względu anegdot było dziś główną treścią opowiadań xiecia, w czém go niemniej dowcipnie i żywo posilkował rozweselony Adam, na którym, ile widziałem,

¹⁾ Józef, Aleksander, Dominik i Leonard Chodźkowie.

²⁾ Za przypisek do tego miejsca, czytelnik znajdzie w końcu tomu „List do Redaktorki *Kroniki Rodzinnej*“.

zawsze tego rodzaju rozmowa równie ożywiająca sprawuje wrażenie. Najbardziej ubawiła nas anegdota o sławnym elegancie oszmiańskim, p. Kazimierzu Czechowiczu, który kiedyś za młodu, na amatorskim teatrze, podczas kontraktów w Mińsku, grając rolę jakiegoś generała, wymknął się podczas *entre-aktu*, i przechodząc się przed blizkim odwachem, bawił tém dziecinną swą próżnością, że straż omylona jego ubiorem, broń przed nim prezentowała. Za drugim jednak razem nie udała się sztuka; i publiczność musiała czekać z godzinę, nim pan Jan teatralnego bohatera z rzeczywistej kozy wydostał.—A ileż to romantycznych przygód i scen zakulisowych opowiadał nam jeszcze xiażę! Co za szkoda, żeś ty razem z nami nie słuchał! Możeby znów jaka powiastka do mojej przyszłorocznej *Meliteki* przybyła.—Tymczasem muszę ci powtórzyć mniéj więcej jedno opowiadanie, nie teatralne wprawdzie, ale wcale dramatyczne, którego bohaterką jest czcigodna i kochana nasza xieźna Gabryelowa ¹⁾, i które samo przez się daje najlepsze wyobrażenie o owym estetycznym nastroju naszego społeczeństwa, w pierwszej ćwierci bieżącego wieku. Xieźna będąc raz u jednego w Warszawie, zaprosiła do siebie, do Strawiennik ²⁾, krewnego swego, pana hr. Franciszka Ł., który był jednym z pierwszych dandyśów i elegantów warszawskich, i podzielał z wielu in-

¹⁾ Ogińska.

²⁾ Wieś, z pięknym pałacem, o cztery mile od Wilna.

nymi najzupełniejszą nieświadomość i najopaczniejsze pojęcia o rodzinnych stronach xiężny, o co z nim ona ciągle staczała dysputy. Umówiony dzień jego przybycia przypadał na późną już jesień, kiedy dni bywają najkrótsze. Zawiadowca najbliższej stacyi pocztowej, stosownie do otrzymanych poleceń, tak długo pod różnemi pretextami zatrzymał przybyłego rzeczywiście gościa, że ten dopiero o zmierzchu stanął przed bramą pałacu. Zupełna ciemność i głucho milczenie panowały w nim i na dziedzińcu. Po długim zaledwo dzwonieniu i wołaniu pocztyliona, charłak jakiś w łachmanach otworzył nakoniec bramę, ale i oświadczył zarazem, że już wszyscy śpią w całym dworze, i że państwa budzić nie można. Zaprowadził więc gościa do jakiejś pustej, zimnej, opuszczonej dziury, którą nazywał oficyną—a była to rzeczywiście warzywnia. Para ludzi w kostiumach *à la Esquimos*, niby rządcza i rządczyni dworu, spotkała go tam u progu i zajęła się robieniem honorów. Za całe oświetlenie, zatłono pęk łuczywa; za posłanie miała mu służyć prosta twarda ława; za całe ugoszczenie, ofiarowano mu chleb czarny i kwas burakowy. Pan Ł. tak się czuł obrażony tego rodzaju przyjęciem, że chciał natychmiast odjechać na powrót. Ale konie pocztowe już były odeszły; a co gorsza, gospodarz wyszedł i drzwi na klucz zamknął za sobą. Gniew i obraza uwięzionego tym sposobem gościa przechodziły wszelkie granice; tém bardziej, że z gospodynią Litwinką po polsku nawet rozmówić się nie mógł, a służący, którego miał z sobą, przy powozie gdzieś na dworze pozostał. Po

niejakim czasie dopiero gospodarz nakoniec powrócił, i w imieniu obudzonych jakoby przez siebie panów, gościa do pałacu zaprosił. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy wychodząc na dziedziniec, ujrzał go cały w blasku tysiąca lamp i kagańców, illuminujących pałac i klomby. Służba w galowym ubraniu spotkała go na wschodach, a za otwarciem podwojów do sali, orkiestra zabrzmiała z chóru, i pan Ł. ujrzał się nagle wśród balowego grona strójnych dam i poważnych ludzi, którzy go wszyscy serdecznie i z wesołą uprzejmością witali. Byli to goście zaproszeni z Wilna, którzy przybywszy od rana, ochoczo wzięli udział w zamierzonej mistyfikacji xiężny. Ona sama wytłómaczyła powód jój gościowi, mówiąc: „Chciałam ci za jednym razem, kuzynie, pokazać kraj nasz i takim, jakim ty go wyobrażałeś, i takim, jakim on jest wistocie.“—Pan Ł. tak był ujęty i zachwycony tém wszystkiem, że przybywszy zaledwo na dni kilka, całą zimę w tej gościnie zabawił; grając przytém rolę kochanków na wielu amatorskich teatrach — tak na scenie, jak i za kulisami.

A teraz na dzisiaj, *Vale!* Jeśli cię zaś dziwi lub gniewa, że zamiast nowalii włoskich, odegrzewam ci stare nasze anegdoty; no, to wyobraź sobie, że w naj-sławniejszej bibliotece tutejszej, *Magliabecchiana*, zawierającej 10,000 samych rękopismów, w rozmaitych językach, znalazłem stare nasze *Silva Rerum*, z którego ten idylliczno-poetyczny obrazek naszego życia wiejskiego wyjąłem. A jużciż jest to nie tylko przywilej, ale nawet zasługa wojażerów, odgrzebywać na

cudzej ziemi znalezione pamiątki własne. Xiążę Ogiński zaś, jak każdy stary, podobny jest rzeczywiście do butwiejącego pergaminu, z którego co się nie przepisze na nowo, to z nim razem zginie na zawsze. A i pamięć jego także, to istne *Silva rerum*.

I nieraz nam w tym lesie chwilę przebyć milęj,
Niż pod cieniem pomarańcz w tój lub owęj willi.
Obcość obudza, swojskość uśmierza tęsknotę.
Tu tylko złote jabłka—u nas serca złote.
Ach! prosmy tylko wspólnie Najwyższej Istoty,
Ażeby było coraz mniej głów do pozłoty!—
Bądź zdrow! Damom cześć mą składam,
A ukłony łączy Adam.

XLVII.

Do Juliana Korsaka.

Florencya, 13 Listopada 1829 r.

Przed minutą skończyłem pakowanie tłómoka, a układając w nim rzeczy, układałem téż w myśl i ten list do ciebie, który:

Jeśli odpowie chęci a intencji,
Dokompletować ma w twojej pamięci,
Nie mówię wcale, że obraz Florencyi,
Lecz rejestr moich z nią reminiscencyi.

Bo gdy my jutro rano pojedziemy dalej, Florencya zostanie na miejscu, i albo kiedyś może samego ciebie doczeka, aby tobie zaprezentować się sama; albo i od kogo innego, skoro tylko byłbyś ciekawy, możesz dowiedzieć się o niej, co zechcesz. Ale cośmy w niej *my* porabiali, tego, jeżeli ja tobie nie powiem, to już nigdy nikt wiedzieć nie będzie. A jednak byłaby szkoda; nie tyle może dla ciebie, co dla ciągu mego dyaryusza; a zwłaszcza co dla naszego kochanego *Żegoty*, który sam jak ćwiek w murze siedząc w swoim *Zapolu*, ani może nawet przypuszczać, aby samo jego wspomnienie mogło tak rozweselać i ożywiać oddalonych przyjaciół, i sprawiać im tak miłe chwile, jak nam onegdaj np. sprawiło.

Pisałem ci już przedtém, że stoimy w mieszkaniu prywatném, gdzie za cztery *paole* (nasze złote) na dobę, mamy dwa duże umeblowane pokoje, ze czterema dużemi oknami, w które słońce zaraz z południa i aż do zachodu zagląda. W Italii nie zawsze to przyjemność; ale słońce w tój porze roku, jest to jakby spójrzenie umiarkowanej czułości, które ożywia tylko, a nie pali, i jest tu dla mnie tém właśnie, czém w ponurém i ciemném mieszkaniu w Wenecyi były oczki obu siostrzyczek. Biada tylko, że jak my w tym blasku słonecznym, lubują się w nim także i komary, (które tu i w Listopadzie nie giną), i to w dzień przed oknami formalnie *mak tłułą*, to w nocy jęczą po ścianach, jak nasi żałośliwi poeci, albo co gorsza, kásają mimolotem, jak gazeciarscy recenzenci warszawscy. A chociaż jeden, drugi i dziesiąty, *czatowany*, jak mówi Krasicki, *po głosie, skończy życie na nosie*, nie odstrasza to jego kolegów, którzy albo tego w ciemności nie widzą, albo nie baczą na to, jak żołnierze przy szturmie, i lecą w ślad jeden za drugim, tak, że zostaje nam tylko do wyboru: albo dusić się pod chustką czy prześcieradłem, albo oganiać się wciąż od nich, i nie spać.

Otoż onegdaj wieczorem, powracając z teatru, na który Adam pójść nie chciał, zastałem go w pozycji takiej. Stał z fajką między obu łózkami, (łóżka tu stoją na środku pokoju, głowami tylko przyparte do ściany), i schylając się aż do ziemi, jak czarownik przy jakimś obrzędzie, puszczał w górę ogromne kłęby dymu wzdłuż ściany. Czynił zaś to dla odpędzenia

na noc komarów, rozmyślając przytém, jak mówił, na co Pan Bóg mógł stworzyć komary? Najpodobniej, że na to samo, co pokrzywę wśród roślin, co ciernie przy róży, albo co kaprysy w płci pięknej. Ale na co właściwie to wszystko? Zgadywaliśmy różnie, aleśmy nic mądrego nie wymyślili. Mnie zaś tymczasem przyszedł na myśl Żegota.—„Co? *à propos* komarów? On, co nigdy nikogo nie kása?”—zawołasz może z oburzeniem. Tak! *à propos* komarów; ale tylko z powodu ich śpiewu, nie żądła. Przypomniał mi się bowiem ów nasz nocny balet i polonez w Bolciennikach, cośmy go we *trio* z tobą, w rogatych poduszkach na głowach, i w bieli jak kapłani Izdydy, tańcowali wkrąg łóżka poważnego pana Karola, przy wdzięcznym śpiewie Żegoty o komarze i musze:

„Hej, w lesie
Komar muchę niesie,
Komar muchę pyta“ i t. d. ¹⁾

Adam śmiał się serdecznie: bo pamięta i wyobrażał sobie przy tém majestatyczną powagę pana Karola; a co do śpiewu Żegoty, przypominał też, jak go za każde odezwanie się niegdyś w chórze naszych śpiewaków na Popławach, pędzano, jak Hamana, za turbaczą chóru. Do tych dwóch zatem jego talentów, do śpiewu i do tańca, dodałem opowiadanie o trzecim, to jest o rymotwórczym, z którego sam tak się przechwala, dowodząc, że chociaż dwa tylko wiersze w ży-

¹⁾ Żegota—Ignacy Domejko; Karol — Laskowicz; Bolcienniki, wieś Puttkamerów.

ciu swoim napisał, ale za to dobrał rym taki, jakiego drugiego już nie ma. Ty może nie pamiętasz tego sławnego dystychu, który napisał na stariej grammatyce Kopczyńskiego na klasę pierwszą; a więc ci go tutaj powtórzę:

„Z tej książki uczył się Ignacy Domejko,
A po nim bracia jego kolejką.”

Adam jednak dobrał w lot dwa inne rymy: *lejkę* i *taradejkę*, odrzucając podane przezemnie, jako zbyt łatwe, *dobrodziejkę*, *czarodziejkę*, i t. p. Innych nie mogliśmy wynaleźć¹⁾. Ale ztąd poszła rozmowa o trudnych i wyszukanych rymach, których modę przed kilku laty zaprowadził był zwłaszcza Tymon Zaborowski. Adam mówi, że w wielu razach są one jak błyszczące guziki przy czarnym fraku; chociaż nie zaprzecza bynajmniej, że rym jedyny i silny może być tém dla wiersza, czém ostrze stalowe dla strzały—byleby samo drzewce nie było z bzu lub z kruszy. Tymczasem zaś dla zabawy zaczęliśmy zadawać sobie różne trudne rymy do rzeczowników albo imion własnych, i na tém nam z godzinę najweselej przeszło. Adam między innemi zadał mi imię *Benigna*, ale że z góry excypował *malignę*, a to jest rzeczywiście unikat, i to nie polski: więc poszedłem

¹⁾ Powieść Wojskiego w *Panu Tadeuszu* o Domejce i Dowejce, miała niewątpliwie na celu żartobliwą przekorę, a może nawet i źródło w tej poetycznej przechwałce autora owych dwóch wierszy.

po rozum do głowy, i powiedziawszy *dobranoc*, nie małą jeszcze część nocy, wyznaję ze wstydem, przepędziłem bezsennie—nad czém? nad głupim *jambem*; nad rymowaniem całej deklinacji *Benigny*; opędzając się przytém jak niedźwiedź od komarów, które zaraz po przejściu dymu, znowu na swoje nocne stanowiska wróciły. Macie tu ten produkt dowcipu!—a dedykuję go zwłaszcza Żegocie, jako dowód wdzięczności za natchnienie, i ku czci wszystkich jego talentów do sztuk wyzwolonych. Co się zaś tyczy łaciny *in nominativo*, to oprócz poetycznej licencji i smutnej konieczności rymu, powołam się już chyba na Byrońską greczyznę: „*Zoe mu zas agapo*,” albo na czerkieszczyznę Olesia: „*Idry azo, oh! tia jara!*”¹⁾

Vere est pulchra et digna
Hołdu serc panna Benignā,
Choć w serca żary maligny
Sieje wzrok panny Benigny.
Czy w tańcu mignie, czy dygnie,
Tłum lgnie ku pannie Benignie,
A ja to płonę, to stygnę,
Patrzac na pannę Benignę.
O! czyjeż słowa dościgną
Twych zalet, panno Benigno!
Mocarze serc się nie wzdrygną
Pójść w jarzmo z panną Benigną,
Byle cel życia i dźwignię
Mieć w pięknej pannie Benignie.—

A jak ten onegdajszy, tak i większa połowa wieczorów naszych tutaj, schodziła nam na podobnie mi-

¹⁾ Wierszyk Byrona do „*Dziewicy Ateńskiej*” którego każda strofa kończy się temi słowami greckimi, i Piosnka Czerkieska Alexandra Chodźki, z wyrazami z tegoż języka.

tych pogadankach, tylko że nie koniecznie o podobnie *ważnych* przedmiotach. Adam bowiem był ciągle w doskonałym humorze. Ogiński go tak zwłaszczą ożywił i rozruszał, już to opowiadaniem swojemi dodając coraz nowe komentarze do *Pamiętników* swoich, które nam do przeczytania pożyczył; już to graniem niekiedy swoich polonezów, w których Adam, jak pary taneczne, widzi całe szeregi obrazów i wspomnień przeszłości. Prócz tego czytał on tu jeszcze „Historię Florencyi” przez Machiawela, po włosku, w której i ja niekiedy syllabizowałem. Z szanownym zaś panem Ciampi przeczytałem po jednej pierwszej pieśni z *Piekła*, *Czyszcza* i *Raju*, połowę pierwszej pieśni *Orlanda*, i tyleż *Jerozolimy Wyzwolonéj*, nie mówiąc już o wielu drobnych sztuczkach z Petrarcki, Manzoni, i t. d. Jednym słowem, przez te parę tygodni postąpiłem znakomicie we włoszczyźnie, w czém i teatr wiele dopomógł; a co się tyczy angielszczyzny—wiedz i dziw się!—pisałem do Walter-Skotta!!! Nie posądzaj mię wszakże o zuchwałość; bō to się stało przypadkiem, i nie był to list wcale, ale tylko skromniuteńki przypisek. Przyszedłem raz do Allana i zastałem go piszącego właśnie ów obiecany nam już dawniej list do Walter-Skotta, w którym mu o spotkaniu się z nami miał donieść. Nie pytałem go, ma się rozumieć, co pisze, ani on mi tego nie czytał; ale widok ćwiartki papieru, którą Walter-Skott kiedyś będzie trzymał w ręku, robił na mnie szczególniejsze wrażenie. Powiedziałem to Allanowi, a on mi proponował przypisek. Przebiegło to po mnie

jak iskrą; frazes ułał się w myśli; Allan poprawił piśmiennie terminki—i Walter-Skott rad nie rad będzie musiał przyjąć komplement i wymówić moje nazwisko.

Wiém ja, że szanowny twój ojciec, kiedy mu to przeczytasz czy powiesz, uśmiechnie się, kiwnie głową i powie: „I cóż jemu (to jest mnie) z tego przybędzie?” jak kiedyś chciał tym frazesem wyperswadować nam podróż na bal do Zdzięcioła, mówiąc, że to prędko przeminie. Przeminęło, to prawda; ale choć już temu lat cztery, dotąd piękne sąsiadki twoje z Nahorodowicz stoją mi wszystkie w oczach, jak na onym balu, w bieli,

Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży;

i jest to dla mnie tak miły obrazek, iżbym go tu na żadne włoskie malowanie nie mieniał. Otoż tak samo i z tego przypisku przybyło mi już niemniej miłe wrażenie, że choć z przypadkowego zbiegu okoliczności, mogłem go wszakże i miałem niejako prawo napisać. Jak zaś z tego rodzaju wrażeń może przyjść czasem siła, czasem tylko głupstwo: miałem też nie raz doświadczenie na sobie, a ostatni raz przed parą dniami.

Na placu przed wspaniałą katedrą tutejszą, (*Piazza del Duomo*), pokazują podróżnym miejsce, gdzie Dante przed wygnaniem swojém, jak mówią, zwykł był siadywać wieczorem, na odłamie marmuru, zachowanym po dziś dzień i zwanym „kamieniem Danta,” (*sasso di Dante*), i przypatrując się może téj ol-

brzymiej bazylice, myśli swe do jęj miary nastrajał. Otoż i ja po wiele razy stawałem na témże miejscu, a marząc o tém i owém, raz nakoniec zamarzyłem o sobie. Myśl, że stoję na miejscu Danta; że niedawno w Wenecyi siedziałem na „siedzeniu Kanowy;” że w Akwizgranie, jak mucha na ołtarzu, przysiadłem na stolicy Karola W., a w Wejmarze po całych godzinach siadywałem na „ławce Szyllera;”—myśl ta tak się we mnie nadeła, że czułem rychtyk to samo, co niegdyś na wieczorze u państwa Grabowskich w Warszawie, gdy figurując w stroju i wieńcu Wajdeloty, (w czém i pień nawet nieźleby wyglądał), posyłałem przypadkiem, jak przechodząca мимо księżna Teressa Jabłonowska wymówiła do kogoś półgłosem: „*Ah! qu'il est beau!*” Frazes ten tak mi się podobał, że za każdym obudzeniem się w nocy, on naprzód przychodził mi na myśl; i dopiero gdy zwierciadełko nazajutrz powiedziało mi jeszcze głośnieji: „*Ah! comme tu es sot!*”—to jego *dictum* zagłuszyło pierwsze. Została mi tylko odtąd wielka pobłażliwość dla płci rzeczywiście pięknej, kiedy ją ztąd lub z owąd słówko takie, i z ust takich doleci. Otoż i tutaj, Bogu dzięki, równie głupia i bezzasadna próżność wzdeła się tylko we mnie i wnet prysła jak bańka; tylko że zamiast pobłażliwości dla podobnejże głupoty w drugich, zostawiła mi owszem, jak osad mydlany, temat do rozmyślenia nad nią, pod względem zwłaszcza próżności czy pychy rodowej. Gdybym ja siedząc na przykład na miejscu tych wielkich ludzi, wymyślił rzeczywiście coś podobnego jak oni;—ha! może miał-

bym prawo ucieszyć się—choćby nigdy przechwalać się—że siedzę. Ale że siedzę tylko, jak wrona na kościele, i ztąd rościć już prawo do tego, aby ludzie przedemną zdejmowali czapki—no! to już trzeba być głupim jak ta wrona w bajce. Ale téż z drugiej strony, gdyby ktoś idąc mimo kościoła, nie zdjął przed nim czapki dla tego, że wrona siedzi na nim w téj chwili: czyżby i ten jegomość był istotnie mędrszym od wrony, skoroby, jak ona dla siebie, tak on dla niej, o kościele zapomniał? Owoż kościół, to chwalebna przeszłość rodowa; i niechby kto z potomków pierwotnych budowniczych dodał do niej—nie mówię już wieżę czy piętrowo, ale choć nowy jaki ornament; czyżby każdy rozumny a sprawiedliwy człowiek, nie połączył go chętnie z nimi w pamięci lub we czci swojej, jak się on sam złączył w zasłudze? Ale gdy wnuk czy prawnuk mądrych antenatów, którzy kiedyś na senatorskich ławach o dobru publiczném radzili, rozwala się dziś tylko w teatralnych krzesłach; gdy zamiast buławy czy laski, które oni kiedyś dzierżyli, piastuje tylko karty lub kieliszek w ręku; to już nie wiem na jakiej dziczce da się chyba zaszczepić pretensya, aby ludzie widząc go żywcem, zapominali o nim i o jego głupstwach, a tylko o nieboszczykach przodkach, o ich cnotach lub zasługach pomnieli. Toć i ja na téj samej zasadzie, jeśli da Bóg wrócę do kraju—choćbym nawet, jak mówi piosnka, powrócił *z cielęciami wołem*;—miałbym nie mniejsze prawo, przyczepiwszy kolczyk do ucha, żądać, aby każdy patrzący na mnie, widział we mnie nie cielę lub wołu, ale

tych wszystkich wielkich ludzi, którzy kiedyś przed wieki siadywali w tych samych miejscach, gdzie ja potem po nich siedziałem. Ależ i znowu biorąc rzecz z drugiej strony: ktokolwiek nie jest tak głupi, iżby nie wiedział co jest Rzym, Paryż, Londyn, etc., a sam nieborak siedzi jak mysz w norze za piecem; taki, ujrzawszy kogoś co tam był i to widział, niepodobna, iżby patrząc na niego, nie doznał w sobie jakiegoś wrażenia, odnoszącego się do miejsc tych sławnych. Ty sam nawet—mów, co chcesz—ale gdy mię za powrótem obaczysz, to albo będziesz musiał zauważyć żem na wojażu zgłupiał, jak tylu naszych paniczów, albo chcąc nie chcąc przypominisz sobie wiersz Kochanowskiego:

„Onże Francuzy, on Niemce, on Włochy,
Onże nawiedził Sybilijne lochy;”

a następnie, w pokorze ducha, może nawet i doimprowizujesz sam w sobie:

Musi być mędrszym od *bożego kmięca*,
Co jak ja, nosa nie wytknął z za pieca.

Otoż taki to a nie inny urok, w oczach każdego świadomego przeszłości i umiejącego szanować ją człowieka, wiąże się mimowolnie do potomka sławnej historycznej rodziny; dopóki on sam chyba nie natęchnie patrzącemu innego o sobie wyrazu, którego pierwsza litera, *Respekt* w *Despekt* przemieni. W każdym atoli razie, nie możesz mi zaprzeczyć, że jak między przeszłością i wojażem, tak między wojażerem

a potomkiem sławnego rodu, jest pewne podobieństwo i powinowactwo moralne. Jeden i drugi koniecznie muszą mieć w sobie jakiś pierwiastek dodatni, któryby ich przed innymi odznaczał: ażeby przez sam brak jego, w oczach innych, niżej nawet poziomu zwyczajnych ludzi nie spadli.

„Tak w sztuce niebezpiecznej odlewania wierszy,
Ten zostanie ostatnim, kto nie został pierwszy“.

Jak powiada Dmochowski w *Sztuce Rymotwórczej*.

I rzeczywiście, terminatorowie w tej *niebezpiecznej giserni* podpadają radzi nie radzi pod prawo sądu tejże samej kategorii. Ileż to głupstw powiedzianych prozą, wpada jak kamień w wodę i nie zostawia cienia na mówiących! a oto lada wiersz lichy, przyrasta do imienia autora, jak owa w bajce kiełbasa do nosa; a na której odjęcie, jak też bajka nas uczy, zmarnowały się wszystkie dary dobroczynnej wróżki.

Ale powracam do Florencji—bo i tak możesz posądzić, że umyślnie odbiegam od niej, aby zabazgrawszy papier czém inném, nie łamać sobie głowy nad opisami jej osobliwości. Jest w tém może żdźbło prawdy, ale nie ze wszystkiém. Nie idzie tyle o trud, co o wybór. Wszystkiego jużciż i na wołowej skórze nie spisać; a jak ja mogę zgadnąć, co wybrać dla ciebie, kiedy sam względem głowy mojej jestem jak strażnik na komorze celnej, gdzie mnóstwo różnych pak i rupieci, *transito* tylko, leży w beładzie do góry nogami, a z których temu, który ich pilnuje, na niuch nawet tabaki nie przyjdzie. Bo i cóż dla mnie np. za

korzystać, że jak w wieczór zamrużę oczy, mam przed sobą całe szeregi obrazów, nad którymi je we dnie strudziłem, a w pamięci cały kalendarz imion sławnych *maestrów*, które nawet bez monogramu, sam już nieraz z dzieł ich odgaduję? Nie jestem, Bogu dzięki, ani taki zuchwalec, abym się popisywać śmiał tém przed znawcami i sam przez to ujść myślał za znawcę; ani taki głupi fanfaron, (jakich nieraz jednakże miałem nieprzyjemność spotykać), abym chciał imponować większym jeszcze od siebie profanom. Jedyńy ztąd obrok duchowy mógłby chyba przez analogię wyrość może dla mojego pégaza, byleby tylko ten szkapa nie stratował go wprzód, niż dojrzeje. Z ciągłego bowiem patrzenia na te setki obrazów obok siebie, poczułem rzeczywiście różnicę między sztuką dla sztuki, jak mówią Niemcy, a talentem danym człowiekowi od Boga, wydoskonalonym w nim tylko przez sztukę, a używanym potem przez niego, nie dla własnej tylko sławy sztukmistrza, ale na wywiązanie się z powinności człowieka względem Boga i ludzi: to jest, ku Jego chwale, a ich pożytkowi. Wiem ja, że jak ta *chwała* nie na samych tylko hymnach albo obrazach kościelnych, tak i *pożytek* ten nie na samych tylko morałach lub na wyborze budujących przedmiotów polega. Że zaś go ani z góry oznaczyć, ani ściśle obrachować nie można: da się to także zaliczyć do różnic między dziełami ludzkimi a Boskimi, do których to ostatnich i natchnienie artysty należy. Kto np. przewidzi albo obliczy, jaki kiedy komu pożytek z kwiatu róży może wyniknąć? Czy się dziewczę tak

nim przystroi, że przywabi kochanka albo natchnie poetę, jak sama róża motyla albo słowika? Czy go jaki aptekarz przepędzi na wodę różanną, którą przemysły oczy jakiś mędrzec, wyczyta z ksiąg coś tak mądrego, że cały świat przejrzy jaśniej i dalej, jakby sam sobie do oczu kroplę téj wody zapuścił? Kto to wszystko z góry odgadnie? Ależ znowu, patrząc z dołu, kto w tém wszystkiém pożytku z kwiatu róży nie dojrzy? Otoż tak samo i z dziełami natchnienia. Czy sam Homer mógł się spodziewać, że pisząc lub śpiewając tryumf rodaka swego Achillesa nad Azyatą Hektorem, podbudzi kiedyś greckiego monarchę, aby całą Azyę zawojował? Ależ weź, *vice versa*, różę z wosku albo z papieru; weź np. *Henryadę* Woltera. Będiesz chwalił albo podziwiał robotę i robotnika, a choćby nawet sztukę i sztukmistrza; ależ na tém i koniec efektu. Żywego ani wrażenia, ani wzruszenia, ani bodźca do życia nie doznasz. Sztuka dla sztuki, w gruncie rzeczy, jest to jak romans dla romansu; jest to przemysł zamiast natchnienia; sposób miłego przepędzenia czasu, albo zarobkowania na tak zwaną sławę, jeżeli nie na pieniądze. Ducha Bożego, a więc i prawdziwego pożytku dla ludzkości w niej nie ma.

A jeżeliś może ciekawy, zkąd mi przyszły mądre te myśli? Tedy wiedz, że ze sfer najwyższych—od Aniołów i Archaniołów, to jest, z porównywania zwłaszcza wielu obrazów Rafaela i Michała-Anioła, z tak zwanym *Anielskim i Błogosławionym Braciszkiem*, (Fra Beato Angelico), o którym ty może nie wiesz, jak ja przynajmniej dotąd nie wiedziałem. A jednak jest

to prawdziwy i podług mnie najwyższy ideał artysty; wart być koadjutorem Św. Łukasza, uważanego jako patrona malarstwa.

Był on rodem z okolic Florencyi. Za młodu, żyjąc w świecie, oddał się całej sztuce malarstwa i rozgłos z niej prędko pozyskał; ale wnet potem, wstąpiwszy do zakonu Św. Dominika, sztukę, jako jedną z sił swoich, i jak zresztą całe swe życie, oddał w służbę wyłącznie Bogu, nic tu z niej nie żądając dla siebie. Malował zawsze darmo; biskupstwa ani żadnych dostojęństw, które mu ofiarowano, nie przyjął; jedynym celem jego, jak zwykł mawiać, było: „uniknąć piekła, a zasłużyć na Niebo“. Nazwisko nawet jego rodowe zatarło się w pamięci ludzkiej; za toż tytuły: *anielskiego* i *błogosławionego*, przywiązane zostały na zawsze do skromnego imienia *brata Jana* (Fra Giovanni), które nosił w zakonie. A zasłużył on na nie tak życiem, jak rodzajem i pięknoscia dzieł swoich. Służba ołtarza i posługa bliźnich, były dlań pierwszą powinnością życia; czas tylko zbywający od nich poświęcał ulubionemu malarstwu, i to tylko za poprzedniem zezwoleniem przeora. Przytém tak był łagodny i słodki, że go nikt nigdy zagniewanym nie widział, a niezachwianą pogodę umysłu łączył z surowym życiem pokutnika. Treścią wszystkich jego obrazów były nie tylko same przedmioty święte, ale możnaby w ogólności i bez przesady powiedzieć, że na tle wiekuistej światłości niebieskiej, wyrażał w nich przedewszystkiem wiekuistą szczęśliwość i pokój błogosławionych. To też malował je nie inaczej, jak z modlitwą na ustach, niekie-

dy klęcząc i płacząc, a zawsze z wiarą w tajemniczą pomoc z nad świata. Każdy też obraz jego mógłby ujść niejako za dowód, że wiara ta złudną nie była. Najświętsza Matka-Dziewica i Aniołowie niebiescy musieli mu się chyba ukazywać w widzeniach; gdyż inaczej piękności ziemskiej takby do ich podobieństwa nie podniósł. Grecy kiedyś, jak piszą, zawieszali w komnatach swoich obrazy bogiń i półbogów, aby widok ich piękności i siły wpływał na piękność i siłę mających narodzić się dzieci. Otoż obrazy *Fra Angelico* mogłyby działać w ten sam sposób na uświętobliwienie duszy patrzących. I w tém to jest ta główna i uderzająca różnica dzieł jego, od najślawniejszych nawet obrazów Rafaela; różnica tém większa, im bardziej Rafael, z ucznia szkoły mistrza swojego Perugina, staje się sam niedorównanym mistrzem własnej szkoły swojej. Rafael wyżej od wszystkich, piękność ziemską podnosi do ideału; Fra Beato, ideał wciela w piękność ziemską. Geniusz Rafaela tryska z płótna i świeci jak łuna ognista; geniusz *Fra Angelico* spływa zda się z góry na płótno, i opromienia je jak światło xięzycy. Sztuka w obu może jest równa, ale jak źródła natchnień, tak i skutki ich różne. Fra Beato, malując, modli się i płacze, wpatrując się w Krzyż albo w Niebo. Rafael ma za model piękną Fornarinę, i czerpie natchnienie z jęj oczu, które, jak widać z jęj portretu, nie gwiazd tylko blaskiem jaśniały. Fra Beato może się wzdryga i nie śmie się lubować w wydaniu kształtów i wdzięków śmiertelnego ciała; Rafael może nie usiłuje, a może i nie zdoła, wydać

• tak świętości ducha. Weź najpiękniejszą z Madonn
Rafaela i postaw obok której z Madonn Fra Beata;
a jakkolwiek się pierwszą zachwycisz, chcąc zmówić
Ave Maria, obrócisz się pewno ku drugiej. Rafael
w sztuce swojej jest najwyższym artystą, Fra Beato
najwyższym poetą. Jest on tém w malowidle, czém To-
masz a Kempis w słowie. W obu, nie sztukę tylko, nie
mądrość—ale czujesz natchnienie Łaski. Rafaela na-
zwano *wielkim*; Brata Jana, biograf jego Vasari nie wa-
ha się nazwać *świętym*, i nie wątpi, „że dusza jego jest
w Niebie”.—A więc gdzież jest, i gdzie być może, wyż-
szy ideał sztuki i artysty?

Ale nie tylko w dziełach tych dwóch mistrzów,
duch każdego tak się odbija i wyraża w sztuce, jak
dusza w twarzy żyjącego człowieka; masz to samo
i w każdym innym, dla którego sztuka, przestawszy
być już tylko polem do popisu, staje się narzędziem
twórczości. We wszystkich, jakie dotąd widziałem,
obrazach *Leonarda da Vinci*, uderzała mię przede-
wszystkiém spokojność i harmonia układu, a ścisła
wykończoność roboty. A oto dowiaduję się teraz, że
i artysta sam, jako człowiek, podobniemiż się zaletami
odznaczał. Ciampi czytał mi wiersz jego, (bo był on
także i poetą), który tak mi się podobał, że go wytkó-
macyłem i posyłam tobie, abyś go téż dla siebie na
duchowy obrok obrócił.

„Jeśli nie możesz co chcesz, chciéj co możesz,
Gdy być spokojnym i szczęśliwym życzysz.
Niemożebności chęcią nie przemożesz,
Lecz ją usuniesz, gdy chęć ograniczysz.

„Szaleniec tylko lub głupiec w swéj dumie
Mniema, że wszystko po swéj woli nagnie.
Mędrzec, co prawdę wszech rzeczy rozumie,
Wié, co podola—i więcéj nie pragnie.

„Lecz i nie wszystko, co mieć możesz snadnie,
Plon spodziewanéj przynosi słodczy.
Jak w głébi kwiatu jad ukryty na dnie,
Zgryzotę znajdziesz w rozkoszy zwodniczéj.

„To szczęście tylko jest pewném i stałym,
Co z powinnością da się zgodzić spótem.
Ja, co to piszę, nieraz już płakałem
Na to, żem osiągl, co wprzóid mieć pragnąłem.

„Ty więc słów moich czytelniku miły,
Chcesz ustrzedz w sercu pokój i niewinność?
Celu twych żądań nie stawiaj nad siły,
Ani rozkoszy nie kładź nad powinność.“—

A trzebaż jeszcze wiedzić, że człowiek, który tak
myślał i pisał, był jednym z najgenialszych ludzi
swego wieku. Sławny malarz, rzeźbiarz, architekt,
poeta i uczony, był przytém piękny jak Apollo, a sil-
ny jak Alcyd. Łamał podkowy i sztaby żelaza, a ser-
ca dzwonów przeginał. I on to daje naukę, jak czło-
wiek wolę swoją ma hamować i ograniczać! A po-
wiedz-że to dziś naszym romantycznym wieszczom, albo
artystom, którzy myślą, że dość jest brykać, aby być
pegazem! Ale niechby we Włoszech pojeździli na
osłach. Przekonaliby się, że najczystszej krwi ru-
mak, nie ma tyle wybryków i fantazyi, czyli dziwactw,
co osiek. I nie jest téż to może bez pewnej analogii,
że zazwyczaj młodzi poeci rwą się tak do pisania *fan-*

lazi, i wybrykują tak w wierszach i w życiu przeciw odwiecznym prawdom smaku i moralności.

Ale nie powiedziałem ci nic jeszcze o Michale-Aniole, choć i on także obok Rafaela służył mi, jako malarz, za miarę porównania z *bratem Janem Anielskim*. Otoż powiem ci naprzód, że żaden z jego obrazów, których tu jest dosyć, nie tylko mi się nie podobał, ale są między nimi i takie, (np. *Trzy Parki* w pałacu Pitti), które gdyby mi chciano darować, pod warunkiem że je zawieszę u siebie, za nic w świecie nie przyjąłbym tego prezentu. Niech je tam sobie podziwia artysta czy anatomik; ja profan nie mam ochoty dopatrywać piękności w szpetocie. Prawda, że Michał-Anioł między malarzami, jest jak Achilles między córkami króla Lykomeida, wśród których go matka Tetys ukryła. Gardzi on pędzlem, jak Achilles igłą, i z musu tylko bierze się do niego. Dłóto dla niego, to miecz, który gdy Pelid w ręku Ulissessa obaczył, wyrwał się nawet z grona tylu pięknych królewien, choć go one pewnie jak siostry jedyne go braciśzka pieściły. Jemu płatać marmury, jak Achillesowi pancerze; i jak tamtemu burzyć, tak jemu gmachy na powietrze podnosić! Mojżesz, Sąd Ostateczny, i kopuła Św. Piotra w Rzymie, to mają być, jak mówią, trzy główne ślady tego Tytana w rzeźbie, malarstwie i architekturze. Ale i z tego, cośmy tutaj widzieli, Adam go już nazywa „lapidarnym Dantem“.

W kościele Św. Wawrzyńca (*San Lorenzo*), na placu tegoż imienia, ogromnym i wspaniałym, zbudowanym kosztem Medyceuszów, mieszczą się rodzinne

ich groby. Dwa z nich zwłaszcza, Wawrzyńca i Juljusza, są celem pielgrzymki podróżnych, nie dla uczczenia zawartych w nich kości, ale wprost dla nagrobków rzeźby Michała-Anioła, który był też architektem kaplicy, tak zwanéj *Zakrystyi Nowéj*, w której się oba znajdują. Rzeźby te składają się naprzód z posągów obu tych xiążąt; pod nimi zaś, na ich grobowcach, znajdują się cztery figury, po dwie na każdym, mające wyobrażać: *Dzień* i *Noc*, *Zmrok* i *Jutrzenkę*. Posąg zwłaszcza Wawrzyńca uważany jest za arcydzieło. Rzeźbiarz przedstawił go w zamiśle-niu, ale tak widać w niego wcielił myśli swoje, że te przezeń widocznie działają na widza. Ztąd też i nazwa: *Il pensiero* (myśl, dumanie), którą temu posagowi nadają. Przysłowie mówi: milczy jak kamień; ale ten kamień milcząc gada jak orator, i o czémkolwiek byś pomyślał patrząc, on do wszystkiego myśl swoją dorzuci i na jej ton twoje nastroi. Drugi posąg Juljusza, choć niemniej piękny z postaci, nie tchnie już tém życiem wewnętrzném, jakie mistrz zaklął w pierwszego. Ale za toż na jego to sarkofagu spoczywa najpiękniejsza z owych czterech pomienionych figur, *Noc*, w postaci uśpionéj kobiety. A wiąże się też do niej i poetyckie wspomnienie. Współczesny poeta Strozzi, zachwycony jej pięknością, a może i chcąc ująć mistrza, napisał i położył u stóp jej taki komplement:

„La Notte, che tu vedi in sì dolci atti
Dormire, fu da un Angelo scolpita

In questo sasso: e perchè dorme, ha vita.

Desta là, se no l'credi, e palceratti.

(Noc, co tu widzisz, tak pełna wyrazu

W śnie słodkim; Anioł wyrzeźbił ją z głazu,

I z tym snem życie natchnął kamieniowi.

Zbudź ją, jeśli nie wierzysz, a przemówi.)

Michał-Anioł odpisał na to w imieniu posagu:

Grato m' è il sonno, e più l'esser di sasso,

Mentre che il danno e la vergogna dura;

Non veder, non sentir, m'è gran ventura.

Però non mi destar; deh, parla basso!

(Miły mi sen mój, miléj, żem z kamienia.

Gdy trzeba tylko boleć lub się wstydzić,

Szczęściem jest dla mnie, nie czuć, i nie widzieć.

O! mów więc cicho! nie budź mię z uspienia!)

Wiersze te miały zawierać alluzję do ówczesnego politycznego stanu Florencyi. Ale co dzisiejsza Toskania, to zdaje się być bardzo szczęśliwą, i co większa, że sami mieszkańcy to czują. Ludzie różnych klass i stanów, z którymi się mówić zdarzyło, są równie zadowoleni z rządów, jak przywiązani do osoby i dynastyi panującego Wielkiego Xięcia. Podatki małe, osobistość i własność bezpieczna, pole do pracy i zarobku otwarte. Do politycznego znaczenia Toskańczycy, jak mówi Ciampi, nie wdychają, i mają dość na pierwszeństwie, które im nad innemi krajami włoskiemi, zarówno same te kraje, jak i oni sami sobie przyznają. Pisałem ci już zda się, że powszechna we Włoszech grzeczność i uczynność, ma tu szcze-

gólny jeszcze jakiś wdzięk i polor. Przytoczę ci parę przykładów.

W kilka dni po przyjeździe, wszedłem do jednej z mniejszych księgarni, biorąc ją za gabinet czytania, i chciałem pożyczyć Ariosta. Podano mi exemplarz nowy i nierozcięty, a ja, poznawszy moję omyłkę, przeprosiłem i chciałem wychodzić. Ale grzeczny gospodarz zatrzymał mię i oświadczył, że on téż może książkę téj pożyczyć, pozwalając nawet rozcinać karty, byleby ostrym nożem, to jest gładko. Zapytałem więc co mam zapłacić, i ile zostawić na zakład? Gospodarz ani jednego ani drugiego nie przyjął; na zapytanie zaś moje, co mi zjednywa tę grzeczność i co mu ręczy za moję rzetelność w oddaniu? uśmiechnął się, spójrzał na mnie, i salutując mię od ust ręką, odpowiedział: „*la sua fisonomia*“ — to jest fizyognomia moja. Nie mam zda się potrzeby dodawać, że książkę na czas oznaczony odniosłem, a rozmowę i dalszy z nim stosunek, starałem się jak mogłem nastrajać do wrażenia fizyognomii.

Fakt drugi. Jednego dnia wybraliśmy się z Adamem piechotą do *Fiesole*. Jest to bardzo stara miejscina, z czasów Etruskich, pełna różnych starodawnych pamiątek, o trzy mile tutejsze od Florencyi, leżąca na wysokiej górze, i ztąd sławna pięknoscą widoków, które zwłaszcza chcieliśmy oglądać. Wycieczka udała się najpomyślniej; ale wracając o zmroku, tak byliśmy znużeni, że Adam usiadł na kamiennym słupku przy drodze, a ja obok na ziemi, wsparłszy głowę na jego kolanach. W téj chwili nadjeżdża od

Katalogizacja: U

strony Fiesole jakiś karykiel czy faetonik, elegancki a próżny. Furman, młody chłopak, w galonowanej libery, zatrzymuje się tuż przed nami, i przechylając się ku nam z kozła, odzywa się bardzo uprzejmie: „Panowie jesteście znużeni, (*siete lassi, signori!*) Jeżeli się podoba, mogę odwieźć do miasta“. — Ja chciałem zaraz korzystać z ofiary, ale Adam zaprotestował, widząc że powóz prywatny, a cudzy. Furman, który słów nie rozumiał, wniósł zapewne, że o zapłacie mówimy; gdyż odezwał się znowu: „Nie bójcie się, panowie! Dacie mi, co wam się podoba. Ja chcę tylko zrobić przysługę“. — Wytłómaczyłem mu więc powód naszego wahania się; a on machnąwszy ręką niedbale: „*Fa niente!* (nic nie znaczy). Pan mój (*mio padrone*) odsyłał przyjaciela swego do Fiesole, a choćby się dowiedział że podwiozłem panów, za złe mi tego nie weźmie“. — Wsiadliśmy więc bez skrupułu, i rozmawiając z nim po drodze, daliśmy mu w końcu *per bere*, cogo dzinny kurs fiakra kosztuje; z czego był wcale kontent, i bardzo nas życzliwie pożegnał.

Raz chodząc po ogrodzie *Boboli*, który mi się coraz bardziej podoba, wzięła mnie chętć zwiedzić fortecę czy zamek, *Belvedere*, panujący nad tym ogrodem, a z którego wałów przepyszny widok całe miasto i okolicę ogarnia i rozciąga się aż do Pisto. Nie byłem tylko pewny czy mnie wpuszczą, i zapytałem o to młodego podoficera, który stał sobie w bramie, pogwizdując jakąś aryjkę. Zapytany tak był uprzejmy, że nie tylko wstępu dozwolił, ale sam owszem ofiarował mi się za przewodnika, i oprowadziwszy po wszyst-

kich kątach, nie tylko żadnej za to zapłaty nie przyjął, ale chciał jeszcze gwałtem uczęstować mię winem, tak, że się ledwie nie ledwie od drugiej lampeczki wyprosiłem.

Ale nie tylko te i tym podobne dowody uprzejmości, których sam, i to na każdym kroku doznawałem, dały mi wyobrażenie o Florentczykach, że są jakby *kalafiorami włoszczyzny*; największy dla nich respekt obudziła we mnie wiadomość o istniejącem tu już od wieków stowarzyszeniu, czy raczej bractwie dobroczynnem, pod nazwą *Misericordia*, którego wyłącznym celem jest niesienie pomocy ubogim chorym i oddawanie ostatniej posługi umarłym. Najmłodniejsi panowie i najpiérwsi dostojnicy krajowi biorą zarówno w niém udział, jak mieszczenie i rzemieślnicy. Za usłyszeniem dzwonu, dającego hasło z wieży katedralnego kościoła, każdy z nich obowiązany jest pod sumieniem, we dnie czy w nocy, stawić się w zakrystyi tegoż kościoła, i śpieszyć na wskazane miejsce, dla dopełnienia powinności brackiej. Dla zatarcia zaś wszelkich różnic stanu i dla ukrycia osobistości przy wykonywaniu téj chrześcijańskiej posługi, wszyscy przywdziewają strój jeden, to jest rodzaj domina, czy kapicy z kapturem, osłaniającym twarz całą, z otworem tylko dla ust i dla oczu. Bractwo to, zawiązane w wieku XIII podczas grasującej w mieście i w kraju zarazy morowej, utrzymuje się do dziś dnia w całej swój sile, i obok tylu kościołów i innych dobroczynnych zakładów, jest już samo najwymowniejszém świadectwem moralności i pobożności mieszkańców. Dziwna rzecz, że przez

ciąg tylu wieków, żaden z naszych podróżników, którzy nam tyle złego ponawozili zewsząd z zagranicy, zwyczaju tego nie przeszczepił do Polski.

Ale mówiąc o stronach światłych obyczajowości tutejszej, nie mogę też zamilczeć i o ciemnej. A jest nią przedewszystkiem—brudactwo. Na ścianach wszystkich prawie kościołów świeci wielkimi literami napisana przestroga: *Rispettate casa di Dio* (szanujcie dom Bóży), a tuż pod nią masz wszędzie oczywiste dowody, że napis ten jest martwą literą; i dziwić się tylko należy, że policya ze swojej strony nie dodaje mu siły żywotnej. W miastach Lombardzkich, gdzie rząd jój sprawują Niemcy, nie podobnego nie widać. Wiele też bocznych ulic, w samym środku miasta, z pozoru i zapachu przypomina naszą *Rudnicką*, a niekiedy nawet *Żydowską*. Na niektórych, przed domami rzeźników, widzisz mięso wywieszone jak w jatkach; a co gorsza, kucharze i kucharki publicznie zarzynają ptactwo. Raz ledwo uciekłem od takiego widoku, a i tak z jego łaski, na obiedzie u xięcia Ogińskiego, nie mogłem już dnia tego jeść kurcząt.

Ale przecież nie na takim obrazie skończyć mogę wspomnienia o Florencyi; a że i papier ma się ku końcowi—więc pomijając tysiąc rzeczy wielkich, pięknych, ciekawych, wprowadzę cię przynajmniej choć na chwilkę do sławnej galeryi w pałacu *Pitti*, dokąd idąc w liście poprzednim zatrzymałem się na pół drogi. Jest to galerya jedna z większych na świecie, połączona, jak oko z okiem, z galeryą *Uffizi*, przez napowietrzny korytarz, (25 sążni długości), przechodzą-

cy przez rzekę Arno, po nad mostem, tak zwanym *Starym* (*Ponte Vecchio*). Naliczyłem w niej tyleż sal co w tamtej, to jest 22, nazwanych po większej części od imion bogów i bogiń; jak sala *Wenery*, *Flory*, *Apollina*, *Marsa*, *Jowisza* i *Saturna*. A jest też sala *Prometeusza* i *Ulissesa*, i sala *Iliady*. Wszystkie te nazwy pogańskie, z tak zwanego „wieku odrodzenia“, pochodzą zwykle od przedmiotów, malowanych *al fresco* na sklepieniach. Ale cóż ci powiem o ścianach, na których, na bogatych jedwabnych obiciach, przeszło 500 arcydzieł najsławniejszych mistrzów, porywa oczy i rozrywa uwagę, tak, że za każdym wyjściem ztamtąd, czujesz się formalnie jak pijany; tak ci się w głowie kręci, a przed oczyma roją się widziadła. To też po pierwszym widzeniu wszystkiego za jednym razem, przy każdej następnej bytności układaliśmy naprzód program, na co patrzeć mamy, stosując się w tém do Allana, który zawsze i wszędzie był nieodstępnym towarzyszem naszym: z wyjątkiem dalszych przechadzek za miasto, lub wypraw na strzelanie bąków po ulicach, na które ja najczęściej puszczałem się sam, albo z Heryngiem. Samych obrazów Rafaela jest w galeryi *Pitti* cały tuzin; a między nimi pięć *Madonn*; a między temi dwie najsławniejsze po Syxtyńskiej: *Madonna del Gran Duca* i *Madonna della Seggiola*, które musisz znać pewno z rysunków, a może nawet i z obrazków. Resztę składają portrety, i jeden mniejszy od wszystkich, ale precudowny obrazek: *Widzenie Ezechiela*, który zdaniem znawców liczy się do najcudniejszych arcydzieł arcymistrza.

Przed każdym z tych obrazów zastawaliśmy zawsze kopistów, a przed ostatnim aż trzech nawet razem. Tyłuż wprawdzie kopiowało przy nas i owe *Trzy Parłki* Michała-Anioła, o których już wyżej wspomniałem. Ale winszuję im gustu! Malarz-Anglik mógłby w nich mieć doskonały wzór i ideał do *Trzech Czarownic* Makbeta. Ja nie miałbym spokojnej nocy, gdybym się w nie tak długo wpatrywał.

Ze wszystkich innych malarzy, których dzieła tu się znajdują, wymienię ci tylko trzech, bo tu ich właśnie po raz pierwszy nauczyłem się znać i uwielbiać. Są to: *Salvator Rosa*, *Andrea del Sarto* i *Fra Bartolommeo*, zwany zazwyczaj przez skrócenie: *Frate*. Każdy ma tu wiele obrazów; ostatniego zaś *Sw. Marek*, uchodzi za najcenniejszy z całej galeryi. Ramy ogromnych rozmiarów zapełnia jedna tylko figura Św. Apostoła, kolosalnej wielkości, siedząca; w ręku sięga zamkniętą i pióro. Obraz ten malowany pierwotkowo na drzewie, za czasów Napoleona był zabrany do Paryża i tam przeniesiony na płótno. Tu także, w sali Flory, znajduje się sławna *Wenus* Kanowy; a chociaż Allan, jako artysta, stawia ją, jako posąg, niżej od Medycejskiej: mnie wszakże, jako profanowi, ta, jako piękność, podoba się lepiej od tamtej. Oprócz zaś malowideł i marmurów, pałac Pitti zawiera jeszcze nieocenione skarby w rozlicznych kosztownościach i przedmiotach sztuki: w mozaikach z drogich kamieni, gobelinach, rzeźbionych srebrach, i t. d.

Sam gmach pałacu, olbrzymich rozmiarów, obecnie rezydencya dworu, budowany też jest nie z ce-

gieł, ale z ogromnych i z gruba tylko ociosanych brył szarego kamienia, bez żadnych architektonicznych sztukaterii i ozdób, co mu nadaje jakiś dziwnie poważny, majestatyczny charakter. Był on pierwotkowo własnością jednego z tutejszych kupców, Łukasza Pitti, który budując go sam dla siebie, w połowie XV wieku, miał przedewszystkiem na celu, aby ogromem i wspaniałością ówczesny pałac rządowy przewyższył.

Ta żądza przewyższania i zaćmiewania drugich, musiała tkwić szczególnie w charakterze Florentczyków, bo i katedra tutejsza miała nieco podobny początek. Przy końcu XIII wieku, Rada miejska, na posiedzeniu ogólnym, uchwaliła wznieść we Florencyi taki kościół, któryby wszystkie inne we Włoszech przewyższył, i poleciła sławnemu swemu architektowi: *Arnolfo di Lapo*, ułożyć taki plan jego budowy, „iżby żaden przemysł ani potęga ludzka, na większą i wspanialszą zdobyć się nie mogły“.—Cel ten istotnie został osiągnięty. Przez dwa prawie wieki, przez które trwała budowa, żaden kościół we Włoszech mierzyć się z nią nie mógł, a i dziś nawet, pod względem wielkości, zajmuje ona pierwsze miejsce po kościele Św. Piotra w Rzymie, zaczętem w wieku XV, i po kościele Św. Pawła w Londynie. Katedra też Medyolańska, która ją prześcignęła w piękności, o wiek cały młodsza jest od niej. W opisy żadne wdawać się nie myślę. Na nią samą trzebaby tomu; a jakżeby nie zahaczyć o stojące na tymże placu: Dzwonnicę (*Campanilla*), i tak zwaną Chrzcielnicę

(*Baptisteria*), sławniejsze może nawet od niej samej po świecie, pierwsza ze swojej struktury według planu Giotto, druga ze swoich podwojów z płaskorzeźbami z brązu, (przez *Andrea Pisano* i *Lorenzo Ghiberti*), o których Michał-Anioł powiadał, iżby warte być drzwiami do Nieba? Wspomnę wszakże o jej koronie, to jest o ogromnej kopule na wierzchu, (160 stóp średnicy, 330 wysokości nad kościół), raz że była poprzedniczką i wzorem Watykańskiej, (która nawet jest nieco mniejsza od niej), a powtóre, że historia jej budowy, jest zarazem historią każdego genialnego pomysłu, zanim się przez ciemnotę i ciasnotę współczesnych pojęć przecisnę. Kopuły tej nie było w pierwotnym planie budowy, a gdy kontynuator jej w wieku XV, sławny architekt *Filippo Brunelleschi*, przedstawił Radzie miejskiej pierwszy projekt swego pomysłu; projekt ten tak się jej wydał potwornym, że biorąc go albo za zuchwały żart z siebie, albo za dowód obłąkania autora, kazano temu ostatniemu po prostu wyjść za drzwi. I gdyby niezrażony tym Brunelleschi nie miał dość siły i wytrwania, a nawet i dość zasobów materialnych, do wykonania własnym kosztem modelu, który w końcu niewiernych przekonał: światby nie miał dwóch cudów architektury, t. j. kopuły tej i Rzymskiej, a nazwa waryata przylgnęłaby na zawsze do imienia genialnego mistrza. I tu dają się zastosować te słowa Tomasza Moora, które on w swoich *Fire-Worshippers*, (Czczicielach Ognia), o czém inném powiedział:

„Ileż dusz wielkich, w najświętszym zapale,
Legło pod hańbą sprośnego imienia,
Którym, by słynąć w nieśmiertelnej chwale,
Zbyszało tylko—chwili powodzenia!

Tak z łąk nadwodnych przejrzyste mgły letnie,
Gdy je chłód nocy, nim się w górę wzniosła,
Tchem lodowatym zatrzyma i zetnie,
Mglistą znów na dół opadają rosą.
Lecz niech raz wzbite nad gór blizkich szczytem,
Roztoczą skrzydła pod niebios błękitem,
Tam już, promienne tęczą barw tysiąca,
Błyszczą nad słońcem, jak korona słońca.

Temi więc słowa poety, który tak cudnie kopuły wschodnich świątyń opiewał, oddawszy cześć należną kopule Florenckiej—z niej, jako z najwyższego punktu Florencyi, wyciągam obie ręce ku niej, i ku tobie, i dłoń od ust, obyczajem włoskim, przesyłam wam obojgu serdeczne: *addio!*—List następny wyszł już z nizekąd inąd jak z Rzymu, dokąd jutro raniutko wyjeżdżamy, razem z zacnym, kochanym, nieodstępnym naszym Allanem.

XLVIII.

Do tegoż.

14 Listopada, godz. 10 wieczór, Poggibonsi.

Mądrze ktoś powiedział: „Bóg stworzył wieś, człowiek założył miasto;” kiedy przy wyjeździe z takiego nawet miasta jak Florencya, i na taką tylko wieś, jaka, choćby we Włoszech, w Listopadzie być może: człowiek czuje się jakoś—a przynajmniej ja się tak czułem, jak gdybym był z więzienia wypuszczony na wolność, albo jakbym studentem na wakacje ze szkół wyjeżdżał. Podobieństwo to tém właściwsze, że wojażer wśród tylu rzeczy do widzenia w mieście, musi obliczać się z czasem jak student, i choćby chciał i próbował, słodczy *farniente* ani swobodnie, ani spokojnie używać nie może. Za toż wyjechawszy z bram miasta, gdy słońce właśnie promieniście wschodziło, nie mogłem w myśli i w ustach powstrzymać wykrzykniku Farysa:

„Jak tu miło odetchnąć piersiami całemi!”

Bo co do *wyciągnięcia się ramiony całemi*, to wcale nie brała ochota. Ramiona były zajęte czém inném—to jest otulaniem się, jak można najściślej, moim hiszpańskim, niewatowanym wprawdzie, ale za to szerokim i fałdzistym płaszczem, tak, że starczył mi nawet na akt miłości bliźniego: to jest, na okrywa-

nie kolan siedzącego naprzeciw Allana, który, w krótkim paletociku, równie ze mną dygotał od zimna. Sensacya ta we Włoszech była dla nas niepospolitą siurpryzą, której żeśmy dotąd nie czuli, to albo może dla tego, żeśmy we Florencyi nie wstawali nigdy tak rano, albo, że ranny zefir z Apenninów, łamie skrzydła o mury miasta i nie dolatuje do środka. Szczęśliwy Adam, w watowanym swoim płaszczu, wcisnąwszy się w kąt *wellury*, istny Basza w jego balladzie:

Nie dbał, czy zefir chucha, czy dmucha,
Czapkę nasunął nad okiem,
Drzemał, i dymy ciągnąc z cybucha,
Mglistym się zakrył obłokiem.

Widok téj jego błogości nie irytował mię wcale; ale co mnie do żywego drażniło, to nowy nasz czwarty towarzysz, sąsiad mój na przedniem siedzeniu, jakiś tuczny, pyzaty, czerwony jegomość; nie stary jeszcze, ale już widać wytrawny egoista. Dobył z troków ogromny jak prześcieradło szal czy pled wignowy, i obwinąwszy się nim od stóp do głowy, jak mumija egipska, z nieczułością téż mumii spoglądał na nas, nie mówiąc ani słowa; ale w tych jego spojrzaniach można było wyczytać wyraźnie, że widok naszego marznięcia nie tylko mu nie psuje, ale owszem podwaja rozkosz jego ciepła. Powziąłem ku niemu anse, jak niegdyś do tego Niemca, co w drodze z Kolonii do Jülich nie chciał ustąpić miejsca pięknej mej blondynce z nad Renu. Gdy zaś chłód nam coraz bardziej dokuczał, korzystaliśmy z wolnej

jazdy pod górę, ażeby wysiąść z wettury i choć ruchem rozgrzać się nieco. Dwaj nasi towarzysze z kabrioletu poszli za naszym przykładem, i przyłączywszy się do nas, zawiązali z nami znajomość. Obaj mało starsi odemnie; jeden Anglik, drugi znowu Amerykanin, tylko że już nie z Peru, jak don Jose Urquiza, ale też pewno jakiś *Don*, z Meksyku. Nazwiska jego dotąd nie wiem, ale obadwaj gładcy i wykształceni ludzie. Po francuzku mówią łatwo i płynnie. Z Anglikiem zwłaszcza jestem już w przyjaźni, a pierwszy krok poszedł od niego. Wyskoczywszy bowiem z kabrioletu, powitał mię bardzo uprzejmie, i odezwał się wesoło: „*Ce serait une belle histoire, si nous allions geler en Italie.*”—, „*Nous serions du moins pour quelque temps comme les monuments funebres de nous mêmes,*“ odpowiedziałem. Zaśmiał się i podał mi kordyalnie rękę, którą ja też z nie innym affektem przyjąłem. Ztąd rozmowa, znajomość i przyjaźń, której już dawno nie zabrałem z nikim, ku wielkiemu podziwieniu Adama. W wielkiem mieście nie tak to łatwo, zwłaszcza gdy przedłużony pobyt ujmie gościa w karby zwykłej, powszedniej przyzwoitości. Ale bodaj że ci nie wspomniałem nic jeszcze o mojej przyjaciółce Florenckiej, jedynę jaką miałem w tém mieście. A była nią siostra gospodyni, u którejśmy mieszkali, panna Marya *Carozzi*, lat około 50, wpół ślepa, z zielonym daszkiem nad oczyma; przytém bardzo pobożna, ruchliwa, czynna, mówna, i zawsze z pończoszką w ręku. Od pierwszego dnia zaraz weszliśmy z sobą w przyjacielski stosunek, który

ciągle postępował *crescendo*. Ona sama czuwała nad mieszkaniem naszym, porządkowała nasze rzeczy, trudniła się naszą bielizną, i w ogólności była dla nas niezmiernie uprzejmą i grzeczną. Nawzajem zdawała się być bardzo ujętą, że codziennie rano i wieczór, oddając ję lub biorąc klucze od mieszkania, poświęcałem chwilę rozmowie, co mi też i za excycyą we włoszczyźnie służyło. Nieraz dostałem za to burę od Adama, który musiał czekać na wschodach. Ale darmo! jest to już mój stały obyczaj, nigdy dla kaprysu starych przyjaciół nie wyrzekać się i nie zaniedbywać nowych. A oto i teraz rad jestem że ci wspomniałem o *Signorze Maryi*, choć przewiduję aż nadto, że ani ję zielony daszek, ani pończocha, wyobraźni twęj wcale nie zainteresują.

Ruch i gorąca kawa w *San Cacciano* wywiodły mię ze stanu obumarłej muchy, a coraz cieplejsze słońce i towarzystwo nowego przyjaciela, przywróciły mi humor polnego konika. Przyjaciół mój dużo podróżował i czytał, ale że mnie nie bije wciąż po głowie tytułami książek, jak niektórzy mędrcy warszawscy, więc nie tylko nie czuję się przy nim w roli żaka, ale owszem z rozmowy jego, ziarno po ziarnku nieznacznie do szczupłej miarki wiedzy mojej dorzucam. A nie ma też w nim bynajmniej ani Anglo-Saxońskiej ani Normandzkiej oryginalności wyspiarskiej; on sam z nię owszem żartuje: i za pierwszym widzeniem przy kawie w *San-Cacciano*, naszego towarzysza z wettury, nie tylko odgadł w nim ziomek, ale nawet zaręczył, że musi być żydem, i sentyment mój

względem niego podzielił. Allana znał ze sławy, i jest dlań z wielkim respektem, podobnie jak dla Adama, o którym, ma się rozumieć, powiedziałem mu wszystko, co wiedzieć należy. On sam nazywa się Ryszard *Templer*, i podróżuje wprost dla przyjemności. Meksykanin też dobry chłopak, tylko że nie tak mówny, i zdaje się nawet nieśmiały. Rozmawia najwięcej z Adamem. Przy obiedzie, na zapytania jego, opowiadał nam wiele ciekawych rzeczy o swoim kraju, a między innemi, o sposobach łowienia różnych pięknych ptaków i pereł. Co to za cuda na tym Bożym świecie!—Jeden tylko ów obrzydliwiec egoista siedzi ciągle jak mruk, do nikogo słowa nie mówi, jakby chciał nam pokazać, że o nikogo z nas nie dba. Allan także podziela domysł co do jego plemiennego pochodzenia, a wszyscy, jakbyśmy się zmówili, odpłacamy mu równą oziębłością, i ja nawet go nie zaczepiam. Taki tedy jest skład osady naszego kołowego korabiu. A co do kraju, któryśmy przejechali: —naprzód były góry, nie zbyt wysokie, ale dzikie, tu i ówdzie porosłe wrzosem i sosenkami rozłożystemi u wierzchu, gdzie nigdzie tylko uprawne lub zasadzone w linie owocowemi drzewami. Po obu stronach drogi doliny i smugi piękny nieraz tworzyły widok. Mieszkań ludzkich widać niewiele. Oprócz *San-Cacciano*, przejechaliśmy jeszcze miasteczko *Tavernalli*, oba równie małe i brudne. *Poggibonsi*, gdzie noclegujem, większe nieco i porządniejsze, liczy aż sześć kawiarni. Przebiegliśmy je z Anglikiem, nim

dano do stołu, aleśmy nic ciekawego, ani pięknego, nie widzieli.

A teraz masz, jak i ja miałem, po obiedzie na wety, najmilszą i najważniejszą wiadomość dnia dzisiejszego. Adam napisał wiersz nowy —ale jak! Dawno już nie pamiętam, żeby mię co równie wzruszyło. A i w głosie jego gdy czytał, znać było z jakim uczuciem go pisał. Tytuł prosty „Do Matki,” ale nastrój Izajaszowy. „*Utinam falsus sit propheta!*“ Genezę jego są pamiętniki Ogińskiego i rozmowy z nim samym. Musiał go układać dziś rano, kiedy ja właśnie rozumiiałem że drżenie, a przepisał już tu z pamięci, podczas gdy spacerowałem z Anglikiem. Bo zaledwieśmy wstali od stołu, pociągnął mię za rękę i szepnął, abym wyszedł za nim sam jeden. Weszliśmy do jakiegoś ogródka, tam siadłszy na niskim płotku, powiedział mi naprzód o tém, a potem dobył rękopism, bez żadnej mazaniny, od razu widać przepisany na czysto. Wysłuchałem go, przeczytałem, i powtórzyłem na pamięć. Wszystkie te trzy próby wypadły ku zadowoleniu autora. Ale widać, że nie tylko my proste ciury, ale i pegazowa starszyna Parnaska ma tę wspólność z naturą dziewcząt, że jak one wdziawszy nową sukienkę, albo przypiąwszy do niej nowy kwiatek, czują konieczną potrzebę przejrzeć się we zwierciadle, albo choćby w wiaderku z wodą: tak poeta, napisawszy wiersz nowy, musi go zaraz koniecznie komukolwiek przeczytać, choćby nawet, jak Molier, kucharce. I podług mnie, w ogólności, cała uznana wyższość poetyckiej natury, jakoby rodzaj kapłań-

stwa, polega mianowicie na tém jój podobieństwie z naturą kobięcą. A byłoby może i z anielską—gdyby właśnie to ziemskie powinowactwo nie zanadto ku sobie pociągało poetów.—Na dziś koniec. Dobranoc!

15 Listopada, godz. 8 wieczorem, Torinieri.

Ledwie że żyję, tak się czuję znużony; a patrz, co za moc duszy nad ciałem! kiedy jeszcze siadam pisać do ciebie. Jest to co się nazywa:

„Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił.“—
Czuj-że wielkość ofiary,
Abyś dość wdzięcznym był!

O trzeciej rano wyjechaliśmy dziś z Poggibonsi, przy pogodnym świetle księżyca. Ale że księżyc nie grzeje, a chłód drzémać nie dawał, musieliśmy znowu jak wczoraj *laufrować* z milę przed końmi, ażeby w sobie rozpromienić ciepłik. Po czarnej kawie dopiero—bo tu mleka po oberżach nie dostać—wsiedliśmy znów do wettury, która się dla nas zamieniła w katedrę, gdy Adam, z extraordinaryjnej swęj łaski, raczył w niej zająć miejsce profesora. Pierwszy nasz popas miał przypaść w Siennie. A że o niej nie tylko ja, ale i Allan nie wiele co wiedział, prócz chyba że była miejscem urodzenia Ś. Katarzyny, którą on znał z obrazów, a ja z Żywotów Świętych: Adam więc jako świeży czytelnik Historii Florenckiej, opowiedział nam po krótku Siennieńską, którą pierwsza po-

chłonęła nakoniec. Krwawa i obrzydliwa, jak tych wszystkich mieszczańskich Respublik włoskich, o których niegdyś w Sismondim ze wstrętem i oburzeniem czytałem. Wolę już z dwojga złego bandytyzm feudalnych Baronów, gdzie przynajmniej pojedyncze postacie poetycko wychodzą na jaw. Ale te wieczne kiermaszowe kłótnie i bójki, ławników z ławnikami, po ulicach i rynkach! Te istne bekasowe wojny lada miasteczka z miasteczkiem—nim je nakoniec pierwszy zręczniejszy łowiec nakrył siecią lub czapką xiążącą, jak bijące się między sobą wróble! Burza na oceanie, to choć fale przynajmniej podnosi ku niebu; ale burza na jeziorze lub stawie, błoto tylko ze dna porusza. Nie dziw że Machiawel, blizki świadek wszystkich tych rzeczy, wołał w końcu jednego smoka, i uczył go jak ma pozjadać te wciąż syczące tylko i kłające się wzajem gadziny. Chociaż bodaj, że wszelka ludzka forma rządu, nieraz w idei wabna jak kochanka, w praktyce będzie zawsze jak żona, to jest, każda mniej więcej dokuczy. A czy w tém wina raczej żony czy męża, to jest ludu, który ją pojął, o tém dopiero konsystorz Historii rozstrzyga.

My tymczasem, gadając o tém, punkt o samęj dziewiątej stanęliśmy w bramie *Sienny*, i zamiastjechać do *Aquilla Nera*, gdzie weturyn miał odbyć popas, puściliśmy się od razu na wycieczki po mieście, to jest my wszyscy, oprócz egoisty, który sam sobie do oberży pojechał.

Sienna miasto piękne i duże, tylko że drugi ten przymiot wiele szkodzi pierwszemu. Żyło tu i mie-

ściło się niegdyś przeszło sto tysięcy ludzi, a dziś jest zaledwie dwadzieścia. Nie dziw zatem, że miasto wygląda jak pustka, z której znowu, jak z każdej pustki:

Wielkiem okiem wзира ziewająca Nuda,

i nie mając sama na co patrzeć, drugich tylko do ziewania pobudza. Takie jest pierwsze wrażenie przy wjeździe do Sienny, i takim w nas w ogólności przy wyjeździe zostało. Co do szczegółów: Miasto stoi na trzech pagórkach, górujących nad temi, które je otaczają dokoła. Każdy pagórek stanowi oddzielną część miasta, a wszystkie te trzy części wojowały kiedyś pomiędzy sobą. Ślad i pamiątka tego miłego stanu rzeczy pozostają dotychczas w szerokich murach, z wieżami i basztami, opasujących niektóre wspanialsze domy, które pewnie kiedyś za twierdze możniejszym rodzinom służyły. Styl ich budowy gotycki. Nad bramami rzeźbione herby; dziedzińce wewnątrz otoczone portykami; a wszędzie pusto i głucho. Ulice ciasne i kręte, idą wciąż to w górę, to na dół; niektóre mają stopnie jak wschody, a wszystkie brukowane gładko, jak we Florencyi, ogromnemi płytami kamienia, albo cegłami. Gdzie niegdzie wpoprzek po nad niemi przerzucają się zamieszkałe łuki, z oknami na ulicę, tworząc pod sobą bramy, jak nasza *Ostra* i *Zamkowa* w Wilnie ¹⁾). Domy piętrzą się je-

¹⁾ Ostra Brama, ze słynnym cudownym obrazem N. Maryi Panny, dotąd istnieje. Zamkowa znajdowała się przy końcu

dne nad drugimi, a wszystko to wzięte razem nadaje miastu jakiś szczególny oryginalny charakter. Na szczycie najwyższego pagórka wznosi się najwspanialszy kościół tutejszy—katedra (*Il Duomo*). Jest to olbrzymi gmach w guście gotyckim, zewnątrz i wewnątrz wykładany po równiej części marmurem białym i czarnym. Miał to być jakoby symbol łączenia się obu stronnictw, dzielących niegdyś Siennę, *Białych* i *Czarnych*, w usługę Rzeczypospolitej; chociaż, chcąc, możnaby widzieć w tém raczej symbol owęj właśnie pstrocinny społecznej. Na ścianach wszakże pstroczyna ta nie razi, ale owszem pociąga oczy; podobnie jak lazurowe sklepienie, w złote gwiazdy, we środku. Ale najślawniejszą osobliwością tego kościoła, jest podłoga mozaikowa z różnokolorowych marmurów, pokryta całkiem rysunkami różnych obrazów, rytami w niej i napuszczanemi jakąś masą czarną. Rodzaj ten rysowania nazywa się *graffito*, a najślawniejszy rysownik — *Beccafumi*. Najpiękniejsze rysunki pokryte są deskami, które tylko w uroczyste święta zdejmują. Rzeźb, obrazów, pomników, pełno, jak w każdej bazylice włoskiej, ale zaledwie był czas spojrzeć na nie. Trafiliśmy na samo nabożeństwo, którego, jako w niedzielę, trzeba było przecież wysłuchać; potem zaś, stanąwszy u drzwi, wolałem między wychodzącemi upatrywać piękności żywych i kostiu-

ulicy, prowadzącej od kościoła św. Jana do zamku; zburzoną w roku 1837.

mów miejscowych, niżeli z zadartą głową towarzyszyć kolegom, którzy tymczasem oglądali obrazy. Trzeba albowiem wiedzieć, że Sienna słynie także z dwóch rzeczy: z pierniczków, i z pięknych dziewcząt. To też ja z moich obserwacji żywych większą pewnie odniosłem korzyść estetyczną, niż potem z oglądania w zakrystyi: sławnej starożytnej grupy *Trzech Gracyi*, z białego marmuru; kilku wymuszonych strasznie posągów Berniniego, a nawet sławnych fresków, które, jak mówią, osiemnastoletni Rafael malował kiedyś wspólnie ze starym mistrzem Pinturiccio. Uderzył mnie jednak w jednej z kaplic prześliczny obraz, a raczej mozaikowana kopia obrazu *Carlo Maratti*, ale wykonana tak cudnie, że zbliżka nawet trudno jest uwierzyć, aby z tak twardego kamienia można było ułożyć miękkie rysy pędzla. Nie ma co wiele mówić o innych jeszcze kościołach, któreśmy przebiegając po mieście zwiedzili, prócz że wszystkie mniej więcej są wielkie, piękne, bogate i pełne obrazów. Ale nie mogę nie wspomnieć o tak zwanem *Oratorium Św. Katarzyny*, to jest o domu, w którym kiedyś mieszkała, przerobionym na kościół i podzielonym na kapliczki. Wiész może, że była ona córką prostego ubogiego farbiarza. Otoż jedna z kapliczek oznacza miejsce, gdzie był sklepik jej ojca; druga, gdzie ona sama sypiała na gołej ziemi; inna znowu, gdzie była kuchnia i mieszkanie rodziny. Pokazują też różne sprzęty, należące niegdyś do Świętej, a między innymi: włosiennicę, dyscyplinę, którą się biczowała, kij pielgrzymi, i model cierniowego wieńca, który nosiła.

Freski i obrazy na ścianach przedstawiają różne sceny z jej życia. Wszystko to, uświęcone wspomnieniem jej samej, jest do dziś dnia przedmiotem czci i uwielbienia. A ileż to świetnych pałaców, noszących dotąd nazwę wielkich rodzin, które w nich niegdyś mieszkały, stoi teraz pustkami! nikt do nich nie zagląda, nikt o ich dawnych mieszkańcach nie wie! Tak to wielkość i świętość ważą się na świecie. W chwili obecnej, świętość kryje się w cieniu i korzy się w prochu, jeśli jej jeszcze nie gnębią i nie depcą; wielkość zaś puszy się i błyszczy, budząc cześć, podziw, lub postrach gawiedzi. Ale ledwo obecność minęła—wielkość ziemską zapada w przeszłość, coraz głębiej, jak w ziemię, aż nakoniec zgaśnie w zapomnieniu; zaś świętość z przeszłości w przyszłość rośnie jak cedr z ziarna ku niebu, aż rozkwitnie nakoniec w wiekuistą chwałę.

Z takimi refleksjami w myśli, nie mieliśmy zgoła ochoty zwiedzać wnętrza owych pałaców; na galerie czasu nie było. Poprzestaliśmy zatem na obejrzeniu kilku placów publicznych i fontann, liczonych do najcelniejszych ozdób Sienny. Najpiękniejsza z nich, *Fonte-Gaja*, leży, a raczej wznosi się na najpiękniejszym i największym placu *del Campo*, dawniejszemu *Forum Rzeczypospolitej*. Nie jest to plac jak zwykle płaski i regularny, ale ma formę i wygłębienie konchy, a otoczony wkoło wspianiami gmachami. Nad najwspanialszym z nich, niegdyś siedliskiem rządu, *Palazzo dei Eccelsi*, strzela w niebo wysmukła wieża prześlicznego kształtu, zwana *La Mangia*, którą Leo-

nardo da Vinci uważał za najpiękniejszą na świecie. *Finis coronat opus*. Chciałem zatem koniecznie obaczyć i pożegnać Sienę z jej szczytu, a gdy nikt z towarzyszy towarzyszyć mi nie chciał, uparłem się i poszedłem sam jeden, ma się rozumieć z *ciceronem*. Ale pocziwy Meksykanin wzruszył się widać i dopędził mnie już na wschodach. Obowiązany mu jestem niezmiernie, bo i we dwóch było weselę, i uchronił mnie potem od burzy, któraby mnie niezawodnie spotkała. Pomimo bowiem pośpiechu, nim się weszło i zeszło, nim się wszystko dokoła obejrzało z góry, czas przeznaczony na popas upłynął, i gdyśmy przyszedli do *Aquila Nera*, weturyn już był wyjechał, mając na nas czekać przy bramie, gdzie miał do załatwienia jakiś swój interes. Nie miałem czasu gniewać się na niego, przewidując gniewy na siebie. Cała nadzieja była w Meksykaninie, i ta mnie nie zawiodła. Adam wyszedł wprawdzie naprzeciw chmurny jak Jowisz, kiedy piorun gotuje; ale przy obcym człowieku, skończyło się na błyskawicy w oczach. W inny jednakże sposób odpokutowałem za swoje. Śpiesząc co tchu nie miałem czasu, a nawet zapomniałem kupić sobie na drogę sławnych ciastek tutejszych, które rozłakomiły mnie tylko, ale wcale nie nasyciły w kawiarni, gdzieśmy chodząc po mieście wstąpili. Za toż w całej dalszej drodze do noclegu, a więc i do obiadu, doświadczałem prawdziwych męczarni głodu, zaspakajając go jak mogłem, to haustem wina z manierki, to kłębami cygarowego dymu. Sąsiad mój egoista krzywił się nieraz i kaszlał, czy udawał kaszel; ale

nic to nie pomagało. Jeśli dla kogo, to dla niego, nie miałem ani obowiązku, ani ochoty się żenować. Rad wszakże jestem, że byłem na wieży. Czuję w sobie jak we zwierciadle cudny obraz miasta i kraju. Widok sięga do gór Bolońskich. Miasto jest w kształcie trójkątnastej gwiazdy, a położenie jego na wzgórzach, czyni je bardzo malowniczym z góry. Kraj, jak zajrzeć, górzysty, a raczej pagórkowaty, uprawny i zasadzony w rzędy drzewami owocowymi. Między niemi najwięcej oliwnych, jak potem widziałem jadąc. Ale im dalej od miasta, drzewa i domki tém rzadsze, grunt coraz mniej uprawny, góry coraz dziksze, słowem droga coraz nudniejsza. A że przytęm głodem i chłodem—więc pojmij, co to była za rozkosz, gdy stanawszy tu o godzinie szóstej, wchodzimy do oberży—aż tu stół już nakryty, obiad gotów czeka na gości, a na kominie jakby ołtarz Znicza!!! Nie dziw więc, że zasiadłszy przed nim po obiedzie, zaczęliśmy rozmowę o szczęściu, o której muszę ci wspomnieć, z powodu roli, jaką w niej wziął Adam. Sir Templer założył i utrzymywał, że najszczęśliwsi powinni być poeci, byleby sami sobie i w sobie poezji życia nie psuli. Ja to czuję i wierzę najmocniej. Allan zgadzał się na toż samo z punktu widzenia artysty, zwłaszcza, że poeta w tworzeniu nie potrzebuje żadnej mechanicznej pracy. Meksykanin słuchał i milczał; egoista miał nas pewnie za głupców; ale najpociesznijszym dla mnie był Adam. Pojmuje, że mu było trudno na seryo twierdzić lub przeczyć, bo tak czy owak musiałby mówić o sobie, albo czerpać dowody z sie-

bie; a zaś moja obecność mimowolnie byłaby w tém dla niego jakby pewnym rodzajem kontroli. Nie mogę więc nie podziwiać dyplomatycznej zręczności i dowcipu, z jakim się z tego położenia wywikłał; chociaż ja to sam właśnie, nie wiem za jakie trzy grosze, stałem się tym kozłem ofiarnym, po którym lis ze studni wyskoczył. Wchodząc albowiem niby w myśl *Sira Templera*, tak zaczął malować w obrazach szczęście próżniaka, latawca, nieuka, który choć nic nie robi i nie się nie uczy, ale że pisze wiersze do albumów panieńskich i drukuje niekiedy w dziennikach, jest już pół-bohaterem w oczach pensyonarek, i od podobnych sobie literatów bierze patent na towarzysza kunsztu; i tak to wszystko malował jaskrawie, że nawet egoista nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Że zaś nie łamiąc głowy łatwo było odgadnąć, iż to miał być portret z natury: nowi więc przyjaciele moi zwrócili się z kondolencją ku mnie, i wesoło wzięli moję obronę. Ja sam uśmiełem się do łez; tyle w jego obrazowaniach było konceptu i soli, i tyle w gruncie rzeczywistej prawdy. Pod wpływem tego to wrażenia, które mię rozczuchało, zacząłem i piszę do ciebie; inaczej spałbym już dawno, jak to zaraz zamyslałem uczynić, bo jutro znowu wyjeżdżamy o trzeciej.

NB. *Torinieri*, gdzie nocujemy, jest to licha osada z kilkunastu domków, ale oberża i obiad był niezły, tak, że się nie spodziewam widzieć przez sen cyganów;—chybaby *Precyozę* z warszawskiego teatru; bo taby uszła nawet i po uczenie Lukulla. Dobranoc!

16 Listopada, godz. 10 wieczorem, San Lorenzo.

Gdybym miał narratorski talent, tobyś musiał pękać ze śmiechu, czytając co mam napisać. Buda bowiem Tespisa nie mogła być teatrem lepszej komedii, jak dziś była nasza wettura. Bohaterem jój był egoista, a tytuł najwłaściwszy byłby chyba: *Tchórz w strachu*. Sprawdził się bowiem domysł Templera i Allana. Jest on istotnie wyznawcą Starego Zakonu, synem Londyńskiego bankiera, a nazywa się *Izaak Macatta*. Dowiedzieliśmy się o tém od niego samego; ale jak do téj konfidencji przyszło, w tém to dopiero właśnie jest treść i węzeł sztuki, do której jeszcze tytułu możnaby dodać, czyli: *Przyszła kosa do wozu*.

Z dyaryuszu dni poprzednich widzisz, w jakich dotąd był z nami stosunkach: nie dbał o nas, i my o niego; a co mnie, to i wciąż drażnił jego obrzydliwy egoizm. Otoż w tych samych sentymentach jechaliśmy i dziś cały ranek, aż do popasu w *Radicofani*. Jest to nędzne miasteczko, kilkadziesiąt ledwo domów liczące, u stóp bazaltowej skały, uwieńconej ruiną zamku, na okrągłym, jakby umyślnie usypanym pagórku. Ma to być krater zgasłego niegdyś wulkanu, i cała okolica podobna do zgłiszcza. Ranek był mglisty i dżdżysty, a ta posepność nieba i dzikość okolicy, naprowadziły przy śniadaniu rozmowę o zbrojcach. Podczas niej nasz egoista wyszedł raz pierwszy ze swojej ołowianej bierności i zaczął garnąć się ku nam. Odgadłem, że się boi, i chcąc mu (wyznaje) dokuczyć,

wymknąłem się do kuchni pod pretekstem zapalenia cygara, i naprzód zapewniwszy się sam u gospodarza, że o zbójcach po drodze nie słychać, dałem *paola* garsonowi, aby gdy go przy śniadaniu o nich zapytam, odpowiedział, że są, i że napastują podróżnych. Bystry chłopak zrozumiał o co idzie, i tak wybornie rolę swoją odegrał, że gdybym nie ja go namówił, to bym się sam mógł uleknąć słuchając. Ostrzegłem więc potem zcicha wszystkich innych kolegów, że to jest tylko żart, i wszyscy z ochotą wzięli udział w tej farsie. Egoista to bladł, to czerwieniał, a mianowicie utyskiwał na to, że nie pojechał morzem przez Livorno. Garson bowiem powiedział między innemi, że do granicy papieżkiej można jechać jako tako spokojnie, ale co dalej—to już „*Dio vi guarda!*” (niech was Bóg strzeże!)

Granicę tę przejechaliśmy w *Ponte Centino*, o kilka mil włoskich za Radicofani. Rewidowano nas ściśle, dopytując się zwłaszcza o książki. Starych wprawdzie i używanych nie tknięto, ale dwie jakieś nowe które miał *Sir Templer*, zabrano mu i miano odesłać do Rzymu, gdzie je może z cenzury odebrać. Wszystko to zabrało nam dość czasu; ale gorzej było w *Acquapendente*, miasteczku dość obszerném, położoném na górze, i tak zwaném od kaskad, które z niej spadają. Nie było czasu ich widzieć, bo weturyn zapowiedział nam właśnie, że musimy się spieszyć aby za światła dojechać na nocleg i przebyć drogę „*chi non è sicura*,” (która nie jest bezpieczną). Egoista omal nie zemdlął; a i ja byłbym może nie śmiel-

szy, gdyby nie zapewnienie oberżysty, i nie widok większego tchórza. Tymczasem straż w bramie miasteczka zamknęła przed nami rogatkę, domagając się oddania paszportów. Weturyn opierał się temu, oświadczając, że przejedziemy tylko nie zatrzymując się w mieście, a wizowanie paszportów zatrzymałoby nas aż do nocy. My wszyscy, ma się rozumieć, trzymaliśmy stronę weturyna, kłócąc się z żołnierzami jak kto mógł i umiał. Ale ci trwali przy swoim, i nie otwierali rogatki. Weturyn zatem klnąc i łajając na całe gardło, zostawił nas przy koniach, a sam poszedł na policją do miasta. Upłynęła najmniej godzina, nim powrócił z jakimś sierżantem, który kazał przepuścić powóz. Ale słońce już zachodziło, kiedyśmy drugą bramą wyjeżdżali z miasteczka. I tu się rozpoczyna pierwszy akt komedyi, której wszystko, co przedtém, było tylko prologiem. Okolica w istocie zdaje się być stworzona dla zbójców. Nigdzie wsi, nigdzie domku. Droga idzie między górami; grunt nawet nieuprawny, wrzosem tylko lub krzakami zarosły; jedném słowem dzika pustynia. A tymczasem zmrok coraz gęstszy; egoista coraz mówniejszy. Widocznie bał się sam swoich myśli i uciekał się pod naszą opiekę. Ale nieborak! trafił z deszczu pod rynnę. Adam zaczyna opowiadać historie o rozbójnikach; jedna straszniejsza od drugiej. Ja co chwila wyglądam przez okno i zapytuję Allana, który siedzi też przy niém naprzeciw, czy nie widzi, co niby ja widzę? albo czy nie słyszał gwiźnięcia, które ja niby słyszałem? Allan wstrzymując się od śmie-

chu, dopomaga mi w tém udawaniu przestachu. Nagle widzimy, że nasz egoista zaczyna się schylać raz po raz. Patrzymy co mu się stało, i czy z przerażenia nie mdleje. Ale on tylko wypróżnia kieszenie i pakuje coś za cholewy. Adam zatém improwizuje historję, jak raz zbójcy w podobnym przypadku, nie mając czasu rozwiązywać sznurowanych bótów, odcięli komuś obie nogi i zabrali je razem z bótami; ja zaś nagle niby z przestachu wpadam w bohaterski zapał, i oświadczam, że w razie napaści postanawiam bronić się do upadłego. Dobywam więc z kieszeni i otwieram—co?—prosty scyzoryk, to jest nożyk składany z grajcarem. Strach chyba wielko-oki mógł mu nadać rozmiar sztyletu. Ale tu właśnie zaczyna się dyalog, godny pióra Moliera czy Fredry. I ja i egoista rywalizujemy w wymowie. Allan aż się dusi od śmiechu. Adam niby mię reflektuje, przedstawiając niebezpieczeństwo oporu, nie tylko dla mnie, ale i dla wszystkich. Słyszając to egoista, chwytą go rozpaczliwie za rękę, i omal nie całuje błagając, aby hamował moje „młodzieńczą porywczosć,” (*effervescence de jeune homme*). Adam chce niby gwałtem odebrać mi scyzoryk; ja się szarpie i wołam patetycznie: że wolę śmierć z honorem, niżli potem śmierć z głodu, jak mi zbójcy wszystko zabiorą. Wtenczas to nasz nieznajomy dotąd, odkrywa nam swój stan i nazwisko. Powiada, że jest synem Londyńskiego bankiera, którego firma słynie z rzetelności. Powołuje się w tém na Allana, i biorąc go za świadka, uroczyście zaręcza, że gdy się dam bez oporu obedrzeć, on mi

w Rzymie wszystko, co zechcę, natychmiast co do grosza powróci. Nie zgadzam się, i deklamuję o mężstwie i honorze polskiego szlachcica. Ale i na tém polu *sir* Izaak Mocatta przekonywa mię elokwentnie: że szaleństwo nie jest odwagą; że roztropność nie plami honoru; że zbójcy to nie rycerze, i że nie wstyd uledz przemocy. A kiedy i to jeszcze nie skutkuje, uderza w sentymentalność. Pyta mię, czy mam ojca, matkę i rodzinę? i w ich imieniu, z czułością i rozrzewnieniem, błaga mię i zaklina, abym miał litość nad nimi. I rzecz dziwna, jak myśl w myśl prawie powtarzał zda się rozmowę Montgomeryego z Dziewicą Orleańską w Szyllerze, choć go pewno nigdy nie czytał. Daję się więc zmiękczyć nakoniec, składam i chowam scyzoryk, a on w uniesieniu wdzięczności, obejmuje mię oburącz za szyję, i całując ponawia obietnicę, że mi wszelką stratę powróci. Następuje więc serdeczna zgoda; którą ja wszakże musiałem opłacić w ten sposób, że nowy mój przyjaciel, któremu widać zasychało w gardle, poprosił mię o haust wina, które widział że mam w manierce, i tak często to żądanie ponawiał, że nimeśmy stanęli na nocleg w *San-Lorenzo*, już w niej ani kropli nie było. Sąsiedzi z kabrioletu słysząc taki hałas w wetturze, nie wiedzieli sami co myśleć. Dopiero przy obiedzie dowiedzieli się o wszystkiém, i to z opowiadania Allana, który zaraz wysiadłszy ścisnął mię i dziękował serdecznie, że się tak z mojej łaski ubawił. Adam też oddał mi tę pochwałę, że grałem komedję wybornie. Ale ja sam zaczynam się lękać, czy nie za nadto prze-

solilem w żarcie. Biedny Izaak nie jadł nic przy obiedzie, i skarży się, że mu niedobrze. Nużby się rozchorował na biedę! Jutro już tego więcej nie zrobię. A i niewielki tryumf dla zająca, spotkać żabę lękliwszą od siebie!—Dobranoc!

17 Listopada, godz. 2 po południu, Viterbo.

Notuję naprzód, że ledwieśmy tu stanęli na popas o południu, sir Izaak znikł nam gdzieś nagle; a kiedyśmy wrócili z wycieczki po mieście, dowiedzieliśmy się że wziął extrapocztę i pojechał, nie pożegnawszy się z nami, zapewne aby dziś jeszcze stanąć w Rzymie za światła, a przynajmniej nie jechać już nocą. *Felice viaggio!* Bogu dzięki, że nie mam na sumieniu jego zdrowia! Cały ranek spał dziś w wetturze, bo w nocy, jak powiadał, oka zmrużyć nie mógł.

Ale i myśmy także naśladowali ten przykład; bo chociaż deszcz padał od rana, było przecież cieplej niż wczoraj, a po drodze nie wiele było do widzenia. Przejechaliśmy naprzód nędzne miasteczko *Bolsena*, nad jeziorem tegoż imienia, zbudowane, jak mówią, na tém samym miejscu, gdzie niegdyś stała świetna stolica Wolsków: *Volscinium*. Nie zapomnieliśmy więc i o Koryolanie. Jezioro jak małe morze, ma 30 mil włoskich obwodu. Brzegi, ile za deszczem widzieć było można, zdają się być malownicze i piękne. Dębowe lasy okrywają wzgórza i rozciągają się wzdłuż drogi; ale kraj cały bezludny jak pustynia. Ma to

być skutkiem szkodliwych wyziewów, które powstają z jeziora i rozszerzają tak zwaną *Malaria*.

Drugim z kolei miasteczkiem było po drodze *Montefiascone*, z piękną, jak widać, katedrą i kilku kościołami. Sławne jest ono winem, słodkiem jak muszkatowe, noszącém nazwę: *Est, est, est*, a o której legenda jest taka. Kiedyś jakiś prałat niemiecki, Jan Fugger, jadąc z Augsburga do Rzymu, posłał przodem swojego sługę, aby próbował wina po oberżach, i gdzieby znalazł dobre, aby napisał kredą po nad drzwiami: *Est*. Prałat zatrzymywał się tam na popas lub nocleg. W całym ciągu podróży, sługa spełniał po prostu rozkaz; ale przybywszy do *Montefiascone*, tak mu zasmakowało tu wino, że zamiast pojedynczego, napisał nade drzwiami trzykrotnie: *Est, est, est*. Obaczywszy to prałat, rozlokował się w mieście na dłużej, i tak się hojnie raczył tym miejscowym nektarem, że na trzeci dzień o nim samym mówiono już tylko: *fuit*, to jest po prostu z przepicia się umarł. W jednym z tutejszych kościołów znajduje się jego grobowiec, który mu tenże sługa jego wystawił, z napisem:

„Est, est, est, propter nimium „est,”
Joannes de Fug, Dominus meus mortuus est.

Ztąd poszło nazwisko wina. Żałowałem, że nie było dość czasu łyknąć haust na tym grobowcu, jak niegdyś cesarz Karol V zjadł śledzia na grobie niejakiego *Bekkela*, który pierwszy wynalazł sposób solenia śledzi.

Miasto *Viterbo*, liczące około 15,000 mieszkańców, ślicznie się wydaje zdaleka. Leży na pochyłości i u stóp góry *Cimino*. Ale wewnątrz jest ponure i brudne. Ulice ciasne, to w górę, to na dół, brukowane są płasko, bryłami lawy, która ma twardość kamienia. Kościołów kilkanaście, kilka większych pałaców. W jednym, wschody w ślimaczka tak są urządzone, że można powozami wjeżdżać na wyższe piętra. W kościołach zajmowały mię zwłaszcza pamiątki historyczne, o których nam *Cicerone* powiedział. I tak, na placu przed katedrą w guście gotyckim, Fryderyk Barbarussa zmuszony był trzymać strzemię wsiadającemu na koń, czy na muła, Adryanowi IV; wewnątrz zaś pokazują miejsce przed ołtarzem, gdzie Guy de Monfort, w r. 1270, zamordował podczas nabożeństwa, angielskiego księcia Kornwalii, krewnego króla Henryka III-go. Piękne to było nabożeństwo!

„Uchowaj Panie Boże taką pobożność!”

Lepsze już są legendy o sławnych tutejszych kościołach, w które widać obfitowało *Viterbo*. W przedścionku kościoła *San Angelo in spata* znajduje się piękny sarkofag rzymski, zawierający, jak świadczy napis, zwłoki „*Pięknéj Galiany*” zwanéj Heleną XII wieku. Miała ona być tak cudnéj piękności, że Rzymianie chcieli porwać ją gwałtem, zapewne dla jakiegoś swojego wodza, i w tym celu wydali wojnę *Viterbu*; pokonani zaś w bitwie, prosili jako o łaskę zwycięzców, aby im choć zdaleka wolno było przynajmniej

Galianę zobaczyć. Pokazano im ją więc z okna wieży nad bramą miejską, i to okno do dziś dnia pokazują ciekawym.

W innym znowu kościele, pod wezwaniem Ś. Róży (*Santa Rosa*), zachowuje się dotąd w całości ciało téj Świętój, która żyjąc nie więcej jak lat 18, pobudziła lud do oporu przeciw Fryderykowi Barbarussie, była potem wygnaną, powróciła w tryumfie po śmierci tego cesarza, i została kanonizowaną za życia.

W pałacu także, o którym wspomniałem, że można wjechać powozem na piętro, przechowują i pokazują jako relikwie: portret, sprzęty, i nawet pantofle, ze złotéj lamy z wysokimi korkami, Olimpji *Maldachini*, bratowej Innocentego X, sławnéj wpływem na politykę jego rządów.

Zwiedziliśmy to wszystko w przeciągu dwóch godzin, przez które deszcz właśnie nie padał. Teraz znowu leje jak z wiadra, przez pół nawet zmieszany ze śniegiem, a ja z nudy, wbrew zwyczajowi, piszę we dnie, co miałem pisać wieczorem. Za kwadrans mamy wyjechać. Ja zaprosiłem do środka wettury, to jest na przednie obok mnie siedzenie, wakujące po egoiście, obu panów z kabrioletu. Pomieścimy się jakkolwiek, a w deszcz razem będzie weselój.

Ale, ale—*Viterbo* zowie się jeszcze „miastem pięknych fontann,” i ma ich aż cztery, rzeczywiście piękne. Wszystkie leżą na placach—najpiękniejsze na największym: *Piazza Grande*, w pobliżu bramy Klemensa XIII.

Godzina 10 wieczorem. Ronciglione.

Nie rozumniejszego nie mogłem zrobić, jak że zaprosiłem do środka kolegów z kabrioletu. Adam z początku się krzywił, ale potem tak się z Anglikami rozgadał, że zamiast spodziewanej nudy i spleenu, przebyliśmy jak najprzyjemniej tę najszkaradniejszą część drogi; dziką, pustą, a tak popsutą, że wlekliśmy się noga za nogą, wśród nieustannej słoty, a w końcu już i za ciemna. Dla mnie jeszcze ta ich rozmowa, a zwłaszcza co mówił Adam, miała prawdziwie wartość rekolekcji przed uroczystym świętem: skupiła i nastroiła myśl przed przybyciem do Rzymu. Mówiono bowiem o Rzymie i Rzymianach, starych i nowych, a Templer, który raz pierwszy słyszał mówiącego Adama, widziałem, jak się dziwił i był w zachwyceniu.—*Ronciglione*, miejsce naszego noclegu, ma być jednym z piękniejszych miast trzeciego rzędu. Ale ani myślimy go patrzeć. Jutro obaczmy Rzym—Rzym! Roma!!! Czy ty czujesz urok tego słowa? Adam mówi, że musimy się ubrać jak do kościoła we święto. A więc muszę dziś jeszcze rozpakować tłómków.—Dobranoc!

18 Listopada, godz. 4 rano.

Wyjeżdżamy z Ronciglione—w toalecie świątecznej. Ranek śliczny, pogodny, ale zimno jak u nas. Przymrówek, aż biało na bruku. Chciałem zacząć

dzień od kościoła, ale jeszcze wszystkie zamknięte. Dzisiaj obaczę Rzym!!!

Bocciano, południe, popas.

Od Ronciglione jedziemy tak zwaną *Kampanią Rzymską*. Spotwarzono ją nazywając *dziką*, albo „przekłętymi polami” (*Campi maladetti*). Prawda, że nieuprawna, ale kto wie, czy przez to samo nie piękniejsza, niż gdyby była skopana w grzędy i zasadzona kukuruzą, albo inną jaką włośzczyzną. Adam mówi, że sama widać natura ochroniła Rzym od podobnej oprawy. Jest to coś nakszaft okolic Wilna, nieuprawnych także, ale też niemniej właśnie przez to malowniczych. Doliny przerzniete wąwozami, urozmaicają pagórki, grupy drzew, albo gaiki. A to wszystko jeszcze zielono. A tam w dali, na krańcach horyzontu, błyszczą góry okryte śniegiem. Wzdłuż drogi po obu stronach pasą się ogromne stada bydła, a strzegące ich:

„Wilcze Romula plemię, Italskie pastuchy,”

udrapowane krótkimi płaszczami, w spiczastych kapeluszach, z wysokimi kijami w ręku i z psami po za sobą, są jedynymi figurami, które ożywiają ten pejzaż. To na ziemi. A co nad ziemią? Błękit wiosenny; słońce (o południu) lipcowe!—

„Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęto z siebie,
Że ledwie co nie widać Pana Boga w Niebie.”

Listy Odyńca. Tom II.

A my? My lada chwila mamy ujrzyć Rzym!—A co w nas? Sam sobie zgaduj! Ja ci tylko mówię z Szyl-lerem: „*Das Leben ist doch schön!*”

Godzina 3 min. 10, na drodze.

Widzimy kopułę Ś. Piotra. Adam zdjął sami ka-zał mi zdjąć czapkę przed tą „tyarą świata,” jak ją nazwał. Pomodliłem się w duchu za was wszyst-kich. Odtąd już, jak pielgrzymi, piechotą idziemy do Rzymu.

Na moście Ponte Milvio.

Tyber pod nami!—Zaczerpnąłem go w manierkę, i spełniłmy toast Willi i Niemna, to jest was, co mieszkacie nad niemi. Ten most, to już jakby próg Rzymu i wielkich jego pamiątek. Tu krzyż Konstan-tynowi ukazał się na niebie. Tu on *in hoc signo vi-cił*. Tu się utopił ostatni Cezar pogański, Maxency-usz.—Piorun Jowisza zgasł na Kapitolu; Watykan za-czął rosnąć z katakumb.

Na placu del Popolo, na stopniach obelisku, godz. 4 1/4.

Jużeśmy w Rzymie—i idziemy naprzód do pier-wszego kościoła, podziękować za to Panu Bogu.

KONIEC.

PRZYPISY.

LISTY ADAMA MICKIEWICZA

Do A. E. Odyńca. ⁽¹⁾

I.

Paryż, 28 Septembra 1835 r.

Kochany Edwardzie! Naprzód masz wiedzieć, że Celina powiła bardzo szczęśliwie 7 Septembra córkę, która będzie nazywać się Marysia, ale jeszcze dotąd nieochrzczona. Możesz sobie wystawić, jaki w tém dziecku jest zbiór wdzięków, cnót, przymiotów i zalet. Matka codzień nowe odkrywa, i ja powoli tym odkryciom wierzyć zaczynam. Celina w kilka dni już była na nogach, ale teraz z niewielkiego zmartwienia nagle zapadła, zkąd i dziecię chore. Wszakże oboje już wracają do zdrowia.

Zwlekałem długo list do ciebie, bo chciałem koniecznie co do *Meliteli* twojej posłać, ale nic nowego nie napisałem. Wiersze religijne, o których piszesz, już były drukowane w nowém wydaniu Merzbacha, tobie nieznaném. Przypomnisz może sobie, że wy-

(1) Przypis do str. 69.

tlómaczyłem kiedyś w Wejmarze prolog *Fausta*. Ten prolog darowałem panu Antoniemu (Goreckiemu), a pan Antoni zostawił go ze swemi papierami u nieboszczyka Tödweny, w pakiecie opieczętowanym i zaadresowanym. Teraz posyła tobie kartkę plenipotencyjną. Jeżeli prolog wynajdziesz, drukuj go, ale przejrzyj i popraw. Inni tutejsi poeci boją się strasznie, żebyś ich nie poprawiał. Pan Antoni szczególnie o to troskliwy. Zdaje mi się, że ty i ja nigdyśmy tak bardzo naszych słów nie cenili. Przecież nie liczą do tych *puristów* Witwickiego, któremu za cały ten pakiet podziękuj, bo on najczynniej chodził za twoim interesem, i najmniejszych nie robił ceregieli. Wiersz Kajsiewicza nie wiem jak ci się wyda; zdaje mi się, że godzien druku, ma tu i ówdzie rysy poetyckie. On sam jest młody pisarz, bardzo dobry chłopak, i wiele obiecuje; ale mu się bardzo chce druku, a ja choć mu to odradzam, nie mam serca całkiem Muzy jego przyaresztować, zwłaszcza że autora bardzo cenię. Mam także sonety Gaszyńskiego, i piszę do niego, czy mi pozwoli wybrać jeden lub dwa dla ciebie. Przesłałbym je w liście. Bez pozwolenia nie śmiem zaczepiać *vatum irritabile genus*.—Ja teraz siedzę w prozie, czytamy kroniki, i mam zamiar napisać krótką historię polską. Nic też prawie tego roku nie zrobiłem, oprócz kilku kawałków po francuzku. Jeśliś ciekawy, a znajdziesz gdzie *Revue du Nord*, jest tam mój jeden artykuł o *Malarstwie*, i drugi *anonime*: „*La semaine de miel d'un conscrit*“—Różne plany tworzę na przyszłość, ale jeszcze nie wcielają się i prze-

suwają się jak cienie. Zdaje się przecież że korzystałem wiele, myśląc i czytając kilka tylko książek, które dostarczają zapasu na długie medytacje. Z tych książek jeśli co znajdziesz, radzę ci czytać. Takimi są dzieła *St. Martina*, rzadkie bardzo i mało znane. Wyszukaj też koniecznie w Dreźnie książkę pod tytułem: „*Das bittere Leiden Jesu Christi*,“ *München*, druga edycja. Są to wizye mniszki *Emmerich*. Należę zdaniem najwznioślejsze poema i wyższe od Klopstoka. Zabierają się tu moi znajomi to dzieło tlómaczyć, ale nie wiem czy dobrze zrobią.

Jeśli Brodziński jest jeszcze u was, kłaniaj mu odemnie. Chociaż nie znam go osobiście, wiesz jak go wysoko szanuję. Na końcu *Tadeusza* był do niego ustęp, ale nagłe drukowanie i moje ówczesne zatrudnienia małżeńskie zrobiły, że nie miałem czasu poprawić i umieścić ów epilog. Zostawiłem to do przyszłego, (jeśli będzie), wydania. Żonie twojej rączki ucałuj i pozdrów ją od Celiny.

II.

Domont, 18 Julii 1836 r.

Od czasu jakem ci posłał pakę z rękopismami, to jest podobno od roku, nic od ciebie nie odebrałem. Jeżeli piszesz przez okazyje, źle trafiasz. Byliśmy już nieco o ciebie niespokojni. Teraz odebrałem razem dwa listy; jeden dawniejszy, okazyowy, później przyszedł....

Córka moja zdrowa, ładna, tłusta, już pełza po ziemi; ma dwa ząbki, mówi tylko *ba i bu*. Za krzy-

żyk od Antosi dziękujemy. Nie wiem czy nam się uda przesłać ci jakie poezye nowe. Pora wcale nie poetycka u nas. Ja piszę, albo raczej pisałem Historią, ale na pierwszych rozdziałach zawisłem i stoję na miejscu. Bohdan osiadł w Strasburgu; do nas nie pisze. Witwicki co miał, to ogłosił. Mnie dokucza drukarnia o skompletowanie tomu VIII-go, który jest tylko przedrukiem dawnych rzeczy; ale mi trudno i na kilka ćwiartek zdobyć się, i druk przez to zatrzymał się i spoczywa. Mieszkam teraz w Domont, blisko Paryża, (o 5 lieus), w domie naszego znajomego Davida. Podobno i na zimę tu zostanę, bo trochę taniej jak w Paryżu. Stefan mieszka w Montmorency, blisko odemnie; widujemy się często. Niemcewicz tamże. NB. kocha się w mojej córce, i pisze do niej ody. Pani Zofii rączki ucałuj. Twój *Adam*.

(W przypisku do tego listu pani Celina pisze):

„Pozdrawiam was oboje serdecznie i dziękuję za pamięć o Maryni. Donoszę Zosi, że ma dwa ząbki, i zaczyna pełzać. Mam zamiar odłączyć ją nie pierwój, jak na przyszłą wiosnę, choć na mnie wszyscy krzyczą, że tak długo karmię. Za dzbanuszek od Antosi, co nam przywiózł Chopin, bardzo dziękuję. Marynia bardzo z niego kontenta. Na zapytanie kochanego pana Edwarda, jak Adam znosi płacze Maryni? odpowiadam, że bardzo cierpliwie i spokojnie; i muszę go pochwalić przed Zosią, że jest bardzo troskliwym i czułym ojcem. Nosi ją i usypia na rękę; siada przy niej na ziemi, i sam uczy ją pełzać. Gnie-

wa się tylko że jeszcze nie gada. Maleństwo tak już go zna i kocha, że jak tylko obaczy, trzepie się cała z radości i rączki do niego wyciąga. Niemcewicz, chrzestny jej ojciec, jest w niej, jak mówi, rozkochany; nosi ją i pieści, jak przyjdzie; ale ma rywala w Witwickim. Adam każe mi przepisać dla pana Edwarda kilka wierszy Niemcewicza, które on ciągle dla Maryni pisuje. Przepisuję więc jedne dawne i jedne najnowsze.

Dziecię na ręku starca.

Zeszły już starzec, gdy na rękę trzyma

Dziewczę ledwie trzymiesięczną,

Już się śmiejącą, z pięknymi oczyma,

Świeżą, i ładną, i wdzięczną:

Matka widząc z słodką chlubą,

W objęciu starca dziecinę swą lubą,

Zawoła: „Gdy się w ten obraz wpatruję,

Zda mi się, że Noc Jutrzenkę piastuje.“—

Do dziesięcio-miesięcznej ślicznej dziewczeczki Maryni.

DYTYRAMB.

Cudo piękności! Niebios arcy-dzieło!

Zkądżeś się wzięło?

Czyś z różnych od nas stworzona żywiołów?

Czyś z legionu uciekła Aniołów?

Nie wiemy;—to nam przecież nie jest tajemem,

Żeś stworzeniem nadzwyczajnem.

Kto cię widzi, kto słyszy, z podziwu osłupia.

Przy tobie Wenus brzydka, a Minerwa głupia.

Jeśli z latami powaby twe wzrosną,

Jak mamy tego nadzieję,

Wszyscy dla ciebie od miłości poschną,
I świat cały oszaleje.—
Nie bądź jak Wenus, co na górze Idzie
Prostego sobie wybrała pastucha!
Taka zniewaga na ciebie nie przyjdzie.
Ty, wyniosłego posiadając ducha,
Śmiało po dumnych deptać będziesz panach,
Rycerzy wodzić w kajdanach.
Tak!—bo nie wątpię, o! ty cudo dziewic!
Że cię pokocha królewic.

III.

Paryż, rue des Marais, St. Germain Nr. 18 (w grud. 1836).

Już Stefan musiał ci odpisać na skargi dotyczące się korespondencyi, wzajemnymi skargami, i na twoje okazy, które tylekroć chybiały, i na warunki ciężkie, któremi naszą wolność pisarską krępowałeś. Ale prawdę mówiąc, jedna i wieczna przyczyna milczenia jest stan duszy, w którym lepiej milczeć, a ciężko co znaleźć na pociechę przyjaciela. Miałem dosyć różnych smutków, a kiedy sobie twoje położenie wystawiam i różne słowa twoich listów przypominam, robi się mnie jeszcze smutniej. Kochany Edwardzie! mężtwo! bądźmy mężami! *Qu'est ce qu'un homme de merite? C'est un homme, qui a beaucoup souffert.* „Żywie Pan, i po smutkach pociesz.”—Powtarzajmy to sobie nawzajem.—Wiész, że na zimę jesteśmy w Paryżu. Byliśmy zdrowi. Ja teraz na zęby cierpiałem; wyrwałem, i lepiej. Celina zdrowa. Marysia już ma miesiąc szesnasty; zdrowa, wesoła, silna, zręczna, ale

głupia, dotąd nie gada, tylko jakieś słowa, które ciągle wymyśla i znowu zapomina. Wielką mam z niej pociechę; mam domową komedię, zawsze nową i zabawną. Trapiły mnie kłopoty finansowe, ale Opatrzność dotąd mnie nie opuszcza, i jako tako lata przechodzą. Piszę teraz dzieło po francuzku. Jeżeli się uda i podoba publiczności, (już napisane), może interesa nasze poprawić. Zmów kiedy pacierz na tę intencję. Drugie takie dziełko mam już napięte, jeśli pierwsze dobrze pójdzie. Potem wrócę do polskich rzeczy. Długo nie pisać nie mogłem; przed dwoma miesiącami przysłała znowu ochota.

Czytałeś zapewne tłumaczenie niemieckie *Tadeusza*, albo słyszałeś o nim. Oszust *Spazier* wydrukował, że to ja *gemeinschaftlich* z nim pracowałem.... a jam ledwo początek słyszał!

Nie wiem czy znasz *Irydionę*, tegoż autora co i *Nieboska Komedia*? Też same wady, ale są tam karty cudnie piękne.—Czy znasz mój dodatek dystychów do osmego tomiku, który tu wyszedł?

Żyjemy najwięcej i najczęściej ze Stefanem (Witwickim). Często jest o tobie gawędka! często życzenie, żebyśmy jak mogli zbliżyć się. Obaczymy, czy na literaturze francuzkiej więcej zyskam niż na naszej; czy moje przeznaczenie zawsze mieć chleb tylko na dzisiaj? Bądź zdrow, mój kochany! Żonę i dziecko twoje uściskamy.

IV.

Paryż, rue du Val de Grace, 16 Augusti 1837.

Przedostatni twój list chodził nie wiem jak długo po różnych rękach, aż niedawno do mnie zawitał. Nakłęliśmy znowu twojej manii szukania okazji. Ostatni pocztą zaraz doszedł...—U mnie w domu wszyscy zdrowi. Marysia krzepka, ładna, żwawa, jak baletniczka paryzka, ale głupia, dotąd nie gada. Mieszka z Celiną za Paryżem w St. Germain, gdzie ja kilka dni w tygodniu przebywam, a resztę czasu dla zatrudnień siedzę w Paryżu. Pisałem ci dawniej o dziele francuzkiem;—masz tedy wiedzieć, że napisałem dramę, czyli po twojemu, dramat. Jeżeliby jego reprezentacya dobrze poszła, byłoby to wielką finansową aferą. Ztąd nie mało tu mają trudności autorowie. Ledwie tyle wyrobiłem, że w tych dniach ma być lektura w dyrekeyi. Rzecz więc ledwie jest zagajona, i daleko jeszcze do końca. Wszakże mam za sobą opinię dobrą kilku znakomitych Francuzów. Muszę nawet pochwalić się tobie, że pani Sand bardzo pochwaliła mój styl, nazywając mnie „*un auteur supérieur dans notre langue.*” Nikogo ta pochwała tak nie zdziwiła jak Witwickiego, który nigdy nie wierzył w moję francuzczyznę, a pojąć nie mógł, aby cudzoziemiec mógł porwać się na styl dramatyczny. Przecież teraz sam próbuje pisać, i tentuje na innym teatrze. Te wiadomości zachowaj u siebie, bo kto wie

jeszcze jak się nam uda. Ja teraz mam wystąpić na *Porte Saint-Martin*, a jeśli zajdą trudności, będę czekał otworzenia nowego Teatru Francuzkiego, gdzie mam zapewnione przyjęcie; ale otworzenie jeszcze nie rychło nastąpi. Wszystko to robię po prostu dla chleba; jeżeliby się udało, mógłbym na długi czas spokojnie po ojczyściej literaturze wędrować. Teraz pracuję nad Historją Polską. Pierwszy tom wkrótce skończę, ale praca rośnie pod ręką. Widzę, niestety, jak trudno co dobrego zrobić!...

Z naszych znajomych, *Stefan Zan* ciagle zapada na zdrowiu, a po części roi sobie chorobę z nudy i biedy. *Żegota* ¹⁾ całe życie w laboratoriach chemicznych praży i smaży, examina zdaje, wyszedł na sławnego metalurga, i pojechał do Alzacy, wezwany do szukania min.

Napisz mnie jeszcze przed odjazdem, ale pocztą.
Bądź zdrow.

¹⁾ Ignacy Domejko.

LIST DO REDAKTORKI KRONIKI RODZINNÉJ.

(Przypis do str. 326).

Prosząc o umieszczenie niniejszego listu, zaczynam od wymienienia powodów tej prośby.

W życiorysie ś. p. Adama Mickiewicza, przy warszawskiej edycji dzieł jego, pomiędzy przytoczonymi kilku jego listami, znajduje się jeden, z daty 3 Kwietnia 1828 r., pisany z Moskwy, do przyjaciela i uniwersyteckiego kolegi, Tomasza Zana, w którym autor wspominając o wielu dawnych kolegach i przyjaciółach, nazywa ich najczęściej nie po właściwych nazwiskach, ale po szkolnych koleżeńskich przezwiskach, jakie im z różnych względów nadane zostały. Sama ta okoliczność jest już dostateczną wskazówką, że go pisał pod wpływem dawnych koleżeńskich wspomnień, które chciał też w ten sposób w czytającym obudzić. List więc taki, aby był zrozumianym istotnie, lub nie był tłómaczonym opacznie, potrzebowałby koniecznie dodania pewnych objaśnień, a przynajmniej pewnych zastrzeżeń. Jakoż autor życiorysu, w przypisku wzywał mnie i p. Fr. Malewskiego, abyśmy objaśnili niektóre z tych przezwisk, które też bardzo słusznie wydrukowano *cursive*; atoli bez żadnego zgola zastrzeżenia, zostawiono pismem zwyczajném, jakby wyraz rzeczywistej opinii autora listu, taki np.

frazes o p. Dominiku Chodźce, szacowanym i lubionym powszechnie dawnym naszym koledze i literacie, którego też sam Mickiewicz zawsze równie jak inni cenił i poważał. „Siedzi tu Dominik Chodźko, tłusty, brudny kapucyn, którego staramy się *rozhluzdać*, i do pracy zmusić.”—Któż nie pojmie, jak takie wyrażenie, ogłoszone publicznie, dotknąć musiało boleśnie tego, do kogo się ściągało; a to tém bardziej, że zbyt może wygórowana delikatność uczucia była najwybitniejszym znamieniem charakteru p. Dominika Chodźki, i że on sam, wspólny swój pobyt z Mickiewiczem w Moskwie, do najmilszych swych wspomnień zaliczał? A jednak dosyć było kilku słów objaśnienia, aby przywracając właściwe znaczenie temu frazesowi, rzecz też samą, to jest stosunek Mickiewicza z panem D. Chodźką, w inném całkiem, a prawdziwém świetle ukazać. Obowiązek więc ten, z własnego mego natchnienia, ja natenczas wziąłem na siebie, i zaraz po wyjściu życiorysu, napisałem do jego autora, p. K. Wł. Wójcickiego, list, w którym ten przedmiot starałem się rozjaśnić, i o którego ogłoszenie prosiłem. P. Wójcicki, ze zwykłą sobie uprzejmością, uczynił zadość mojemu wezwaniu, i ten mój list w *Bibliotece Warszawskiej* wydrukował; ale inne ówczesne pisma warszawskie, nie wiem dla jakich powodów, nie tylko powtórzyć go w treści, (o co były proszone), ale nawet wzmiankować o nim w szpaltach swych nie raczyły. Tym sposobem, gdy wspomniany ów list Mickiewicza, rozchodząc się przy jego dziełach, został też po kilkakroć przedrukowany gdzie-

indziej, sprostowanie znaczenia rzeczzonego frazesu nigdzie dotąd za obręb Biblioteki Warszawskiej nie przeszło. Dziś p. Dominik Chodźko spoczywa już w grobie; ale sam względ dla jego pamięci, przy wspomnieniu jego imienia, skłania mię prosić Pania, aby w miejsce przypisku do mojego Listu z Podróży, raczyła zaraz po nim umieścić w swém piśmie parę następujących ustępów z owego listu mego do p. Wójcickiego, z których pierwszy ściąga się do zwyczaju koleżeńskich przezwisk, drugi zaś do istotnego znaczenia słów przytoczonego wyżej frazesu.

„Zwyczaj zastępowania nazwisk przezwiskami, polity między szkolną młodzieżą, trwał też i w przyjacielskiem gronie uniwersyteckich kolegów. Przewiska te albo były przekręceniem imion własnych, albo się odnosiły do pewnych właściwości osób, albo też z przypadkowych okoliczności wynikły. I tak np. Tomasz Zan zwał się *Arey*, jako w dobrém produkujący innym; Józef Jeżowski, jako głęboki filolog, komentator ód Horacyusza, (później professor literatury greckiej w uniwersytecie Moskiewskim), miał przezwisko z zakończeniem łacińskiem *Jeżovius*, albo niekiedy po prostu *Jeż*. Budrewicz, energiczny a milczący zwykle matematyk, nosił miano *Budrysa*; (z kąd i tytuł ballady *Trzech Budrysów*, i wzmianka o nim w *Panu Tadeuszu*, jako o „chodzącym z niedźwiedziem w zapasy.”) Jan Hejdatel, (późniejszy Jenerał-Major inżynierii), przezwany był *Itydatul*, jak go

też i Mickiewicz w owym liście swóim nazywa. Wspomniany w tymże liście *krzywousty, kudrawy Maryan* (Piasecki), uczony prawnik, czynny ciągle i uczynny dla wszystkich, winien był to swoje nazwanie skrzywionym nieco ustom i kręcącym się z natury włosom. Onufrego Pietraszkiewicza zwano przez skrócenie *Nufr*; Daszkiewicza *Daszkus*. Józef Kowalewski, (późniejszy rektor Kazańskiego uniwersytetu, obecnie dziekan filologicznego wydziału w uniwersytecie Warszawskim), z powodu panińskiego wyrazu twarzy, przez młodszych nawet wiekiem nazywany był *Józiem*; tak jak Józef Chodźko, (obecny Jenerał-Lejtnant inżynierii; pierwszy, który zwiedził i wymierzył szczyt Araratu), *Józikiem*; albo jak młodszy brat jego Alexander, (teraźniejszy professor literatury Słowiańskiej w Kollegium Francuzkiem w Paryżu), *Olesiem*. Ignacy Domejko, (obecny rektor uniwersytetu w San-Jago, w Chili), znany był wszystkim pod imieniem *Żegoty*. Mnie nakoniec przezwano *Telemakiem*, dla tego, że mieszkalem razem, i byłem niejako pod specjalną opieką Jana Czeczota, który był dla wszystkich *Mentorem*.

„Przytaczam tu aż tyle przykładów, raz dla tego, że byłem o to wezwany wyraźnie; a powtóre, że to może kiedyś posłużyć do objaśnienia innych owoczesnych wspomnień.

„Otoż i p. Dominik Chodźko miał przezwisko *Kapucyn*, a to z takiego powodu:

„Pan Lucyan Siemieński dobrze był poinformowany, gdy pisząc o życiu współczesnej z Mickiewiczem

młodzieży uniwersyteckiej, powiada: „„Lecz nie tylko w samej dziedzinie sztuki dokonywało się przeobrażenie. Jakby dotknięte czarodziejską różczką, młode serca zaczęły się pozbywać „splęsniałej kory;” zaczęły kochać jak Gustaw, jak on sentymentalizować, i jak on podnosić kobietę, postawioną zbyt nisko ironią materyalnego i filozoficznego wieku, do ideału, w jakim jaśniała w epokach rycerskich. Każdy zwolennik romantycznej szkoły musiał mieć swoje *Beatricę* lub *Laure*; a z tém się wiązał i wybitny zwrót do spirytualizmu, czyli do połączenia świata widomego z niewidomym... Bo téż i nie byłoby poezyi natchnionój, bez religijnego uczucia. Tak po woni kadzideł, odgadniesz nabożeństwo w świątyni.”—

„Piękne te słowa, godne swego autora, malują wierny obraz sercowych usposobień całej prawie ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej w Wilnie, a cóż dopiero tak zwanych poetów, hołdujących w zasadzie ideom Platona, a w marzeniach i wyobraźni naśladowających ochoczo—nie mogę sumiennie powtórzyć z p. Siemieńskim, że *Gustawa*, a zaś z obawy opaczności pojęcia słów moich, nie chce mi się powiedzieć wręcz: *Don Kiszota*. Że jednakże to imię gwałtem mi się ciśnie pod pióro, muszę przynajmniej myśl w tém moję dokładniej niejako oznaczyć.

„Kochać jak Gustaw, to jest, dręczyć się i umierać z miłości, jak on w *Dziadach*, nie było to rzeczą tak bardzo do naśladowania nęcącą; to téż nikt jój na prawdę i nie naśladował. Ale żeby nie wzdychać przecież na wiatr do ideału z obłoków, i mieć prze-

cież na ziemi wiersz do kogo napisać: prawdą jest, że każdemu mniej więcej chodziło o to, aby wynalazł sobie jaką *Dulcyneję*, to jest *Panią swych myśli*, choćby ta nawet nigdy ani tych jego westchnień, ani wierszy słyszeć nie miała. Dość było dla marzycieli, że to im dostarczało przedmiotu do marzeń; dla piszących wiersze, że dodawało bodźca do ich pisania; dla nielubiących siedzieć nad książką, że mieli przecież cel przechadzek pod temi lub owymi oknami, po tym lub owym bulwarze albo ogrodzie. Było to więc w gruncie rzeczy nic więcej, jak pewny rodzaj umysłowej rekreacji i miły sposób przepędzenia czasu, nie zawadzający zresztą nikomu, z wyjątkiem kilku starszych, surowych sensatów, którzy zamiast westchnień i marzeń, radzili raczej młodszemu pracę i naukę; a zamiast owych miłych przechadzek, pilniejsze uczęszczanie do sal lekcyjnych, choćby nawet w spacerowych godzinach. Gdéracze ci po większej części byli to matematycy, medycy, albo prawnicy, którzy już przez to samo stanowili odwieczną sprzeczność z poezją; ale że i p. Dominik Chodźko, literat, i nawet czasem poeta, trzymał także ich stronę: apostazya taka drażniła *drażliwy rodzaj* braci w Apollinie, i stawała się często powodem do dysput, w zapale których, w zamian za tytuły: próżniaków, trzpiotów, półgłówek, i t. p., których pan Dominik nie szczędził, odpłacano mu się nawzajem tytułami: pedanta, nudziarza, i t. d., aż nakoniec na *Kapucynie* stanęło. Powodem do tego przezwiska, oprócz kaznodziejskiego tonu admonicyi pana Dominika, była

także i odzież jego, zwykle ciemno brązowego koloru. Że zaś sam p. Dominik, jako starszy wiekiem, był też i nieco większej objętości od innych, a przytém zażywał tabaczkę, którą się częstokroć osypał: poszło ztąd, że do wspomnianych wyżej rzeczowników, dodawały się niekiedy epitety, właśnie w liście Mickiewicza użyte. Mickiewicz bowiem bywał nieraz świadkiem tych dysput, wraz z *Arcym* i *Mentorem*, którzy z powagi i wieku, nie chcąc brać strony młodszych, a sumiennie nie mogąc starszych, przedstawiali na roli słuchaczy, i nieraz uśmieli się serdecznie. Łatwo więc pojąć, że Mickiewicz w liście do Zana, cytując to przezwisko *Kapucyn*, z dodatkiem łączących się z niem epitetów, chciał obudzić w nim przez to samo wesołe owych czasów wspomnienie. Jak zaś dalece sam ich szczegóły pamiętał, dowodzi najlepiej wyraz *rozhluzdać*, wyjęty z żartobliwego wiersza, czyli tak zwanego u kolegów *jambu*, który miły nam wszystkim i wesoły towarzysz nasz, Antoni Frejent, przeciwko owym właśnie sensatom napisał, i w którym była strofka o panu Dominiku:

I Kapucyn próżno wróży,
Że nas ogórkiem obuzda.
Wprzód nim on nas zakapturzy,
Kupid i jego rozhluzda.

„Jamby tego rodzaju były u nas w powszechnej modzie, i dla tego przytoczę tu jeszcze jeden, mój własny, jako nowy dokument w tej sprawie. Powód jego był następujący. Czeczot napisał był właśnie jedną z najpiękniejszych swych piosnek, słynną wów-

czas, i dotąd wielu ze współczesnych pamiętną, i której przeto powtórzenie tutaj w całości spodziewam się że zrobi przyjemność czytelnikom dzisiejszym:

Co to starzy za warjaci!
Mówią bez przyczyny,
Że czas młody źle się traci,
Bawiąc u dziewczyny.

I pędzą mię do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego.

Gdy się chwilkę z nią pogrucha,
Chwilkę się pośmieję,
Nowym ogniem serce bucha
W głowie rozednieję.

I świat tęskną postać zrzuci,
Pracuję wesoły,
I piosuka się wdzięczniej nuci
Między przyjaciół.

Bajcież sobie, stare dziady!
Co się wam zamarzy;
Posłuchamy waszjej rady,
Jak będziemy starzy.

„Owoż zaraz nazajutrz po utworzeniu się tej piosenki, przesłałem ją, jako wodę na nasz młyn, panu Dominikowi Chodźce, mieszkającemu naówczas w blizkiej wsi pod miastem, z dodaniem takiego *jambu*:

Na! masz, czytaj Kapucynie!
Co tu pisze o dziewczynie,

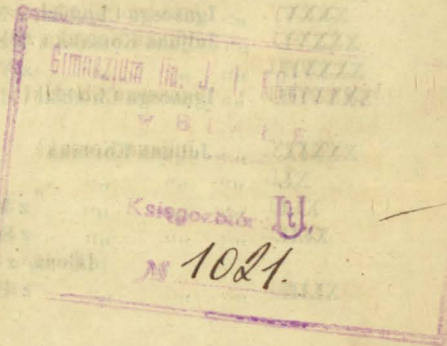
Nie półgłówek, i nie trzpiot,
Ale Mentor mój, Czeczot;
Lepiej świadom rzeczy tych,
Niż zakapturzony mnich,
Co nad książką ślęcząc w celi,
Nosem gméra w tabakierce.
„Miej serce i patrzaj w serce!”
A obaczysz gdzie Anieli”. —

Pisząc o tém przed laty do p. Wójcickiego, nie pamiętałem wtedy odpowiedzi, jaką mi na to udzielił p. Dominik, i tylko wspominałem, że była. Dopiero jeden z dawnych kolegów, za powrotem z dalekich podróży, przypomniał mi ją niedawno, i przeto ją tutaj przytaczam:

„I piosnka, i mądrość taka,
Nie zaletą w twym Mentorze.
Mentor swego Telemaka
Od Kalipsy zepchnął w morze.
Twój cię innym wiedzie torem.
Ale cóż z tego wypada?
Oto, że twoim Mentorem
Jest Jan Czeczot, nie Pallada”. —

Nie mogę powiedzieć z pewnością, czy inne jakie wiersze p. Dominika Chodźki, które czasem dla zabawy pisywał, były gdzie i kiedy drukowane; ale był on tłumaczem z francuzkiego kilku dzieł moralno-religijnej treści, i współpracownikiem niektórych pism peryodycznych, wychodzących w Wilnie, gdzie jednak artykuły swoje najczęściej bezimiennie pomieszczał. Między innemi, kierował głównie wydawnictwem dzieł

Brodzińskiego, wyszłych w Wilnie, w dziesięciu tomach, nakładem Glücksberga, i napisał życiorys autora. W ogólności jednakże p. Dominik Chodźko, z profesyi pedagog, nie był skorym do pióra, i przy bogatych zasobach nauki, czas i zdolności swoje wolał raczej obowiązkom realnego życia, niż literackim pracom poświęcać. I ztądto ściągał często na się zarzuty i upomnienia przyjaciół, o czém téż i Mickiewicz w liście swoim nadmienia. Jako zaś o niezwykłym już dzisiaj, niech mi się godzi dodać: że uważany jako człowiek, w domowym i społeczeńskim życiu, liczony był on zawsze przez wszystkich, którzy go znali, do najprawszych i najszlachetniejszych.



w tomie drugim zawartych.

STRONIA

XXIX.	Do Ignacego Chodźki, ze Strasburga.	5
XXX.	„ „ „ z Szaffuzy	15
XXXI.	„ Juliana Korsaka, „	30
XXXII.	„ „ „ z Chur	44
XXXIII.	„ „ „ z Splügen	60
XXXIV.	„ „ „ z Chiavenny i z Como	73
XXXV.	„ Ignacego Chodźki, z Medyolanu	90
XXXVI.	„ Juliana Korsaka z Weroni	111
XXXVII.	„ „ „ z Vicenzy i z Padwy	130
XXXVIII.	„ Ignacego Chodźki i do Juliana Korsaka, [ka, z Wenecyi]	151
XXXIX.	„ Juliana Korsaka „	172
XL.	„ „ „ „	194
XLI.	„ „ „ z Mestry i z Padwy	214
XLII.	„ „ „ z Santa Maria Madalena, z Ferrary i Altedo	233
XLIII.	„ „ „ z Bolonii	250

XLIV.	Do Juliana Korsaka, z Pietramala i z Flo-	[rencyi.	272
XLV.	„ „ „ z Floręncyi	. . .	290
XLVI.	„ Ignacego Chodźki „	. . .	313
XLVII.	„ Juliana Korsaka „	. . .	331
XLVIII.	„ „ „ w drodze z Florencyi	[do Rzymu	360

Listy Adama Mickiewicza do A. E. Odyńca	387
List do Redaktorki <i>Kroniki Rodzinnej</i>	396

ERRATA.

Tom I str. 11, wiersz 1, zamiast *starzyzna*, powinno być *star-
szyzna*.

Tom I str. 32, wiersz 25, zamiast *w VI i VII*, powinno być
w XII i XIII.

Tom II str. 49, wiersz 22, zamiast *lęząc*, powinno być *laząc*.



1021

